

UNIVERSITY OF TORONTO



3 1761 00012256 4



Digitized by the Internet Archive
in 2010 with funding from
University of Toronto

67

76


7

FILOZOFIA I KRYTYKA.

FILOZOFIA I KRYTYKA

PRZEZ

KAROLA LIBELTA.



DRUGIE WYDANIE.

TOM VI.



POZNAŃ.


NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1875.


ESTETYKA

CZYLI


UMNICTWO PIĘKNE.



PIĘKNO NATURY PLASTYCZNE.



CZĘŚĆ II.



POZNAN.

NAKLADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO,

1875.



B
4691
L543
1874
t. 6

PIĘKNO NATURY PLASTYCZNE CZŁOWIEKA.

1. Rozmiary piękna ludzkiego.

Wszystko w świecie natury jest wedle pewnych rozmiarów i proporcji urządzone. Na téj proporcjonalności, czyli liczebnej stosunkowości rozmiarów, polega harmonia i eurytmia świata i jego tworów, czyli piękno natury w ogóle. Jeżeli więc utwór człowieka był celem natury, jeżeli w nim stoczyły się wszystkie formy piękne, dla tego, że się wszystkie ze zewnętrznego świata we wnętrzu ducha jego odbić i wyobrazić miały, wypada ztąd bezpośrednio, że w pięknej budowie ciała ludzkiego najzupełniejsza i najdoskonalsza zachodzić musi stosunkowość rozmiarów, sprawująca właśnie wrażenie plastycznego jego piękna. Gdzie się wszystkie części ciała do harmonii układają, tam między wszystkimi zachodzić musi pewien stały liczebny stosunek, którego nadwzręczenie odrazę, czyli szpetność stanowi. Jak w muzyce harmonijny akord na niewzruszonej jest oparty proporcjonalności tonów, i dla tego wdzięcznie w ucho wpada, tak i rozmiary kształtowe, jeżeli się oku podobają, ukrytą mają piękną proporcjonalność pojedynczych części, której człowiek może nie zna, a jednak przez wrodzone uczucie estetyczne jęj niedostatkiem się razi.

Na téj stosunkowości rozmiarów ciała ludzkiego znali się

starożytni i cenili ją tak wysoko, że ją nawet kładli za zasadę sztuki budowniczej. *Vitruvius* np. powiada: że żaden budynek nie może mieć ani symetrii, ani proporcji, jeżeli nie będzie zbudowany wedle stosunków dobrze wykształconego ciała ludzkiego.* Podobnie ś. Ambroży uważał, że arka Noego, budowana z rozporządzenia boskiego, stawianą była wedle stosunków ciała człowieka. Była bowiem 300 łokci długa, 50 szeroka, 30 wysoka; a taki sam jest stosunek rozmiarowy człowieka. Albowiem wedle tegoż Ojca św. 300 ziarek jęczmienia daje długość ludzkiego ciała, 50 ziarek jego szerokość, a 30 jego grubość. Tenże autor dowodzi dalej, że arka miała trzy kondygnacye (*tricamerata*), odpowiadające trzem jakby piętrowym sklepieniom ciała: głowy, piersi i brzucha. Rzeczywiście, wedle czynionych doświadczeń przez *Schwentera*, pokazało się, że dzieląc długość człowieka na 30 równych części, wtedy pięć przypada na szerokość ciała, trzy na jego grubość, czyli, że wypada stosunek trzech jego rozciągłości, jak 30: 5: 3.

Najprostsza proporcjonalność rozmiarów jest oraz najpiękniejszą, to jest: stosunku 1: 1, lub 1: 2, jakim jest w muzyce stosunek unisonu i oktawy. Taką proporcjonalność podaje też budowa ciała ludzkiego w głównych jego rozmiarach. I tak, kiedy człowiek stanie i wyciągnie poziomo obie ręce, natenczas linia prosta od jednego końca palca średniego do drugiego jest tak długa, jak linia od wierzchołka głowy do stóp. Połowa téj linii, czyli środek linii pionowej wzrostu przypada w końcu łona; ztąd korpus cały (głowa z tułowiem) zostaje w stosunku do całej wysokości ciała, jak 1: 2, i w tym samym do niej stosunku zostaje szerokość ciała, gdy rękę jedną poziomo wyciągniesz, i aż do środka piersi ją zmierzysz. Taką też proporcjonalność przedstawia dłoń człowieka: długość średniego palca równa się długości spodniej dłoni, i równa się jój szerokości, a więc wszędzie znowu zachodzi stosu-

* Non potest aedes ulla sine symmetria atque proportione rationem habere compositionis, nisi ubi ad hominis bene figurati membrarum habuerit exactam rationem. — *Vitr. lib. III.*

nek 1: 2; cała zaś długość dłoni jest tak wielką, jak linia poprzeczna, poprowadzona od czubka, poziomo wyciągniętego wielkiego palca, aż do końca szerokości dłoni.

Starożytni pisarze proporcjonalności głównych linii wytycznych jeszcze na inny sposób dowodzili. *Vitruvius* n. p. powiada, że gdy człowiek obie ręce w jedną linią wyciągnie, natenczas przez cztery dane punkta poprowadziwszy dwa razy dwie równoległe, utworzy się kwadrat, którego środek leżeć będzie w kroku; jeżeli się zaś ręce i nogi tak rozstawią, że prawa ręka z lewą nogą, a lewa ręka z prawą nogą tworzyć będą linie krzyżujące się, natenczas przez cztery dane punkta da się poprowadzić koło, którego środek leżeć będzie w pępku. * *Cornelius Agrippa* uważa, że można członki ludzkie tak rozłożyć, iż głowa, ręce i nogi będą od siebie równooddalone, i zakreślą pięciobok foremny, około którego określone koło mieć będzie środek nieco wyżej łona. **

Kiedy się w takim prostym stosunku przedstawiają główne rozmiary ciała ludzkiego, drobniejsze jego linie zostają w stosunku więcej złożonym, ale zawsze prostym. I tak, głowa wraz z szyją ma tę samą długość, jaką jest szerokość piersi, czyli odległość jednego podramiennika od drugiego. Ramię jest także tak długie, jak długą jest głowa i szyja razem; a $\frac{3}{4}$ części długości ramiennéj daje długość podramienia, czyli linii od dłoni do łokcia. Biorąc nakoniec $\frac{3}{4}$ części długości podramiennéj, będziemy mieli długość dłoni, czyli ręki. — Prowadząc linią prostą od dołka przy końcu szyi, aż do łokcia, po ramieniu wyciągnionym, otrzymamy długość uda; a biorąc linią od łokcia aż do końca ręki, otrzymamy długość golenia, której ósma część daje wysokość pięty. Prowadząc z wierzchołka głowy linią długości uda, trafimy na koniec mostka, czyli kości piersiowéj; a tu ztąd linia prosta aż do końca tułowiu jest tak wielką, jak długość golenia. Nareszcie długość stopy równa się długości dłoni, powiększonej o długość spodniéj pięty, która zawsze równa się jéj wy-

* *Vitruvius*. C. 1. lib. 2.

** *Corn. Agr.* lib. 2. cap. 27. *Occult Philosoph.*

sokości. Tym sposobem stopa ma długość podramienia, a połowę długości golenia wraz z piętą.

Jeżeli przyjmiemy jako przystojny wzrost mężczyzny 5 stóp 8 cali, czyli razem cali 68, natenczas głowa zajmie ósmą część téj wysokości, to jest $8\frac{1}{2}$ cala długości, i staje się liczbą zasadniczą całej stosunkowości rozmiarów ciała ludzkiego.

Wedle powyższych zasad otrzymamy zatem, na długość pionową ciała:

Wysokość głowy	$8\frac{1}{2}$ cala.
„ szyi	$3\frac{1}{2}$ —
„ piersi	6 —
„ brzucha	14 —
„ uda	18 —
„ golenia	16 —
„ pięty	2 —
	razem 68 cali.

Na szerokość poziomą ciała:

Szerokość piersi	12 cali.
Długość dwóch ramion	24 —
Długość podwójnego podramienia .	18 —
Długość dwóch rąk	14 —
	razem 68 cali.

Łono leży niżej brzucha, dokąd linia udowa sięga. Jego wysokość podaje się, odmierzając na linii wzrostu, tak od góry, jak od dołu, trzy wysokości głowy i szyi (to jest 36 cali od góry i tyleż od dołu); między odcinkami utworzy się linia (tu cztery cale długa), której środek daje środek wysokości całego ciała, a której połowa daje wysokość łona (tu 2 cale). Szerokość łona, czyli linii, prowadzącej od jednego uda do drugiego, równa się połowie wysokości linii piersiowej, i brzuchowej (tu 10 cali), jest zatem od szerokości barków o własną wysokość mniejsza.

Stosunek wysokości głowy do wysokości ciała niekonie-

cznie ma być jak 1: 8. Może być jak 1: $7\frac{1}{2}$, lub 1: 7, z czego się wedle powyższej proporcjonalności rozmiary wszystkich innych części ciała podają; tak że do każdego wzrostu odpowiednia proporcjonalność członków, jak z każdego członka wzrost odpowiedni da się obrachować.

Nie możemy się tu wdawać w obszerne geometryczne konstrukcje, z których najzupełniejsza regularność linii, kątów i płaszczyzn podaje się, i wszystko do jednej harmonicznej całości się układa. Taka jest ścisła proporcjonalność wszystkich części ciała, nie tylko pod względem wysokości i szerokości, ale i pod względem grubości i wygiętości, że ją tak z trójkątów podobnych, jak z kwadratów, jak z kół, w najdrobniejszych szczegółach wyprowadzić można. Tak np. jakakolwiek będzie długość głowy, kwadrat z téj długości daje nową przekątnię, która zawsze stanowi miarę wysokości głowy i szyi razem, a tym samym i szerokość piersi; zaś trzecia część téj linii równa się szerokości szyi. Kwadrat z téj przekątni daje nową przekątnią, która się równa $\frac{1}{4}$ wysokości całego ciała i trafia na linię brodawek; kwadrat z drugiej przekątni, daje trzecią przekątnią, a z téj kwadrat oznacza talią ciała. Podobnie kwadrat z trzeciej przekątni daje czwartą przekątnią, której długość wynosi połowę wysokości ciała itd.

Kształt głowy jest owalny, najwyraźniej na cztery równo-szerokie części podzielony; z tych trzy stanowią oblicze, czwarta górna, wierzch czaszki, włosem pokryty. Długość nosa jest szerokością średniej części oblicza; górną zajmuje czoło, dolną niższa część twarzy, dzieląca się znowu na trzy strefy, wyraźnie podbródkiem, wyższą i niższą wargą naznaczone. Tak oblicze, jak długość nosa, stoi w stosunku do całego wzrostu człowieka. Gdzie wzrost równa się $7\frac{1}{2}$ długościom głowy, tam wynosi oraz 10 długości oblicza, a 30 długości nosowych. Największa szerokość owalnego oblicza zawartą jest między liniami, łączącymi koniec szyi (dołek wyżej kości piersiowej z górnymi wierzchołkami kwadratu, utworzonego z wysokości głowy. Ramiona na ten sposób uformowanego kąta przechodzą przez punkta, w których konchy uchove przyrastają do skroni, a odległość ich daje największą szerokość twarzy;

to jest przy $8\frac{1}{2}$ cala długości głowy, a $6\frac{2}{8}$ długości oblicza, daje blisko $5\frac{1}{2}$ cala jego szerokości.

Na tych liczbowych i geometrycznych stosunkach polega rozmiarowe piękno plastycznej budowy człowieka. Snycerska natura umie zmieniać tę stosunkowość, nie psując harmonii piękna, gdy tworzy mężczyznę, lub kobietę, gdy wykształca dziecię, lub młodziana, gdy piętnuje rasowe, narodowe i temperamentowe wyrazy. Najczęściej jednak ta stosunkowość w pojedynczych częściach, przez obce wpływy, wypacza się i zamienia w disharmonią, czyli w szpetność.

2. Kształty piękna ludzkiego.

„W człowieku — powiada Augustyn św., — * znajduje wszystko stworzenie model swój; on jest najwyższym dziełem Stwórcy, ku któremu w całej naturze wszystko zmierzało, a co po innych częściowo tylko było rozrzucone, znalazło się w człowieku społem przy sobie.“ — Człowiek więc jest miarą wszystkiej piękności, tak nieorganicznego, jak roślinnego i zwierzęcego świata. On już nie jest, jako inne twory, dla świata, ale świat jest dla niego, bo go owłada nie tylko zmysłami, ale i wiedzą i duchem swoim. Gdy się tak wszechistnienie w jego wiedzy odbija, znajduje w nim jaźń swoją, a ztąd i piękno natury znalazło w nim wartość swoją, bo znalazło w nim znawcę swego. On jest królem stworzenia, bo on jeden wie, czym jest, i będąc sam tworem, zna przecież wyższość swoją nad innymi tworami. On też jest koroną piękności wszystkiego stworzenia, i mądrość mu patrzy z oczu, majestat z postawy i chodu, a słodycz niewypowiedziana z ust słowotwórczych.

Widzieliśmy, jak drzewo z łona ziemi sadziło w górę, i koronę liści swoich roztaczało w błękitnie atmosfery. Cały potym ród zwierzęcy to pełzał po ziemi, to odbywał ruchy ręczne, ale poziome, ze schyloną ku ziemi głową. Człowiek

* De civitate Dei. lib. 10.

dopiero podniósł się do szlachetnej, pionowej postawy, i wzrokiem ogarnia razem ziemię, podwal nóg swoich, i odległe krańce horyzontu i firmament niebieski, jasnością słoneczną oblany. — Znikł ciężar ciała zwierzęcego, który się podłużnym tułowiem na czterech nogach opierał. Postawa lekko utończona, wiotko wgięta, przy pulchnych udowych zgięciach, zda się, że sama siebie unosi, bo żadnego widocznego nacisku na podstawne nogi nie sprawia.

Kwiecista korona drzewa przemieniła się w kulisto utończoną głowę. Lśniący liść zielony zamienił się na włos miękki, połyskujący rozmaitymi barwami blondynowych, cienistych i czarnych odcieni; a kolory kwiatów zdają się zakwitać na policzkach, rumieńcem oblanych, na ustach koralowych, i na lazurze, albo na hebanie pary ócz pojrzystych.

Smukła, giętka szyja, w łagodnych spadkach oddziela głowę od reszty ciała, nadając jój swobodne ruchy na wszystkie strony. Tylko po za siebie głowa zwrócić się nie może, coby, przy pionowej postawie człowieka, było oszpeceniem, bo niestosunkiem oblicza do tylnych części ciała, i znowu tyłu głowy do przednich. Kark na tyle ciała daje spadek od tyłu głowy do ramion i grzbietu.

Pierś szeroko sklepiona znamieniuje męztwo. Nic piękniejszego nad sklepienie naprzód podanej piersi, którym szczególnie pokolenia greckie i rzymskie odznaczały się. Pierś zapadła, płaska, jest już oznaką słabego i chorowitego organizmu. Mostek u mężczyzn, najczęściej rzadkim włosem porosły, oznacza małą wklęsłość środka skrzyni piersiowej, rozciągającej się od nadołka, gdzie się szyja kończy, aż tam, gdzie lekkie wgięcie pierś od spodu ciała oddziela. Po obu stronach piersi rozchodzą się sklepienie mocne kości; zwiększają ich wypukłość zaokrąglone misternie nasady piersiowe, jakby tarcze cieliste z brodawkami w środku.

Piersiom na tyle odpowiada grzbiet, z nieco wypukłymi barkami, między którymi wklęsłość krzyżów odpowiada mostkowi na przodzie. Jeden rzut oka na te szerokie, pleczyste, muskularne wydatności, pokazuje wyraźnie, że tu największa siła muskularna skoncentrowana, której człowiek użyć może

do dźwigania ciężarów. Wszakże dźwiganie ma coś bydlęcego, niewolniczego, nagina ku ziemi wzniosłą postać człowieka. Same nawet kareatydy przestają być piękne, jeżeli rażą wyrazem napięcia i znoju. Dla tego piękniejszymi wydają się barki w gimnastycznych ruchach, gdy się przez nie napiętość muskułów uwydatnia.

Bezpośrednio u bark uwieszone są ramiona, a spadek szyi do ramion, mianowicie u kobiet, do najpiękniejszych linii ciała ludzkiego należy. Krągła pulchność górnego ramienia pokrywa silne spoje kości ramieniowej i łopatki, i sływa w miękkich konturach po muskularnych ścięgach, aż do łokcia, odkąd spodnia część ramienia już nie w tak miękko powabnych, ale zawsze w krągłych zwojach ciała, aż do przegubia ręki się rozciąga. Cały skład ramienia i ręki, na trzech ścięgowych zawiasach obracający i łamiący się, zdolen najrozlicniejszych postaw i ruchów, z których każdy, jak to gimnastyka i mimika pokazuje, w nader piękne układa się formy, jeżeli do ruchu ramion dołączony będzie odpowiedni ruch nóg i całego ciała. Ale i w naturalnych ruchach dopatrzeć nieraz można wiele estetycznego piękna, czy to w uściskach, czy to w zapasach dwóch osób ze sobą. Podczas chodzenia i biegania, ramiona z rękami odbywają ruchy pomocnicze, regularne, którymi piękność chodu ludzkiego podnosi się i charakteryzuje. Każdy człowiek przyswaja sobie inne ruchy chodu, które się tak odznaczenie piętnują, że już zdaleka poznasz z nich osobę, acz oblicza jeszcze nie dojrzysz. Długość ramienia z ręką dochodzi w pionowym kierunku do połowy ud; w siedzącej postawie do kolan; jedno i drugie tworzy nadobną proporcjonalność zewnętrznych członków do wysokości ciała.

Budowa ręki i palcy jest najkunsztowniejszą strukturą ze wszystkich członków i narządzi ludzkich. Jakaż to gracja w jej całym utoku, jaka łatwość ruchów, jaka giętkość palcy, jaka subtelność ich kończyn, małymi tarczami paznogi pokrytych! W brzuskach tych palcy najdelikatniejsze uczucie skoncentrowane. Przypatrz się pięknie utworzonej ręce, takiej np. jaka była ręka Stanisława Augusta, albo ręka nie jednej pięknej kobiety; co tam wdzięków w urzeźbieniu każdego

palca, każdego zgięcia, co tam miękkości i pulchności, ile drobnych rysunków na brzuszkach palcy; a po dłoni krzyżują się rozliczne linie żywota, z których chiromancya niegdyś odgadywała przyszłość. — Palec każdy, trzema stawami opatrzone, wyobraża budowę całej ręki, to jest: ramienia, podramienia i dłoni. Za pomocą tych stawów palce układają się w piękne łukowate kształty, co szczególnie kobiecęj białej ręce wiele wdzięków nadaje. Rzecz można, że przez rękę, tak misternie zbudowaną, człowiek stał się wielkim. Co rozum wymyślił, imaginacya zbudowała, to ręka dokonała. Wszystek przepych wyrobów jest ręki ludzkiej dziełem. Ręka jest narzędziem wszystkich narzędzi, jest cudem snycerskiej roboty, przez naturę dokonanej, która wszystkie wprzód przeszła możliwe kształty stóp i rąk zwierzęcych, zanim się ideału ręki człowieczej dobrała.

Niżej mostka oddziela się brzuch wydatnymi liniami od piersi, rzuca nieznaczne sklepienie, niby powabną pokrywę na niepowabne wnętrzości i brzydkie jelita, i stacza się łagodnym spadkiem do łona. Wystająca pulchność ud, i szerokość miednicy tworzy drugą, łonową szerokość ciała, nieco węższą od szerokości piersiowej; a pomiędzy tymi obydwo ma szerokościami wginają się boki, słabizny i lędźwie, po nad osadą ud najwięcej wcięte, stanowiąc piękną talią postawy prostej, tak, że przy opuszczonych ramionach pozostaje próżnia pomiędzy nimi a ciałem, roztwierająca się rozmaicie, wedle położenia ramion.

Łono, jak cała w koło okolica, lubieżną pulchnością i miękkością odznacza się. Spadzistość jego nieco wypukła, rozszerzona od spodu brzuchowego sklepienia, z którym się łączy, zwęża się dołem, na wierzchu częściami rodzajnymi opatrzone. Porost najczęściej kędzierzawy, łono ocieniający, daje mu podobieństwo pagórka porosłego, i dla tego nazwano tę część okolicy łonowej górą Wenery. — Części rodzajne męzkie są wydatne, czego nie było u zwierząt. Starożytna skulptura niepojmowała wstydlivosti w modelowaniu i tych wydatności ciała. I słusznie. Wstydlivość jest wiedzą grzechu. Nie ma jęj ani w niewinności, ani w ideale pięknej

budowy męskiej, który przedstawiała plastyka grecka. Ztąd obnażenie dzieci, amorków i idealnych posągów greckich nie razi; przeciwnie, nagość ciała, znojem życia i grzechu naznaczonych, byłaby szpetną, jak szpetnym jest symbol siły rodzajnej w priapowych wyciosach, dla tego, że razem chuć cielesną naznacza.

Od tyłu przedstawia postać człowieka najszersze płaszczyzny. Wyrobienie ich muskularne w pięknych odchyła się formach. Nie ma tam ani płaskości bezkształtnej, ani krzywych wypukłości. Powierzchnia bałwani się, jakby między falami ciała. Środkiem lekką wklęsłością naznaczony słup kości pacierzowej, od boków przebijają żebra; od lędźwi pulchnieje ciało i w dwa obszerne, krągłe zasklepia się natyłki, które się w uda zlewają. Budowa téj okolicy ciała, jak to w posągach Wenery Medycejskiej i Apollina Belwederskiego podziwiać można, należy do najpiękniej utoczonych. Zlew konturów miękkiej, pulchność zdobna, układ wydatnych powierzchni nadobny.

W tak pięknej budowie grzbietu i tyłu, wykończenie kości pacierzowej w ogon, jak u zwierząt, byłoby oszpeceniem, którym wyobraźnia sztukmistrza darzy odrażliwe postacie czartów. Natura z estetycznym taktem odcięła ciało ludzkiemu ten ostatni z wyrostów zwierzęcych. Kolumna kości pacierzowej tak nieznacznie się stacza, i kontury płaszczyzn tak miętko spływają, że się kształt ciała w zupełności wypełnia i do pięknej harmonii zlewa, kiedy u zwierząt, dla ich postawy poziomej, brak ogona jakiś niedostatek w całej budowie ciała, i disharmonią w jego układzie sprowadza.

W ruchach gra mięśni i powierzchni fali na całych plecach, szczególniej jest piękna, i staje się dla tego głównym przedmiotem studiów snycerskich. Mężkie mianowicie i atletyczne postacie uwydatniają plastyczne piękno siły muskularnej, co nadewszystko w herkulesowych posągach uważać można.

Pełne uda staczają się od łona ku kolanom coraz węższymokołem ciała. Linia uda, na wszystkie strony uważana, śliczne ma spadki i skręty. W okolicy łona dotykają się

powierzchnie ud ze sobą i zwięzając się spodem ku środkowi, czynią tu mały odstęp, i pulchnieją znowu o niewiele wyżej kolan, a szczupleją po nad samymi jabłkami, co krągłą wypukłością zgięcie kolana naznaczają. Pełne, silne mięśnie, mianowicie u ud męzkich, uwydatniają się przy napiętości nogi.

Niżej kolan zdąża ku stopie nieco krótsza goleń. Przedem smukła, samą niemal skórą powleka szeroką piszczel goleniową; ale od tyłu nabrały ikra i sklepiają się pulchnym ciałem zaraz pod zgięciem kolana, co spodniej nodze tak powabne nadaje wejście, będące jakby powtórzeniem, plastycznym echem powabnych zwojów udowego ciała. Sam spód golenia kościsty, żyłasty, masywny i smukły. Przegubie nagłym, zawsze jednak krzywoliniowym, a więc złagodzone spadkiem, robi przejście od golenia do wierzchniej części stopy. Z tyłu po niewielkiej wklęsłości spód nogi przechodzi w piętę, a ta rozciąga się w płaszczyznę podeszwy.

Stopa zakończona pięcioma palcami, jak ręka, z wierzchu i ze spodu także do niej zbliżona. Nie ma nic podobnego u zwierząt. Nawet małe wąskie, długopalcyste, więcej do rąk, niż do nóg podobne stopy, nie wytrzymują porównania. Jak misterną budową ręki, tak i pięknym kształtem stopy, człowiek przenosi wszystkie inne zwierzęta. Atoli przeznaczenie nogi jest inne, niż ręki, ztąd i struktura pojedynczych jej części zmieniona. Przeznaczona do chodzenia i dźwigania całego ciężaru człowieka, musi mieć budowę silniejszą. Ztąd grubość i długość stopy znacznie większa od ręki, skóra podeszwy mniej delikatna, a spodem pięty i na następach gruba i elastyczna. Palce o wiele krótsze, nie mają ani tej giętkości, ani tej roztworzystości, co palce u rąk. Palec wielki nie odstający; wszystkie pięć palcy zwinięte, przystają do siebie jednym rzędem i ułatwiają nastąpienie. Ilekroć człowiek nogę podnosi, aby ją naprzód przerzucił, tyle razy opiera ją o ziemię, i znowu, ile razy nogą przerzuconą następuje, tylekroć ziemię palcami chwyta. Podeszwa elastyczna nie opiera się całą płaszczyzną o ziemię. Środkiem jest wklęsła. Cały opór na pięcie i na przodku stopy spoczywa, co daje wyraz

jakby duchowego unoszenia się ciała po nad powierzchnią ziemi, której, czy to stojąc, czy chodząc, człowiek zaledwie się kończynami stóp dotyka.

Przy giętkości kości pacierzowej i stawowatości rąk i nóg prosta postawa człowieka w nieskończenie różne, a zawsze piękne ułożyć się potrafi sytuacje, które oko snycerskie dopatruje, i na piękno sztuki obraca. Przypominamy tu tylko niektóre postawy, np. młodziana siedzącego na kamieniu i wydobywającego sobie kolec ciernia z nogi; — upadającego i jedną ręką o ziemię wspartego gladiatora; — piłującego niewolnika itd. Cała gimnastyka, mimika i plastyczne ugrupowanie figur na studiach tego piękna natury polega.

Nie potrafi człowiek, jak orzeł, wzbić się skrzydłami w powietrze, i bujać po owych wyżynach, w których maleją przedmioty ziemi; nie potrafi, jako ryba, szybować po głębinach oceanu; jeleni, nawet drobny zając, prześciga go w biegu, małpa zręczniejsz wdrapuje się na drzewa; — wszakże te wszystkie niedostatki człowiek przemysłem zastępuje; a jest panem takiej rozliczności ruchów, po których rozlewa się taka nadobność wdzięków, taka lekkość powiewna, taka miękkość bezznojna, takie ciepło żywotne, że przed tym pięknem natury, które tylim blaskiem kształtu i poruszeń ciała ludzkiego jaśnieje, wszelka piękność zwierzęca, jako cień za przedmiot swój usuwa się i kryje.

Owe *medium tenere beati* znajdujemy w pięknie kształtu ludzkiego. Wszystkie jego formy są umiarkowane. Wzrost średni, ani tak olbrzymi, jak gruboskórców, ani tak drobny, jak pazurkowatych zwierząt. Giętkość i ruchliwość mięśni pomierna; są niemal wszystkie półobrotowe, wykręcać się na wszystkie strony nie mogą, i człowiek, jako bydlę, nie zarzuci głowy do grzbietu i aż w okolice końca plec nią nie sięgnie. Odstępy pojedynczych członków mierne; ani zbyt długa szyja nie oddziela głowy od piersi, ani nogi nie rażą zbyt wielką wysokością; odstępy ud i goleni, odstawy ramion od boków, nie są znaczne; palce u rąk nie rozciągają się daleko od siebie; tylko wielki palec zdolen zakreślić ćwierć koła obrotu i postawić się do innych palcy w pozycji kąta prostego.

Cała atoli kształtowość człowieka nie byłaby ani tak plastycznie wydatną, ani tak wdzięku pełną, gdyby skóra ciała, tak jak u zwierząt, była włosom pokrytą. Przy nagości ciała i miękkości skóry, każda wydatność muskularna jest pulchniejszą, każda falistość krągłęjszą, każda delikatna wklęsłość i wypukłość widoczniejszą, każdy ruch ciała napiętość mięśni odchyła; — zgoła wszystkie, by też najsubtelniejsze formy stają się przejrzystymi. — Podnosi ich pięknotę elastyczność ciała, które z łatwością każdemu naciskowi ulega, i równie łatwo do dawnego kształtu powraca; podnosi ją miękkość skóry bławatna i ciepło żywotne; a jedno i drugie nie tylko dotykaniu, ale i samemu oku się przedstawia. Z delikatnością skóry połączona delikatność czucia, którego wyraz więcej duchowy, niżeli zwierzęcy, po całym ciele rozściela się.

Z oblicza dopiero wszystkie potęgi i wszystkie pięknoty ducha człowieczego wyglądają. Głowa też jest naczelnym organem całego ciała; jest siedliskiem wszystkich władz duszy, a oblicze płonie majestatem najszczytniejszego dzieła Stwórcy, które stworzył na obraz i podobieństwo swoje. W skreśleniu estetycznej fizyognomiki głowy i oblicza ludzkiego, Herder* i Fischer** wyborne już zdjęli wizerunki. — Owalny, sklepiony kształt głowy pozbył się ostatnich znamion zwierzęcych, które się w rodzie małp jeszcze we wystającej naprzód dolnej szczęce i w czaszce krawędziastej uwydatniały, szpetnym czyniąc cały ustrój głowy. Przy wyprostowanej postawie człowieka, oś głowy trafia na pionową linię całego ciała, na której leży także punkt ciężkości, zmieniający się z poruszeniem członków. Tym sposobem kształt się uszlachetnił swobodnym poglądem w niebo i w okolice świata, i znikło ostatecznie zwierzęce pochylenie głowy.

Większa połowa ję sklepienia, silnymi tarczami czaszki opasana, przeznaczona na siedlisko władz duszy, które tu założyły jakby główną kwaterę swoją. Tyłem głowy osklepiony

* Ideen zur Philosophie der Geschichte der Menschheit B. 4. 1.

** Aesthetik II. § 318.

tak nazwany mały mózg, w którym władze duszy się kojarzą, będące jeszcze natury zwierzęcej, i dla tego w najmniejszej, na tył podanej komorze umieszczone, jakoby na znak, że człowiek zwierzęce życie po za sobą już zostawił. Za to przodem całą szerokością czaszki i wypukłego czoła rozpołożyły się obszerne hemisfery wielkiego mózgu, dokąd, jak do świątyni dziewięciu muz, zbierają się tłumnie, to śliczne obrazy młodzieńczej wyobraźni, to chyże myśli dojrzałego rozumu; — tam czarownym blaskiem płoną ideały piękna, tam jaśnieją pomysły dowcipu i mądrości, tam się poczyna wola światowładna. A wszystkie te potęgi duchowe, z niewidomym ciałem, jak mary polotne krążą i migają po gładkiej wypukłości szerokiego czoła, które pod tajemniczym sklepieniem ukrywa niedościgłe roboty ducha, i kryje domyślne skarby genialnych pomysłów.

Nic takiego majestatu na obliczu nie roztacza, jak pogodne, otwarte czoło. Widzisz od razu, że tam zasiada mądrość, że to okolica myślenia, po której duch rozpościera panowanie swoje. Jeżeli wiek młody i swobodny, takąż sama tam myśl zawiśnie, a lada uśmiech, troskę z czoła zdmuchuje; — jeżeli wiek dojrzały i sędziwy, już widać na nim ciężką pracę myślenia, i na gładkim licu czoła troska i znój myślenia naznacza podłużną zmarszczką częste przechody swoje.

Po bokach nieco wklęsłe przysiadły skronia, a po nich wiją się żyłki cienkie, jako myśli w głowie. Osadzone bliżej okolicy, gdzie Psyche ludzka z władzami swoimi mieszka, straciły wypukłość myślącego czoła, i w łagodniejszych konturach chylą się pod pukle, lub pod kędziory włosów. W zadumie człowiek ręką podpira skronia, jakby na tym rozstaju duchowych i psychicznych potęg ważył, co jest z ducha-człowieka, a co ze zwierza-człowieka.

Niżej czoła rozciąga się druga strefa oblicza, a trzecia strefa głowy. W niej troje zmysłów, wzrok, słuch i powonienie, umieściło organa swoje, a rzeźba natury w piękne je umodelowała kształty. Najwydatniejszą jest linia nosa, a najpiękniejszą taka, jaką rzymskie i greckie oblicza przedstawiają.

Prawie w kierunku prostym stacza się linia czoła z linią nosa, nieznaczną tylko wklęsłością naznaczając ich przejście. Leży w tej linii jakaś plastyka idealna, której napróżno szukamy w nosach płasko, lub wypukło wygiętych, i takich, które z czołem tworzą linią łamaną. Taka też budowa nosa najproporcjonalniejsza, bez zbytej wydatności na twarzy, i bez tych powierzchni krągłych, które w całym złożeniu mogą mieć wyraz miły, ale nigdy piękny. Nozdrza na dół obrócone, usuwają niejako z pod oka mniej estetyczne otwory powonienia.

Główną atoli i idealną ozdobą nosa ludzkiego, jest jego oddal od ust, czym się wyróżnia od zwierząt, których dusza pęchająca, stoczywszy całą moc swoją w powonienie, oddała nos w posługę żarłoczności, i dla tego bezpośrednio z pyskiem go połączyła, a szerokie jego nozdrza naprzód podała. Nie ma tego znamię zwierzęcości u człowieka. Nos jego, całą odstanią górnej wargi od ust oddzielony, przeznaczon jest do kosztowania woni po powietrzu rozlanój, a nie do rozpoznawania pokarmu, który gęba bezpośrednio chwytala.

Po obu stronach nosowego korzenia ruchliwe umieszczone oczy. Najbliżej przysiadły pod sklepieniem mózgowym, kędy jest warsztownia nieśmiertelnego ducha. Bo też ze wszystkich zmysłów, zmysł wzroku jest najwięcej duchowy, najwięcej idealny; chyży jako myśl, lekki jako promień, niematerjalny jako światło. Samo się ztąd rozumie, że narzędzie tak subtelnego zmysłu miało być równie subtelne. Pod względem fizyologicznym najkunsztowniejszą jest budowa oka, pod estetycznym względem jest w całym obliczu najidealniejszą.

Plastyczna struktura obu ócz jest symetryczna, to jest przeciwstronna, bo chrzęść nosa stanowi środkowy ich przedział, do którego się formy kształtowe ócz zestawiają. Ruchy ich są regularne, to jest j e d n o s t r o n n e, bo gdy nie ma nic ruchomego, coby je przedzielało, ruchy symetryczne bez takiej wspólnej osi byłyby szpetne; gdzie rzeczywiście wyjątkowo zachodzą, tworzą zyzowatość. Po nad oczami pukli się powierzchni czoła podwójną, łagodną wyniosłością, a na tych wyniosłościach łukowato zagięły się brwi, cudny, cieniujący ornament oblicza. Wyniosłe kości policzkowe zasklepiają od

spodu otwory kuliste, w których swobodnie toczą wzrok swój oczy, dwiema rzesowatymi powiekami osłonione, i rozmaita otwartością z nich wyglądają. W zwyczajnym stanie górna powieka zwiija się w dwie fałdy, i tworzy jakby gzyms w okół okowego sklepienia.

Ile lubości, ile wdzięku, ile wyrazu leży w spuszczeniu i w podniesieniu tak powiek, jak oka; — ile uroku w ciemnych długich rzesach; o które blask oka łamiąc się, łagodnieje; — ten najwięcej poznał, kto kochając, z oczu kochanki wzajemną miłość wyczytywał.

Po prawdzie nazwano oko zwierciadłem duszy i oknem ducha ludzkiego. Nie ma w nim téj świeżości leśnej, która zdobi oko sarnie, nie ma téj przenikliwej bystrości wzroku, która z ócz orlich przegląda; ale za to spojrzenie oka ludzkiego jest pojrzeniem ducha na świat i jego przedmioty; poogląda ono na nie wzrokiem wiedzy, lub żądzy zdobycia jéj środkiem wzroku; ztąd pojrzenie człowieka przenikliwe, badawcze, gruntu rzeczy sięgające. A gdy pojrzy w oczy równój sobie istocie, przenika ją aż do głębin ducha. Każde uczucie w oku się objawia i każdemu ruchowi ciała oczy towarzyszą.

Najmnień wydatne, wszakże niemnień kunsztownie zbudowane, są narzędzia słuchu, po obu stronach, niżej skroni umieszczone. Skromna postawa konch uchwowych wygląda z pod zakrycia włosów, i przytula się do tylnój części głowy. Misternie w muszel wykrojone ucho, od brzegów zawinięte jakby rąbkim chrząstkowego ciała, zdobne przedewszystkim kawałkiem miękiszu, co jak drugie uszko u spodu konchy głównój się zwiesza, i tak szykowne miejsce płci żeńskiej na strój koleczykowy podaje. Nie ma ani tak pięknego rysunku, ani téj uszkowój ozdoby żadne inne zwierzę. Konchy tam albo za długie, albo za krótkie, i zwieszane odstają od głowy, albo sterczą łyżkowatym wydrążeniem.

Głęboka, przemyślana, akustyczna budowa zewnętrznego ucha ludzkiego, pokazuje wyraźnie, że przeznaczonym jest do innego słyszenia, niżeli jest słyszenie zwierzęce. Zwierzę słyszy wprawdzie na wielką odległość, ale słyszy tylko sam

rozgłos, czyli samą słyszalność; ucho ludzkie, przeciwnie, nie słyszy może tak odlegle, ale słyszy oraz te wszystkie rozgłosu odcienia, które jego treść wewnętrzną stanowią; słyszy w głosie nacisk uczucia i strój duszy, zbiera odcienia głosu mowy ludzkiej i odcienia tonów muzycznych, odnosząc je w tym samym złożeniu do bębenka z nerwem połączonego, a ztąd do wnętrza ducha, gdzie odbrzmiewają swoim znaczeniem i melodyą.

W ostatniej strefie oblicza i głowy mieszczą się usta, U mężczyzn jest to okolica bujnego zarostu, który znakomując siłę, jest oraz ozdobą twarzy. Krągłe i gładkie lica staczają się łagodnym spadkiem ku szczękom dolnym, i wiążą się bezpośrednio z wargami, stanowiącymi elastyczną osadę ust. Pięknie i delikatnie narysowaną jest wężykowata linia ich wykroju, w którym J. N. Kamiński chciał uważać wiele znaczącą literę M. Wierzchni zręb wargi w środku tworzy lekkie wgięcie, w które stacza się podłużne wyżłobienie, idące od środkowej chrzęści nosa, przez środek górnej wargi, i dopomaga do tym piękniejszego wykroju profilowej linii całej twarzy.

W kącikach ustowych, tam gdzie spada linia od pochwy nosowej ku dolnej szczęce, i oddziela od niej krągły policzek, tam najwięcej jest wyrazu twarzy. Tam śmiech policzki fałdzi, tam ironia usiada, w tej okolicy polotna myśl miga, tu każda ekliwość w grymas się ustraja. I nie dziw, bo usta są kraterem ducha, są wierzchołkiem Helikonu; wszystkie przeto gracye i niegracye, a nawet brzydkie harpie zbiegły się i górę Apollina obsiadły.

Różany, miękki karmin ust, i atlasowa ich pulchność i elastyczność, ogrzewa ciepłem żywotnym, a często gorącym tchnieniem wewnętrznych płomieni, co żar swój na usta wyrzucają, robi z nich naturalne siedlisko miłości, która się tu słodkim pocałunkiem uwiązuje. Zmysłowa estetyka nazwałaby je pulchno-wysłanymi kanapkami amorków, po których się tumanią, a w około nich oblatują z motylimi skrzydełkami boginie wdzięków i płochy bożek śmiechu.

Jakaż to nieskończona różnica między idealnym ustrojem

ust ludzkich, a budową żarłocznego pyska u zwierząt! — I tu, po za otworem ust, perlą się dwa sznury drobnie ułożonych zębów; — atoli z całego ich pięknego utoku widzisz, i z małego otworu drobnych ust odgadujesz, że przeznaczenie ich musi być wyższe, niżeli być tylko otchłanią do połykania pokarmu. Nie ma tu nic, coby wskazywało na zwierzęcą żarłoczność, albo na bój, który się ma toczyć zębami; nie ma nic z twardego znoju życia; formy i owszym miękkie, piękne, nawet idealne, wskazują wyraźnie, że po tchnieniu, które ustami wychodzi, duch potężny człowieka odezwać się może i wypowiedzieć całą nieskończoność swoją, to wyrazem mowy, to melodią głosu.

Podbródek nieco wystający, owalno spiczasty, zakończy głowę i oblicze. Jest i to znamię wyłącznie ludzkie. Nie ma go żadne inne zwierzę, a nauka Lawatera z kształtu podbródka odgadywała nawet charakter człowieka i jego zdolności. To pewna, że piękny kształt podbródka wykończy dopiero i uzupełnia całkowity wyraz oblicza ludzkiego. Warga dolna wklęsłym spadkiem byłaby niemiłym zakończeniem tak przodku, jak profilu twarzy, a podane naprzód usta, przy takiej wklęsłości, miałyby coś chwytanego, zwierzęcego. Zaradził temu stetyczny smak snycerskiej natury. Półkolna linia, otwartością swoją na dół obrócona, oddziela spodnią wargę, i podnosi się wraz z nią krągława wyniosłość podbródka, zaokrąglająca miękkim konturem całą dolną szczękę. Środkiem podbródka widzisz jakby rynienkę, co go na dwie połowy dzieli i z dołyżkiem w dolnej wardze, tudzież z wyżłobieniem górnej wargi, nakoniec z środkową linią nosa w jednym zostaje kierunku, który dwie symetryczne połowy twarzy, jako ich spólna średnica naznacza.

3. Wyrazy piękna ludzkiego.

a) Formy ogólne ludzkości.

Przedstawiliśmy kształty naturalnego piękna w człowieku, tak, jak wyszedł z łona matki natury, i jak ulepion został z mułu ziemi. Był to Adam w doskonałości swojej, najszczytniejsze dzieło wielkiego Stwórcy; był to piękny wizerunek typu człowieczego w ideałowych formach, które podziwiamy w wybornych posągach starożytniej sztuki snycerskiej, a które w naturze nie wszędzie i nie zawsze natrafiamy w tak pięknej harmonii zespolone. Atoli człowiek jest tworem żywotnym; jako taki, ma pory wieku, i w innym wyrazie przedstawia się nam dziecię, w innym młodzian, w innym wreszcie mąż dojrzały i starzec. Ród ludzki dalej z naturalnego także względu rozpada się na dwie połowy: na płeć męską i żeńską, a piękno jednej i drugiej płci naznaczone osobnym charakterem, po którym ją odgadujesz. Nakoniec życie każde zużywa się; kończy się więc przez śmierć. Aby zaś zużycie sił nie było gwałtowne, dzieli się żywot ludzki na życie jawu, czyli działania, i na życie snu, czyli wypoczynku. Kształt człowieka nabiera innego wyrazu na jawie, innego we śnie, innego jako trup. Są to ogólne formy ludzkości, bo są warunkiem jej istnienia, i w każdym człowieku się pojawiają.

Charaktery piękna ludzkiego uwarunkowane zatym są naturalnym postępem i rozstępem żywota człowieczego, i uważać tu będziemy najprzód wyrazy piękna płciowego, następnie piękna osobnych pór wieku. Nakoniec uwarunkowane są stanem jawu, bo tam tylko objawia się piękność kształtu żywotna. Wszakże pod estetycznym względem zasługuje także na uwagę wyraz snu i śmierci, będący przeciwieństwem żywota.

a) Piękno płci.

Różnica płci pokazywała się już w królestwie roślin, ale tam nie wpływała jeszcze na ich różnokszały. Wielokroć na jednym pniu wyrastały dwupłciowe kwiaty. U zwierząt już się objawiały widoczne oznaki męskości i żeńskości. Zwykle samiec bywał piękniejszy i roślejszy od samicy, zdarzało się jednak, że się rzeczy miały przeciwnie. Zawsze przecież w samcach przeważała siła, duma i odwaga; więcej w nich objawiało się rącości i żywości. Nie można jednak było dostrzedz, aby różnica płciowa u zwierząt odznaczała się osobnym charakterem płciowym, jak w ogóle u nich więcej było kształtu, niż wyrazu. Słabe jego ślady spostrzegaliśmy w rodzie małpim. Atoli najwyraźniejsze, istnie płciowe przeciwieństwo, z osobną estetyczną fizyognomią, pokazuje się dopiero u ludzi.

« Jest to przeciwieństwo tak form, jak usposobień; przeciwieństwo jakby dnia i nocy. Po jednej stronie wzniosłość estetyczna, po drugiej czarujący urok nadobności; potęgi siły męskiej, stawione obok potęgi wdzięków kobiecych; moc rozumu, obok mocy uczucia. Zachodzi więc przeciwieństwo zupełne, będące przeciwieństwem dodatności i ujemności. Ale jako w stosie elektrycznym, i w całej płciowości natury, z jedności rozstępują się dwa przeciwne bieguny, i znów do jedności się obejmują, nijacząc przeciwieństwo we wzajemnym uścisku; taka też jest przeciwbiegunowość płciowa między ludźmi. Wilhelm Humboldt powiada, * że piękność człowieka rozstępuje się jakby na dwa wyrazy jednego nierozzerwanego zdania, jakby na dwie osobne pobocznicze jednej niewidzialnej całości. Ztąd wzajemny pociąg obydwóch do siebie i wzajemne pożądanie. Gdy nastąpi dojrzewanie wieku, a z nim dokonanie wykształtu ciała, jakiś wewnętrzny niepokój objawia ów połowiczny niedostatek człowieka, jakieś nieznanne dotąd pragnienie duszy go nęka, że szuka drugiej połowy siebie, aż ją

* W pierwszym tomie dzieł jego, w rozprawie o formie męskiej i żeńskiej.

znajdzie, i w harmonii uczuć ukoi tęschnicę ducha do owęj niewidzialnej całości.

Harmonia ta jest zgodą przeciwieństw indywidualnych, co już do innej sfery estetycznej należy. Ale jest najprzód zgodą przeciwieństw płciowych, o których tu właśnie mówimy, i które bliżej pod estetycznym względem zwizerunkować nam wypada. — Z dwóch pobocznie płciowych, jedna musi wyobrażać dodatność, druga ujemność, aby, jak w elektrycznościach przeciwbiegunowych, nastąpić mogło ich połączenie do jedności. Wewnętrzzą dodatnością będzie siła, rozum, w ogóle przewaga władz ducha; ujemnością wewnętrzną będzie łagodność, uczucie, w ogóle przewaga władz duszy. Jako zewnętrzna dodatność odsłoni się muskularność, wyrazistość oblicza, w ogóle formy śmiało nakreślone, więcej w twardych, niżeli w miękkich konturach; jako zewnętrzna ujemność przedstawi się nam pulchność ciała, krągłość oblicza, zacierająca wydatność rysów, w ogóle formy miękkie, łagodne, z gracją nakreślone. Nakoniec estetyczną dodatnością będzie wzniosłość, powaga, w ogóle męzkość; ujemnością estetyczną będzie nadobność, urok, w ogóle kobiecość.

Z téj głównej charakterystyki tłómaczą się wszystkie szczegółowe różnice płci obojga. — Najwięcej w oczy wpadającą cechą jest różny porost włosów. Pojrzyj na Adama: włos na głowie niedługi, twardszy, czasem w kędziory zwinęty, odchyła szerokie kontury przedniej czaszki, i pokazuje wyraźnie zaokrąglony mały tył głowy; czoło wysokie i skronia żyłami napięte uwydatniają się z pod krótkich włosów, i odsłaniają cały majestat rozumnego oblicza. Na twarzy, kędy najczęściej mieści się wyrazu, zasiadł bujny zarost. Szerokie bokobrody ocieniły lica i stoczyły się w poważną brodę; wąsy pokrętne porosły na górnej wardze, i po nad pięknym zakrojem ust spuściły się ku brodzie, dopełniając całości cieniściego zarostu spodniej twarzy, wśród którego czerwienią się koralowe usta, bielą się perły zębów, a otwór ust wydaje się jak krater wulkaniczny, zdolny miotać piorunami słów i nawałnicą potęg męzkich. A gdy z tych ust, taką jednością i siłą męzką obwianych, płyną czułe słowa łagodnych

i miłosnych uczuć, jakaż to słodycz w tym przeciwieństwie! Broda, nietykalne znamię powagi męzkiej, którą tylko głaskać, ale bezkarnie targać nie wolno, spada w pięknym wykroju na piersi szerokie, na ów puklerz odwagi i męztwa. Piersi płaskie, ale wydatne i mięsiste, już w okolicy brodavek cienia się krótkim, rzadkim porostem, który na mostku gęścieje, i aż ku błonie brzuchowej się spuszcza. Na niej od pępka nowy porost się poczyna najprzód wężkim, rzadkim i krótkowłosym pasem, potym rozszerza się coraz bardziej, aż okolice łona gąszczem włosa pokryje. Uda, golenia, ramiona i tył grzbietu, także z rzadka włosem nacięniowane.

W takiej jedrności i sile porostu przedstawia się Adam. Inaczej Ewa. Popatrz na nią w obrazie Albrechta Dürera, albo Michała Anioła. Włos długi, miękki, gęsty, spływa szeroką strugą z głowy po ramionach, okrywa kark, grzbiet, cały i sięga aż po uda. Gładkolica niewiasta, w tej gęstej, ciemnej obsłonie włosa, co się jak z wierzby płaczącej na dół długimi warkoczami zwiesza, ma coś nie zwykle miękkiego i rzewnego. Narzędzia siły: barki i plecy słabe i wątłe, okryły się spadającym z głowy włosem, ukryły się całkiem przed wzrokiem; czoło krótkie i wężkie wygląda z pod pukli włosa, zakrywających skronia. Czaszka przodem zwężona, a za to tył głowy podłużną, obszerną krągłością wydatny. Naprzód podane wszystkie uroczę pulchności ciała: piersi parzyste i łono lubieżne. Atoli na próżno szukasz porostu włosów, coby znamionował siłę. Tylko spodem łona słabo zacieniona okolica; zresztą jako lica krągłe i gładkie, tak gładkimi i krągłymi są wszystkie powierzchnie ciała niewieściego.

Odpowiednim jest przeciwieństwo całej posagowej budowy, ciała w płci męzkiej i żeńskiej. „W postaci męża, powiada Wilhelm Humboldt, indywidualność formy przeważa nad masą ciała. Kości większe i silniejsze, ścięgną i mięśnie wydatne, mało co powłoką ciała i skóry zaokrąglone, tworzą w całej postawie zarysy ostre, odznaczone, wyraziste. Kontury kości i kostek rysują się na zewnątrz, mięśnie wyskakują naprzód, bez poprzedniego złagodzenia nagłego ich przej

ścia od jednej powierzchni do drugiej. Cała budowa na wyraźne działy podzielona, podobna rysunkowi, który śmiała ręka nakreśliła po nad samymi krańcami piękna, z najdokładniejszą symetrią i regularnością, ale mało dbała o gracyą. Napięte ścięga znamionują czynność i pracę, a wielokroć zwiastują potężne skutki wyteżonej całkowitej siły człowieka. W całej postaci, tak naznaczonej, przebija się wyraz namysłu i rozumu.“ — „W postaci niewieściej przeciwnie rozkształca się swobodniej nabrana pełnia materji ciała. Wszystkie tam kontury spływają z sobą, i jedna część powierzchni z drugiej bezpośrednio wypływać się zdaje. Na całym ciele rozlewa się wyraz ujemności i płciowego przeznaczenia, a wielowładne uczucie przemawia jego wdziękami.“ *

Rzeczywiście przeznaczenie płciowe niewiasty charakteryzuje cały typ budowy jęj ciała, a mianowicie łona, piersi i oblicza. — Oblicze jest wyrazem uczuć; ono szuka i daje miłość; w nim tęż zebrany być musi wszystek urok czarujących wdzięków niewieścich. Wszystko tu subtelniejsze, krągłejsze, miękciejsze, niżeli u mężczyzny; cera delikatna, przeczra, wonna; rysunek czoła, nosa, ust, brwi i ucha drobny i piękny, a niewypowiedziany wdzięk w oczach i ustach, w których igra lekki humor, uśmiechająca się wesołość, i prawie ciągła ośiada pogoda. Łabędzi spadek białej szyi i bark wykończą powaby, którymi kobieta na pierwsze wejrzenie czaruje.

Pierś, tak jak ją utoczyło dłuto Praxytelesa we Wenezje z Cnidos, co wziął do nięj wzorzec z kochanki swojej Phryny, jest niezaprzeczenie najpiękniejszym modelem tęj parzystęj wyniosłości ciała niewieściego, którą natura uczyniła mlecznym naczyniem ku wykarmieniu nowonarodzonego dziecka. To materyalne, acz wzniosłe, piersi przeznaczenie robi tę okolicę ciała wstydliwą, bo pożądliwie spływa wzrok po tych falistych, krągłych, wydatnych, w brodawkę wykończonych wyniosłościach ciała; po tęj miękkości ich bławatnej,

* Wilhelm Humboldt w miejscu przytoczonym.

co się po marmurowej bieli rozściela; po tój gummowej elastyczności pulchnego ich toku. Z tego to względu Wenus Medycejska lewą ręką zasłania sobie piersi, a prawą łono.

Łono nareszcie, w którym natura umieściła miednicę ku wynoszeniu poczętego płodu w żywocie matki, stanowi dla tego najszerszą linią w całej postaci kobiecój. Łono więcćj jeszcze, niżeli pierś, w miękkie, pulchne, lubieżne kontury się zakreśla po nad szerzawą ud, wcięta kibić o raz jeszcze staje się smuklejszą, a rozniosłość łona tym wydatniejszą czyniąc, naznacza ją powabnym wyrazem płciowego przeznaczenia.

Krągłość ud zwęża się nagle ku kolanom, i dopiero znowu w ikrach pukli się naborem ciała. Pełność soków, mających przeznaczenie być zasobem przyszłej rodzajności, wysadza wszędzie tłuszczowe błony. Ztąd owa pulchność i zaokrąglenie, owa spływająca falistość konturów, owa aksamitna elastyczność całego ciała. Wszystko to zbliża kobietę, jako macieź rodzaju ludzkiego, więcćj do natury, która ją tóż dla tego z macieźystej miłości we wszystkie wdzięki piękna kształtowego przybrała.

Roślejsza, silniejsza i barczystsza jest budowa postaci męża. Szyja i kark krótsze i grubsze, ramiona więcćj górą wystające, pierś szeroka, uda węższe, nogi i ręce kościste, żyłaste, muszkularne, płciowe przeznaczenie wyraźne. Cała postawa jest intencją czynu, działania, walki. Więćj jest prozy w mężczyźnie, więcćj poezyi w kobiecie. Tam praktyka życia i rozum rozważający rej wodzi, tu przeważa życie natury instynktowe, przecuciowe.

Nie można kategorycznie powiedzieć, której płci kształt jest piękniejszy. Więćj wolności i swobody jest w formach plastycznych niewieścich, i dla tego tyła w nich uroku i wdzięku, że waga zda się na tę stronę przechylać. Atoli jeżeli pomnimy, że to niewiasta-człowiek, poznamy oraz, że to formy za miękkie na oznaczenie silnych potęg ducha; że się rozplywają w zbyt nieoznaczone kontury, i dla tego niezdolne oddać tych wszystkich odcieni charakteru i temperamentu, którymi się duch

ludzki do zewnętrżności przez ciało objawia. Ku temu szczególnie usposobione są kształty męzkie, w ostrych, śmiałych, często szorstkich nakreślone rysunkach. Wszystkie moce i potęgi ducha znajdują tu wyraz swój. Mąż przeszedł walkę życia, ustalił na niej charakter, i napiętnował nim oblicze, ruch i postawę swoją. Białogłowa nie uczyniła rozbratu z naturą, nie wyniosła się do stopnia téj wolności ducha, która się zdobywa przez walkę i łamanie się z przeciwnościami; duch i natura u niej w nierozzerwanej jeszcze jedności, ztąd formy ciała pozostały w naturalnej soczystości, w naturalnych wdziękach, i nie wyrobiły się do uroku, który nadaje wzniosłość czynu i charakteru.

Rzeczy więc można, że w niewieście odsłania się jeszcze piękno natury w całej swojej plastycznej świetności; zaś w mężczyźnie już z form natury przeświewa idealne piękno ducha. Ztąd to mężczyzna w kobiecie zawsze kocha naturę i jęj wdziękami usidla się; przeciwnie kobieta nie szuka w mężu piękna natury, ale kocha się więcej w ideale ducha jego. To przeciwstawienie natury i ducha pokazuje się jeszcze wyraźniej w dramatyczności sztuki, lub życia. Aktorami wielkiej idei dziejowej, lub społecznej, mogą być sami mężczyźni, nigdy same kobiety. Na mężczyznę patrzy się kobieta, jako na opiekuna, obrońcę i władzcę swojego; jego sława jest jęj dumą, jego wielkość charakteru jest jęj bóstwem. Na kobietę patrzy się mężczyzna, jako na panią serca swego, jako na ozdobę domu i słodycz domowego życia; jęj sława byłaby jego poniżeniem, jęj wielkość charakteru jego nikczemnością. Jak w wielkich wędrówkach pokoleń i ludów całych mężowie szli naprzód, torując bronią drogę, a kobiety za nimi, tak i w przygodach życia, męża rzeczą jest bój stoczyć i drogę żywota torować, a kobiety rzeczą być mu naturą, do której wdzięków on się ucieka, po znojach twardego społecznego żywota.

Jeżeli więc mąż przedstawia piękno idealne ducha, a niewiasta plastyczne piękno natury, ztąd wypada, że oba w połączeniu stanowią rzeczywistą piękną jedność. I to właśnie jest, co St-Simoniści wypowiedzieli w swoim *être sociale*, mieniając, że człowiek sam, czy to kobieta, czy mężczyzna,

jest tylko połową istoty (*demi-être*), tak pod społecznym, jak pod estetycznym względem, i że dopiero mąż z niewiastą w połączeniu stanowi całkowitą istotę ludzką.

Wszelako istota taka jest tylko piękną w idealnej jedności, która się podaje z rzeczywistej dwojcy płciowej w naturze. Jedność dwupłciowa w jednej istocie, którą czasami natura rzeczywiście wydaje, ma w tej osobliwości coś ekliwego. Niemeżczyzna i niekobieta jest to anomalia, która pod estetycznym względem, ilekroć staje się widomą, przestaje być piękną. Bo uczucie estetyczne chce w formie wyrazu treści, i szuka dla tego w formie ludzkiej albo wyrazu mężczyzny, albo wyrazu kobiety. Dopóki się więc ludzi, dopóty mieszańca mieni być pięknym; z rozwianym złudzeniem wrażenie piękna ustępuje wrażeniu odrazy.

Tymczasem *hermafrodyty* były ulubionym przedmiotem sztuki greckiej. Wiadomą jest mitologiczna bajka o pięknym synie Hermesa i Afrodyty, którego bogowie z Nymfą Salmacis w jedną istotę połączyli. Jak mitologia zmysłowa, tak i plastyczna rzeźba grecka, nie miała tyle zmysłu estetycznego dla wyrazu, ile go miała dla samej formy, czyli dla natury. Uozdobić piękne ciało młodziana pięknosciami ciała dziewiczego, mianowicie gładkim licem, piersią dwuparzystą, łonem lubieżnym i pulchnymi udami, wydawało im się rzeczą równie piękną, jak naturalną. Rzeczywiście piękny hermáfrodyta, ze stanowiska sztuki greckiej uważany, znajduje się we *villa Borghese*. Wyobraża chłopca piętnastoletniego, ujętego snem, w postawie leżącej na posłaniu; wszędzie uwydatniona lubieżna miękkość w ciele męzkim. Wszakże w rzeczywistości naturalnej takiego piękna nie znajdujemy.

β) Piękno p ó r w i e k u .

Hermáfrodytem, pod estetycznym względem, jest dziecko, w którego kształcie jeszcze płciowy wyraz zatarty. I to nas naprowadza na piękno człowieka w różnych porach wieku. — Drzemie jeszcze w dziecinie, jakby wśród letargu, płciowy

zaród, co później ciało jego ma rozkształcić na przeciwbiegunowe formy, i dla tego nie ma różnicy między dzieciną-chłopcem, a dzieciną-dziewczęciem. Jest to piękność pąkówia kwiatu, owiniętego jeszcze w zielonej osłonie, gdzie też jeszcze drzemią i słupki maciczne i pręciki, pyłkiem zarodnym okryte. Co tu widzisz, jest zapowiedzią przyszłego kształtu. Z tą tylko różnicą, że w pączku roślinnym wszystko jeszcze osłonięte, jak tajemną zasłoną Izydy, w pąkówiu zaś przyszłego człowieka już ta osłona zrzuciona, wszystko już rozwinięte, naznaczone, ale w drobnych, duchowo bezwyraźnych kształtach. Główka okrągła, jak jabłko, nie ma jeszcze żadnych wydatności, po którychby Gall zdolności i charakter dziecięcia wymacał; oko jasne, strzeliste, nie jeszcze nie wypowieda, rajska niewinność z niego patrzy; twarz i całe ciało, w pulchnych poduszkowatych konturach się kłębi, ale już w rączkach i w nóżkach tyle gracyi i wdzięku rozwija, że ztąd artysta brał modele na wizerunki bezpłciowych aniołków skrzydlatych, z kędziorami złotymi na głowach, z tłusciuchnymi nóżkami i ramionkami, co gromadnie otaczają wizerunki największej rodziny. Dzieciątko Jezus jest ideałem piękna dziecięcego wieku.

Gdy dziecię podrosło i już jak młody źrebiec z domu na wolne powietrze się wydiera, i po dworze hasa, lub jak młoda koteczka za zabawkami goni; gdy już na powiastki ciekawie nadstawia ucha, i gębczastą wyobraźnią obrazy świata wpija, a pamięcią żywą umysł swój bogaci; — już też wtenczas i pierwsze ślady różnicy płciowej się uwydatniają. Oblicze nabiera rysów chłopięcia, lub dziewczęcia; płeć u ostatniego delikatnieje, włosy dłuższe porastają, kibić staje się smuklejszą, ruchy giętsze; u chłopca już z oczu odwaga, a namysł cięższy na gładkim czole osiada; te zabawy mu najmilsze, które kształcą siłę młodych muszkułów. Wszelako są to ślady jeszcze tak słabe, że nie zawsze rozpoznasz po nich płeć tego wieku, i jak drugi Ulisses będziesz musiał sztuką wyszukiwać małego Achillesa z gromady jego rówieńniczek wieku. Niewinność, prostota, wesołość, jest głównym wyrazem twarzy tego wieku, oblanéj wdziękami kwitnącego

zdrowia, pogodnego blasku i woni wiosennej. Niewinność, postawiona w związku z godzącym na nią nieszczęściem, sprawia tragiczne sytuacje. Taka jest sytuacja uśpionych snem niewinnym synów Edwarda, i morderców odchylających franki łoża, z zabójczym żelazem w ręku. Taką sytuacją daje dwunastoletni Chrystus, gdy znaleziony od rodziców w kościele Jerozolimskim, powiada matce swojej: „Co tobie i mnie, niewiasto“, które to wyrazy głęboko w sercu matki utkwily. Po największej zaś części sytuacje podrostków tego wieku są wesołe, a wielokroć pocieszne w psotach naiwności, i w naturalnej komice ich niedojrzałego usposobienia.

Najkomiczniejszy jest wiek przejścia od chłopięcego do młodzieńczego wieku, w czasie kiedy się właśnie dojrzałość płciowa rozwija. Płeć wtedy, jako pączek kwiatu, który już pękł, by się z obłonek do światła słonecznego rozwinać, ale na pół jeszcze zamknięty, na pół rozwarty. U chłopca głos się mieni i odstraja, mówi razem dyszkantem i basem; puch miękki obsiada miejsca przyszłego zarostu. Ciało, dotychczas smugłe i chude, nabiera miejscami pulchnego nabrzmienia i jakiegoś twardego wyrazu w zarysach. Postępowanie ambarasowane, ruchy ciała niepewne, ztąd niezręczne i niezgrabne. U dziewczęcia włos na głowie gęścieje i przedłuża się, wyniosłości piersi rosną, porost łona pokazuje się; równocześnie pulchnieje ciało, i członki nabierają krągłości. Sytuacja równie kłopotliwa, niepewna, za lada powodem płonąca. Dziewcze w tym wieku nie wie, czy się ma liczyć do rzędu dzieci i podrostków, u których panuje jeszcze niewinność i prostota, czy też do rzędu dorosłych, co już poznały owoc uszczkniony z drzewa wiadomości złego i dobrego.

Gdy przeminie ten czas przechodowy, jakby pod pierwszym ciepłem słonecznym rozkwitującej wiosny, — gdzie jedne drzewa już się zielenią i kwieciami stroją, inne dopiero pąkówki puszczają, inne wreszcie jeszcze nagimi gałązkami sterczą, — następuje pełnia wiosennego wieku z zupełnym wykształtem naczén rodzajnych. Już wtedy wszystkie formy ciała w płciowych zarysach wykończone zostały. Nie dostaje im jeszcze téj pełni ciała i téj siły muskularnej, która le-

tnią i jesienną porę wieku ludzkiego znamionuje. Ale już widzisz zupełny rozwój kształtów i postaci, jak rozwój kielicha tulipanu, albo pięknego narcysu, w pierwszej porze rozkwitu. Kibic dziewczicy smukła, wiotka, ruchy lekkie, powietrzne; falistości ciała pulchne wprawdzie, ale nie miękkie, jest w nich gummowa elastyczność, oznaka jędrności, zdrowia i dziewictwa. Wszystkie kształty mają wyraz kwitnący, w żywych kolorach oblicza, w blasku oka i włosa, w czystej woni i świeżości młodego żywota. W duchu młodziana i dziewczicy świat się odzwierciedla ideałami szczęścia, i przyszłość w różanych rumieni się kolorach. Szczęśliwi, bo są bez doświadczenia; poetyczni, bo nie zaznali prozy życia; dumni, bo wyobraźnia buduje im świat nowy; zapaleńcy, bo wszystko, co szlachetne, wzniosłe, idealne, porywa ich duszę namiętnie; wstydlivi i płonący, bo są w dziewictwie uczuć z wiadomością ich znaczenia.

Gdy młodzian i dziewczyna, jako dwie przeciwbiegunowe elektryczności, znaleźli się ze sobą, gdy serca ich ogniem miłości zapłonęły, i świat cały i wszystkie jego szczęśliwości i rozkosze stoczyły się w jedno pojrzenie kochanka i kochanki; — gdy nadchodzi chwila, w której tarcz dziewictwa, będąca dotąd wielkim talizmanem ich duszy, ma zostać zdruzgotaną o drogосkaz przeznaczenia rodzaju ludzkiego, na którym ręka Stwórcy położyła napis: „roście i rozmnażajcie się“, — wtedy wiosenna piękność płci obojga stanęła na najwyższym stopniu. Piękno natury przyodziało młodą parę w świąteczne szaty, i przystroiło drogimi perłami wdzięków, a światło zapalonej pochodni hymenu podnosi blask i urok, i tego świątecznego stroju i tych pereł drogich.

Jak róża rozkwitła dość długo stulistne barwy w promieniach słońca roztacza, za nim owoc się zawiąże i kwiecie opadywać zacznie; tak i piękno wiosenne człowieka długo jeszcze wdziękami płonie, zanim kobieta nabierze wyrazu poważnej matrony, a mężczyzna wyrazu statecznego męża. Ciało traci z wolna dziewczęcą elastyczność, wiosenna świeżość znika, smukłość kibici ginie, falistości w kobiecie miękną i więcej się rozlewają; u mężczyzn kontury oblicza twardnieją, bar-

czystość się zwiększa, zarost gęścieje, kości i muszkuły rozrastają się, a członki nabierają wejrzenia silnych dźwigni, U mężczyzn rozsadza ciało praca, u kobiet ciąża i połogi. Znój żywota, walki i doświadczenia piętnują się na czole i na twarzy. Nos się do zupełnego wyrazu wykształcił, podbródek się od liców oddzielił; u kończyn ust delikatna znaczy się kręsa, jakby blizna od ciosu, który piękności wieku zadał, czy bój życia, czy namiętność. Już też raz po raz zmarszczka na gładkim czole mignie.

Pomimo tego okwitu i tych odsłaniających się kolecy życia, męzka i matronia piękność zachowały jeszcze wdzięki, sobie tylko właściwe. Nie jest to już piękno zmysłowe pierwszej wiosny wieku, żarem rozbudzających się wewnątrz płomieni rozgrzanéj; nie jest to piękno kwiatu przyszłości i poezji; — ale jest piękno ustatkowanych namiętności; piękno zadowolenia i uspokojonéj natury; piękno dojrzałego owocu terażniejszości i rzeczywistości. Spójrzj na piękną matronę z jaką dumą prowadzi dwoje dzieci swoich za ręce. Spójrzj na dorodnego męża, jaki wyraz majestatu z jego postawy bije, jeżeli bluszcz zasługi skronie mu uwieńcza. W obojgu widzisz swobodę pokoju, osiągniętego walką życia; widzisz zadowolenie ze szczęścia domowego, po ustatkowaniu się burzy młodego wieku. Jest więc i tu piękno, które natura na dojrzałości wieku ludzkiego wypiętnowała, i piękno to wyrazowo wyższym jest nawet, niżeli ów szczyt piękna plastycznego w ostatniej wiosnie życia. Wszystkie jego kształty przez ducha opanowane, stały się tegoż ducha wyrazem; on się w nich rozmieszkał, rozsiedlił, wyrobił je na wyobrażenie swoje, i owe orzeczenie Sokratesowe: „piękny duch w pięknym ciele“, stało się prawdą.

Zwolna po lecie i jesieni następuje mroźna zima. Tak też po wieku dojrzałym i owocami życia wypełnionym, nieznacznie zbliża się starość bezsilna. Włos srebrny, raz po raz pokaże się, to w zarosć twarzy, to w puklach włosów na głowie, jakby pierwszy szron jesienny, zapowiadający że zima nadchodzi. Tych posłańców nadciągającej starości coraz więcej się zjawia, aż cała głowa ośronieje. Równocześnie

wątleje ciało, fałdzi się, lica zapadają, włos wypada i łysina się pokazuje, zmysły tępieją, ruch staje się ociężalszy. A gdy już siwy włos, jako len biały, na całej głowie, ile go tam zostało, powieje, już wtenczas i członki skurczone, i skóra jak wiór wyschła; władze ducha osłabły, i człowiek, już jedną nogą w grobie, wyczekuje, aż go śmierć do innego żywota powoła.

Wszelako, jak zima ma swoje mroźne wdzięki, tak starość nie jest bez uroku. Starość bezsilna, gadatliwa, zdziecinniała, jest naturalnie smutnym, a często komicznym widokiem, jak w Poloniuszu, albo w Jowialskim. Staje się tragiczną i rozczulającą, gdy duch jeszcze jest silny, „lecz grot z słabiej pada dłoni,“* jak n. p. w Królu Learze Szekspira, i w Oedipie Sofoklesa. Potężne postacie starości pokazują nam Homerowe wizerunki Hektora i Priama. Atoli i w samej naturze, obok zgrzybiałych i niedołężnych starców, których policzyć trzeba do chorowitego, a więc anormalnego stanu człowieka, natrafiamy na piękne, poważne, sędziwe postacie, z rumianym licem, z blaskiem w oku, z postawą wyprostowaną i duchem silnym. Jest to wesoła i przyjemna starość, późny, zdrowy owoc zdrowego szczepu. Są inne, pochylone postacie, z pooranym czołem, z białym, jak mleko włosom, z bladą twarzą, ale z gorejącym jeszcze ogniem w oku, nakazujące cześć i uszanowanie, bo zestarzeni się na usługach kraju; a dziś, kiedy wycofali się z areny walk i czynów, do spokojności i rozpamiętywania, służą jeszcze radą, z więcej jak półwiekowego doświadczenia nabytą. Nic wspanialszego nad sędziwość siwobrodą na krzesłach Areopagu, albo gdy w senatorskim kole zasiądą siwizną poważni ojcowie. Więcej idylliczną jest starość, co żyje z naturą, cieszy się widokiem młodego jęj życia, i raduje się każdemu nowemu wschodowi słońca, który jęj jeszcze oglądać Bóg pozwolił. Taką jest piękna postać starca w Naruszewicza sielance „Pacierz Staruszcza,“ naśladowanej z Gesnera.

* Śpiewy histor. Niemcewicza: Duma o Potockim.

Zsiwiała matrona nie ma tych wdzięków, co starzec. Mróz wieku ściał wszystkie jój uroki, i pozostał sam szkielet, jakby drzewa o zimowej porze, który sucha, zmarszczona skóra, jakby kora przykrywa. Jój życie było, jak życie pięknej rośliny, przywiązane do natury, i dla tego na starość nic z jój piękna nie pozostało. Mąż miał życie oderwane od natury, ulatujące w krainę siły, pracy i ducha, i wyraz tego żywota pozostał mu na starość, przegląda do nas czcią i powagą z pooranego i gołego czoła, i z siwizny na głowie i brodzie.

Czasem na tym sędziwym obliczu, którego wzrok więcj utkwiony w świat po za grobem, niżeli w świat przed grobem, czasem tam mignie jakiś połysk szczęścia, który ciepłem grzeje. Są to wspomnienia szczęścia ubiegłego, które dogorywająca lampa wyobraźni jeszcze żywo oświeca; są to rozpamiętywania słodkich chwil młodości, cnót i zasług dojrzałego wieku; są to miłe obrazy, które w duszy starca się przesuwają, i na mroku oblicza jaśnieją, jak błyskawice bezgrzmotne o ciszej wieczorniej, z odległego łyskające horyzontu.

γ) Estetyczne znaczenie śmierci i snu.

Śmierć, jako taka, jest zawsze tragiczna, ale trup sam przestaje być przedmiotem piękna natury, dla tego, że przestał być wyrazem ducha. To téż trup ma zawsze coś odrażającego, i tylko rozżalona miłość nie może się od niego oderwać, bo nie chce wierzyć, aby w tym ciele martwym życie bić przestało, i dla tego Pedro ściska i całuje zimne zwłoki pięknej Inez de Castro. Mniej odrażającym jest trup starca, bo już za życia trupiało ciało jego; ale przerażającym jest widok młodych zwłók, z których życie zawcześnie uleciało, bo duch zostawił pustkami to mieszkanie, które się co dopiero wszystkimi wdziękami rozkwitującego wieku pyszniło, i porzucił je na pastwę brzydkiego robactwa.

Lecz jeżeli ciało martwe nie może być estetycznym, jest nim ciało snem ujęte, przedstawiając obraz śmierci, ale z na-

dzieżą rychłego ocknienia do zwyczajnego jawu życia. Duch nie uleciał, nie opustoszył swego mieszkania, ale się na pewną dobę stoczył do wewnętrznych jego komnat i zamknął pięciorgo zmysłów, jakby okien swoich, którymi ze światem zewnętrznym zostawał w stosunku. W ciele uśpionym jest więc życie, ale nie życie ducha, tylko duszy. Przedstawia jakoby życie rośliny, utoczonej w kształt ludzki, rozesłanej poziomo, bezwładnej, bo będącej bez woli. I ten rozejm ducha i ciała na czas krótki jest snu jedną stroną piękną, malującą się w onym spokoju błogim, w jakim zostaje człowiek uśpiony; jakby wyrwał się z rąk mistrza swojego, — ducha, i wrócił do matki żywicielki, i przytulił się do jój miękkiego łona. Jak ciężciwa, kiedy ją łuk nie rozspina, rozesłały się członki swobodnie na posłaniu w owisłych i owątłalych liniach; twarz spokojna, zamknięta, ale atmosferą ciepłego życia obwiana.

Sen twardy, po znojach i natężeniach, jest mniej piękny, tak n. p. jak go uchwycił Vernet w uśpionym Kolofernesie, kiedy się Judyt zabiera do politycznego mordu. Najpiękniejszym jest sen lekki, marzący, z wyrazem tego marzenia na twarzy. I to jest snu drugą stroną piękną; — ów tajemny hieroglif ducha, którego obrazy fantastyczne migają po obliczu, a wielokroć drga ciało, członki się podnoszą, głos z piersi się dobywa, i usta wyrazy jakieś szepcą. Ta czynność wewnętrznego życia, przy letargu zewnętrznych członków, ma coś uroczego, bo tajemniczego.

b) Formy szczególne ludzkości.

Przechodzimy do form szczególnych ludzkości, w których się obrazuje wyraz piękna rasowego, narodowego i familijnego. Piękno, któreśmy dotąd uważali, było piękno człowieka w ogólności. Bo wszędzie, gdzie żyje ród ludzki, wyróżnia się tymi samymi cechami piękno płci różnej i piękno różnej pory wieku, z klimatycznymi może odmianami, na które tu względu mieć nie możemy. Ale z tej ogólności rodzaju ludzkiego wydzieliły się osobne typy, mniej więcej urozmaiconych

kształków i odmian człowieka, które się na najrozleglejszą skalę powtarzają w rasach; na mniejszą w narodach; nareszcie na małą skalę w pojedynczych pokoleniach i rodach.

a) *R a s y.*

Nie jest rzeczą estetyki dochodzić początku ras ludzkich. myśmy na innym miejscu wywiedli, że byłoby to niestosownym wygranicheniem stwórczej wszechmocności Boga, — gdybyśmy wszystkie żyjące twory, a zatym i ludzi, z jednej tylko pierwszej pary wyprowadzać chcieli. Obstając jednak przy Mojżeszowej kosmogonii, musielibyśmy oraz przypuścić, że kiedy ród ludzki z pierwszej pary się rozmnożył i na wszystkie strony świata rozszedł, że ustrój ciała jego musiał być giętszy i na zewnętrzne wrażenia uleglejszy, niżeli jest teraz; bo tym tylko sposobem tłómaczyby się dało, że wpływy okolicy i nieba, w różnych strefach ziemi, wycisnęły na pierwotnych miętkich kształtach i formach ludzkich takie zmiany, które później stwarżyły i stężyły na rasowe typy, nie dające się już zmienić przemianą siedlisk z jednej strefy ziemi do drugiej.

Lecz jeżeli obojętną rzeczą jest, ze względu na piękno, dochodzenie przyczyn, wedle których pierwotnie rasy się ukształcały, to znowu związek natury z człowiekiem koniecznym jest warunkiem, by się wyraz kształtu rasowego należycie uwidaczniał. Nie byłoby rasy, gdyby nie było ciągłego i jednostajnego wpływu natury na człowieka; bo takim tylko działaniem natury mógł typ rasowy ukształtować się i w niezienne formy ustalić. Albo, jeżeli będziemy wywodzić rasę od pierwotnych, już rasowo-typowych rodziców, — tym tylko sposobem da się wytłómaczyć, że natura od razu typy ludzkie do miejscowego stanu natury i jej działań zastosowała. Zachodzi więc związek nierozzerwany między jedнопlemięncami rasowymi, a klimatem i fizyognomią okolicy, którą zamieszkują. Nie można sobie inaczej wyobrazić Murzyna, jak tylko pod spieką zwrotnikowego nieba, na obszarach Afryki, od słońca rozpalonych. Nie można sobie znowu inaczej wystawić Mon-

goła, jak tylko na rozległych, wyniosłych stepach, po których goni wzrokiem z oka wążko naciętego i ukosem ustawionego. Nie można nareszcie inaczej pojąć pięknej rasy kaukazkiej, jak pod umiarkowanym niebem, po nad wybrzeżami rzek i mórz, po pięknych urodzajnych łąkach, które pasma niezbyt wysokich gór przeryniają.

Cuvier przyjmuje tylko trzy, wyraźnie wyróżnione rasy, t. j.: białą rasę kaukazką, żółtą rasę mongolską i czarną rasę etiopską. Rasę amerykańską, miedziannego koloru, uważa jako przejście od kaukazkiej do mongolskiej; a rasę oliwkowatych Malajów kładzie na przejściu od mongolskiej do murzyńskiej rasy.

Jeżeli zważymy, że kąt twarzy* u troglodytów wynosi 55° , a u małp z rodzaju cebusów nawet 60° , tedy pokolenie etiopskie, które ma kąt twarzy o 70 stopniach, najwięcej jest fizyognomią głowy zbliżone do rodzaju małp. Czoło wąskie, szczęki bardzo naprzód wystające, ramiona i nogi chude, czynią to podobieństwo jeszcze dobitniejszym. Żywe i złośliwe temperamenta małp i Murzynów także są sobie podobne. Murzyni są ruchliwi, zręczni, sangwiniści; we krwi ich pełno żaru; a między nimi pokolenie Papuańskie, nadzwyczaj dzikie i okrutne.

Wargi grube, nos spłaszczony, cera czarna, włosy wełniste, kędzierzawe, oszpecają piękno kształtu typu człowieczego. — Jest jednak znowu pewien wdzięk w tym białku oka, co tak wydatnie z czarnej na okół cery wygląda, — w tych ustach jasnym karminem odbijających, — w tej precudnej białości ślicznie utoczonych zębów, co jak dwa rzędy pereł z otworzonych ust wyglądają. Czarny, elastyczny aksamit skóry, rozścielającej się na falistych pulchnościach tułowiu, ma także swoje powaby. Bywa nawet, że formy ciała i oblicza tak

* Kąt twarzy (*angulus facialis*) powstaje z przecięcia dwóch linii, z których jedna idzie od najwięcej wydatnego punktu czoła aż do przodku wierzchniej szczęki, druga przechodzi przez podstawę nozdrzy i przez zewnętrzny otwór kanału uchowego.

wdzięcznie są ułożone, że się podobać mogą. Murzynka, która nie tak dawno temu podróżujący książe Pückler-Muskau przywiózł ze sobą z Abissynii, uchodziła we Wiedniu za piękność zaś w Szekspira Othellu z rasy murzyńskiej pokochała się piękna córka doży weneckiego.

W Murzynach afrykańskich, gdy służą jako niewolnicy, wyrabia się prawie zwierzęce przywiązanie do pana, i ta powolność obcej woli miłymi ich czyni. Ale gdy ich w niewoli gorzej od zwierząt traktują, gdy ich piraci wydzierają z łona rodziny, i w dalekie zamorskie strony sprzedają na wieczną niewolę i pracę, wtenczas na ich rysach wyciska się nieszczęście i rozpacz, które litość wzbudzają.

Jakkolwiek bądź, piękne kształty Murzynów do bardzo rzadkich wyjątków należą. Ogół rasy etiopskiej ma jeszcze wiele wyrazu zwierzęcego. Zręczność ich wielka, ale zdolności umysłowe małe; zda się, jakby spieka gorącego słońca, zwęgliwszy im skórę, przepaliła ich ciało aż w głąb samej duszy.

Wyżej na skale człowieczeństwa stoi już pokolenie mongolskie. Kąt twarzy mierzy 75 stopni; cera żółta, oliwkowa, włosy twarde, proste, czarne, broda rzadka, członki ciała proporcjonalne. Wydatną atoli cechą tej rasy jest twarz płaska, z wystającymi kośćmi policzkowymi i na niej oczy wąskie, ukośne. Temperament ich melancholiczny, poważny. Chińczyk jest wyobrazeniem tego pokolenia; acz pierwotne jego siedziby rozciągały się na obszernych stepach dzisiejszej Tartaryi, i na śnieżystych błoniach północnej Azji. Tam snąc stwargł typ mongolski wśród Kirgisów, Tatarów, Kamczadalów, na ten wzrost pomierny, na te członki nieco skórczone, ale silnie zbudowane, na tę twarz płaską, z szeroko rozstawionymi oczyma. Chińczyków uszy są wielkie, odstające, nos szczególnie u korzenia szeroki i płaski, oblicze grymaśne, i przegląda z niego jakaś fizyognomia kocia.

Przy takim ukształcie spaczonych form piękna, melancholiczna i poważna postawa Chińczyka wydaje się komiczną, jak wszystkie ruchy jego ciała pocieszne. Wszakże drobne ręce i nogi, szyja pięknie utoczona, zwłaszcza u kobiet, uwa-

żane są za piękność. Czoło otwarte i policzki skrzyłone czynią wydatność kości licowych mniej odrażliwą. Oczy ukośne, a ku linii nosa spuszczone, i jakby zawsze przymrużone, na pierwszy widok rozśmieszają; ale gdy się oko do nich przyzwyczai, stają się znośne. Cera żółta ma coś mumiowego; atoli nacięniowana wązkimi brwiami, wąsem i brodą, nie źle się wydaje. Pokazuje się więc, że typy mongolskie, nie przechodząc w karykaturę form pięknych człowieka, spaczają je w taki sposób, że całość z nich złożona nie układa się do brzydkiego, lecz do komicznego kształtu.

Pokolenie mongolskie nadzwyczaj jest przemyślne, ale ograniczone we władzach rozumu. Chińczycy nie wzniesli się nad stan patryarchalny. Tym są śmieszniejsi, im więcej przy niedojrzałym i prawie dzieciennym rozumie są dumni i uprzedzeni. Dość na dowód ich nierozumu przytoczyć, że jeszcze w ostatniej wojnie z Anglikami prowadzili z wojskiem namalowane straszdyła, aby nimi nieprzyjaciela spłoszyć.

Na szczycie tak zdolności umysłowych, jak form estetycznych, stanęła rasa kaukazka, owa rozrodzona w mnogie pokolenia familia indo-europejskich narodów. Na tych typach odbywa sztuka studia swoje, i wedle nich idealizuje wyrazowe piękno ciała ludzkiego. Kąt twarzy u dorosłych wynosi 85 stopni, a więc zbliża się do kąta prostego, co fizyognomii oblicza daje wyraz szlachetny, rozumny, prawdziwie ludzki, w którym wszystkie ślady zwierzęcego podobieństwa zgasły. Bywa, i dość często, że imaginacya nasza upatruje w twarzach ludzkich jakieś fizygnomie zwierzęce, o czym jeszcze przy temperamentach będzie mowa; zachodzi to zawsze w tych tylko przypadkach, gdzie kąt twarzy się zwięża i niżej 85 stopni spada. Oblicza bogów, tak jak je piękna sztuka grecka pojmowała, obrane były z wszelkiego podobieństwa do zwierząt, i rozlewały urok majestatu, jedynie dla tego, że w nich kąt twarzy był prawie kątem prostym. Cera ciała w ogólności biała, i rozliczne kolory miętkiego włosa są dokończeniem piękności tej rasy.

Pomijamy pokolenia malajskie z nosem szerokim, gębą wielką, włosem wełniastym, kędzierzawym, i pokolenia amery-

kańskie z szeroką twarzą, nosem dużym i rysami wydatnymi. Zdaniem Cuvier'go zbyt niedostateczne przedstawiają cechy, by osobne typy rasowe stanowiły, i są raczej odmianami, tworzącymi przejście między powyższymi trzema głównymi rasami. Lesson * przyjmuje sześć pokoleń, które wyróżnił kolorem ciała, a w nich umieścił 33 typy. Taka rozliczność odmian typowych przechodzi już w typy narodowe, do których przystępujemy, uważając je tylko pod względem piękna wyrazowego.

β) *Narodowości.*

Mówimy tu o narodach, nie jako o państwach, które wielokroć bywają zbiorowiskiem różnych szczepów i pokoleń, ale mówimy o nich, jako o narodowościach, wydzielonych od siebie językiem, obyczajem i osobną fizyognomią tak umysłu, jak ciała. Są to więc pojedyncze gromadne wizerunki, na które się rasy rozróżdziły; są szczegółowe charaktery ludów, na które się rozpadł ogół rodzaju ludzkiego; są pojedyncze czynniki w dziejowej pracy królestwa bożego na ziemi; są — że poetycznego użyję obrazu — struny, ponaciągane na lutni człowieczeństwa, na której niewidzialna ręka sprawiedliwości i konieczności wydobywa hymn chwały Boga wiekuistego, — a brzmienia tego hymnu, nieraz rażące strąszliwymi dissonansami, dopiero w wiekach do zgodnej i wdzięcznej harmonii się układają.

Cel narodowości rozmaitych wyjaśnia się z tego, cośmy co dopiero powiedzieli. Początek ich, równie jak początek ras, w zamglonej przeszłości ukryty, kędy stały kolebki dzisiejszych pokoleń i ludów. Ale jak między naturą różnych stref ziemi, a rasami na nich mieszkającymi, nie tylko fizyologiczny, lecz i estetyczny zachodził związek, który warunkował ich kształty rozmienne i dawał odpowiednie tło ich wizerunkom; tak i narodowe różnice typy trzeba uważać jako

*. Nouveau tableau du régne animal.

wykształty tych okolic i tych klimatów, w których się pierwotne pokolenia rozmieszkały, i nie można ich odłączyć ani od ich ziemi, ani od ich nieba, bez naruszenia téj harmonii, jaka między naturą, a człowiekiem zachodzi. Ztąd owa tęga człowieka do ziemi, na której się urodził, do tych stron i okolic, które się w duszę jego wpiły, do tego ludu, wśród którego wyrosł. Ztąd innolicy rodowiec, wśród nie swego kraju, tak się czuje obcym; a każdy go pozna od razu, jako cudzoziemca.

Nie będziemy wchodzili w fizyognomiczne różnice ludów mongolskiej i murzyńskiej rasy. Poznaliśmy je na niższych szczeblach człowieczeństwa, tak pod względem zdolności duchowych, jak kształtów pięknych. Na wielkim gościńcu czasu, na którym odbywa się czterdziestowiekowy dziejowy pochód, one idą na ostatku. Na przodzie, jakby przednia straż czasu, kroczy od tyłu tysięcy lat piękna rasa kaukazka. Ona téż najgodniejszym przedmiotem estetycznego poglądu na narodową plastykę.

Pod gorącym promieniem zwrotnikowego słońca i pod przezroczym błękitem pogodnego nieba, w okół woni kwiatów olbrzymich, rozkwitujących najcudniejszą jaskrawością kolorów, u stóp gór niebotycznych, po nad rajskimi wybrzeżami szerokich strumieni, z widokiem na rozległe morze, lub na pustynie stepowe, wśród donośnych palm i cedrów, cudnych aloesów i mimozów, w kraju słoni, wielbłądów, lwów i tygrysów, tam, gdzie paw' złote pióra roztacza i jadowita żmija mieniącymi barwami się pierścieni, — w tych czarownych okolicach, w których się kiedyś miał mieścić raj ziemski, kroczy postać to indyjskiej bajaderki, to huryski arabskiej, to poważnego Persa, to kształtnego Turczyzna. — Śliczne to i malownicze kształty. W Indyi i Arabii więcej ściemnione od słońca; w Persyi, Gruzji i Azji mniejszej w nieco jaśniejszej, barwistszej cerze. Atoli, jeżeli pytasz o wyraz tego pięknie uozonego ciała i tych regularnych rysów twarzy, nie znajdziesz tam nic wyższego, ni szlachetnego. Zdolności ducha przygasły i tylko blask zmysłowych namiętności miga. Ciemny, gęsty zarost twarzy, i dumny rzut czarnego oka ma u mężczyzn

wyraz despotycznego spojrzenia, albo w nim żar pożądlivości zapłonę. Kobieta, będąc sługą samej tylko rozkoszy, wśród młodego wieku, który w czas dojrzewa, wszystkimi wdziękami zmysłowości płomieni się; krom tego jednego uczucia nic nie wypowiada; w czas okwita, i jak cytryna wyciśniona, ekliwym wtedy jest widowiskiem. Ludy orientalne, wśród bujności wegetacyi i rozkoszy ziemi, wnet zeszyły z pola dziejowego, wydały dusze swoje na rozkosze ciała; ztąd wyraz pięknego ich kształtu rozmiękł, i żadnej wyższej myśli już nie przedstawia.

W umiarkowanych, ale zawsze ciepłych okolicach południowej Europy, rozsiadł się nadobny ród Greków, a nieco później potężny ród Rzymian. Po nad cudnymi wybrzeżami śródziemnego morza, wśród czarownych dolin, poprzerzynanych górami niezbyt wyniosłymi, pod cieniem świrków, platanów, oliwnego i laurowego drzewa, tam gdzie olbrzymie, siwe rogate bydło zachęcało do rolnictwa i do stałych siedlisk, a poblíž morza do handlu i dalekich wypraw, — tam osiadły kolonie ze wschodu przybyłe, i pomięszawszy krew swoją bujną i gorącą z autochtonami tych ziem, wydali ową piękną, umiarkowaną zmysłowość greckiej postaci, ozdobioną wszystkimi zdolnościami geniuszu, jaką podziwiamy w obliczu np. pięknego i genialnego Alcybiadesa, i w heterach Ateńskich, które były rozkoszą dla zmysłów i dla ducha razem, istne *deliciae generis humani*. Cheesz widzieć wyraz głębokiej mądrości, w pięknych odlany formach, popatrz na popiersie Platona, na jego rysy twarzy regularne i poważne, na jego czoło szerokie i myślące, na głowę nieco większych rozmiarów, misternie w loki ułożoną. W dzisiejszych Grekach, którzy przeszli różne koleje pod panowaniem Rzymian, dalej w epoce wędrówek narodów, bo i Słowianie w te strony zawitali, nakoniec w czasach byzantyńskiego państwa i tureckich rządów, już mało płynie krwi owiej pierwotnej Hellady, co słygnęła pięknosciami cór i synów swoich. W piracie z wysp greckich zaledwie ślad pozostał pięknego typu jońskiego, co po morzach władał; a resztki spartańskiego pokolenia słabo się odbijają w jędrnych postawach Mainotów. Greczynki

uchodzą jeszcze za piękność w serajach sułtańskich; ale nie jest to już ani piękność Phryny, z której snycerze i malarze zdejmowali wzorce do ideału bogini piękności, ani uroda pięknej Lais, do której czcicieli nawet cynik Diogenes należał; ani nadobność powabnej Aspazyi, która była oblubienicą najznakomitszych mężów stanu w Atenach, a nawet stare dni filozofa Sokratesa wdziękami ciała, nauki i dowcipu rozweselała.

Potężne plemię Romuła przybyło do Italii, z tych samych stron, z kąd joińscy wypłynęli koloniści. Pomieszali i oni się z pierwotnymi mieszkańcami tych okolic, może Celtyckiego pochodzenia, i dla tego wyróżniały się ich fizyognomie od greckich. Rysy twarzy piękne, regularne, ale więcej śmiało narysowane, bez tej gracyi, która była znamieniem piękności greckiej. Ciała mężów żylaste, barczyste, marsowate; zarost silny, w kędziory ułożony; czoło nieco w tył zarzucone, nos i podbródek wydatny, łagodnym spadkiem spiękniony; piersi szerokie, faliste. postawa poważna, jakby panów świata. Piękne są popiersia Tarkwiniuszów i Scypionów; mniej piękne posągi późniejszych cesarzy. Rzymianka z Kwiryków rodu ma drobniejsze rysy; oko wielkie, czarne, pełne wyrazu; w całym obliczu więcej regularności, niż miękkiego wdzięku, więcej majestatu, niż uczucia, szczególnież w matronach rzymskich. Taką postacią była np. matka Grachów. Za cesarskich czasów, kiedy już stał się napływ różnych narodowości do Rzymu, zaczął się zmieniać pierwotny typ rzymskiej fizygnomii i z wolna przechodzić, przez pomieszanie się z krwią północnych Germanów, w ociemnione, śniade, ale zawsze jeszcze wydatne rysy dzisiejszych Włochów, o których jeszcze będzie niżej.

Po za Piryneami, Alpami i Bałkanem, mieszkają oddawna s ł o w i a ń s k i e, g e r m a ń s k i e i s k a n d y n a w s k i e ludy. Już tu niebo ołowiane, powietrze mgliste, pochmurne, morza burzliwe, łądy ciemnymi borami porośłe, góry niewysokie, ale rozpadlinami dziko porozrywane, płaszczyny rozległe, urodzajne, spławnymi rzekami poprzerywane; zima dojmująca, mroźna, a im bardziej ku północy, tym tętsza

i dłuższa, wody ścina lodem, a na ziemi rozściela białą pokrywę śniegu, jakby prześcieradło śmiertelne, gdy obumarło życie roślinnej natury. Do tych obrazów fizycznych zastosowane są typy narodowe ludów, te okolice zamieszkujących.

Płaszczyste ziemie od wschodu zajął mnogi pór Słowian. Lud to był pracowity, roboczy. łagodnego charakteru, jako jego rolnicze zatrudnienie, i dla tego ujarzmiony bywał w służbie wojennych narodów. Słuszną robi uwagę autor kursów literatury słowiańskiej, że w posągach starożytniej rzeźby, wyobrażających prace i zatrudnienia niewolnicze, tudzież w kariatydach, dźwigających architektoniczne ozdoby, odślaniają się postawy i oblicza pierwotnych Słowian. Ciała ich muskularne, barczyste, głowy i czoła wielkie, włosy kudłate, rysy twarzy wydatne, nos duży, krągławy, linia czoła i nosa niżej brwi wgięta. Wyraz twarzy łagodny, ale niewolą znękany. — Sławny Edwards, którego Szafarzyk w Starożytnościach swoich przytacza, następujący podaje opis ogólnej fizyognomii dzisiejszych Słowian: „Postać głowy, patrząc na twarz, zbliża się do czworogranu, dla tego téż wysokość jej mało większa, niż szerokość; ciemię zaś znacznie spłaszczone, a szczęki są poziome. Nos nie tak długi, jak oddalenie od jego końca ku brodzie; jest zaś od korzenia, aż ku końcowi prawie prosty, to jest, bez widocznego zagięcia, które jednak, gdyby było wyraźne, byłby nos lekko wydęty, tak, że na końcuby się troszkę wypinał; spodnia część nosa jest trochę szersza, koniec kulkowaty. Oczy trochę głębsze, a jeśli mają coś szczególnego, zdają się być mniejsze, niżby tego wymagał cały rozmiar głowy. Brwi nie zbyt rzęsiste, zbliżają się ku oczom, szczególnie u kąta wewnętrznego, zkad często ukośnie wybiegają. Usta niewysiadłe, wargi nietłuste, ale są daleko bliższe nosa, niż końca brody. Do tych znamion łączy się jedno szczególne, a dość pospolite, to jest, zarost brody rzadki, krom wąsów.“ *

* Słow. Staroż. P. J. Szafarzyka. tłumaczenie Dra H. N. Bońkowskiego. Tom I. str. 53.

O Słowianach powiedział Karol Szaynocha, że są jak woda płytka, ale rwista. I to jest ich prawdziwy charakter. Od południa, mianowicie wśród Serbów, widać jeszcze żar krwi południowego nieba, co się tam, po ich przybyciu w te strony, do krwi słowiańskiej wcisnął. Postacie ich drobne, ale smagłe, rzutkie, w czarnym, niewielkim oku ogień płonie, a dłoń zawsze przy kindźale. Głębokie uczucie włada charakterem Słowaków węgierskich, a maluje się w ich śniadych twarzach i ciemnym oku. — Wiotkie i nieco roślejsze są postawy Rusinów, a Kozaczyzny w szczególności. Jakiś wyraz łagodnej melancholii rozlewa się po ich śniadych, smagłych twarzach, patrzy z ich siwego oka i uwydatnia się w ich melodyach rzewliwych; — a jednak w piersi wre namiętność i kipi odwaga wojenna. Są to urodzeni jeźdźce, wzrosli z koniem i na koniu, dla tego tak gibkie i nadobne są ich ruchy. Oblicza kobiet nie są tak kraśne, jak mężczyzn. Wszakże włos ciemny, spadający w długich splotach, brew czarna, wązko nakreślona, rzęsy długie, kładą niezwykły powab w ich spojrzeniach.

W mieszkańcu głębokiej Rosyi przebijają się już więcéj ślady mongolskiego pokolenia. Stało się to może skutkiem tatarskiego dwuwiekowego panowania, a może z pochodzenia fińskiej czyli furańskiej rasy, jak to nowsze poszukiwania Duchńskiego okazały. Są tam jednak spięknione w słowiańskiej krwi podobieństwa. Cera śniadawa, ale jeszcze runieńcem nakraszona, oko małe, ale nie ukośne, nos drobny, w korzeniu spłaszczony; kości policzkowe wydatne, usta nieco wyrzucone, oddalają się od pięknych rozmiarów twarzy, ale nie przechodzą w szpetność. Owszym wyraz oblicza miły, łagodny, ale razem chytry i przebiegły.

Ród Lechowy rolniczy i wojenny, ma złożony charakter i fizyognomią z tego podwójnego usposobienia. Spokojny, ale rwisty. Skory do uniesień szlachtetnych bez wytrwałości; pracowity bez rzędności, hulaszczy i wytrzymały na wszelkie znoje i trudy; dumny w powodzeniu, płaszczący się w nie-szczęściu; czuły bez granic na honor i sławę i lekkomyślny bez miary; odważny w boju, potulny w domowym pożyciu, —

w ogóle wielkie zdolności, ale i wielkie przywary. Oblicza Polaków są wesołe, oko jasne, czoło otwarte, troska życia kłopotliwa o jutro rzadko na nim przysiadła; nos kulkowaty, wąs zdobny, usta miłe, uśmiech zalotny; ruchy zwinne, postawa mężka. Płeć żeńska więcej ma trwałego uczucia, więcej stałości charakteru. Więcej téż wyrazu w twarzy wdziękami czarującej; uczucia silne, głębokie, i wiedza wartości swojej, co trzyma zdala zalotnika, są dominującym wyrazem Polki.

Ród Czechów nabrał wiele z krwi i z charakteru sąsiednich Niemców. Nazywają ich Włochami wśród Słowian. Być łatwo mogło, że się przy rzutkości temperamentu pod obcym panowaniem wyrodziła w nich chytrność skryta i podstępna. Rzeczywiście, jest w ich charakterze więcej oględności, niżeli otwartości. U Czecha nie jest, tak jak u Polaka, dusza na języku. Jego fizyognomia wśród rozmowy zdradza zawsze, że w głębi ducha leży myśl inna, utajona. Czechowie mają rzutność Serbów bez ich odwagi, mają uczucie Rusinów bez ich melancholii smętniej. Lubią muzykę, tańce i biesiady, i tę skłonność dzielą z wszystkimi Słowianami *Sclavus satans* było dawnym znajomym przysłowiem. Nosy u mężczyzn wielkie, zarost obfity; u kobiet usta małe, łona szerokie, są znamionami jakby przeważającej zmysłowości.

Rosły i czerwono włosy ród Germanów, niegdyś straszny legionom rzymskim w lasach hercyńskich. zmienił się znacznie od owego czasu, i wyosobnił się na dwie odmiany: północnego i południowego Niemca. Postawa na północy jest roślejsza, smaglejsza i proporcjonalniejsza. Rosłe przedewszystkim są postacie Holsztynów, Meklemburów, Pomrów, u których nie rzadko znaleźć jeszcze włos rudy. Włosy ich jasne, oko niebieskie, albo siwe, cera biała, wątła; wyraz twarzy szczególnie u kobiet. sentymalny. O wiele niższego wzrostu są Niemcy na południu, szczególnie Bawary w okolicy rzek Lech i Inn. Włosy ciemne, niekiedy czarne; oko piwne, lub brunatne. W obliczu więcej humoru i wesołości, lubią muzykę i biesiadę. Wyraz piękna kobiecego miękki, miłosny. Wdzięki ciała wczas znikają, oblicze chudnie, zapada,

brzydniej. Najwięcej dzielności w charakterze i w fizygnomii ciała posiada pokolenie górali szwajcarskich. Jak za czasów Tella i Winkelrieda, natrafić i dziś jeszcze można na twarze rysów wydatnych, śmiało nakreślonych; na postawy barczyste, pierś wypukłą, szeroką, nogi i ramiona, jakby z samych sprężystych muszkułów utoczone. Niższe i miękkiejsze są ikrzaste postacie Tyrolczyków; za to twardsze są rysy kobiet tyrolskich, mających wejrzanie męzkie.

Charakter Niemców ma wiele stron pięknych, acz to jest raczej piękna proza, niż poezya. Dobroduszni, aż do słabości; wierni i poczciwi w domowym pożyciu, aż do filisteryi; w publicznym życiu zaboreczy i chciwi cudzego. Namyślą się dobrze, nim co przedsięwzją, ale wytrwają niezłomnie w przedsięwzięciu. Namiętność nad nimi nigdy góry nie bierze, zawsze rozum i namysł przeważa. Nie przechwalają się, ale działają. W boju umieją być odważnymi. Nie są dumni, ale też się nie płaszczą. W obyczajach przebija pewna rubaszność, ale poczciwa. Rozmiałowani w familijnym życiu, w polityce są mali, i trzeba gwałtownego paroksyzmu, jak Napoleon powiedział, aby się rozruchali. Z powodu téj niedołężności politycznej Niemcy sami siebie czernią i wyszydają.

Z rodu Celtów, który wydał pieśni Osiana, a rozsiadł się był na całym zachodzie Europy, aż w głąb Niemiec, pozostały tylko nieliczne pokolenia w Szkocyi, Irlandyi i Bretanii, a i te więcej narzeczem swoim, niżeli postacią ciała do pierwotnych Celtów podobne, których ciała rosły i silne, odwaga w boju niesłychana, znane były Rzymianom. Słowianie nazywali ich Włochami, może dla długich włosów, które im aż na barki spadały; zwykle zawiązywali je na tyle głowy. Ród Celtów pomieszał się to z Germanami, to z Rzymianami i powstały ztąd nowe narodowości, które zapełniały dzieje średnich i nowszych wieków.

Na wyspach, dawniej cynowymi zwanych, na północnym morzu, kędy rzadko wejrzy błękitna pogoda nieba z poza opony mgły i chmur przeciągających, by świat rozweselić, zapanował dumny ze swój narodowości Anglik. Jest to wyrachowana proza życia, chodzący rachunek, obliczający wszy-

stko na liczby. Wesołość rzadko na zamyślonym obliczu osiada; małomówny i nietowarzystki, dziwak w swoich zachceniach, wylany przecież jest całkiem dla domowego i rodzinnego szczęścia. Zimny jak gład dla wszystkiego, co nie jest praktyczne, jest pracowity, przedsiębiorczy, przemysłny. W charakterze prawość i rzetelność, ale nie ma szlachetności. Hume twierdzi, że Anglicy nie mają wcale charakteru narodowego dla tego, że się przy swobodzie politycznego i socyalnego życia, pojedyncze charaktery zbyt rozmaicie uwydatniły. Ciała ich rosłe, silne, smukłe; twarz podłużna, tułowia długie. robią postawę nieco przedłużoną. Czoło otwarte, oko jasne, łagodne, ale bez ognia, brwi wypukłe, nos pięknie utoczony, najczęściej łukowaty, rysy twarzy spływające bez wybitności. Angielki mają wiele wdzięku, ale to wdzięk chłodny, jak wdzięk róży o zimowej porze. Płeć nadzwyczajnie delikatna, lekko rumieniec przebijająca, oko wielkie, niebieskie ma w spojrzeniu urok pięknej, chłodnej nocy; rysy regularne, miłe, cała kibić z gracyą utoczona, nogi tylko nie zawsze małe.

W góralach szkockich pozostało więcej typu celtyckiego. Gościnni, uczynni, ludzcy, ale biedni i nie tyle pracowici i przemysłni, co Anglicy; ciała hartują zaraz od młodu, i dochodzą do późnej starości. Postawy ich barczyste, muszkułarne, nie są rosłe, ale dobrze zbudowane, z szeroką piersią, silnymi ramionami i nogami; twarz wyrazista, dumna, włos ciemny, chód poważny. Takim jest Szkot, którego wymalował Vernet w obrazie bitwy pod Waterloo; acz jeniec, w nieugiętej postawie patrzy się z ukrytą radością na ostatnie, rozpaczliwe wysilenia cesarza Franków.

Kiedyś Irowie w Irlandyi i Kaledończykowie w Szkocyi pochodzili z jednego szczepu, dziś ich potomkowie bardzo od siebie różni. Dusze i ciała pobratymców O'Connela długowiekowym uciskiem przygnębione zostały. Ciało zwątłało, a na obliczach wynędznionych zatarł się wyraz dawniej celtyckiej dziarskości. Oko niebieskie, przy ciemnym, a nawet czarnym włosie, pięknie odbija; brwi niskie, gęste i czarne; — twarz podłużna, nos mały, na przejściu do wygiętości; podbródek okrągły. Wzrost słuszny, ciało regularnie zbudowane,

jeżeli go nęcza nie zeszpeciła. Usta prawie zawsze otwarte, dają Irlandczykowi wyraz głupoty, acz są wymowni i pojętni.

Z pomięszania Celtów czyli Gallów, germańskich Franków i Rzymian, powstała piękna narodowość francuzkiego ludu, acz, wedle przewagi krwi tego lub owego szczepu, w fizyognomiach bardzo jeszcze wyróżniona. Od Renu i od północy przeważa typ germański; ciała rośniejsze, bielsze, wszakże oko i włos już ściemniały, dopiero w Belgii, mianowicie w tłustokrasnych Flamandkach, pokazuje się oko niebieskie, jasnomodre, wyglądające z pod pukli lnianego, złotego włosa. Im bardziej ku południowi Francyi, tém więcej drobnieją kształty i przeważa typ ludów południowych. Już Sawoyardy mają ciała małe; z pod niskich, gestych brwi i czarnych włosów połyskuje oko piwne, a usta czworogranne żywemu ich temperamentowi, jakby komiczny wyraz nadają. Cudne są okolice Rodanu, co spływa do Śródziemnego morza, i cudny lud, który je zamieszkuje. Sławne są z piękności kobiety z Anelatu, z Avignonu, dalej z Prowansyi, aż po Montpellier, w kamienistym Langwedoku. Piękna krew sara-ceńska pozostawiła tu ślady swoje. Po nad Piryneami i Garoną rozciągają się pastwiska, na nich żyją pokolenia pasterskie, w których najwięcej się jeszcze przechowało rasy celtyckiej.

W ogóle ciała Francuzów są drobne, zwinne; głowa więcej okrągła, niż owalna, oczy ciemne, żywe, ogniste, zakrój ust miły, wymowny. Francuzki szczególnie mają wiele wdzięku w twarzy i wiele gracyi w ruchach. Głośne ze sztuki podobania się, mniej mają naturalnych powabów. Charakter narodu jest żywy, prędki, porywczy, do uniesień wszelakich skory, więcej powierzchowny, niż głęboki. Francuz jest uprzejmy, grzeczny, ale nie szczerzy. Obecność go zajmuje, przyszłość mniej troszczy, nowość każda bawi, rzecz, by najmniejsza, żywo interesuje. Gada wiele, gestykuluje jeszcze więcej, pełen zapału, dowcipu, śmiechu i krzyku. Duma narodowa i zarozumiałość wielka, ale więcej w przechwałkach, niżeli w treści. Acz wielokroć lekkomyślny, każdą jednak wielką myśl porywa chciwie, i z największym poświęceniem przeprowadza.

Czuły na honor i na sławę, jest odważny w boju i więcej posiada szlachetności, niż Anglik.

Pirynejski półwysep przedstawia także pod względem narodowości napływową ziemię. Iberowie, Celtowie, Kartagińczykowie i Rzymianie; później Wandale, Alani i Wizygoci, nakoniec Arabowie, brali ją z kolei w posiadłość. Na tych różnorodnych pokładach szczepowych wyrosło dzisiejsze pokolenie Hiszpanów. Wzrost ich pomierny, ciało bez pulchności, smagło opięte na kościach; cera ciemna, brunatna; wszakże u dzieci i u kobiet bywa biała; w czarnym połyskującym oku pali się płomień namiętności; zęby białe i piękne. Płeć żeńska ma więcej ognia, niż wdzięku, rzadko natrafia się na kibić smukłą i na żywe kolory twarzy. Zwykle są niskie i opiekle, o bladych ciemnych obliczach, w których się para ócz żarzy, jak para węgla tłących; noga w proporcji za wielka, ale ruchy zwinne, przyjemne, mają coś czarującego. Najpiękniejsze kobiety posiada Malaga. Prędko dojrzewają, ale i okwitują prędko. Kobieta w 40 roku, to już zgrzybiała staruszka.

Główną cechą charakteru hiszpańskiego jest duma narodowa i uroczysta powaga. Wstrzemięźliwi w jedzeniu i w pićiu, są przytym odważni i wielkoduszni. Żywość temperamentu i namiętność zamienia się im w energią i w hart duszy. Żadne niebezpieczeństwo ich nie odstrasza, i z fanatycznym zapałem biorą się do wykonania tego, co przedsięwzięli. Z drugiej strony są zazdrośni, lubieżni, w zemście nieubłagani. Godząc na nieprzyjaciela, bywają skryci, chytry, podstępni, okrutni. Gdy niebezpieczeństwo mija, radzi gnuśnieją, kosztując w nieczynności życia miłego wczasu; dla tego kraj ubogi wśród największych bogactw natury. Hiszpan namiętnie i fanatycznie kocha kraj i narodowość swoją; dumny najwięcej z tego, że jest Hiszpanem. A jest to duma powszechna narodowa, która i w najbiedniejszym utrzymuje wysokie poczucie własnej godności, a od znikczemnienia osobistego chroni. Ztąd może pochodzi, że pijaństwo prawie nieznanne jest wśród ludu, a wyraz *barracho*, (pijanica) jest największą obelgą. Jako *grand jaki*, stąpa każdy *hidalgo*, obrzuciwszy dziurawe suknie płaszczykiem z wytartego aksamitu. A chłopci

łytułują się *caballeros*, i traktują się jako tacy. W ogóle zamiłowanie przepychu i sztywna uprzejmość w pożyciu, zdają się być zabytkami maurytańskich obyczajów.

Portugalczycy wiele mają podobieństwa z Hiszpanami, tylko że typ żydowski i maurytański bardziej w nich przebija. Ciało ich małe, cera ciemna, zarost bujny, czarny, oko ogniste. W obliczu powaga i duma. Kobiety najczęściej blade, ale łagodniejszego, weselszego spojrzenia. Tłuste uchodzą za szczególną piękność.

Narodowość włoska odznacza się osobliwie plastyką dramatyczną, z której wnosić można, czym był ten naród w swojej sile i potędze, kiedy jeszcze Wenecya z morzem się zaślubiała; kiedy Medyceusze światło i sztukę rozsiewali, a Rzym katolicki po drugi raz zapanował nad światem. Energia ta przesiliła się i dziś wypoczywa; czynny duch dawnych rzeczypospolitych przygasa. Znikła wielkość tych ludów, tak z publicznego, jak domowego życia; zobojętnieli nawet na pamiątki dawnej wielkości i sławy. W nieczynności najmilszego doznawają wczasu. Jest to owo znane *il dolce far niente*, w którym sobie najwięcej podoba i gnuśny lazzaroni, i obywatel wielkiego Rzymu, i gondalieri wenecki. Pozostała jednak skłonność do życia publicznego. W domu swoim Włoch jest nudny, małowówny, aż do znudzenia, cały też dzień na dworze, na rynku, na corso, na teatrze; biega po sklepach, budach i kawiarniach. Rozmowny, uczynny, mięsza się do wszystkiego, z każdym zaczyna pogadankę, uglądając porę lekkiego jakiego zarobku. Wszakże, jakkolwiek rabunki i morderstwa należą do porządku dziennego, do kradzieży rzadko się posiega. Naprzykrzony, jest plagą podróżujących, którym swoje usługi ofiaruje, a o swojej *povertu* ciągle prawi. W oczach czarnych, płomiennych błyszczy rozum; w żółtym zbrunatnionym obliczu, i w twardo nakreślonych rysach, panuje nieustanna gra fizyognomii, a do tego gesta żywe, prawie szalone, przy opowiadaniu najobojętniejszych rzeczy. Istni aktorowie na scenie, odgrywający całe życie swoje komedią na placach publicznych. Zdradza tę ich komedyalność nawet ich sposób wyrażania się. Nie mówią nigdy np: on jest doktorem, tylko

on przedstawia doktora (*fa il dottore*). Kto chce ujrzeć ten zajmujący obraz naturalnej dramatyczności włoskiej, niech się przypatrzy ruchowi codziennemu na rynkach przekupniów i rybaków, na ulicy sławońskiej w Wenecyi, na brzegu Ś. Łucyi i na Toledo w Neapolu. Ztąd owe uciechy karnawałowe, jakich nie ma indziej, ztąd owa mnogość improwizatorów, którzy bawią pospółstwo.

Charakter Włocha jest chytry, chciwy, podstępny i mściwy. Mało u niego wstydlivości. Trzeźwy i umiarkowany w jedzeniu i piciu, namiętnie lubi grę, w którą się lud na ulicy bawi. Kobiety, z wyjątkiem Włoch południowych, mają wiele uroku. Oko wielkie, czarne, płomieniste, twarz zbrunatniona, przez którą się żar rumieńca przeciska; nie mają odpowiedniego wychowania, ale są wymowne i biegłe w sztuce podobania się. W Neapolu kobiety są brzydkie, co tym bardziej uderza, że tak cudnie piękny jest sam kraj.

Ludy skandynawskie stanowią przeciwieństwo pokoleń południowych. Wulkaniczny żar namiętności przygasił, formy miękkie stwardniały; wzrost u nich doroślejszy, kolory ciała jaśniejsze; usilną pracą i przemysłem zdobywać sobie muszą potrzeby i wygody życia. — Duńczycy, potomkowie Cymbrów, Anglów i straszliwych niegdyś Normanów, są pięknym typem postaci ludzkiej. Silnie zbudowani, z regularnymi rysami twarzy, mają oczy niebieskie, a włosy jasne. W pożyciu z sobą weseli i przyjemni, względem obcych zimni. Pracowici, oszczędni, więcej posiadają rozsądku, niż dowcipu, więcej rozumu, niż fantazyi. Jak wszystkie ludy północne, lubią posilne, mięsne potrawy i zagrzewające trunki.

Mieszkańcy Norwegii są kształtnie utoczeni, jasnowłose postacie z łagodnym wyrazem oblicza i cerą ciała nader delikatną. Gościnni w wysokim stopniu, są umiarkowani i pracowici. Zebraka między nimi nie ujrzysz. Mało u nich towarzyskości, żyją w rozsobnionych familiach, i dla tego domostwa ich rozrzucone po polach. Najmilszą zabawą młodzieży są ćwiczenia wojenne. Kobiety bywają nawet bardzo piękne, kibić rosła, wiotka, a płeć ciała zmieszana jakby z lilii i róż. Szwedzi przechodzą wzrostem Normanów. Oko modre na jasnój

twarży ma wyraz łagodnego księżycowego światła. Obyczaje ich są równie łagodne. Małomówni, ale gościnni, do kraju i do instytucji swoich niezmiernie są przywiązani. Lud to wojowniczy, ale nie zaboreczy.

Wszystkie te narodowości, któreśmy skreślili pod estetycznym względem, występowały w dziejach, i przez dłuższy, lub krótszy czas, piastowały ich berło. To też tylko dziejowe narody mogą być piękne. Gdyż czym jest społeczna zasługa w pięknie oblicza pojedynczego człowieka, prześwietlająca zeń wyrazem wyższej duchowości, która cielesność uszlachetnia i zdoła; — tym jest dziejowa zasługa w naturalnej fizygnomii całego narodu, bo i ona ją wypięknia, uszlachetnia i w wartości estetycznej podnosi. Jeden rzut oka na różnoustajowany stały ład Europy, wyskakujący półwypami, odnogami i przystaniami, tudzież na klimat tej części ziemi umiarkowany, pokazuje wyraźnie, czemu właśnie w tych strefach rozrodziła się w tyle różnych dziejowych narodowości, piękna, biała rasa kaukazka. Albowiem zbyt szczodra natura robi człowieka miękkiem i gnuśnym, a ztąd niedołężnym, a zbyt macosze przyrodzenie kurczy i niszczy siły ciała i ducha. Znieruchomieją rody ludzkie, gdy je już zbyt mróz ścina, już zbyt niupał utrudza i leniwi. Na wyniosłych stepach mogą tylko koczować nomady, i wieść żywot patryarchalny. Dzieje zawiązują się dopiero u tych ludów, które przez rolnictwo do ziemi się przywiązały i stałe zajęły siedliska.

Wszakże warunkiem rozległego dziejowego działania, a tym samym estetycznego w narodach wyrazu, jest morze. Naród, nie przylegający granicami swymi do morza, nie może być dziejowy. Tam, gdzie się oko gubi w mokrej przestrzeni bez granic, gdzie się umysł i wyobraźnia rozkołysują kołyszącymi się bez końca falami; gdzie pierś i odwaga rośnie, przywykająca do burz i nawałnic morskich, które pokonywać człowiek się uczy; — tam musi się wyrabiać piękniejsza, bo wzniolejsza fizygnomia narodowości; tam człowiek inaczej czuje, inaczej myśli, inaczej się objawia, i jakaś siła tajemna prze go do czynu.

Człowiek potrafi i przeciw żywiołom walczyć, i hołdować je sobie przemysłem i pracą. Narodowość w tej walce zapaśnej z żywiołami staje się piękną. Wzniosłą jest praca Niderlandczyka, który sypaniem grobli niżoziemie rodzinnego kraju od zalewu morza zasłania; podobnie Anglika, który tunel pod Tamizą zakłada: albo europejskiego kolonisty, który dziewicze puszcze pierwotnych lasów Ameryki dla cywilizacji zdobywa. Europejczyk pod zwrotnikami zwalcza skwary słońca, a pod biegunami pokonywa mrozy. Tym sposobem tworzą się różne odcienia, niejako różne barwy narodowości, które się w osobnych obrazach rozkładają po kuli ziemskiej, naznaczone już wyrazem zmysłowej rozkoszy, już wzniosłej walki, już nakoniec wyrazem pięknej równowagi między jednym i drugim.

Jak człowiek się rozplądza, tak i narodowość się rozplemienia. Potomstwem narodowości są kolonie. Każdy naród, gdy dojrzeje, wysyła osadników, zaludnia inne okolice, i staje się ich macieżą. Gdzie osadnicy przenoszą się w te same strefy, jak Polacy do Litwy, Anglicy i Niemcy do Ameryki północnej, Hiszpanie i Portugalczycy do Ameryki południowej, zmiana narodowości nie bywa tak znaczna i pozostaje rodzicielskie podobieństwo, z odmianą chyba narzecza i niektórych rysów fizygnomii. Gdzie zaś osady przenoszą się w inne strefy i inny klimat, jak Anglicy do Indyi, Holendrzy do przylądka Dobrej Nadziei, tam ich dzieje przedstawiają walkę nieustanną z obcą naturą i z dziczą pokoleń pierwotnych, i długiego trzeba czasu, zanim się z tego boju wywiąże równowaga. Ale wtenczas już też i ślady pierwotnej narodowości znikły, i powstała nowa, odmienna narodowość, z jednolitą fizygnomią ziemi i jej mieszkańców. Są to mieszańce, jakośmy to poprzednio uważali, pod estetycznym względem zwykle najpiękniejsze, bo co z krzyżowania ras i pokoleń powstaje, równie wśród ludzi, jak wśród zwierząt, uszlachetnia się w kształtach i w przymi-ach pięknych.

r) *R o d y.*

W krótkości tylko zbędziemy rzecz o wyrazowym pięknie pojedynczych familii i rodzin, jako mniej ważną. — U narodów, stojących jeszcze na stopie patryarchalnej oświaty, przeważa życie rodzinne; pokolenia wedle rodzin się rozdzielają, osobne zajmując siedliska. — Tak bywa wśród nomadyjskich ludów i na wysokiej północy, gdzie klanowe instytucje jeszcze przeważają. Coś podobnego dzieje się w rolniczych narodach po siołach i okolicach wiejskich, gdzie ruch życia społecznego słabym echem się odbija i gdzie, przyjętym obyczajem, lud wiejski tej samej okolicy się trzyma, i nie rad z jednej do drugiej przechodzi. W takich stronach można uważać, że co okolica, inna fizyognomia ludzi, dla tego, że w jednych i tych samych stronach tylko ze sobą się łączą i tworzą jakby jedną familią z familijnym do siebie podobieństwem. Takie wyosobnienie się gromad nie jest korzystnym dla piękna, i rzadko też w nich natrafiamy na piękne fizygnomie. Pod tym względem miasta, a mianowicie stołeczne, w których większe odbywa się krzyżowanie rodzin, pokoleń, a nawet narodowości i ras, bogate bywają w piękno-kształty ludzkie, acz z drugiej strony wyraz narodowości w nich się zaciera.

Przeważnie silne jest familijne podobieństwo długich nawet pokoleń jednego i tego samego rodu. Pochodzi to częścią z fizycznej przewagi praojca, która się z jednego potomka na drugiego przelewa, i te same główne znamiona w ustroju ciała i organów powtarza, a częścią i ztąd, że się zwykle małżeństwa między pokrewnymi tego samego rodu kojarzą. Z tego ostatniego powodu tłómaczy się podobieństwo familijne w rodach panujących dynastyi. W familijnych portretach rodzin, znakomitych w kraju, przechowywanych z troskliwością, i ustawionych rzędem wielu wieków, napatrzeć się można, jak się w nich wszystkich, może z małymi przerwami, podobieństwo familijne powtarza. W pamiętnikach o Koniecpolskich * są

* Wydał Stanisław Przyłęcki. Lwów 1842 r.

dwie wizerunki tej znakomitej rodziny, przerysowane z portretów współczesnych w Podhorcach: jeden wystawia Stanisława Koniecpolskiego hetmana w. k., który umarł 1646 r., drugi wyobraża wnuka jego Jana Aleksandra, ostatniego z Koniecpolskich, wojewodę sieradzkiego, który zmarł 1725 r. W obydwóch jest ta sama twarz podłużna, to samo czoło wysokie, ten sam nos pociągły i gruby, w ogóle ten sam wyraz oblicza.

Bywa, że dzieci tych samych rodziców na pozór nie mają żadnego do siebie podobieństwa. Atoli wpatrz się tylko uważniej, a coś familijnego cię uderzy w tych twarzach, postawach, ruchach, czym są do siebie i do rodziców podobne. Zawsze z ojca i z matki powstaje krzyżowanie się krwi, która się w potomstwo z przewagą jednej lub drugiej przelewa, a zawsze coś z obydwóch zatrzymuje. Piękna para rodziców zwykle piękne miewa dzieci. We wnukach powtarza się wielokrotnie piękno babki, lub dziada, choć rodzice nie byli piękni. Aby zaś uszlachetniało się piękno rodzinne, potrzeba, aby ta sama szpetność n. p. szerokich ust, wielkiego nosa i t. p. u matki i u ojca nie zachodziła. Albowiem twórcza obraźnia natury, kształtując płód w łonie matki, ulega fizycznym i psychicznym wpływom zarodu, który nadaje typ rasy, narodowości i rodu, i tylko wtenczas może uszlachetnić formy kształtowe, kiedy tych form zarody już były albo w ojcu, albo w matce. Co się powiedziało o formach zewnętrznych, rozumie się także o zdolnościach, których szczególne kierunki pojedynczym rodom bywają właściwe.

c) Formy pojedynkowe ludzkości.

Jak każda szczegółowość rozkłada się na pojedynki, tak i narodowe i familijne fizyognomie rozpadają się na indywidualne wyrazy temperamentu, uczuć i charakteru każdego pojedynczego człowieka. Nosi on na sobie piętno nie tylko rasy i narodu, do którego należy, nie tylko piętno rodu, którego jest potomkiem; — ale wyrabia na sobie oraz piętno własnej

osobistości, którym jedynie samemu sobie jest podobien. Wyrasta osobnym, sobie tylko właściwym kształtem, z téj rozmaitości typów, jak młoda latoróżga ze splotu licznych korzeni drzewa, którego pień został przycięty. Gdzieby tego indywidualizmu nie było, tamby nie było i estetyczności, bo na téj właśnie rozliczności form indywidualnych polega piękno wyrazowe plastyczne. Coby to były za nudy, gdyby wszyscy ludzie tak byli sobie podobni, by téż i najpiękniejsi, jak dwie krople wody!

a) *Charaktery.*

Człowiek każdy naprzód tym jest, czym go natura stworzyła, to jest: ma osobne przyrodzone zdolności i osobny, sobie właściwy temperament — i to stanowi jego naturalne usposobienie. Powtóre jest tym, czym się za pomocą tego naturalnego usposobienia sam wyrobił, pod wpływem wychowania, otoczenia, okoliczności i własnej pracy — i to stanowi jego sposób myślenia i postępowania. Jedno zaś i drugie w połączeniu jest wizerunkiem jego indywidualnego charakteru.

Przyrodzone zdolności leżą utajone we wewnętrznym ustroju organizmu ludzkiego; w ilości i układzie mózgu, w budowie delikatniejszej i doskonalszej narzędzi zmysłowych i t. p. Nie uwydatniają się więc na zewnątrz, a jako takie, pozostają po za obrębem estetycznego na antropologią poglądu. Bo jeżeli później wyrabia się jakiś wyraz fizyognomii, po którym poznasz n. p. filozofa, lub muzycznego artystę, już to będzie wyraz wyrobionego własną pracą talentu, a nie przyrodzonego usposobienia.

Przyrodzone zdolności ściągały się do potęg ducha ludzkiego, do jego rozumu, wyobraźni i woli. Temperamenta ściągają się do jego uczuć, żądz i namiętności, które są podnietami jego działań, i uwarunkowane są przyrodzonymi własnościami, tak krwi, jak nerwów; co już na zewnętrzną fizygnomię człowieka działa, i pewien wyraz sobie w niej zdobywa. Dla tego

téz temperamenta są niejako tłem naturalnym indywidualnego piękna w człowieku.

Cztery temperamenta, uformowane wedle tyłuż żywiołów świata, zostających w dwóch przeciwieństwach (suche i mokre, gorące i zimne), oddawna starożytnym filozofom były znane. Nowsi porównywają je ze czterema zmysłami w głowie.

Są dwa kierunki życia ludzkiego. Jeden stawia go w stosunku do wpływów wewnętrznych, twórczych, i dzieli się na kierunek dośrodkowy, czyli bierny, i na kierunek odśrodkowy, czyli samodzielny. Jest to przeciwieństwo temperamentu cholerycznego i melancholicznego — odpowiednie przeciwieństwu wzroku i słuchu, i magnetycznej biegunowości górnej i dolnej części ciała ludzkiego. — Drugi kierunek stawia go w stosunku do wpływów zewnętrznych, czyli do tworów świata, i jest także albo bierny, to jest przyjmujący wrażenia, albo czynny, to jest sprawiający wrażenia. Jest to przeciwieństwo sangwicznego i flegmatycznego temperamentu, odpowiednie przeciwieństwu zmysłów powonienia i smaku, oraz biegunowości elektrycznej, odbijającej się w dwóch przeciwnych połowicach ciała ludzkiego, na prawo i na lewo.

Szczegółowy opis każdego temperamentu z osobna do psychologii i antropologii należy, i odsyłamy czytelnika do wybornie skreślonych ich wizerunków w psychologicznym dziele Schuberta.* Czystego temperamentu w ogóle w żadnym człowieku się nie znajdzie, są raczej wszystkie cztery w każdym, z przewagą jednego, który mu właściwe piętno nadaje. Ponieważ w każdym temperamentie jest nieskończone stopniowanie jego napiętości, przeto tym bardziej nieskończone są kombinacje czterech temperamentów razem. Ztąd sobie tłumaczymy ową rozliczność naturalnych indywidualności, jaka się przez czasy i narody objawia. Temperament, będąc tłem każdego uczucia i każdego kierunku umysłowego, cieniuje wszystkie stosunki człowieka. Ale właśnie dla tego to cieniowanie jest nieskoń-

* Die Geschichte der Seele von Gottfr. Hein. Schubert. Wydanie drugie, str. 500.

czenie rozmaite, i nie można powiedzieć, jak to utrzymywali niektórzy, że n. p. w rzeczach religii choleryk będzie ortodokszą, melancholik fanatykiem, sangwinik liberynem, flegmatyk indifferentystą. Są to więcéj dowcipne, niż prawdziwe wnioski, już dla tego nie wytrzymujące krytyki, że czystych temperamentów nie ma. Jeżeli zatym Aristoteles o Sokratesie powiada, że był melancholicznego temperamentu, rozumi pod tym przewagę tego temperamentu w Sokratesie, która jego życie i jego sprawy cieniowała. W tym znaczeniu poważne postaci Platona, Homerowego Ajaksa, Szekspirowego Hamleta, były melancholiczne; Cicero i Alcybiades byli sangwiniczni, Mojżesz choleryczny. Na wydatny typ flegmatycznego temperamentu, który nie trzeba sobie wystawiać jako słabość, ale jako siłę, musimy szukać wzorców na północy, i tu stawiamy charakter byłego cesarza Francuzów, Napoleona III., jako modłę flegmatycznego usposobienia.

Z tego wszystkiego, cośmy o temperamentie powiedzieli, pokazuje się oraz jego estetyczna wartość, pod względem wyrazowej plastyki człowieka. Czym jest koloryt w malarstwie, czym w muzyce ton zasadowy, na który cała melodia ułożona, tym jest temperament w pięknie natury ludzkiej. Na tym tle wydatnieje dopiero każdy wyraz ducha, z oblicza i ruchów ciała przeglądający, nabiera pojrzenia żywego i ciepłem żywotnym się ogrzewa. Bez temperamentu byłby to rysunek bez koloru, nawet bez szaterunku; byłaby silweta nie obraz. Ale temperament, jako naturalny nastrój duszy, nie da się nawet oddzielić od piękna wyrazowego w człowieku, tak jak koncert instrumentalny musi być koniecznie z jakiegoś tonu. Przez temperament łamią się wszystkie promienie ducha i myśli; obrazy i czyny człowieka nabierają podobnego uroku, jak gdybyś na okolicę przez szyby różnokolorowe patrzył.

Znaczenie temperamentu w różnych czasach, i w różnych peryodach dziejów i sztuki, bywa różne. Bo są czasy, w których zapał umysły ogarnia i porywa z sobą, ale równie prędko ostyga i ustaje, i rzekłbyś, że temperament choleryczny zapanował w narodach. Są znowu epoki szału, urojeń, zwąt-

pienia, które dziejom i sztukom melancholiczny nadają koloryt. W czasach dobrego bytu i bogactwa narodowego panować zwykła lekkomyślna sangwiniczność, jak w czasach reakcyi ludzie w flegmatyczne popadają zubożenie, a jeżeli jest energia w narodzie, ludy wtenczas rachują się z siłami swoimi. W takich więc epokach temperament z plastyczności przechodzi do dramatyczności.

Drugą stroną indywidualności człowieka jest jego strona duchowa, czyli wyrobiony przez niego, jemu tylko właściwy sposób myślenia. Na pozór wydają się sposoby myślenia, jak temperamenty, nie bardzo rozmaite. Zwykle pod jedną kategorię kładziemy w naukach ludzi głęboko i powierzchowno uczonych, w religii pobożnych i bezbożnych, w polityce postępowych i wstecznych; — w ogóle dzielimy ich wedle temperamentów na rozważnych i nierozważnych, na głębokich i powierzchownych. — Atoli są to tak nieograniczone ogólniki i szczegółniki, że się w bliższe określenie ująć nie dadzą, a przy lepszym rozpatrzeniu się w charakterach ludzkich, przekonamy się, iż każdy ma swój osobny sposób myślenia. *Quot capita, tot sensus*, czyli co głowa, to rozum, jest już dawnym spostrzeżeniem i w przysłowie się zamieniło.

Sposób myślenia człowieka zawisł od jego przyrodzonych zdolności, jako od możliwości tego, co być może; atoli wyrobienie tych potencji do rzeczywistości jest jego pracy i okoliczności dziełem. Stosunki i czasy, w których się człowiek urodził, wychowanie, jakie odebrał, otoczenie, wśród którego wzrósł, przygody życia, jakich doznał — wszystko to wpłynęło na uformowanie jego sposobu myślenia. Własną jego zasługę to tylko stanowi, czy i w jaki sposób mógł i umiał z tych okoliczności korzystać, jaką pracą i jaką walką wyrobił sobie tę duchową połowę charakteru swojego.

Odślania się tu od razu estetyczna strona naszego poglądu na indywidualne sposoby myślenia ludzi. Tajemnicze są ścieżki, którymi człowiek postępuje na drodze żywota, i tajemne są moce, z którymi wchodząc w zapasy, charakter swój wyrabia. Jakaś niewidzialna ręka, czy losu, czy przeznaczenia, czy Opatrzności, kreśli i one ścieżki, i one moce wysyła.

Prawdzi się, co powiada Szyller: że czyny ludzkie są sieją przynależ, rzuconą w ciemną krainę przyszłości, zdaną na wolę wielkich potęg losu.* Trudno oczy zamknąć i na to, co się dzieje. Widać rzeczywiście, że jednym idzie wszystko, jako z płatka, że ich szczęście goni i drogi ich żywota kwiatami wyściela; kiedy w żywot innych ludzi, jakby nieszczęście się wplotło, i po ścieszkach, którymi idą, ściekają strugi łez gorzkich i strumienie krwi, wytoczone ręką mordercy, lub kata. Nie ulega wątpliwości, że pod tak różnym wpływem szczęśnych lub nieszczęśnych losów, różnie się sposoby myślenia wyrobić muszą.

Już od samego urodzenia włada tu niecofniona ręka przynależ. Jedno dziecicę urodzi się w pałacach, wśród dostatków i przepychu, drugie w chacie biednego wyrobnika, wśród płaczu, narzekań i biedy. Jedno pieści matka, i ojciec troskliwie o jego zdrowie i wychowanie zabiega, drugie nie zaznało rodziców, tuła się, jako opuszczona sierota między ludźmi. Jednemu geniusz z oczu świeci, pamięć, zdolności, uroda, wszystko mu piękną przyszłość wróży; drugiemu wy-czytasz głupotę z twarzy, tępy i leniwy. a do tego macosza natura wyposażyła go brzydota oblicza i ciała; jakaż jego przyszłość? A jeżeli ma zdolności obok szpetności, dla której nim pogardzano, nie wyrodził się w nim chytróść, złośliwość, chęć zemsty na rodzaju ludzkim, nie zrobił się z niego drugi Franciszek Moor w „Rozbójnikach“ Szyllera?

Dojrzewa nareszcie młodzian. Z odwagą w piersi, z nauką w głowie, z sercem przepelnionym najszlachetniejszymi uczuciami, i z rozpiętymi żaglami ideałów, przyplýwa do stałego ładu praktycznego życia. Tu go dopiero czeka walka, co na charakter jego stanowczy wpływ wywiera. Poznaje świat w brudnej prozie powszedniego życia, w jego egoizmie, jego przesądach, w jego zgniłości i nizekzemności. Opada zasłona złu-

* Des Menschen Thun
Ist eine Aussaat von Verhängnissen,
Gestreut in der Zukunft dunkles Land,
Den Schicksalsmächten hoffend übergeben.

dliwa, a nagość brzydka wyziera, trupie odsłaniając oblicze. Prawda, piękno i dobro, wszystko inaczej się przedstawia. Pokochał kobietę i ona go pokochała, ale względy na różnice stanu, rodu, lub majątku, rozłączają na zawsze ich serca. Rzuca się do materyalnego zawodu, i tam chce sobie zdobyć pozycyą, odpowiednią zdolnościom i energii ducha swojego, atoli o brak funduszów, o ów *nervus rerum gerendarum*, którego mu niedostaje, rozbijają się wszystkie jego zabiegi. Nadejdą kłopoty życia, troski familijne, niedostatki wszelkiego rodzaju, co jak harpie plugawią każdą myśl piękniejszą i podnieść się jęj nie dadzą.

Oto więc walki, w których wyrabiają się sposoby myślenia i hartują charaktery. Wyradza się z nich albo tragiczność, gdy silna woła człowieka zwycięża i przelamuje zawady, lub ginie śmiercią wzniosłą; — albo się tworzy komiczność, gdy zachodzi niestosunek pomiędzy zdolnością, a przedmiotem, który ma być pokonanym; fizyognomia wtenczas staje się śmieszną, bo walka jest bez siły, nieszczęście bez grozy; np. żyd bojaźliwy, jako żołnierz, chłopiek nieśmiały przed panem, niewiasta wstydliva przy ślubie, człowiek bez wychowania na salonie itp. — Gdy człowiek od walki odstępkuje, dawne widzenia rzeczy, jako złudzenia, porzuca, i staje się, jak tyłu innych, machiną powszednich i publicznych stosunków życia; wszelkie w takim stanie rzeczy estetyczne wrażenie się zaciera, i przedstawiają nam się tylko zwyczajne, obojętne fizyognomie ludzi.

Interes estetyczny obudza się znowu, gdy się człowiek z tego zwyczajnego trybu wyłamuje, i w ujemną stronę moralności przerzuca. — Bo z takiego stanowiska wyradza się znowu walka jednostki niemoralnej, przeciwko całej moralności społeczeństwa, którego jest podstawą. Na tle téj ujemności sytuacje mogą być wzniosłe, fizyognomie estetyczne. Życie piratów, opryszków, rozbójników i wszelkiego rodzaju wyrzutków społeczeństwa, przedstawia na to dowody i wielokroć były już przedmiotem sztuki, mianowicie dramatu i romansów.

Z jedności wrodzonego temperamentu i nabytego sposobu

myślenia wyrabia się charakter człowieka. Dwie moce niepokonalne natury stały przeciwko niemu: jedna w nim samym, — przyrodzone zdolności i temperament; — druga zewnątrz niego, — lud, ziemia i ród, tudzież formy obyczajowe, społeczne i polityczne. — Z obydwoma staczać trzeba było walkę, już lekką, już zapaśną, biorąc w pomoc słły rozumu, wyobraźni i woli. Co się z człowieka przez tę walkę żywota wyrobiło, stało się jego właściwym charakterem, którego piętno mniej więcej na fizyognomii wybite. Pokonać całkiem tę potęgę naturalne i oderwać się od nich niepodobna, bo one przerosły z nami; ale zdobyć sobie można w nich i do nich takie stanowisko, jakie człowiek za najstosowniejsze i najlepsze dla siebie uważa, i wedle którego wszystkie swoje sprawy i postępowania stosuje. Tym sposobem człowiek kojarzy wolność swoją osobistą z koniecznością tak naturalną, jak społeczną i dziejową. Charakter staje się jakby punktem środkowym periferii życia ludzkiego: z tego środka promienie oświecające padają na wszystkie punkta obwodu, ale i na odwrót, wszystko, co się na periferii życia dzieje, odnosi się prostymi liniami do środka. Charakter, jest to wolność człowieka, zdobyta w naturze, która mu się stała drugą naturą.

I na tym właśnie zachacza się plastyczna jeszcze cecha charakteru; albowiem nie przestaje być naturą, tylko, że jest naturą inną, na wyraz ducha, wołą tegoż ducha przerobioną. Piękno wyrazowe plastyczne dochodzi w charakterze do najwyższego swojego objawienia. Wyraz stał się potęgą nad ciałem, wcielił się we formy jego oblicza, jego kształtu, jego ruchu, zgoła wziął całą snycerską plastyczność postaci ludzkiej pod swoje panowanie. Atoli charakter już się także przerzuca i w idealność, albowiem charakter człowieka równocześnie się na jego idealnych objawach wytlacza: na jego uczuciach i myślach, na jego sprawach i czynach, na jego postępowaniu w duchowych sferach domowego, społecznego i politycznego życia.

Ztąd też pochodzi wielkie znaczenie charakterów ludzkich w sztuce. Wszystko nareszcie na charakter się redukuje. Jest

charakter czasu i wieku; jest charakter narodu, charakter stanu, charakter płci i wieku, charakter powołania, charakter polityczny i religijny i t. d. Zgoła, ile jest plastycznych, naturalnych momentów w społeczeństwie ludzkim, tyle musi być charakterów, bo każda naturalna plastyczność ma wyraz swój. I z tych wszystkich charakterów ogólnych i szczególnych, z mniejszą lub większą wydatnością każdego z nich, urabia się dopiero wizerunek indywidualnego charakteru człowieka, jako rzeczywistego czynnika w pomienionych sferach duchowości ludzkiej. Ujęcie charakterów, w całej ich rzeczywistości estetycznej, dane tylko jest wielkim geniuszom sztuki dramatycznej, jakim był Szekspir i Molier. Przedstawienie zaś charakterów należy do dramaturgii, o której wyborne rozprawy napisał Roetscher.*

Piękno natury, a zatym i charakterów, do dramaturgii nie sięga, atoli jest podstawą jęj studiów; tak jak modelowanie z natury jest podstawą sztuki snycerskiej. Dramaturg docieka, jak się piękno charakteru w plastyce natury przedstawia, i te piękne, naturalne jego strony podnosi do idealnego przedstawienia charakterów na scenie. Każdy osobny charakter osobną grą fizyognomii, głosu i ruchów — bo tylko tu o plastyczności jego mówimy — się uwydatnia. Na tej właśnie jedności nierozzerwanęj między treścią (charakterem) a formą (przedstawieniem), polega plastyczne wyrazowe piękno charakteru.

Jako postacie komiczne przedstawiają się nam charaktery skąpca, dziwaka, parafianina, filuta, pijaka, pochlebcy, oszusta, wiercipięty, szachraja, zalotnika, gawrona, nieśmiałka, zazdrośnego i t. p. Komiczność w ogóle, jak słusznie uważa Roetscher, obszerne znajduje dla siebie żniwo w charakterach ludzkich. — Wzniosłe, tragiczne charaktery, są tylko charaktery dziejowe, będące silnej woli, wzniosłego ducha, głębokiego uczucia; np. rycerz w walce między miłością a powinnością; monarcha na tułactwie; zbrodniarz w zapasach

* *Cyclus dramatischer Charaktere, oder die Kunst der dramatischen Darstellung.*

z moralnymi potęgami społeczeństwa; dziewica, lub niewiasta poświęcająca się dla wielkiej idei; mąż prawy, padający ofiarą zawistnych losów; szaleniec rozsiewający w okół siebie nieszczęście; zdrajca podły, któremu łyzy i klęski pociechą dzińskiego serca; człowiek wielki w walce z przesądami czasu i t. p. Najwięcej przedmiotu dla sztuki dramatycznej nastreżają charaktery kochanków rozmiłowanych, spekulantów różnego rodzaju, subretek i pokojówek.

Charakter wywiera na ruchach i fizyognomiach niezatarte znamiona, po których od razu odgadniesz zawód i zatrudnienie człowieka. Rubaszne, lub salonowe formy, pokazują wychowanie na małym, lub na wielkim świecie. Z marcyjalnej postawy, ruchów rzutkich, poznasz żołnierza; z jakiegoś wzięcia, które graniczy między powagą a potulnością, między otwartością a skrytością, naturą a udawaniem, poznasz adepta teologii. Ogorzała twarz i jakaś szczerota, co z oczu patrzy, każe ci się domyślać rolnika. Ręce grube, krzyże pochylone, ruchy albo ciężkie i niezgrabne, albo lekkie i wymuszone, zdradzają rzemieślnika, a nawet same rzemiosło się charakteryzuje. Prawdziwie cyklopowe są ogorzałe postacie kowali, a lekkie, wiercipiętne, krawców wybladłych. Jakiś szkolny pedantyzm naznacza mowę, gesta i poruszenia pedagogów. Artyści mają branie się śmiałe, wytarte, a zawsze oryginalne; w oku wiele wyrazu i blasku, kochają się w włosach długich do tego wystawni, rozrzutni, w ubiorach także oryginalni. Ludzie obracający pieniędzmi, bankierowie, kapitaliści, z pewnym zadowoleniem, jakby świat za pieniądze kupić mogli, trzymają ręce w kieszeniach, a tłustawe policzki i dobra tusza byt dostatni oznaczają. Chude, blade są postacie wekslarzy, a oczy ich, jak liczby migają. Zbytnią uprzejmość, prawie uniżona, kupca zdradza, a w jego oczach chęć zysku. Dumne są postawy sędziów i urzędników administracyi, a wyraz twarzy zimny. Mecenasami są jeszcze w dodatku dobrej tuszy. Klasa ludzi dworskich, filuterna, przebiegła, jest to arystokracja w klasie ludu służebnej, z wszystkimi śmiesznościami takiej lokajskiej pańszczyzny. Pokojówki, są to młode, ponętne dziewczęta, „z pełną piersią, giętkim i wysmukłym

stanikiem, z czarnymi, lub błękitnymi oczyma, długimi kosami i ładnie obrysowanymi ustami“ * — istne, tylko mniej idealne *hetery* nowszych czasów.

Tak więc wszystko, co tylko jest ludzkiego, i co tylko jest naturą w rzeczach ludzkich, wpływa na charakter człowieka i uwydatnia się plastycznie w pięknie wyrazowym. Negacyami piękna wyrazowego, bez stracenia jednak estetycznej wartości, będą charaktery, niepoprawną i nieustającą wolą złego wyrobione, odpadłe od człowieczeństwa, o których powiada Szekspir, że stoją same jedne, osamotnione, bo mają i dobro i złe przeciwko sobie. Jak strącone z niebios piękne postacie aniołów, oszpetniały fizyognomiami czartów, tak jak je sztuka sobie wyobraziła, podobnie i złe w charakterach ludzkich, oszpetnia piękne oblicze człowieka, a nadaje mu jakiś piekielny, odrażający wyraz. Wyuzdana rozwiozłość wygląda z oczu mdłych i głęboko wpadniętych, z zapadłych policzków i z cery chorowitéj, — trup to chodzący, w którego obliczu wyraz chuci jeszcze raz po raz blask roztoczy, jak blask dogorywającej lampy. Chude, wyczuczniałe, z fałdzistym licem są fizygnomie wampirów społeczeństwa: chciwych bogaczy, nieubłaganych ciemieżycieli biednego ludu, i wszeteczników wierutnych. Dzikie, tygrysie jest oblicze mordercy: lisi, albo koci układ rysów twarzy w złodziejach, i spojrznie chytre. Pijaństwo i obzarstwo oszpetniają twarz, i obierając ją z wyrazu ludzkiego, piętnują na niej wyraz zwierzęcy. Zazdrość gryźliwa na żółtym obliczu usiada, i rzuca spojrznie z ukosa, jakby nożem godził. U oszczerców cierpka ironia świeci z ocz, i usta do śmiechu równie cierpkiego wykrzywia. Pycha kark znieruchamia, dmie nozdrzami, a wzrokiem pogardę ciska. Gniew wysadza oczy, bladeść rozściela na twarzy, siność na ustach. Zemsta jakimś piekielnym ogniem w oczach się żarzy, a śmiech szatański na ustach zasiada. Fanatyzm rodzi fizygnomią, złożoną z wyrazu głupoty i drapieżności zarazem: wzrok wytrzeszczaty, potępiający, w twarzy zapał i zemsta, równowaga rozumu znikła, a namiętna

* Pokojówka, szkic obyczajowy przez Tad. Padalicę.

fanatyczność przegląda. Szaleństwo ma wzrok przenikliwy, jakby żgający; oblicze, obrane z wyrazu ducha, nic nie wypowiada; w czasie napadu szaleństwa, gra waryacyi odbywa się i na fizyognomii; — smutny wizerunek człowieka, obranego z rozumu, a więc i z boskości. W szaleństwie już téż nie ma charakteru, bo nie ma rozsądnej woli.

β) *Fizyognomie.*

Idealnym, widomym objawem charakteru jest czyn i słowo; plastycznym jego wyrazem jest wyrobiona na stałe formy fizygnomia człowieka, i ruchy mimiczne tak oblicza, jak ciała. Pierwsza jest skutkiem drugich, jak to zaraz zobaczymy. Każde drgnienie nerwów i muszkułów jest mimowolnym następstwem obudzonego uczucia i wewnętrznych wrażeń przelotnej myśli. Bystre oko znawcy odgadnie w tych ruchach mimowolnych i myśl skrytą i uczucie utajone. A że jedne i drugie płyną z charakteru człowieka, jak ze źródła swego, przeto i ruchy mimiczne wyrabiają się mniej więcej na formy stałe, bo charakterowi odpowiednie.

Jedną poboczną charakteru była natura, czyli plastyka ciała ludzkiego; w niej téż, jako w materyale swoim, musiała się wyrazić wewnętrzność charakteru; innymi słowy, charakter ukształtował się w ciele, i uczynił zeń wizerunek swój, zwierciadło utajonej treści swojej. Powtarzana przez długi czas na jeden i ten sam sposób gra muszkułów, utoczyła się nareszcie w pewne niezatarte rysy twarzy, i równocześnie nerwy, na jeden i ten sam sposób drażnione, wykształciły na odpowiednie formy wydatniejsze części oblicza; np. zaostrzyły koniec nosa, uwydatniły naprzód podbródek, nadały ustom pewny wykrój, licom pewne kontury, czołu i czaszce pewne wyniosłości. Tym sposobem powstała fizygnomia oblicza, w której wszystkie rysy i kontury twarzy zlewają się w jeden obraz, przedstawiający od razu mniej więcej wyraźny wizerunek charakteru człowieka. Sympatye i antipatye z tych pierwszych, fizygnomicznych wrażeń poczynają się, i fizyo-

gnomika Lawatera, która uczyła poznawać ludzi i odgadywać ich charaktery z tych znamion zewnętrznych, ztąd wzięła swój początek.

Ze fizygnomia człowieka jest obrazem jego charakteru, nie ulega żadnej wątpliwości, ale z tego nie wypada, aby z tego obrazu wyczytać można charakteru wewnętrzny wizerunek. Bo jak obraz pędzlem zdjęty, by też najpodobniejszy, nie powiada mi przecież nic o osobie, którą tak wiernie przedstawia, i tylko dalekie i często mylne z obrazu o osobie mogą robić wnioski, — tak i fizygnomia przedstawia wierny wizerunek duszy człowieka, ale jeżeli jęj zkąd inąd nie znasz, któż odgadnie te nieskończone i rozliczne wpływy, z których urobiła treść swoją? Któż jest w stanie powiedzieć, co w tej fizygnomii sama natura wyrzyła, a co wola człowieka i koleje jego życia tam naniosły? Ktoby się poważył rozebrać i zanatomizować tę jedność fizygnomicznego wizerunku, do której się nieskończoność linii i płaszczyzn zlewa, i odgadywać odpowiednie momenta charakteru, z których się ta jedność ułała? Można, jak to już Aristoteles uczynił, porównywając liczne przykłady ludzi, z podobnymi charakterami, uważać w nich pewne wspólne znamiona fizygnomii. Wszelako i te wnioski nie zawsze będą pewne, już dla tego samego, że nie ma równych charakterów, tylko mogą być podobne ich wydatności; między tysiącem złodziei, np. każdy będzie innego charakteru, a ztąd innęj fizygnomii. Będzie tam coś, co złodzieja zdradza, jak to lud zwykł mówić, że źle mu z oczu patrzy. Atoli są to zawsze słabe i zbyt niepewne poznaki, na których się i mylić można.

Estetyka też nie ma na celu dawać przepisy fizygnomiczne, tylko zwraca uwagę na to piękno wyrazowe, które natura w fizygnomii człowieka złożyła, robiąc ją obrazem charakteru jego. Poznawszy człowieka z jego życia i czynów, uznamy wtedy dopióro, że forma, czyli fizygnomia, odpowiada treści, czyli charakterowi. Człowieka nieznanego z jego fizygnomii osądzić nie można, jak z facyaty zewnętrznej budynku o jego wewnętrznym urządzeniu nic się powiedzieć nie da. Mogą tylko być ogólne, i to nie zawsze

dowodne spostrzeżenia. Być np. może, że fizygnomie, przypominające podobieństwa wydatnych w charakterze zwierząt, mają usposobienia tym zwierzętom odpowiednie; — że np. nos i oczy krogulcze znamionują coś drapieżnego w charakterze; że lwie rysy oblicza oznaczają odwagę i siłę ducha; że twarz lisia zdradza chytrą człowieka; twarz owcza łagodność i dobroduszną ograniczoną, oblicze małpie gadatliwość, oblicze satyrowe lubieżność i t. d.

Być również może, że miękkie ciało i delikatne rysy męczyzny, zwłaszcza bezbrodego, oznaką są kobiecego charakteru, a przeciwnie u kobiety rysy twarde i męskie, męskie też znamionują usposobienie; że muszkuły oblicza wątle, i ztąd lica obwisłe, są znamiem charakteru słabego, upadającego pod każdym nieszczęciem; a że przeciwnie, muszkuły naprężone, lica jędrne, wskazują na sprężystość i energię ducha.

Być nakoniec może, i toby najmniej mylić powinno, że charakter wzniosły ma rysy i części oblicza wydatne: czoło wielkie, szerokie, nos orli, potężny, usta wyniesione, podbródek znaczny; — że zaś charakter maluczki, w drobnych i skrzyślonych konturach twarzy się objawia: czoło wązkie, nosek mały, usta niewielkie, twarz krągła, podbródek nieznaczny. Boćby to była naturalna symbolika natury, że co się ma potęgą w rzeczywistości objawić, musi też mieć donośne i wyraziste kształty; a co jest słabe, wątle i pochylone, nie podniesie się nigdy do rozmiarów silnych i do fizygnomii wydatnej. — Wszelako i w tych ogólnych zarysach fizygnomicznych trzeba jeszcze na wiele innych rzeczy uważać, aby się nie pomylić w sądzie. Bywają wielkie dusze w małych ciałach, a małoduszość trafia się niekiedy w postaciach donośnych i silnych.

Pod takimi zastrzeżeniami przystępujemy do niektórych poznań fizygnomicznych, o ile estetyczne robią wrażenia, idąc w tej materii za Vischerem,* który je zabrał z Aristo-

* Estetyka tom II. § 338. — Carus Grundzüge einer neuen und wissenschaftlich begründeten Cranioscopie. — Carus Ueber Grund und Bedeutung der verschiedenen Formen der Hand. — R. Toepffer Essai de Physiognomie. — Aristoteles Physiognomica.

telesa i z późniejszych fizyologów, mianowicie Carusa. — Czaszka, jako siedziba mózgu, była głównym przedmiotem posłań do odkrycia wewnętrznego usposobienia ludzi. Kranioskopia Galla i Spurzhejma, obmacująca wyniosłości i wklęsłości czaszki, z tych samych powodów, co fizyognomia Lawatera, do pewnych wypadków doprowadzić nie może. Pod estetycznym względem już dla tego żadnej nie ma wartości, że na zmyśle dotykania polega. Natomiast, co się oku, jako wydatność na głowie, na większe rozmiary przedstawia, może mieć pewne estetyczne i fizyognomiczne znaczenie. I tak wypukłość głowy na tyle, jeżeli się nie dzieje kosztem rozmiarów przedniej części czaszki, jest zawsze oznaką energii w praktycznym zawodzie życia; w przeciwnym razie, znamionuje zmysłowość, chucie cielesne i umysł tępy. — Czaszka na przodzie aż ku wierzchołkowi wyniosła, znakiem bywa głębokiego rozumu; ale jeżeli głowa nie jest głęboka i czaszka zbyt spiczasto wyciągnięta, zdradza dziwackie i złe usposobienie charakteru. — Głowa szeroka znamionuje szlachetność, głowa wązka małoduszność.

Carus, w nowszych postrzeżeniach swoich, od rozmiarów, a nie od małych wyniosłości w czaszce, zależnymi czyni większe lub mniejsze zdolności człowieka. Mierzy przednią część czaszki, w której są złożone wielkie hemisfery mózgu, i siedlisko jest inteligencji; dalej mierzy środek czaszki, czyli okolicę czterech pagórków, siedlisko uczuć wyższych; nareszcie rozmierza tylną część czaszki, okrywającą mały mózg, gdzie jest siedlisko woli i żądz. Jeżeli rozciągłość tych części rozdłuża się, ma to znaczyć usposobienie niskie, zwierzęce; jeżeli się rozgłębia, władze odpowiednie mają więcej napiętości; jeżeli się rozszerza, jest więcej zewnętrznego rozrzucenia.

Z włosów już starożytni odgadywali charaktery, idąc za analogią u zwierząt. Aristoteles utrzymuje, że włos szorstki oznacza odwagę, miękki bojaźliwość. Włos długi, ale nie miękki i nie przylegający, wróży głowę myślącą; włos w pierścienie zwijający się, bywa znamieniem genialności i fantazyi. Czoło otwarte najwydatniej się przedstawia, i z fizygnomią oblicza

w jeden obraz spływa. Jeżeli widzisz, że jest w tył zarzucione, z mocnymi po nad oczyma wypukłościami, pewno tam mieszka przebiegłość, ale i odwaga i hart duszy. Czoło naprzód przechylone, oznacza upór, przecherność. Z czoła prostego świeci rozum i rozważa, zaś okrągłe i kuliste, jak u dzieci, znamionuje mało jeszcze rozwinięte zdolności umysłowe. Wysokie czoła oznaczały zawsze głębokich myślicieli, szerokie i czworograniaste bogate bywają w twórcze pomysły; wąskie i niskie nie wróżą głębokości myślenia, raczej bywają znamiem ludzi upornych i zarozumiałych. — Na czole gładkim zasiada schlebstwo, bo i pies, jak powiada Aristoteles, kiedy się łąsi, wygładza czoło. Czoło myślące w równoległe fałdy się układa; przemyślne i przebiegłe ma rozmaicie pospazane i pokrzywione marszczki. Czoło gromowładnego Jowisza miało podobieństwo do lwiego czoła: czworograniaste, środkiem w pionowej linii nieco wklęsłe, a po nad brwiami zawisł jakby obłok na sklepieniu nieba.

W okolicy, gdzie się brwi ściągają, nos z czołem łączy i otwory oczu osadzone, zgromadza się najwięcej uczuciowa fizyognomia charakteru; tam ból osiada, gniew w pionowe fałdy się układa, tam drażliwość miga. Tu okolica oblicza bezpośrednio sąsiaduje z okiem, które jest oknem duszy; nabiera zatem równego wyrazu z okiem. — Oczy, głęboko w głowę wpuszczone, bywają poślaką charakterów mocnych i jędrnych, ale razem skrytych i chytrych. Oczy na wierzch wysadzone, wskazują na otwartość charakteru, ale i na brutalstwo i bezczelność. Oczy małe, bywają przebiegłe; mrugliwe, są filuterne; duże, otwarte, bywają uczuciowe.

Średnia część oblicza, w której nos się uwydatnia, najmniej ma wyrazu fizyognomicznego, dla tego, że najmniej ma ruchu. Nadto poruszenie wszelakie odbywa się za pomocą muszkułów, w narożnikach ust osadzonych; od tej też strony formują się zagięcia i kontury licznych części twarzy, jak wśród śmiechu, płaczu, ziewania i t. p. Kości policzkowe, wystające, są wróżbą uczuć i zdolności surowych; a oczy podpuchlę i wyźłobienia pod nimi głębokie zdradzają chorowite i zmy-

słowe usposobienie — Więcój wyrazu objawia kształt samego nosa, jako najwydatniejszej części oblicza. Kształtny nos grecki, którego linia łączy się bezpośrednio z linią czoła, oblewa urokiem duchowości i tę materyalną część oblicza ludzkiego, a cała twarz nabiera wyrazu idealności. Przeciwnie, gdzie linia czoła w przejściu do linii nosa jest złamana, albo wklęsła, gdzie krom tego nos jest wypukły, albo zadarty, tam się duchowość czoła wyraźnie od materyalności nosa oddziela, i obie w pewnym przeciwieństwie do siebie zostają. Nos u korzenia płaski i wgnieciony, najwięcej twarz oszpeca i znamionuje jakąś zwierzęcość. Wyrazem materyalnej zmysłowości są nosy grube, szerokie, ogórkowate; podobnie nosy mopsie, z podanymi do góry nozdrzami, są niemiłe, i nie można się po nich szlachetności charakteru spodziewać. Nos zadarty, kulkowaty, ale drobny, szczególnieś u kobiet, znamionuje ciekawość, naiwność, dowcipnistwo. Szlachetny i miły jest wyraz nosa, w lekki łuk zagiętego, kiedy przeciwnie, potężne garbonosy, nie mają tego majestatu, a znaczą dumę i zarozumiałość. Po nosie wązkim, a spiczastym poznasz pedanta, człowieka bystrego w rzeczach małych, mającego wdech delikatny do wszelkich interesów. Skrzydła nosowe rozwarte, nadęte, dmą namiętnością, gwałtownymi uczuciami i odwagą; wązkie i ściągnięte, bywają znakiem chytrności, skrytości i obłudny.

W ustach, jako w organie przeznaczonym do chwytania pokarmu, przebija się materyalność, ale że to i organ mowy, więc i duchowe znamiona na nich osiadają. Pod przewagą zmysłowości zakrój ust bywa szeroki, wargi grube, wywrócone; pod przewagą duchowości bywają wązko i krótko nakreślone. Usta drobne, wklęsłe, jakby przygryzione, pokazują zdolności bystre, uczucia zacięte, zdania uporne. Gdy warga górna wystaje, bywa to znamieniem wymowy; gdy dolna wystaje, bywa to poznaką dumnego i mądudnego człowieka. Wargi owisłe znajdują się u ludzi bez energii, bez zdolności i bez delikatnych uczuć. — Wdzięk niewypowiedziany leży w dołyższku, który raz po raz na licach, w pobliżu ust, tajemnym

urokiem się odsłoni. Chwytny tylko jego piękność, ale utajonego znaczenia uchwycić nie potrafimy.

Podbródek wykończa oblicze, i na tym stanowisku, pod względem fizygnomii, równie jest ważny, jak czoło. Między dwoma ostatecznościami, to jest wielkim, pełnym, okrągłym podbródkiem, a brodą spiczastą, chudą, naprzód wystającą, najrozmaitsze zachodzą ukształtowania tej kończyny oblicza ludzkiego. Pierwszy jest znamiem praktycznej i zmysłowej strony życia; drugi jest symbolem żydowskiej przenikliwości, mefistofelesowego charakteru, żądź upornych i namiętnych. Podbródek zbyt mały, ścięty i na dół zadany, jest niedostatkiem twarzy, nadający jej podobieństwo do zwierzęcej facyaty, i wróży o małej woli i o małych zdolnościach człowieka, które niemal zawsze z wydatnym podbródkiem idą w parze.

Sama twarz wreszcie jest także wyrazem fizygnomicznym. Im regularniejsze są rysy, i im równiejsze są trzy strefy oblicza: czoło, nos i usta, tym więcej będzie równowagi we władzach i przymiotach duszy człowieka. Im wydatniejsza będzie różnica odstępów, n. p. strefa nosa zbyt krótka, a strefa ust zbyt długa, lub tym podobnie, — tym większe będą niedostatki i anomalie charakteru. Twarz okrągła miewa więcej humoru i wesołości, podługowata więcej statku i namysłu, przeciągła znamionować będzie dziwaka, lub niedołęgę.

Inne części ciała nie mogą nie zostawać w stosunku z fizygnomią oblicza; boć usposobienie człowieka całe ciało jego owłada, acz się w obliczu, jako w głównej jego części, najwięcej wyraża. Gdzie kierunek życia ludzkiego w praktyczną jego stronę obrócony, tam ją znamionować będzie muszkułarność członków, barczystość plecy, cała postawa zwięzła i silnie zbudowana. Gdzie życie ludzkie wzięło wyłącznie duchowy kierunek, tam ciało będzie słabe, szczupłe, chude, delikatne. — Kark krótki, gruby, znamiem jest siły materialnej, z czym się zwykle łączy atletyczna całego ciała budowa. Ciało tłuste, miękie, ręce i nogi drobne i delikatne, znaczą u mężczyzn kobiece usposobienie. Życie rozkoszom oddane, póki młode, pulchnieje w ciało i w błony tłuszczowe, ale gnie gumelastyczna napiętość muszkułów i skóry. W ciele kró-

tkim, małym, bywać zwykły wielkie napiętności, przeciwnie, w rosłych ciałach nie ma takiego ich napięcia, są to najczęściej łagodne charaktery.

Nie możemy w końcu pominąć fizyognomicznego znaczenia ręki, a dłoni i palcy w szczególności. Wiadomo, że z linii, którymi dłoń hieroglificznie pokrzyżowana, wróżono nie tylko o przeszłości losów człowieka, ale i o własnościach jego charakteru. Chiromantia, pomimo szarlataneryi swojej, o tyle zawsze godna jest uwagi, że w wykształcie ręki słusznie uważała praktyczne znamię człowieczeństwa, i narzędzie przyszłych losów człowieka; albowiem wszystka zręczność ludzka w palcach ręki osiadła.

Ręka ma dwojakie znaczenie: w kończynach jęj palców stoczyło się najdelikatniejsze uczucie, i uczyniło rękę przedwszystkim narzędziem dotykania; w potrójnych stawach tychże palców złożoną jest łatwość najrozmaitszego chwytania, ujmowania i trzymania rzeczy, przez co ręka stała się narzędziem ruchu, zręczności i kunsztu. Ręka z przeważającym uczuciem, właściwą jest płci żeńskiej: mała, miękka, delikatna; dłoń niezbyt szeroka; palce subtelnie utoczone, mają lekki, koniczny spadek, u samych kończyn nieco spulchniony; palec wielki drobny, stawy mało wydatne. Ręka na ten sposób zbudowana, zapowiada uczucia delikatne, łagodne, kobiece, duszę fantastyczną, poetyczną i artystyczną.

Płci męskiej właściwszą jest ręka z przewagą muskularnej budowy, ku zręcznemu, ale i silniejszemu chwytaniu przedmiotów. Gdzie ręka jest wielka, z wydatnymi, węglowatymi stawami, dłoń twarda, szeroka i wklęsła, wierzch ręki żyłasty, muskularny, palce silne, w czworogran zakończone, palec wielki gruby, pięść potężna; — tam u człowieka bywa silna, męzka wola, a z nią w parze idzie przedsiębiorczość, sprężystość i wytrwałość.

Między tymi ostatecznościami trzyma środek ręki, łącząca jakby w równowadze jedno i drugie przeznaczenie swoje. Rozciągłości jęj są umiarkowane, palce kształtne, podłużne i smukłe, stawy w falistych konturach wydatne, paznogie drobne, więcej wzdłuż, niż wszerz rozciągnięte. Ręka, na ten sposób

utoczona, znamieniem bywa ludzi myślących, oddanych umiejętności, sztuce, lub religii, w ogóle, ludzi więcej teoretycznej, niż praktycznej zręczności.

Obok tych głównych znamion chiromantycznych, postrzegamy nieskończoność ich odcieni, w których się zgubić musi wszelka prorocza umiejętność. Człowiek w stanie natury, oddany grubej pracy, bez wpływu uszlachetniających okoliczności, ma rękę grubą, surową, niezdarną; dłoń twardą i niezwykle szeroką, stawy mało giętkie, palce krótkie, grube. Gdzie się w oświeconych klasach ludzi podobna ręka znajduje, będzie zawsze śladem surowych obyczajów i nieokrzesanego wychowania, acz charakter może być prawy i poczciwy. Długie palce stały się przysłowiem ludu, którym naznacza tych, co unikając pracy, nie mają skrupułu w przywłaszczaniu sobie ukradkiem cudzej własności. — Zawsze palce długie bywają oznaką ludzi przemyślnych i przebiegłych.

Utok nogi zwykle bywa odpowiedni utokowi ręki. Drobną, smukłą i delikatną, z wąską i wklęsłą podeszwą, z piętą zwężoną i rzędem palcy giętkich, elastycznych, jest zwiastunem pięknego, kobiecego poruszenia. Przegląda z niej zmysł rytmiczny i pochopność do wiotkiego tańca. — Noga wielka, żyłasta, z podeszwą szeroką, płaską, piętą okrągłą, wydatną, i grubym wielkim palcem, zapowiada siłę, ale i niedostatek wyższych uczuć, oznacza męskość, ale bez wyższych zdolności. Średnie rozmiary nogi, wysokie na przegubiu, pojawiać się zwykły przy uzdolnionej mękości.

r) Ruchy ciała.

Cośmy dotąd uważali, był to wyraz charakteru, który się przebiegał w formach kształtu ludzkiego, zostających w spoczynku. Nierównie wyraźniej przemawia do nas duchowe wnętrze człowieka w poruszeniach jego ciała. Wchodzimy tu w powiat min, ruchów, gestów, wyrażających uczucia i myśli, w ogóle w powiat mimiki i patognomiki. Jak z fizyognomii od razu poznałeś osobę znajomą, tak ją od razu poznasz po

głosie i po ruchach ciała. Każdy człowiek wyrabia sobie chod, który jemu tylko jest właściwy, wyrabia sobie pewne oryginalne ruchy, którymi się od innych osób odznacza. Jest to dowodem, jak indywidualność człowieka całą istotę jego przesiąka i owłada. A że życie jest ruchem, ztąd téż rzecz naturalna, że w ruchach ciała najdobitniej się wyrażają charakterystyki tegoż życia.

Fizyognomia ciała jest, jak fizyognomia ziemi naszej, stęgła i stwargła na stałe formy, świadek niemy wielkich rewolucji żywota ludzkiego, które z niemowlęstwa człowieka doprowadziły do dojrzałości, i zrobiły z niego to, czym jest i czym się być pokazuje. Ale te formy nieruchome są ciemne, zagadkowe, patrzą na nas wzrokiem sfinxa, a człowiek domyśla się tylko odległe ich znaczenia.

Atoli, chceszli mieć wyobrażenie niejaki, jakie to były owe rewolucje wulkaniczne i neptuniczne, które natura wzięła w posługę, dzisiejszą budując fizygnomię globu ziemskiego, popatrz na mimikę i patognomię ziemi. Przypatrz się jój ruchom, gdy zachmurzywszy oblicze, burzą miota i piorunami ciska; gdy jakby z głębokiego westchnienia pierś szeroką nadmie i wody wystąpią, a gwałtowność powodzi rozrywa skały i granity gruchoce; gdy nieorganiczne żywioły w jój wnętrzu się roznamiętnią, i ciało jój zadrzy, i z hukiem straszliwym ognie z jój otchłani wybuchną. — Otóż podobnie mimika i patognomika człowieka objawi ci raz po raz te ukryte potęgi, te burze gwałtowne, te bóle ciężkie i namiętności gorące, które wyrobiły stały wyraz jego oblicza i jego postaci.

Jak oblicze jest najwydatniejszą częścią w postaci człowieka, tak gra jego będzie najgłówniejszą sferą jego mimiki. W natężeniu czy myśli, czy uczuć drażniętych, fałdzi się czoło, marszczki po nim obsiadają, jak chmurne obłoczki po niebie, zapowiadając burze i nawałnice. W chwilach wesołości i ukontentowania wypogadza i wygładza się czoło. Nabiera téj samój gładkości, gdy człowiek się umila, schlebając cudzemu, lub swojemu interesowi.

W brwiach leży symbol siły. Dla tego ściągają się ku sobie, jakby się spoić chciały, gdy jakaś siła wewnętrzna się napina i do wybuchu gotuje. Widać w tym poruszeniu to gniew, to zemstę, to moc nateżoną ku pokonaniu bólu, lub przeciwności. Kiedy się brwi podnoszą w górę, rozchodzą się zarazem. Jest to poruszenie namysłu, lub podziwu; kierunek ku górze wskazuje siedlisko władz ducha, i odsłania równocześnie oko, jakby przejrzeć miało tajemnicę, nad którą się myśl zastanawia.

Wiele mimiki wdzięcznej i uroczej leży w poruszeniach powiek. Zna się na nich zalotność kobieca i umie nimi wabić. Jaka słodycz rozlana po twarzy, gdy niewinność zawstydzona spuści powieki ku ziemi, i stawa jak posąg żywy z zasklepionymi oczyma! Jaki urok bije z oka, gdy nadzieja, lub zaufanie powiekę odsłoni. Przymrużenie powiek, by coś w oddali obaczyć, równie jest powabne, jeżeli nie jest nałogiem kokietującego wzroku. Mruganie powieką, używane jako mimiczne dawanie znaków, zwykle połączone z poruszeniem odpowiednim głowy, podoba się jako wyraz wesołej filuteryi, która u dzieci mianowicie nader pociesznie wygląda. Mruganie naturalne, odbywające się bez woli i wiedzy naszej, jest rzeczywistą pięknnością wzroku: jest nią nie tylko samo mgnienie oka przelotne, jakby błyskawicy, ale i to chwilkowe przechodzenie od ciemni do światła, czym się piękne wrażenie jasnej rzeczywistości odświeża i podnieca.

W oku najwięcej życia, ztąd też najwięcej ruchu. Obraca oś swoją na wszystkie strony i wskazuje, a razem zdradza stosunek przedmiotu do osoby. Najrozmaitsze przybiera pozycye, wedle uczuć i usposobienia, które właśnie nami władają. W uczuciach dodatnych, jakimi są radość, odwaga, gniew, ciekawość — występuje naprzód; w głąb się cofa w uczuciach ujemnych, jakimi są smutek, strach, przerażenie. — W rozpacz, w błaganiu, człowiek oczy podnosi do góry, w pokorze i zawstyżeniu spuszcza je na dół. Zemsta, zazdrość, łakomstwo, chęć namiętna, łyszcza w źrenicy, jakby żar węgla z oczu potępieńców; miłość, odwaga, zapał, promienieją blaskiem, jakby niebiańskim. W strachu, w rozpa-

czy, przytłumiony blask oka, i blade światło, jakby nocy księżycowej, z niego świeci. — Ruchliwe i mrugliwe oko znamieniem jest żywości temperamentu, ale razem niepewnego charakteru. Oko jasne, poważne w ruchach, bywa wyrazem głowy myślącej, duszy fantazyjnej i prawego serca. Wytrzeszczowate oczy znamionują głupotę, acz bywają symbolem dobrej pamięci.

Poruszenia nosa nie są tak rozmaite, a że to już materialny organ ciała, tracą na idealności, i najczęściej przechodzą w ruchy niepiękne, grymasne. Jak zapach niemiły, który powonienie nasze razi, tak każde nieukontentowanie osiada na nosie, który się natenczas marszczy, kręci, czym na ruch liców i warg równocześnie wpływa. Wyrażenia: zadrzeć nosa (na znak dumy), spuścić nosa (na znak upokorzenia), odejść z długim nosem (na znak wstydu i zawiedzionych nadziei), ściągają się raczej do wrażeń ruchu z całego oblicza, niż do ruchu samego nosa. Rzeczywiste ruchy odbywają skrzydła nosowe, we wszystkich gwałtownych napiętościach uczuć: uważamy za nieestetyczne kalkowanie nosa wśród zapalczywości, wśród bólu gwałtownego, lub silnego natężenia woli, np. przy ćwiczeniu się w egzekucyi muzycznej.

Lica nie mają własnego osobnego ruchu; wprawiane bywają w ruch mimiczny przez poruszenie ust, i cały wyraz tego ruchu do samych ust się stacza. Za to uczucia wewnętrzne uwydatniają się na licach zaskórnym ruchem krwi i nerwów. — Na nich osiada bladość trupia wśród przerażenia i trwogi; albo rozlewa się rumieniec, płonący zapalem, lub gniewem. W pierwszym razie życie człowieka wydaje się zagrożone, cofa i ściągą się w siebie, a ztąd i krew żywotna z powierzchni ciała ustępuje; w drugim, życie się natęży i chciałoby na zewnątrz wystąpić, i dla tego krew ciśnie się do powierzchni. Lecz jeżeli chęć ukrycia wnętrza przez cofnięcie się w siebie nie jest w mocy człowieka, i dusza z tajni swoich widzi się na wierzch wydobytą, wtenczas lica nie bledną, ale płoną, jak to bywa wśród zawstydzenia. Podobnie nie czerwienią się, ale bledną, gdy dusza, występująca na ze-

wnątrz, czuje się wstecz cofaną; ztąd gniew bywa blady, ilekroć wola, lub względy tłumią jego wybuch.

Oko jest hieroglifem ducha, mowa jego jasnym wyrazem. Ztąd usta, przez które się słowo przeciska, będą miały różnie rozliczną grę mimicznych i patognomicznych ruchów, jak oko. W nieustannym ruchu są oczy przy oglądaniu, w ciągłym ruchu są także usta przy mówieniu. Atoli właściwa ich mimika na niemych poruszeniach warg i całej sąsiedniej okolicy polega. Miluchny jest uśmiech, do którego się usta układają, jeżeli go myśl lekka, wesoła, niewinna wywołuje; uśmiech ironii, pogardy, lekceważącego politowania, ma coś cierpkiego, co się w lekko spaczonym skrzywieniu ust maluje. Powabnym jest także ów nastrój ust do obrazy i gniewu, bez istotnej woli gniewania się; owo boczenie się kochanków, albo wesołej przyjaźni młodzieńczej. Lecz gdy prawdziwe nieukontentowanie i gniew markotny na ustach osiedzie, warga wierzchnia wtedy naprzód występuje i ruch odpowiedni nadaje całej tej okolicy oblicza. Uporna wola wystąpieniem spodniej wargi się objawia. Strach i zdumienie roztwiera usta, jakby do wydania głosu, który zanim wyszedł, struchlał, — *vox faucibus haesit*, jak powiada Owidyusz. Ruch teje wargi ku górze, pociągający za sobą podniesienie się podbródka, znaczy wątpliwość, niedowierzanie, lekceważenie. Kłaskanie ustami oznaczać zwykło smak w rzeczach materyalnych, i zadowolenie materyalne z siebie. Ruch ust, powstający z kłaskania języka o zęby, jest znakiem nieukontentowania.

Zęby i szczęki oddają się także w posługi ust, w chwilach gwałtownego wezbrania namiętności, kiedy z przygłuszeniem rozumu ogarnia człowieka, albo wściekłość zwierzęca, albo strach śmiertelny słabą jego duszę przenika. W pierwszym przypadku zgrzyt zębów, jak zgrzyt szkła, przenikliwy, usta kurczem na obie strony przekrzywia; w drugim, podobny kurcz zębami klekoce, a usta drżą, jakby je zimnica ogroziła. Jeżeli strach zamienia się w przerażenie, które członki znieruchamia, wtenczas włosy powstają na głowie, i stercząc na wszystkie strony, dają przerażający obraz wystrachanego człowieka.

Poruszeniami całej głowy, które ułatwia giętkość stawów pacierzowych w karku, znakomita odbywa się mimika. Człowiek dumny dźwiga ją do góry i prawie w nieruchomej pozycji trzyma; smutny i pokorny, zwiesza ją na dół, brodę o piersi opiera, czy dla zbytnej lekkości, czy dla zbytniego ciężaru. O zagorzalcach i obłudnikach religijnych powiedział pisarz satyr narodowych, że zakręciwszy na bok główkę, chodzą, jakby z panem Bogiem gadali. Piękną ma komiczność poruszenie głowy, gdy ją ktoś z ciekawości uchem nadstawia; gdy podsłuchuje, jak Thisbe w obrazie; gdy z nadstawionymi słuchami naprzód ją podaje, szpiegującym wzrokiem tocząc po przedmiotach i ludziach. W lekkim zwieszeniu głowy poznasz łagodne usposobienie, w zarzuceniu jęj na tył i po silniejszych jęj ruchach odgadniesz burzliwy i gwałtowny charakter. Z filuteryi, lub z małomówności, zwykliśmy głowę dawać znaki potakiwania, lub przeczenia. Ruch taki bywa szczególnie piękny u dzieci i ludzi młodych z wesołym, figlarnym obliczem, bo wtenczas ruch ten odbywa się od niechcienia, ale cała dusza nim przemawia.

Szyja nie ma osobnego ruchu, i zawsze w poruszeniach swoich z głową połączona. Główna mimika ramion na widocznym podniesieniu ich do góry polega, tak, że przy krótkim karku głowa pomiędzy ramionami osiada. Takim ruchem narzędzi czynu i działania ku głowie, w której rozum mieszka, zdawamy się przypominać sobie, lub komuś, że jedne z drugim powinno być połączone. Dla tego wzdrygamy ramionami na rzeczy bezrozumne, niedorzeczne, lub niepoczciwe. Leży w tym ruchu więcej przestrogi, niż pogardy, więcej litości i podziwu, niż lekceważenia. A im dłużej ramiona w tej pozycji trzymamy, tym wyraźliwsze bywa nasze zdumienie, czy to na mowę, czy na postępowanie obce. W dodatnych uczuciach człowiek się pręży i ramiona do góry trzyma; w ujemnych opuszcza je; wiszą wtedy owisłe, jakby bez władzy.

Pierś męzka się nadyma i podnosi, gdy ją porywa odwaga, zapal, lub rozpierają poruszone namiętności gniewu;

ściąga się i zapada, gdy ją trwoga ściska, albo żal i smutek przygniata. Pięknym jest przyspieszone podnoszenie się i opadanie pulchnej piersi kobiecój, jakby kołysanie się fali morskiej, gdy ją wiatr poruszy; bo w tym sercu niewieścim poruszyło się uczucie miłości, krew pod jój tchnieniem febrycznym gwałtowniej zawrzała, i wzburzona falami piersi parzystych kołysze. Przy zwyczajnym oddychaniu odbywa się także, tylko że łagodniejsze, podnoszenie i opadanie piersi. Piękny to obraz peryodycznego przyływu i odpływu sił żywotnych człowieka. — Poruszenia niższej części ciała są mniej widoczne. Tylko wśród śmiechu trzęsie się brzuch i zanosi, a te komiczne jego podrygi, zwłaszcza jeżeli to brzuch nie lada, śmiech tym śmieszniejszym czynią. Zresztą przy oddychaniu brzuch peryodycznym poruszeniem piersi wtoruje, i wraz z nimi podnosi się i opada.

W nogach i rękach, jako w narzędziach przedewszystkim do ruchu przeznaczonych, największa téż musi być symbolika mimiczna. Rzeczywiste gesta odbywają ręce, rzeczywistą mimiczną postawę nadawają ciału całemu nogi. Najrozliczniejsze ruchy, pełne wdzięku i piękności, odbywają się za pomocą tych członków. Podziwiamy je w gimnastycznych ćwiczeniach, w posągowych sytuacjach i w tak nazwanych żywych obrazach. Ale i w naturalnych ruchach ileż się nie roztacza uroku, które estetyczne oko chwyta i podziwia. Nie podobna przedstawić ich piękna w nieprzeliczonych kombinacjach poruszeń mimicznych. Na niektóre tylko zwróćmy uwagę. Jaka cudna, korna, błagalna jest postawa klęczącej u ołtarza niewiasty, ze złożonymi do modlitwy rękoma; — jak urocza sytuacja młodzieńca, gdy przykłęka na jednym kolanie z przyłożoną do serca prawicą, przysięgając miłość i wierność oblubienicy serca swojego; — albo jak poważna, gdy Boratyński, w Barbarze Felińskiego, zgina przed Augustem kolano, błagając go i zaklinając, aby cofnął niestosowne śluby z Barbarą. Pyszny jest wizerunek wodza, co stojąc i jedną nogę naprzód podawszy, wskazuje wyciągnioną w prostej linii ręką na punkt, gdzie się los walki rozstrzyga; — rozczulającym widok osoby, co obie ręce wyciąga ku powitaniu i uściśnieniu

dawno nie widzianego przyjaciela; — rzewliwym obraz matki, co po stracie dziecka z rozpaczycy załamuje ręce. Uroczyste są postawy trzech mężów, co na dolinie Rütli, z podniesionymi prawicami do góry, a lewice podając sobie nawzajem, zaprzysięgają Związek Szwajcarski; — albo poważna postawa papieża, błogosławiącego z balkonu lud rozkłęczony, znakiem krzyża świętego. Są to ruchy dramatyczne i tragiczne, do których dodajemy jeszcze morderców, godzących sztyletami na synów Edwarda; Brutusa, rozdzierającego szaty na piersi, aby w nią ręka przyjaciela cios śmiertelny zadała; Spartanów, gotujących się z Leonidasem na bój śmiertelny w Termopilach; Wilhelma Tella w znanym strzale do własnego dziecka i t. p.

Wszelako i bez téj dramatyczności piękną jest zawsze mimika rąk i nóg, n. p. sięganie ręką po przedmiot wysoki, spinywanie się na nogach; ściskanie dłoni, obejmowanie w pas do uścisku; zakrywanie sobie twarzy rękoma w płaczu i narzekaniu; oparcie głowy na rękę w smutku i namyśleniu; napoleońskie zakrzyżowanie rąk na piersiach, oznaczające pewność siebie; założenie ich na plecy wśród nieczynności umysłu, lub spokojnego rozważania; wsparcie się na obcym ramieniu, lub na innym przedmiocie; zacinalanie pięści i ruchy konwulsyjne w gwałtownych poruszeniach umysłu; przyciąganie, odpychanie, chwyatanie, zamierzanie się, rzucanie, kiwanie, wskazywanie, przedstawiają najrozlicniejszą mimikę, odbywającą się głównie ruchami rąk i ramion.

Ruchy nóg w postawach są piękne, bo dają podstawę rzeczywistą, odpowiednią sytuacji, w którą się dramatyczne, lub liryczne, chwilowe uczucie człowieka wyraziło; w chwili samego poruszenia uważane, nie mają tego wdzięku i idealności, które się w ruchach ręki odsłaniały. Tupanie nogą w złości, kopanie w zapalczywości, są ruchy niepiękne i zwierzęce. Więcej już uroku ma ciche skradanie się na palcach, wszakże ten urok nie tyle leży w ruchu samych nóg, ile w całej postawie, chcącój zbliżyć się do kogoś, jakby cichym kroczeniem ducha. Chód sam albo jest ciężki, albo wiotki; lekki, albo poważny i uroczysty; zwinny, albo powolny. Zawsze jednak

gracya chodu do całej postawy przywiązana. Bieg szybki i chyży najmniej przedstawia wdzięku, a żadnego wyrazu; widać, że nie jest właściwy człowiekowi. Razi w kobiecie i w mężu poważnym. Uchodzi tylko w młodym wieku, gdy jeszcze kibić wiotka, członki lekkie, postać niewyrosta, a krew gorąca i rączka.

Już przy chodzeniu odbywają ręce jednoczesne ruchy wraz z nogami. Ta sama wspólność ruchów odbywa się przy wszelkich innych naturalnych poruszeniach: przy siadaniu, wstawaniu, kładzeniu się i upadaniu na ziemię; przy zrywaniu się ze ziemi, przy skakaniu i posuwaniu się do taktu; przy wsiedaniu na koń, wstępowaniu po wschodach i wyżynach i t. d. Na tym właśnie piękno natury polega; że w tych naturalnych, prawie bezwiednych poruszeniach, układa się nie tylko odpowiednia celowi, ale i symetryczna i piękna jedność ruchów, zmieniająca się w coraz inne, równie piękne harmonie poruszeń ciała ludzkiego, w których ręce i nogi główne nakreślają figury.

Engel* zwraca jeszcze uwagę na malowniczą mimikę członków, która bez namysłu, instynktowo się następuje, pomimo, że z dobrze obliczonych wrażeń wypływa, a dla tego dla każdego jest zrozumiałą. Gdy chcemy np. wskazać wysokość przedmiotu, podnosimy rękę, i na płask zagiętą dłońią wskazujemy jego oddal od ziemi. Podobnie objętość naznaczamy złożonymi naprzód rękoma, dodając pewną przestrzeń do objętości brzucha. Nie zamykamy zaś tych rozmiarów, ale je rzutem ręki roztwieramy w bezmiar, jeżeli zbyt wielką malujemy rozciągłość. W wyciągniętej ręce i w palcu skazującym maluje się rozkaz, w nachyleniu głowy uszanowanie; miłość i przywiązanie malujemy, kładąc ręce obie na sercu i unosząc piersi do góry. Głaskanie gardzieli znamionuje pragnienie; przebieranie ręką we włosach ukontentowanie. Pukanie palcem w czoło napomina do namysłu, uderzanie się ręką w czoło, daje rozumowi policzek, za spełnione głupstwo. Grożenie palcem na nosie jest przestrogą, napomnieniem dla

* Ideen zu einer Mimik.

drugiego, jakby człowiek wskazywał tym poruszeniem, że złe, które płata, tak jest wydatne, jak nos na twarzy. Kładzenie palca na usta nakazuje milczenie; położenie go na koniec nosa znaczy, aby namyślić się z dobrym węchem. Lud prosty maluje wyszydzenie, że nos piędzmi obu rąk przedłuża.

Ta malowniczość gestów przerzuca się w naśladownictwo, gdy się dzieje z wiedzą i namysłem. Najczęściej bywa ono komiczne, gdy po drugich pokazujemy ich wady i przywary, przedrzeźniamy ich fizyognomie, naśladujemy ich chód, głos i t. p. Ten rodzaj naśladownictwa nie jest sztuką, lecz naturą; jest przyrodzonym uzdolnieniem i skłonnością na ten sam sposób, jak n. p. śpiewność głosu. Świadczy to zawsze o jakimś małym usposobieniu, o jakiejś satyrycznej komiczności, i daje dowód, że charakter człowieka, tak usposobionego, może być łagodny, dobry, ale powierzchowny, bystrość umysłu może wielka, ale uczucia miałkie. — Gdzie uczucia są żywe i łatwo się w stanowisko obce przenoszą, tam znowu powstaje mimika mimo wiedzy i woli człowieka. Uważamy nieraz, że kiedy kto w mówiącego się z uwagą wpatruje, ustami porusza, jakby to samo chciał powiedzieć; że kiedy ktoś bierze żywy interes do osoby, ruchy takie odbywa, które są symboliką tego, coby chciał, aby owa osoba mówiła, lub robiła; że kiedy ktoś widzi drugiego w niebezpieczeństwie, gdy na niego coś spada z wysokości, tak ciało wygina, jakby chciał, żeby on je wygiął, by razu od spadającego przedmiotu uniknął.

Są nakoniec uczucia, udzielające się jakby przez zarazę, które do téj samej kategorii mimiki naśladowczej należą. Tak Don Pedro, nieutulony w żalu po swojej Inez de Castro, wstawał w nocy, brał trębaczy z pochodniami i tańczył po ulicach, lud to widząc, tańczył także, i coraz większe rosło koło tańczących. W XIV. wieku taniec stał się manią; był to taniec drażliwy, kurczowy, jak taniec św. Wita, który się udzielał, jak zaraza. Chwytano się konwulsyjnie za ręce, tańczono wszędzie, po ulicach i po kościołach. — Tak zapał każdy porywa i udziela się: jednocześnie padają gromady ludu na kolana, ogarnięte religijnym urokiem cudownego

miejsca; jednocześnie porwali się magnaci węgierscy do szabel swoich, i zakrzyknęli: *pro regina nostra Maria Teresia!* gdy ta monarchini stanęła wśród nich z dzieciątkiem swoim na rękę. O błogim panowaniu Leszka białego, śpiewa wieszcz narodowy, że kiedy płakał, wszyscy płakali, kiedy się rozśmiał, wszyscy się śmiali. — Rzeczywiście, z ruchów patognomicznych, nie tak nie zaraża, jak śmiech i płacz, do czego przydać jeszcze należy ziewanie.

Śmiech jest wyrazem wesołego humoru i potrzebuje lekkiego, choćby tylko na chwilę, usposobienia umysłu. Śmiejącemu twarz się rozszerza, usta się roztwierają i wydają głos mniej więcej hałaśny, zakątki ich się podnoszą, a z nimi lica pulchniejac, ku oczom się cisną, przez co oko maleje i zmruża się, a skrzydła nosowe nieco się rozszerzają. Wdzięk, który leżał w uśmiechu, dla tego że był milczącym i łagodnym, znika w śmiechu hałaśnym i kurczowym. Zawsze jednak zostaje wyraz wesołego wrażenia, który się patrzącym udziela. Wszędzie, gdzie człowiek zachowuje swobodę rozumnego ducha, a ujrzy się w stosunku do przedmiotu, dającego obraz rozumowego przeciwieństwa, uczuje skłonność do śmiechu. Wyobraźnia przeskakuje wtenczas co chwila od tego, co jest, do tego, co być powinno, i odbywając taką grę z obydwoma stronami zachodzącego przeciwieństwa, sprawia załechcenie ducha tym nieustającym przechodzeniem od napiętości do rozpiętości, i to załechcenie udziela się błonie piersiowej, z kądem drgnieniem kurczowym występuje jako śmiech na twarzy, z hałasem, krztuszeniem się i zanoszeniem się od śmiechu.

Płacz zupełnie śmiechowi przeciwny, nie rozszerza, ani podnosi części oblicza w górę, ale je rozdłuża i na dół przeciąga. Jest wyrazem smutku i dojmującej boleści, oraz rzewliwego usposobienia uczuć. Jak śmiech początkujący, tak i płacz na poczynaniu ma urok, kiedy oko łza zawilży, na rzęsach się zaperli, albo jak kropelka przezroczystej rosy po płonącym licu się stoczy. Płacz rzewliwy, połączony z łkaniem i szlochami, nie jest piękny; ale zachowuje wyraz żalobliwego i rzewnego wrażenia, które się patrzącym udzielać zwykło. — Żal i smutek ściska serce, a skutkiem tego naci-

sku jest łza ssącząca z oka, jakby gorzka wyciecz z jagody nabolatěj. To téż ulży zbolątemu sercu, gdy człowiek cierpienia swoje wypłacze. Smutek owątla muszkuły, ztąd rozdlużenie i opuszczenie się twarzy. Ludzie płaczeni są miękiego, praktycznie nieudolnego, ale poczciwego charakteru. Taki sam można zrobić wniosek o osobach, z tak nazwaną nieszczęśliwą, a raczej płaczeniwą fizyognomią. Nie ma w nich najmniejszego hartu, a lada nieszczęście o rozpacz i zwątpienie ich przyprawia. Przeciwnie osoby, z obliczem do uśmiechu podanym, bywają weseli, dowcipni, prózni, powierzchowni.

Poziewanie jest zawsze wyrazem anormalnego stanu człowieka, a mianowicie osłabionych funkcji działającėj duszy. Objawia się w chorobach, w niewyspaniu, ale i w nudach. Kto się nudzi, jest w stanie nieczynności umysłu, co także jest stanem anormalnym, bo umysł jest ciągłym ruchem i czynnością. Nudzimy się, gdy ducha naszego przenosimy w obcą mu sferę, w której nie umie być czynnym, albo w sferę, która mu przedmiotu żadnego do czynności nie nastrecza. W nieczynności tępieją i słabną władze duszy i jēj organów; jeżeli więc nie nastąpi uśpienie, dusza czuwająca nadaje popęd ciału ku ożywieniu zmysłów i członków, kurcz wtedy rozwiera gwałtownie usta i masę powietrza wciąga do płuc, aby krew, a przez nią ciało, masę kwasorodu ożywić. Równocześnie człowiek wyciera sobie oczy, przeciąga członki. Rzecz widoczna że ziewanie i przeciąganie objawiać się także musi we zwierzętach, a nawet częścić, niż w człowieku, i że dla tego najniżć stoi w mimice estetycznej.

Wskazaliśmy pokrótce ruch mimiczny pojedynczych części ciała i członków. Myśl ludzka najwięć z oblicza patrzy, niekiedy tylko ruchami członków i głowy sobie dopomaga. Atoli uczucie całe ciało owłada i przenika. Wielekroć człowiek potrafi być panem uczuć swoich, nie da im się rozwinąć, a jeżeli czuje, że się ocknęły, przytłumia je w sobie, i nie pozwala im się na zewnątrz wyrazić. O Taylerandzie n. p. powiadają, że choć go kto nadepnął gwałtownie, nie dał tego uczuć żadnym poruszeniem miny. Najczęścić jednak nie jesteśmy w stanie powściągnąć uczuć, które nas ogarniają

i w jednej chwili do gruntu przenikają całe ciało nasze, n. p. gdy nas śmiech, gniew, płacz, wstyd, strach porywa. Wtedy na całym ciele ten sam wyraz panującego uczucia się maluje.

Gdy trwoga człowieka ogarnie, drży ciało, jak osinowy listek, skóra się gęsi, jakby zimnem oblana, brzuch się kurczy, pierś zapada, tchu braknie, bladeść na twarzy się rozlewa, usta straciły czerwoność, strach w mdłych i zapadłych oczach osiada, zimny pot na czoło występuje, włos się jeży, nogi znieruchomiały, a rękami się człowiek zastawia, jakby od niebezpieczeństwa grożącego sobie chciał zasłonić. — Podobnie złość ruchem całego ciała się objawia. Żyły krwią nabiegły, oblicze się zarumieniło, oczy na wierzch wystąpiły, brwi się zmarszczyły, skrzydła nosowe rozdeły, pierś się podniosła, ręka w pięść ścisnęła, i człowiek z naprzód podaną nogą, wypiętą postawą ciała i wzrokiem w niebo utkwionym, zda się wyzywać pioruny, a tupnieniem nogi rozbijać ziemię, na której stoi.

Patognomika jest zatem wyrazem władającego w tej właśnie chwili uczucia; podobnie jak mimika objawem jest władającej w człowieku chwilowej myśli. Gdy jedno i druga przeminie, mija też wyraz w ruchach uwydatniony. Ale kiedy często na ten sam sposób te ruchy się powtarzają, czyli kiedy często to samo uczucie i ta sama myśl powraca, wtedy, tak ruch, jak fizyognomia nim zmieniona, nabiera form stereotypowych, które się już stają wyrazem charakteru naszego.

Stosunek charakteru do mimiki i patognomiki sam się ztąd podaje. Póki człowiek młody, charakter jego jeszcze nie jest wyrobiony, i rysy i ruchy stereotypowe jeszcze się nie uwydatniły. Człowiek natenczas jest więcéj naturą, nie umiejący hamować i powściągać gwałtowności uczuć i żywości myśli. Z wiekiem dojrzałym dopiero, około trzydziestego, a często dopiero około czterdziestego roku, widać już wyraźne stereotypowe formy, tak w ruchach, jak w rysach twarzy i ciała. Mimika i patognomika już na ten sam sposób się przedstawia.

Jeżeli potęgi ducha były słabe, wzięły górę namiętności i powtarzają się stałymi formami na zewnątrz; jeżeli były silne,

umiarkował je rozum i ugłaskała rozwaga, i widać w ruchach stałych tę cywilizacją ducha, co trzyma na wodzy namiętne wybryki uczuć. Choć się nawet taki charakter czasami zapali i z równowagi zwyczajnej wypadnie, poznasz zawsze szlachetny ogień, który gore, ale nie pali, i nigdy się w pożar nie zamienia. Gdzie zaś człowiek, przez obłudę, mając ukryte złe cele, panuje nad sobą, gdzie bezbożnik udaje świętoszka, zdrajca przyjaciela, złośnik jezuska, rozpustnik z wypalonym sercem czulego kochanka, pijak wstrzemięźliwego, — tam naturalnie charakter także się tylko w masce przedstawia; a gdy ta maska spadnie, właściwe jego oblicze w tym piekielniejszych zaiskrzy się formach. Mimika, długo powtarzana, jest raczej wprawą, nałogiem, i nie ma tej obłudy. Stawszy się stereotypową, nabiera właściwego piękna, bo się wyrabia do doskonałości treści i formy — czy to komicznej, czy poważnej. Tak n. p. ruchy rozkazujące generała, który już przywykł do dawania rozkazów, będą piękne i poważne, gdy tymczasem także ruchy nowoupieczonego oficera, będą niepewne, niezręczne, albo wymuszone.

Zbierając to wszystko, cośmy o skulpturze natury powiedzieli, w ostateczny tych estetycznych badań wypadek, widzimy, że piękno plastyczne natury od kształtów zbieżało co raz bliżej do wyrazów. Nie było rzeczywiście wyrazu (jako plastycznego piękna) w kształtach zwierzęcych, bo cośmy tam fizyognomią nazywali, było tylko zewnętrznym obrazem natury zwierzęcej. Fizyognomia kształtu ludzkiego już była wyrazowa, bo się przez nią nie sama tylko natura ludzka, ale i duch człowieka wyrażał, i w każdym kształcie ujrzeliśmy osobną i odrębną indywidualność tego ducha.

Ten wyraz indywidualny ducha już był skutkiem pracy tegoż ducha. Co się na kształcie ludzkim jako wyraz wyrobiło, już było z ducha, nie z natury. Nie było to już następnie piękno natury, ale piękno ducha — atoli jeszcze w naturze, w kształcie ciała objawionego. Dla tego nierozzerwanego związku robót ducha i robót natury, który się w charakterach przedstawiał, musieliśmy piękno charakterów ludz-

kich, o ile się takowe w połączeniu z naturą objawiają, pod piękno plastyczne natury podciągnąć, aczkolwiek jedna tylko jego połowa do piękna natury należy i plastykę kształtową stanowi. Druga połowa jest już idealna, i robi przejście do piękna moralnego: w rodzinie, w społeczeństwie, w dziejach.

C.

PIĘKNO PLASTYCZNE WYRAZOWE

CZYLI

MALARSTWO NATURY.

Plastyka natury z rozmiarów postępuje do kształtów, a z kształtów do wyrazu. Piękno natury w rozmiarach było martwe; — same formy bez ruchu i życia, rozpołożone w przestrzennych ogromach. Piękno natury w kształtach przeszło już z martwości do ruchu, z nieograniczoneści form do ich ograniczenia; z ruchem objawiło się życie i zapełniło sobą lądy, wody i powietrze. Natura cała ożyła życiem tworów żywotnych i stał się jakby ożenek piękna natury rozmiarowego i piękna jój kształtowego; — małżeństwo matki natury z niezliczonymi rojami zwierząt i ludzi. Innymi słowy, architektoniczne gmachy natury już nie stoją pustkami, ale w nich zamieszkały liczne pokolenia tworów, życiem obdarzonych.

Wszakże ten ożenek nie byłby podobnym, gdyby nie było możności poznania się wzajemnego; gdyby nie było rozlanego wyrazu, tak na obliczu martwój przyrody, jak na obliczu żywych tworów, którym dopiero uwydatnia się rzeczywista piękność tak jednéj, jak drugich. Nie natura, ale jój wyraz jest piękny. On to sprawia, że tak lubie jest życie w naturze, że się twór żywy z taką rozkoszą wpatruje w jój oblicze, uroku

pełne, i kosztuje wszystkich z takiego poglądu słodczy; — i na odwrót, że się natura, w cudne szaty strojna, mile wdzieczy do tworu żywego, jako oblubienica do swego oblubieńca.

Ten wyraz plastycznego piękna jest jego treścią, ale na jego powierzchni roztoczoną i przejrzystą; — jest idealnym ciepłem jego idealnego życia, które i w nas ideały do życia rozgrzewa; — jest błyskiem obraźni bożej, która na naturę i jej twory tę roztozczy pięknych form i kształtów tak hojnie rozlała; — jest blaskiem oka Stwórcy wszechmocnego z dzieł jego nieprzebranych. Gdy bez tego wyrazu, kształt nie byłby kształtem, ani rozmiar rozmiarem, — bo tak kształt, jak rozmiar, jest formą, i w wyrazie musi znaleźć treść swoją — pokazuje się ztąd wielka przedmiotowość wyrazowego piękna w plastyce natury, a mylność teorii niemieckiej, która to piękno mieniła być w człowieku, nie w naturze.

Piękno wyrazowe nie jest to osobne jakieś piękno w przedmiotowości przyrodzenia, tak jak nim było piękno rozmiarowe, uważane w sklepieniach, w konturach i ozdobach ziemi naszej; albo jak nim było piękno kształtowe w snycerskich tworcach natury; — ono nie ma takiego istnienia, któreby można uchwycić, namacać, od innych tworów pięknych wyosobnić, i mieć takiego istnienia nie może, właśnie dla tego, że jest wyrazem, a zatym tylko pięknem dla oka. Bo wyraz, jest to wygląd z czegoś, jest to wyjawianie się treści z jakiejś formy, jest to tchnienie życia z jakiegoś przedmiotu. Wyraz piękny wyglądać zatym będzie z przedmiotów, które już są piękne; w naturze więc rozścielać się będzie po rozmiarach i po kształtach, czyli po architektonicznym i po snycerskim pięknie natury.

Uchylamy zarzut, który nas tu spotkać może. Powiedzą nam, że albo piękna architektonicznego i snycerskiego nie było bez wyrazu i tylko jest piękno wyrazowe; albo jeżeli tamte ostać się mają, jako piękna natury, osobnego piękna wyrazowego być nie może. Zarzut ten wypływa z niemożności pojęcia piękna w pięknie, oraz z niemożności oddzielenia wyrazu, jako treści, od kształtu i rozmiaru, jako formy. Zarzut więc upadnie, jeżeli ta niemożność się uchyli.

Co przedstawia sztuka malarska? — Oto za pomocą cieni

i światła wszelkie wypukłe i wklęsłe kształty przenosi na płaszczyznę, ale je oraz przedstawia w naturalnych kolorach, za pomocą których zdobywa ciepło życia, wyraz, czyli treść przedmiotu odmalowanego. Pod tym względem sztuka malarska ma ten sam charakter, któryśmy co dopiero uważali w wyrazowym pięknie natury. I obrazu, który tylko jest płaszczyzną, ani uchwycić, ani namacać nie można; jest to piękno wyrazowe, istniejące tylko dla oka. Następnie obraz nie ma także osobnego przedmiotu ku przedstawieniu, bo przedstawiając wyraz, przedstawiać go tylko może albo z przedmiotów sztuk plastycznych: architektury i snycerstwa, albo z przedmiotów natury.

Zastanówmy się najprzód, jak sztuka malarska przedstawia architektoniczne i snycerskie przedmioty. — Kiedy malarz zdejmuje obraz, czy to zewnętrznej, czy wewnętrznej budowy, wspaniałej świątyni gotyckiej, widzimy w obrazie tę samą wspaniałość, ten sam urok architektonicznego piękna, który nas ogarnia, patrzących na zdumiewającą budowę temu gotyckiego. Stawmy obok tego model, tegoż gmachu, téj saméj wielkości i wysokości, co obraz, a cały ten urok i ta wspaniałość znika, choćby model był najwierniejszym wizerunkiem oryginału. Będzie to wrażenie cacka, a nie wrażenie sztuki. Zkąd ta niesłychana różnica pochodzi? Jesteśmy tu na tropie schwywania tajemnicy owego piękna w pięknie. — Oto, krom wyrazu piękna architektonicznego, który przeziera z rozmiarów budowy, z kształtów pojedynczych części i ornamentów, ze stosunków ich do siebie, z ich proporcjonalności, regularności i symetrii, jest jeszcze inny wyraz, który jest tamtego duszą, który z niego wygląda, jak blask miłosny z oczu kochanki, jak rumieniec z liców młodzieńca, jak bladeń z oblicza więźnia — który sztuka malarska chwyta, a którego model materyalny dać nie może.

Jakiż to jest, pytamy dalej, ten wyraz tajemniczy, i co go tworzy? — Oto gra cieni i światła, które rzuca czy to słońce poranne, czy południowe, czy wieczorne, czy świt, czy zmierzch dzienny, czy blade, melancholiczne światło księżyca, czy pożar ognia, czy światło pochodni, czy lamp i świec zapą-

lonych; roztacza się blask i nacieniowanie po całości architektonicznego gmachu, i taki niezwykły urok mu nadaje, który sztuka malarska grą farb naśladować i oddać potrafiła.

Czegośmy więc szukali w naturze, owego piękna malarzkiego w pięknie architektoniki natury, znaleźliśmy w sztuce. Natura rzutem światła, które na ziemię i na jej przedmioty rozlewa, na ten sam sposób podnosi piękno architektonicznych gmachów sztuki, na jaki swoje własne piękne architektoniczne budowy, z pięknem tegoż światła łączy. Jestto piękno zmienne, nikłe, w każdej chwili i pod każdym innym rzutem światła inne, jak każde piękno natury, sztuka je tylko czarodziejską swą potęgą utrwalić potrafi. Te skały i góry, doliny i stopy, mają swoje osobne rozmiarowe piękno, mają swój osobny architektoniczny wyraz — wrażenie ogromu, przestrzeni, spustoszenia, siły i mocy natury; — ale właściwy malowniczy wyraz nadaje im światło najrozmaitszą grą farb, promieni i cieni. I oto piękno w pięknie, wyraz malowniczy w wyrazie architektonicznym; oto malarstwo natury, obrazujące cudną architektonikę ziemi.

Przypatrzmy się jeszcze, jak sztuka malarska, która nam najzajmowszą od malarstwa natury, obrazuje przedmioty sztuki snycerskiej. Po obrazowanie posągów malarz nie rad sięga, bo z nich bardzo mały plon dla jego sztuki. Posąg jest odlewem całkowitej, ukształtowanej treści; jest na wszystkie strony piękny, bo wszystkie piękności kształtu ludzkiego przedstawia. Malarz zdjąłby tylko z niego potrafił jedną połowę, bo tylko tak daleko perspektywą oka sięga. — A i to zdjęcie byłoby niedostateczne, bo muszkularne wyrobienie zwojów i falistości ciała w tak rozlicznych i nieskończonych łamie się krzywych powierzchniach, w tak łagodnych przelewa się zgięciach, że środki materyalne sztuki malarskiej są za słabe, by je wszystkie tak na płaszczyźnie oddać i odcieniować, jak je snycerz w marmurze, lub w bronzie wyrobić jest zdolen. Z tego samego powodu gra światła i cieni nie podnosi snycerskiego piękna; bo acz potrzeba światła dla jego ukazania się, potrzeba go tylko tyle, aby się w łagodnym oświeceniu, owa miękkość i subtelność kształtowych, plastycznych piękności

tuwydatniła, ku czemu światło rażące słońca lub pochodni, równie jak blade światło księżycowe lub lampy, nie jest przydatne. W ogóle, w posąg szuka człowiek plastyki, rzeźby, a nie malatury. Chcąc posąg oszpecić, dosyć go w kolory obmalować.

Co więc sztuka snycerska przedstawia w piękności kształtu, sztuka malarska przedstawia w piękności życia. Nadaje obrazom swoim ciepło, blask i wyraz żywotny. Dokazuje tego kolorowaniem wizerunków tak ludzkich, jak zwierzęcych, jak roślinnych, wedle tych samych objawów światła, cieni i kolorów, którymi natura wyraz żywotny snycerskim tworom swoim nadaje. Z tego samego powodu sztuka malarska w obrazowaniu ludzi nie zawsze ich przedstawia tak, jak ich natura stworzyła. Wciąga raczej do zakresu swego wszystkie ornamentowe piękności sukni, odzieży i strojów, którymi się ludzie na tak rozmaity sposób przybierają. Są to piękności bez wyrazu żywota, ale z wyrazem ozdoby, która stósownie użyta, naturalną piękność płci obojga tak wysoko podnosi. Sztuka malarska ma zatym ten sam przedmiot, co sztuka snycerska, tylko że ta przedstawia go ze strony piękna kształtowego, ona zaś ze strony piękna żywotnego. Ale, że się życie tylko po kształcie rozlewać może, przeto i tu widzimy piękno w pięknie, to jest: wyraz piękna żywotnego, ożeniony z wyrazem piękna kształtowego.

W pięknie natury przedstawia nam się to samo. Wszystkie twory żywotne, któreśmy jako jój snycerskie wyroby uważali, są najprzód piękne, jako kształły, następnie są piękne jako twory żyjące. Atoli natura nie ma potrzeby obrazowania kształtów swoich na płaszczyźnie; przeto téż piękno żywota bezpośrednio z nimi ożenia. Dla téj jedności nierozerwanój między kształtem i życiem, — ile że przewaga życia, jako treści, była wielka nad kształtem, jako formą — nie można było w skulpturze natury przedstawić samego tylko piękna kształtowego, ale trzeba było przedstawić kształt żywy, w snycerskiej pracowni żywota natury, żywotnymi jój siłami wyrobiony. Życie zwierząt jest życie natury na bardzo niskim stopniu jego rozwoju. Malowniczy wyraz piękna żywotnego,

grą promieni światła dokonany, polega tu jedynie na blasku oka, na żywości farb, na połysku sierci, lub innego okrycia, w którym natura wielokroć całe bogactwo ornamentowego stroju roztoczyła. i w tych ornamentach pokazała się rzeczywistą malarką.

Sztuka malarska nakoniec zdejmuje okolice, czyli przedstawia obrazy natury, i to stanowi jej wyłączną przedmiotowość plastyczną, bo tego ani architektura; ani skulptura przedstawić nie jest w stanie. Przedstawienie tego rodzaju polega na uchwyceniu i oddaniu owego wyrazu świetelnego i malowniczego, który się po okolicy rozściela, a który jest także tylko grą światła i cieni, istniejącą jedynie dla oka, i nie dającą się pochwycić w materyalne, namacalne formy. Lecz jeżeli sztuka malarska w tych obrazach natury znalazła dla siebie osobną przedmiotowość, to natura ją znajduje w sobie, i znowu przedstawia nam piękno w pięknie; albowiem po architektonicznych i ornamentowych pięknościach swoich rozlewa urok coraz innego światła, w którym się malownicza piękność okolicy rozśłania.

Z uchyleniem trudności pojmovania piękna w pięknie, wyjaśnia się oraz, cośmy wyżej założyli, iż piękno wyrazowe nie ma osobnej przedmiotowości, ale jest malowniczym wyglądem z architektonicznych i skulpturowych dzieł natury. Nie jest to nowy wyraz, który jako nowa treść z rozmiarowych, albo kształtowych pięknych form przeziera; jest raczej ta sama treść i ten sam ich wyraz, tylko ożeniony z nową, malowniczą pięknością, która jego urok nieskończenie podnosi. Tak np. piękna jest forma dyamentu z sześciennego układu kryształów, i jako taka ma wyraz swój kształtowy: wyraz ten podnosi się do nieocenionej wartości, gdy grą promieni światła cudne połyski ognia z płaszczyzn tego kamienia migają. Podobnie w pięknych konturach przedstawia się dąb majestatyczny: kształt pnia i gałęzi, wykroj liści i cudna rzeźba żołędzi, nareszcie cały symetryczny układ korony, wyrażają piękno kształtowe. Urok tego piękna podnosi się sztuką malarską natury, która na wiosnę liść w zielone barwy stroi, a na jesień żółci i czerwieni; która pomiędzy cienia

ciemnych liści kolory białego światła rozwiesza, i na tle tegoż światła cały zdobny wykształt drzewa rysuje. Piękny jest utok konia, kształtowe jego piękno przegląda także z posągów konia z brązu odlanych; wszakże w naturze z pięknem kształtu żeni się piękno różnej maści, ognisty blask ciemnego oka i bławatny połysk gładkiej sierci. Jest to piękno malownicze w pięknie kształtowym.

Tu się oraz pokazuje, że piękno wyrazowe natury jest pięknem plastycznym jój życia, ożywczym tchnieniem jój ciepła. Owe ognie dyamentu zginą, gdy za pomocą szkła palnego kryształowe układy, stanowiące formy jego życia nieorganicznego, zamienisz w lotny gaz węglika. Dąb zimą zwarzony, albo latem siekierą podcięty, zachowuje jeszcze kształt pnia i konarów; ale malownicza ozdoba jego znika, liść więdnije, marszczy się, usycha i opada; gałęzie nagie sterczą, sokami na chwilę zapłaczą, a potym usychają i w rozkład innych ciał przechodzą. I koń, gdy zdechnie, pozbawion malowniczego uroku; blask żywota, co z oka i z sierci błyskał, przygasa na zawsze; ciepło żywotne maści skrzepło, i piękno malownicze skóry strupiało. Wszakże pojedyncze tylko twory umierają, i tylko téż pojedyncze piękno wyrazowe trupieje. W całości przyrodzenia wre i kipi życie nieustające; nieustająco téż po nim rozściela się malowny i cudny obraz natury.

W tym właśnie leży główny charakter malarstwa natury, że wszędzie przedstawia i rozślania same obrazy. Bo wszędzie jest życie, a życie coraz inne, ztąd téż i obraz coraz inny. W jedność takiego obrazu zlewa się mnóstwo przedmiotów; powietrze, dające jakby tło i sklepienie, dalej powierzchnia ziemi i wody, jako podstawa obrazu; na ziemi rozesłany kobierzec roślinności, a po niéj twory żyjące i człowiek, jako punkt centralny wszystkiego życia. Jak lazur nieba bez słońca na nim roztoczonego, lub bez gwiazd nocą na nim rozwieszonych, takby się wydawały obrazy natury bez piękna tworów, kształtowym życiem obdarzonych, i bez człowieka, w którego duchu wszystko piękno natury się rozświeca.

Lecz jeżeli piękno natury malownicze przez to się uszlachetnia, że w duchu człowieka uznanie i zatwierdzenie znaj-

duje, nie wnośmy ztąd, żeby bez niego przedmiotowego malarstwa natury być nie miało. Ona dniem i nocą roztacza malowane oblicza swoje, ozłaca je promieniami słońca, ośrebrza blaskiem księżycy, rumieni zorzą; jak w kalidoskopie coraz to nowe z tych samych form, jakby kamyków, składa obrazy, i nie pyta o człowieka i o jego zatwierdzenie. Estetyka niemiecka także przyznaje, że mogą być piękne okolice, bez dodatku zwierzęcego i ludzkiego piękna, a nawet bez piękna roślinności, n. p. pogład na morze lekko rozkołysane, albo na spokojny lustr płaszczyzny wodnej, w której się niebo odbija — lub téż pojrzanie na rozpadliny skał napiętrzonych, bez znaku życia zwierzęcego, ni roślinnego. Dodaje wszakże, ciągniona koniecznym następstwem podmiotowego swego stanowiska, że w takich przypadkach obrazy natury dla tego tylko wydają nam się piękne, iż człowiek, gdy je podziwia, uosobia naturę, jak niegdyś poganie ją uosobiali w bóstwach swoich: że widzi w zburzonym morzu walkę żywiołów, jakby wypuszczonych wichrów w otchłani Eola; że w lustrze wody uważa jakby przeglądające się z rozkoszą Oready, albo Apollina, co w niej kąpie złote swoje warkocze; że w rozpadlinach i urwiskach nagich skał wyobraża sobie ruiny przedpotopowej rewolucyi, w których zamieszkał duch spustoszenia i strachem podróznego ogarnia.* Prawda, że człowiek przynosi z sobą takie wyobrażenia, jeden takie, inny inne, i podszywa je pod piękno natury. Atoli te wyobrażenia już są fantazyi płodem, są jój idealnością, przyniesioną do plastyczności natury; mogą podnieść w człowieku urok jój piękna, ale jego warunku nie stanowią. Tak sława podnosi piękno kształtu męskiego, cnota kształtu kobiecego, ale go nie warunkuje.

Malarstwo natury, przedstawiając piękno żywota, ma ten sam cel, co malarstwo sztuki, i dla tego można będzie w nim odszukać ten sam podział, któryśmy w sztuce podali. Obrazy natury, czyli piękna okolic, ze scenami zwierzęcego życia, odpowiadają bezpośrednio malarstwu *naturalnemu* w sztuce, które także przedstawia krajobrazy, sceny natury i sceny z życia

* Vischer Estetyka T. II. § 240.

powszedniego. — Piękno malownicze pojedynczych przedmiotów i tworów natury odpowiada pięknu ideałowemu w wizerunkach, opromienionych glorią boskości, lub sławy, jak je przedstawia malarstwo *idealne* w sztuce. — Nareszcie sztuka malarska *dziejowa*, ma także odpowiednią sferę w tym kolorycie natury, przez który naznacza młodość, dojrzałość, lub starość tworów swoich.

Podaje się ztąd podział malarstwa natury, który się także odnosi do pierwotnych trzech znamion plastyki, uważanych jako klucz dyalektyczny w rozwoju plastycznego piękna natury.

1) Malarstwo natury *rozmiarowe*, czyli właściwe, uważać będzie malownicze jój piękno, rozlane po bezmiarach i przestrzeniach, wygraniczne do pewnego obrazu, albo widnokregiem oka, albo naturalnymi granicami. Piękności naturalne rozlicznego światła, wody, ziemi i powietrza, w ogóle piękności żywiołów, należeć będą do malarstwa rozmiarowego.

2) Malarstwo natury *kształtowe*, czyli ornamentowe, przedstawi nam strój malowny pojedynczych jestestw, w całym bogactwie kolorowego przyboru. Będziemy je uważać w królestwie zwierząt, roślin i rzeczy kopalnych.

3) Malarstwo natury *wyrazowe* odsłoni nam piękne znamiona tego kolorytu, którym natura naznacza pory dnia i roku, młodość lub starość swych jestestw, temperament i uczucia w tworach wyższych.

I.

Piękno światła i cieni.

Jużeśmy wyżej powiedzieli, że światło jest środkiem, którym natura zdobywa sobie urok piękna wyrazowego. Kunsztowna malarka uwija pędzel z promieni światła i w rzutach chyżych, jak błyskawica, maluje po powierzchniach przedmiotów to białą jasnością słońca, to półcieniem zakrywającego go obłoku. Jednolite światło rozkłada na siedem barw tęczy i koloruje nimi obrazy na niebie i ziemi.

Światło przedstawia nam się naprzód, jako możliwość wszelkiej widzialności, a zatym jako nieodzowny warunek każdego plastycznego piękna. Bez światła nie byłoby podobnym uwydatnienie się form pięknych. Noc zupełna zniósłaby wszystką widzialną piękność natury, i to nie tylko podmiotowo, to jest: ze względu na człowieka, wzrokiem opatrzonego; ale i przedmiotowo, boby nie było wyrazu w plastyce natury, który jest jednością światła i piękna, tak kształtowego jak rozmiarowego. Formy niewidome niewypowiadałyby treści swojej, ani człowiekowi, ani sobie. To też wśród ciemnych nocy, acz zawsze jakaś część światła ich mrok prześwieśla, wyraz piękna plastycznego w naturze chowa oblicze swoje. Piękno wyrazowe znika ze zniknięciem światła, i znowu odżywa z jego

światem. Co było kształtem i rozmiarem, w ogóle, co było materią, to pozostaje wśród ciemności tym, czym było wśród światła, — namacalną materjalnością. Lecz wyraz piękna, który ze kształtów i rozmiarów wyglądał, mógł się tylko przeglądać w świetle, a więc z ustankiem światła, wygląd dalszy stał się niepodobnym. Kosmogonia Mojżeszowa powiada z głębokim pomysłem, że kiedy Bóg świat tworzył, najprzód stworzył światło. Albowiem we świetle wszechistnienie ukazuje wszystek majestat i wszystką piękność swoją. Światło jest jakby pierwszy objaw myśli bożej, w którym się rozwidniło wszechstworzenie; — jest jakby błyskiem oka bożego z całego przyrodzenia i z każdego tworu z osobna.

Estetykã nie wchodzi w fizyczną naturę światła, ani optycznych jego praw nie rozbiera. Nie zastanawia się nad jego prawidłami, bo nie ma na celu tłómaczenia jego wrażeń, dopatrując jedynie ich wyrazowego piękna. — Światło jest tłem jasnym, na którym się każdy przedmiot natury, jako ciemniejszy, odkreśla. Światło, uwydatniając na ten sposób kontury każdego ciała w szczególności, modeluje je niejako w jasnej przestrzenności świata, i rysuje na białym i przezroczym tle widnej nieskończoności. Ono posiada najwyższy stopień jasności i przezroczystości, ztąd każde inne ciało, mniej jasne i mniej przezroczyste, granicami i powierzchniami swymi na nim odrysować się musi.

Tym sposobem światło staje się razem łącznikiem i rozdzielnikiem, tak pojedynczych części ciała, jak ciał z osobna uważanych. Uwydatniając kontury ciała, lub jego części, odziera najwyraźniej ich granice, i każdy przedmiot przedstawia się nam w sposób sylwety, ostro wykrojonej i od innych przedmiotów wyosobnionej. Atoli światło wszędzie w równi rozesełane, jest oraz tłem wspólnym, na którym tak pojedyncze części ciała, jak ciała rozosobnione, do jedności obrazu się zlewają. Ramy tego obrazu stanowi widnokrąg naszego oka. W rzeczywistości przedstawia światło tło bez końca, tło świata całego, na którym się rysują obrazy bez końca.

Światło jest własnością kosmiczną, a będąc wyrazem pierwotnej płciowości, jest powiązaniem dwóch przeciwnych

biegunów, to jest, ciała świecącego (dodatnego, męskiego) i ciała oświeconego (ciemnego, ujemnego, żeńskiego). * Z téj polarnéj własności światła wypada bezpośrednio, iż się z jednego środkowego punktu, to jest, z dodatniego swego bieguna rozchodzić, i w prostych, szybkich ruchach, zdążać musi do bieguna ujemnego, czyli do ciał ciemnych, chyżością płciowego pożądania. Na téj własności światła, czy to ono jest słoneczne, czy księżycowe, czy palne, polega wreszcie gra światła i cieni, będąca estetyczną podwalą malowniczego piękna natury.

Zwracamy najprzód uwagę, jak się ta gra przedstawia, ze stanowiska naszego oka do przedmiotu. Jeżeli tak przed nim stawamy, iż prostolinijne promienie światła padają z przodu na niego, natenczas naprzód podane części, jako bardziej oświecone, będą wydatniejsze; zaś na tył pochylone, będąc mniej oświecone, za tamtymi w pewnym cieniu pokazywać się muszą. W ostrych odcieniach przedstawiać się będzie każda krawędź i każde prostolinijne zgięcie; co okrągłe, będzie jasne na wypukłości, a ciemnieć będzie u brzegów; cóż wklęsłe, będzie miało cień środkiem, a jasność po brzegach. Tak więc oko rozpoznaje snycerskie kształty natury i całe bogactwo form ich powierzchni. Na ten sam sposób bliższe oku przedmioty, jako jaśniejsze, odznaczają się dokładnie od przedmiotów odleglejszych, które im będą dalsze, tém bardziej w cień zapadać muszą. Pokazuje się tu cały sekret sztuki malarskiej przenoszenia ciał na płaszczyznę, z najdokładniejszym pozorem ich objętości, albowiem stopień cienia daje stopień odległości, tak przedmiotów, jak pojedynczych ich części od siebie. Odalenie ciał od siebie, jest w malarstwie stosunkiem cienia do światła, czyli ciemności do jasności. Tarcz od półkuli tym się różni, że tam światło równo rozdzielone, tu zaś od środka ku brzegom ciemnieje.

W saméj także naturze zbyt odległe przedmioty wydawać się muszą, jakby w obrazie na płaszczyźnie; bo gdy dla odległości delikatniejsze odcienia światła, przez które się wy-

* Zob. Fil. i Kr. T. III.

pukłości i wklęsłości uwydatniają, nie mogą być dojrzanymi, musi się utworzyć wrażenie płaszczyzny, która się ciemnymi granicami na jasnym tle światła rysuje.

Przeciwnie są zjawiska światła, gdy jego promienie padają po za przedmiot, który oglądamy. Tu każda część jego, im bliższa oka, tym ciemniejsza; im dalej oka, tym cień bledszy. Jako więc w pierwszym przypadku światło się cieniowało, i tym cieniowaniem uwydatniało różnowygięte powierzchnie i linie ciała, a zatym całkowity kształt jego, o ile się do oka odnosi; — tak tu gra cieni się odbywa, mniej lub więcej świetlejących, którą się kształty ciała, po za promieniami światła, w swoich konturach odznaczają.

Nieskończenie rozmaite są gry światła i cieni, gdy promienie świecącego przedmiotu na przedmiot ciemny z boku, z góry, z dołu i pod rozmaitymi kątami padają. Piękno oświecenia bywa nieraz w tych przypadkach urocze. Sztuka malarska, jeżeli ten efekt oświecenia na obrazy swoje przenosi, winna go naturze, którą w cudownych grach światła i cienia podpatruje.

Przedmiot oświecony przedstawia niejako wszystkie pory dnia i nocy. Od strony, gdzie światło pada, jest połowa jego dzienna; od strony przeciwniej, połowa jego nocna. Między jedną i drugą stroną światło przechodzi przez odcienia świtu i zmroku. Najlepiej się ten rozdział cieni i światła pokazuje w kulistym ciele. Prowadząc przez punkt świecącego ciała oś kuli, biegun jej, do światła obrócony będzie zenitem, a biegun przeciwny nadyrem oświecenia. Od zenitu światło coraz więcej ciemnieje, im bardziej się ku równikowi kuli promieniami stacza; u samego równika jest porównanie cienia i światła, a raczej przejście jednego w drugie. Odtąd cień coraz bardziej na powierzchni tylniej półkuli zapada, aż u jej bieguna najwyższy stopień ociemnienia osiąga.

Lecz światło nie tylko cieniuje kształty i rozmiary na nich samych, ale rzuca nadto ich cienie po za nimi, malując płaskie czarne ciała sylwety na oświeconych okólnych płaszczyznach. — Nie mamy dotąd *skialogii*, czyli fizjologii cie-

nia. * Nie należy też do estetyki wdawać się w fizyologiczne nad nim badania. Nie możemy ich jednak pominąć o tyle, o ile z nich wyprowadzić nam trzeba wyraz i malownicze piękno cieniów, jako takich.

Najfałszywszą jest teoria, która pojmuje cień, jako negacją światła; nie mniej fałszywą jest ta, która ją mieni optycznym złudzeniem. *Kastner* ** powiada, cieniem jest przeszczeń, oświetlona światłem, odbitym na odstani, oświetlonej światłem wprost wpadającym. *Gren* utrzymuje, że cień jest przerwaniem światła przez ciało ciemne; *Tourtual* określa go przez słabsze oświetlenie obok mocniejszego, sprawione przez ciało ciemne.

Żadna z tych definicyi nie jest dostateczną i natury cienia nie naznacza. Myśmy pojęli światło, jako objaw płciowości ciał kosmicznych męzkich, czyli słońc świecących, do ciał kosmicznych żeńskich czyli ciemnych planet. Cień musi zatem być tego objawu skutkiem. W chwili, w której promienie ciała świecącego padają na ciało ciemne, odbywa się zapłodzenie tego ciała przez światło. Skutkiem takiego zapłodzenia ciało ciemne samo staje się świetelne, czyli przyświeca pożyczonym światłem, i uwydatnia nim treść swoją. Ale że jako ciało ciemne jest natury żeńskiej, a stało się męzkim, bo świecącym, musiał więc w nim przy zapłodzeniu zajść proces tajemny, mocą którego wydzieliła się z niego ciemność, i jako cień z przeciwnej strony światła pokazuje się.

Z tego fizyologicznego określenia cienia wyjaśnia się wiele zjawisk skiologicznych. I tak: cień występować tylko może z tych części ciała ciemnego, które promieniami światła bezpośrednio dotkniętymi nie zostały, a zatem może tylko też mieć formę części ciała bezpośrednio nieoświetlonego; bo w pun-

* Jako próbkę fizyologicznego uważania cieni, przytaczamy pi-semko Kaspra Tourtualala: Ueber die Erscheinung des Schattens und deren physiologische Bedingung. Berlin 1830 r. Autor uważa, tak jasność, jak ciemność, za energią wzroku ludzkiego.

** Grundriss der Exper. Physik. II. 541.

ktach, promieniami światła dotkniętych, ciemność przez światło zniżoną została. — Im światło ma mniej napiętości, co zależy od jego odległości, masy, świetelności i kąta, pod którym promienie padają, — tym zapłodzenie ciała ciemnego będzie słabsze, a tym potężniejsze wydzielenie się ciemności, i cienie acz bledsze rysują się w ogromnych konturach. Im zaś mocniejsze i bliższe światło, tym cień głębszy, ale mniej rozciągly. — Ponieważ wydzielenie ciemności jest rzeczywistością, dopóki je światło w niej utrzymuje, przeto okólne oświecenie téj rzeczywistości zniszczyć nie może i cień pod blaskiem światła zblednie wprawdzie, ale nie zniknie. — Ponieważ wreszcie każde światło osobne, osobno zapładzać musi ciało ciemne, ztąd pochodzi, że tyle będzie osobnych cieni od jednego przedmiotu, ile będzie osobnych światel oświecających go, i że ciemności tam stopniować się będą, gdzie podwójnie, lub potrójnie na siebie padają. Powstają ztąd całocienie, półcienie i przycienie, określone wydatnie, i mające wszędzie równy stopień świetelności. Nie tak bywa przy jednym świetle, gdzie granice cienia nie są określone, i zwolna różnym stopniem napiętości przez przycień, w półcien, całocien przechodzą.

Pod estetycznym względem wyciągamy z powyższego pojęcia cieni następujące wnioski, ściągające się do bliższego oznaczenia ich wyrazowego piękna. Cień jest dziecięciem światła, z ciemności spłodzonym, z ciemnym obliczem matki; słoni się po za jęj postać, kryjąc się przed promieniejącym obliczem ojca. Rośnie i olbrzymieje w oddaleniu od płodzącego go światła, aż zniknie w cieniu matki ziemi, jeżeli go blade światło księżycy na nowo nie porodzi, ale już w gigantycznych, jakby przedpotopowych kształtach. Cień jest ujemnością światła, lecz ujemnością żeńską i piękną, która urok jego dodatności i mężkości podnosi. Jak każde przeciwieństwo, tak i cień, obrazujący się na oświeconych powierzchniach, jasność światła uwydatnia i wdzięk jego powabniejszym czyni. Cień jest obrazem materjalności każdego oświeconego przedmiotu i dla tego słania się ku ziemi, i jego kształty materjalne na jasnym tle światła rysuje; jest nie-

odstępny towarzyszem każdego tworu, idącym w trop za nim, i naśladowującym każdy ruch jego.

Cień sam ma wiele uroku. Jest coś magicznego w tój marze ciemnego koloru, noszącej kształt przedmiotu, za którym się ślania, i odbywającej ruchy jego z taką upornością, że człowiek choćby się usadził, cienia swego przeskoczyć nie potrafi, bo zawsze cień, jak mara, z nim razem uskakuje; — jest tam coś czarodziejskiego, gdy zauważymy, że cień to znika z zakryciem promieni światła, to powstaje z ich odsłonieniem; to blednieje, to czernieje, to rośnie w olbrzyma, to się kurczy w karła. Ale jest w nim i wiele miłego. Światło w cieniu złagodniało, utraciło jaskrawość, co tak w oczy razi, a z jaskrawością utraciło i gorączkę dopiekających promieni. W cieniu rozlewa się chłód miły, którego człowiek mianowicie w skwarze dnia szuka, czy to przylegając pod wyniosłą skałą z przeciwnej strony światła, czy też pod rozłożystym przysiadując drzewem, w którego liściu wietrzyk szeleści, a światło drzy przez poprzeplatane gałązkami otwory w gęstej jego koronie.

Sam rysunek cienia bywa piękny, jeżeli z pięknego przedmiotu rzucony, i światło tak pada, że cały kształt, bez widocznego spaczenia form, na oświeconej płaszczyźnie czarno się modeluje. Pień drzewa, np. ze spoistą, gęstą koroną liści, nie będzie się dla tój spoistości form tak pięknie modelował cieniem, jak drzewo, którego rozramienione konary uwydatniają się także czarnymi rysunkami, a pomiędzy pojedynczymi gronami liści, w które się końce gałęzi postroiły, zostawiona jasna próżnia, tak, że oko z przyjemnością na tych szczegółach spoczywa, z których się piękna układa całość. Rysunek takiego drzewa, cieniem wypełniony, będzie przedstawiał równą kształtność form, i podobać się musi.

Ma także swój osobny urok cień olbrzymi, który, nie znajdując miejsca na płaszczyźnie ziemi, łamie się i dokończy na powierzchniach wyniosłych, ograniczających płaszczyznę poziomą. O nocnej dobie, każdy przy świetle księżycy cień przedmiotów bywa największy; pięknym jest takie łamanie się gigantycznych cieni na gmachach architektonicznych, narysowane w pro-

stolinijnych zakresach. Kontury ich bywają ostro ścięte, a cień ich płaszczyzn głęboki romantycznie odbija od bladłej księżycowej pozłoty, która się po reszcie oświeconego gmachu rozściela. Ale i cień skał wysokich, rzucony czarną płachtą na dolinę, promieniami światła oblaną, złamany u jej krańców, a dźwigający się na przeciwnéj ścianie obnażonej skały, olbrzymim, ciemnym, niedotykalnym cielskiem, taki sam urok romantyczny sprawia. — Będziemy jeszcze mówili o wyrazowym pięknie cienia, gdy będzie mowa o kolorach. Teraz wracamy do światła.

Przedstawiliśmy je dotąd, jako możliwość wszelkiego widzenia i wszelkiej świetłości, a więc jako podmiotowy i przedmiotowy warunek wszelkiego plastycznego piękna. Malownicza jego wartość już się i na tym stanowisku odsłoniła; albowiem światło pokazało się, to tłem każdego piękna natury w szczególności, to łącznikiem wielu zewnętrznych przedmiotów do jednego pięknego obrazu. Z jednego głównego punktu, z którego promienie światła na wszystkie strony się rozchodzą, rozchodzi się oraz wszystka indywidualność obrazu; bo każdy oświecony przedmiot obrazu do tego punktu się stacza oświeceniem swoim i cała gra cieni i światel ku temu jednemu punktowi wskazuje. Tym środkiem malowniczej indywidualności jest albo światło na niebie, albo światło na ziemi; np. pożar lasu, wybuch wulkaniczny i t. p. W sławnej „Nocy“ Correggia bije światło z ubłogosławionego, nowonarodzonego dziecięcia Jezus, i stanowi cudny punkt centralny oświecenia, około którego grupują się i uwidomwiają z cieni nocy wszystkie figury obrazu.

Światło, jako światło, ma wiele pięknego wyrazu. Nie tylko jest malowne jasnością, ale i idealne przez tę jasność. Samo się przez się rozumie, że gdyby nic nie było prócz światła, nie mogłoby być mowy o jego pięknie. Atoli światło jest płciowym łącznikiem ciał świecących i ciemnych; a zatym z wyobrażeniem światła łączy się zaraz wyobrażenie ciał ciemnych oświeconych, i w tym to stosunku jasności do ciemności światło jest uroczę. Jakaż to błoga chwila, gdy z cieniów czarnej nocy świt biały się rozwija, i goniec złotego słońca, srebrzysta jutrzienka zaświeci na niebie. Światło z objęć nocy się wydiera, śniadawym okiem pojrzy po widnokręgu, i niebawem

dzień jasny zmartwychwstaje, a cała natura ze snu budzi się i z uczuciem rozkoszy zdaje się witać ono znocywstanie, gdy już dzień biały oblicze jój rozpromienił. Zaprawdę, kiedy Bóg wszechmocny pierwszy raz oddzielił ciemności od światła, i z nocy`chaotycznego zamętu żywiołów wyprowadził jasność, była to najwspanialsza chwila w dziele stworzenia, którą w całym jój majestacie pojął Michał Anioł, i natchnionym pędzlem oddał w pierwszym obrazie „Stworzenia świata.“ Kto przetrwał długą noc bezsennie, i mary ciemności trapiły go na samotnym łożu, ten uczuwa całą rozkosz, nawet już śniadego świtu, co przez szyby szarym światłem zagląda, bo to pierwszy zwiastun poranku, który go światłem uraczy. Kur też już wtenczas zapał, i mary uciekły z cieniami nocnymi; wesołość i nadzieja ogarnęły umysł człowieka. Z podobną rozkoszą wita mieszkaniec na wysokości północy mały łuk wschodzącego słońca, i zaraz zachodzącego, gdy mu się przez kilka tygodni a nawet przez kilka miesięcy w cieniach ciągłej nocy ukryło. A gdy słońce wschodzi, każdy obraca się w tę stronę, i komu Bóg na myśli i w sercu, usta cichą poszepecą modlitwę.

Ale nie tylko światło dzienne takie wesele i taki urok rozpościera. Każde inne światło, co cienie nocy rozprasza, to samo sprawia wrażenie. Gdy mrok zapadł i ciemno się zrobiło na świecie i w mieszkaniu, zaraz weselój każdemu, gdy gospodarz świecę w izbie zapali, a czeladka z rodziną stół na okół obsiadzie, — albo gdy w obozie, wśród nocy, żołnierze nałożą i zapalą ognisko i gwarząc obstąpią około niego. Do wesołości koniecznie potrzeba światła; bo wesołość jest jasnością wewnętrzną ducha i ze zmrokiem nocnym się nie kojarzy. Dla tego im rześistsze światła, którymi noc niejako w dzień zamieniasz, tym czarowniejszy ich urok, tym więcej pochopności do rozweselenia duszy. Przeciwnie, smętnie i ponuro błyszczą kaganiec wśród nocy, rozsyłając mdłe i gubiące się światło po obszernych przestrzeniach nawy gotyckiego tumu; — pomroczo jest w obszernej komnacie, i jakby duchy pokutujące, majaczą się w niej strachliwie długie cienie przedmiotów, jeżeli tylko jedna świeca blado ją rozświetla, w oddali

zalegającego zamroku przeświecić nie zdolna. Wszakże i w tój pomrocnej i gubiącej się jasności światła leży wrażenie piękne, które romantycznym nazywamy. Wesoła myśl rodzi się pod innymi okolicznościami; np. gdy podróżny, błędząc nocą wśród boru, ujrzy zdala światełko, błyszczące w oknie strzechy węglarskiej; albo gdy wśród nocnej zamieci zabłysną mu światełka z okien wsi poblizkiej, miłe zwiastuny bliskiej gościny.

Tak i w naturze wspaniałe i świetne jest światło dzienne. Świt bladej nadzieją dnia wstającego zachwyca, mrok szary wdzięczy się jeszcze na chwilę ostatkiem znikającego dziennego światła, ale już w nim majaczą się przedmioty, niewyraźniają kształty, cienie nocy coraz bardziej zapadają i trzeba je albo światłem sztucznym rozproszyć, albo snem przespać, bo życie ludzkie potrzebuje światła do objawu swojego.

I dla tego nam ono tak miłe, że przezeń życie wygląda, i w blasku jego promienieje. *Świat* się *świeci*, bo jest życiem; *świat* i *światło* już źródłosłowem języka naszego, wskazują jedność pochodzenia. Bo też nie byłoby świata, gdyby nie świecił, czyli, gdyby nie było *tła*, na którymby się świat malował. *Być*, *żyć*, i *świecić się*, są nierozzerwane pojęcia. Ciemności są przeczeniem bytu, życia i świata. Dla tego niebo pojmowano zawsze, jako krainy ubłogosławione światła, a piekło, jako ciemności, przeznaczone na mieszkania potępieńców. Śmierć, co jest śmiertelnego, prowadzi do ciemności, czyli do nicestwa; żywot wiedzie do jasności, do bytu.

Ztąd też z promieniami światła połączone są ożywcze promienie ciepła, co urok światła we wartości i znaczeniu podnosi. Miłe są zawsze i wdzięczne promienie słońca, ale o wiele miłsze i wdzięczniejsze na wiosnę, kiedy z nimi ożywcze wraca ciepło, które ziemię rozgrzewa i do nowój rodzajności sposobi. Cała natura w wiosennym świetle odmładza się, w piękne szaty stroi, i w człowieka wstępuje jakieś błogie uczucie, które duszę jego rozwesela. Pięknym jest zawsze płomieniste światło ognia, atoli przyjemnym staje się zarazem, gdy o zimowój porze ogień na kominie zapłonie i ciepłem swoim nas darzy. W ciemnościach nie ma ciepła żywego, jest chłód śmierci i mróz, niszczący wszelki pojaw or-

ganicznego życia, gdyby nie było przeciwko jego działaniu osłonionym. A jeżeli latową porą są noce ciepłe, jest to ciepło rozegrzanego nad miarę światłem dziennym powietrza i rozegrzanéj za dnia ziemi, które trwa i wtenczas jeszcze, gdy przyczyna ciepła ustała. Przeciwnie, zimową porą, mrozy zawsze są cięższe nocą, niżeli za dnia. Po prawdzie więc powiada Oersted * „że w tym wielorakim stosunku światła do ciemności leży powód tajemny, dla którego radujemy się światła, a strachamy się przed ciemnościami.“ Na tym też stosunku polega wrażenie piękna, które w nas światło budzi.

Niezmierzone obszary i głębiny przestworza, są prawie nicością, a jako takie ciemnością. Gdy się uniesiesz balonem do wysokości małych obłoczków, albo gdy staniesz na szczytach gór wyniosłych, gdzie już powietrze rzadkie i przenikliwe, ujrzyś już nad sobą pierwsze tropy téj ciemności, w otchłaniach przestworza rozlanéj, błękit ciemnieje i w czerń się zamienia, a lampa słoneczna, na czarnych stropach niebieskich zawieszona, straszliwą pali się czerwonością. Możesz ztąd wnosić, jaka czerń musi być téj otchłani, i jaka straszliwość oblicza słonecznego, gdybyś ją mógł uważać na zrębie atmosfery naszego planety, gdzie się kończy płyn materialny powietrza, a poczyna roztwór subtelnego eteru, który dla téj subtelności promienie światła przepuszcza, nie prawie z ich światła nie zatrzymując; — cała głębia 20 milionów mil staje jakby otworem, i rozdziawia straszliwe ciemności przepaści swoich! — Oto nicstwo i ciemność, oto *nic* i *noc*, oto okropność i groza jednego i drugiego!

Ale po tych nicstwach ciemnych i przestwornych drgają żywe strumienie chyżego światła; eteryczna materya gęstnie na gaz obłoczny, i już w tym pierwszym zgęstnieniu ocieplonéj materyi światło się zatrzymuje. Ona sama, nim oświecona, staje się świecąca, i jako potężny kometa ognistym ogonem, na wiele milionów mil długim, pomiata po ciemnościach przestworza i roznosi w téj nicości ruch i życie. Indziej z palących się i wirujących gazów zgęszczają się zwolna

* Naturlehre des Schönen, aus dem Dänischen, von Zeiser. § 31.

słońca, planety i księżyce. Objawiają się w przestrzeni nowe, kołujące światy i zaświecają wszystkimi pięknotami światła. — Oto byt i jasność, oto *świat* i *światło*, oto piękno i urok jednego i drugiego!

Jak w sztuce malarskiej z ciemnego nicstwa malarz na płótnie wyprowadza obraz, co się niby promień światła od ciemnego tła oddziela, rozświeca, kształtami i ciepłem życia uwydatnia, i potęgi natury i ducha w jasności tego obrazu płoną; — tak i w naturze, środkiem światła, z nocy nicstwa wynurzają się dniowe postacie rozlicznych jej tworów, i obrazy okolic wyświecają się, a jasność, co z tego oblicza bije, jest rozświeceniem się ich piękna, ich treści i ich życia.

Jak nicstwo jest ciemnością, tak i przepaściste głębie nieskończoności są ciemne. Nieskończoność jest jak bezmiar, bez formy; jest jak noc bezwidna, jak nic w straszliwości ujemnych potęg swoich, i wiecznie nieskończoność byłaby pozostała nocą, gdyby się nie była przerzuciła w skończoność. Kiedy Bóg rzekł: „niech się stanie światło,“ „i stało się światło,“ wtenczas się odbył proces tego przetrzucenia się. W nocy nieskończoności zaświtało, i zawidniły pierwsze kształty tworów, w skończonych, pojawnych formach. Z nieograniczonego przestworza wydzieliły się krążące po nich globy niebieskie, jako tyliczne światy świecące i oświecone; — z nieograniczonego chaosu planetarnego oddzieliły się wody od lądów; — a osobnik żywy, zwierz i człowiek, wyosobnił się kształtem swoim z nieograniczonych przestrzeni ziemi, wody powietrza i nieba. A to wszystko sprawiło światło, w którego blasku wyłoniły się z bezwidnej, bezmierniej i bezkształtnej nieskończoności, rozmiary i kształty, i zaświeciły właściwym sobie wyrazem. Z ich oblicza oświeconego promienieje na odwrót światło i gubi się w ciemniach nieskończonych przestrzeni. Tak wszystko wraca do nieskończoności, co z niej powstało; ona jest otchłanią grobową, która wszystką skończoność pochłania, ale jest i przepaścią bezdenną, z której się wszystka skończoność wyłania.

Pierwszym procesem tego przechodzenia od nieskończoności do skończoności, i na odwrót, a który jest odwiecznym

procesem życia natury, — jest światło, które z ciemności powstaje i do ciemności wraca. Piękno światła polega ostatecznie na tym przeciwieństwie nicości i bytu, śmierci i życia, ciemności i jasności. Radujemy się światłu, jak się radujemy życiu, jak się radujemy wszystkiemu, co ma być ukształtowane. Gdy cienie nocy rozpostarły się po ziemi i niebie, wtedy zasłoniły się kontury kształtów, byt i życie ujęte zostały w letarg senny, będący obrazem śmierci, i cała natura stała się czarną przepaścią nicestwa, — ciemną głębią nieukończoności, w której człowiekowi tak strachliwie i śmiertelnie około serca; bo sam siebie nie widząc, czuje się życiem we śmierci, punktem żywotnym w nicestwie. Jakaż więc radość, gdy światło zaświta, ciemność, jak kamień grobowy odwali, i życie i byt tworów w okół ukaze!

Nie tylko zaś sam pojaw światła, jako jasności, jest pięknym, ale pięknymi są oraz ciała świecące: na niebie słońce, księżyc i gwiazdy na firmamencie zawieszzone; w atmosferze meteorologiczne i elektryczne zjawiska światła; na ziemi ogień, ciała świecące i blask ciał gładkich. Poczynamy od firmamentu.

a) Światła niebieskie.

Noc ciemna płaszcz swój czarny zarzuciła na całą naturę. Nie widać nic ani na ziemi, ani na niebie; domyślamy się tylko, że ciemne chmury zasłoniły firmament; bo wicher świszczy, i żywioły natury są jakby w walce zapaśnej z sobą, której towarzyszy szum liści i łomot gałęzi, krzyki zbudzonego ptactwa i skowyczenie zwierza. Istna zamieć chaotyczna, w której demoniczne siły natury harce swe wyprawiają. Naraz wiatr się obrócił, — ustał, — brzask jakiś wprzestworzu się rozpostarł; — gwiazda z poza rozdartej opony obłoków błysła na niebie, — za nią błysło ich tysiące, cały nareszcie firmament zaiskrzył się, jakby nahaftowany srebrnymi gwiazdami. Z ukazaniem się światła niebieskich cała naraz postać natury się zmieniła. Człowiek zapomina o ziemi, zalanej ciemnościami, i o marach nocy, a rozpatruje się po cu-

dnym firmamencie i pasie się widokiem tyłu światła na nim migających. Tam błyszczy Wenus niewypowiedzianie wdzięcznym blaskiem światła, jak błękitne oko miłości, zawieszona na niebie, i pozierające na świat łagodnym spojrzeniem kochanki. Opodal jaśnieje czerwonym światłem Mars, jakby ściagał płomiennym wzrokiem żonę, po jej wędrówkach miłosnych. Po drugiej stronie pali się złotym ogniem jasny planeta Jowisz, a z głębi horyzontu wstaje gwiazda pierwszego rzędu, po której czerwonym połysku poznasz planetę Saturna.

Wszystkie inne gwiazdy są to słońca z nieskończonych odległości świecące, a światło ich przebiega w pożądlivej miłości miryady mil, w przestrzeniach bez końca, aż gdzieś w otchłani nieskończoności zniknie. Atoli te prawdy astronomiczne działają tylko przez domysł na wyobraźnię. Piękno, które oczami widzimy, leży w blasku ich światła, mianowicie u gwiazd pierwszego rzędu. Któż kiedy nie podziwiał srebrzystych promieni Syryusza, albo błękitnego światła Kastora i Polluksa. Bo każde inne słońce, jak każdy inny planeta, błyszczy blaskiem osobnego koloru.

Imaginacya porozrzucane w rozmaitej odległości gwiazdy na niebie łączy w pewne obrazy. Na szerokim pasie zodyaku błyszczy dwanaście takich obrazów, co są jakby skazdrogami pozorowego pochodzenia słonecznego, w rocznym obrocie ziemi około słońca. Na półkuli, którą z naszych stron oglądamy, rozwieszony najpyszniejszy ornament niebieskiego stropu i w dwudziestu trzech obrazach roziskrza się po firmamencie. Tu Niedźwiedź wielki błyszczy siedmiu jasnymi gwiazdami, a linia prosta, idąca przez tylne dwie gwiazdy w górę, o pięć ich odległości, prowadzi na gwiazdę polarną, w ogonie małego Niedźwiedzia, około której wszystkie inne się obracają. Najrzęściściej gwiazdami obsypany jest obraz Oriona, wynurzający się już z południowej hemisfery nieba. W jego pasie błyszczą trzy jasne gwiazdy; na ramionach, na zgięciu kolana, i nogach osiadły gwiazdy pierwszego i drugiego rzędu, a pułkiem gwiazd mniejszych poświecła lwia skóra, którą się zasłania. Zaraz opodal, z obu stron drogi mlecznej, umieściła

starożytność ulubione dwa Psy Orionowe, z gwiazdami pierwszego rzędu: Siryusza i Procyona. Wyżej Oryona poświe-tła piękna konstellacya Byka, z gwiazdą wielką Aldebaran, i z dwiema grupami gwiazd, zwanych Plejadami i Hyadami, po których się zwykł orientować pasterz, koczujący w nocy.

Po przez wszystkie te gwiazdy uderza mdła jasność na firmamencie, jakby brzasku jakiego, staczająca się w długi, wężykowaty, okólny strumień świetelny, po którym — acz rzadka — błyszczą gwiazdy, ale który wyraźnie brzaskiem swoim od reszty ciemnego firmamentu się oddziela. Jest to droga mleczna na niebie, którą Owidyusz w „Przemianach“ swoich tak poetycznie nazwał ścieżką, przez bogi wydeptaną, bo tędy chadzali na radę do pałacu grzmiącego Jowisza.* Droga mleczna, zdająca się być odbrzaskiem mnóstwa słońc odległych, co się w téj okolicy nieba nagromadziły, okala sklepienie niebios, jakby wieńcem. Przy konstellacyi Psa wielkiego świeci szerokim jasnym pasem, zwęża się w okolicy Psa małego, i płynie wązkim strumieniem aż do gwiazdy pierwszego rzędu Deneb, w konstellacyi Łabędzia. Tu się rozdziela na dwa ramiona, które w niewielkim odstępnie ciągną obok siebie: jedno węższe, kończy się przy wielkim Antabesie, w znaku Raka, a drugie szersze, dociąga do zodyakowego znaku Strzelca; poczym dotykając w południowej półkuli konstellacyi Trójkąta, Krzyża i Centaura, kieruje się z powrotem ku gwiazdom Psa wielkiego.

Otóż kilka skazówek świetelnego piękna gwiazd na firmamencie. Ziemia jeszcze pogrążona w ciemnościach nocy, i mającą się po niej postacie niewyraźnych kształtów, słabo światłem gwiazd zwidnionych. Ale duch człowieka unosi się w natchnieniu do owych regionów nieprzebranego światła, w któ-

* Est via sublimis, coelo manifesta sereno,
Lactea nomen habet, candore notabilis ipso;
Hac iter est superis ad magni regna Tonantis,
Regalemque domum....

Metam. 1. 168.

rych przeczuwa odwieczną ojczyznę swoją. Maluje ją sobie wdzięku i rozkoszy pełną, idąc za słowami Zbawiciela: że ani ucho nie słyszało, ani oko nie widziało, co Bóg zgotował wybranym swoim. Tam się téż spotykają, jako we wspólnej ojczyźnie duchów, myśli i uczucia rozrzuconego po całej kuli ziemskiej plemienia ludzkiego. Bo każdy do tych gwiazd wzrok swój tęschny podnosi i westchnienie duszy tam posęła. Tam więc, w tych okolicach nieustającego światła, świecącego miriadami słońc, zdaje się być mieszkanie duchów nieśmiertelnych i tych potęg wieczystych, które władają losami ludzkimi. Tam w niebiesiach rodzaj ludzki szukał zawsze Boga; tam ród pogański kłaniał się gwiazdom i czczył światło, jako bóstwo; tam ród chrześcijański widzi mieszkanie i majestat Boga wszechmogącego, i codzień zanosí doń modły, jako do Ojca, który jest *w niebiesiach*. Tam mieszka światło, a z nim życie wieczne, miłość i pokój wieczny; tu na ziemi, w ciemnościach, jest chaos, jest walka nieustająca, i życie, które się tą walką zużywa.

Lecz nie tu koniec niebieskiego światła, co blaskiem tyła ócz słonecznych z nocnego firmamentu na senną ziemię naszą pogląda. — Oto u krańca widnokregu, gdzie się ziemia z niebem stykać zdaje, jakiś ogień z grubej ciemności zapłonął. Obracasz oczy w tę stronę, i widzisz wielką, krwawą tarcz księżyca, jak się zwolna nad horyzont podnosi. Pyszny to i zachwycający widok! Z morza rozlanych na ziemi ciemności wynurza się jakieś oblicze, gorejące światłem, a z jego wielkiego obwodu poznajesz, że to świecące oblicze jakiegoś bliskiego trabanta ziemi. Rozczerwienione, jakby krwią nabrało, znać daje, że ciężkim trudem wydobywa się po nad widnokrąg ziemi. Jakoż zbywszy się pierwszego trudu, chyżo sady po łuku sklepienia niebios; oblicze jego zmałało, twarz bladym oblała się światłem i łagodną świeci jasnością.

Z ukazaniem się księżyca zmieniła się postać rzeczy; z łona nocy zda się, że wyszedł świat inny, bo nowym światłem oblany. W srebrnym blasku księżyca zbladły gwiazdy. Nie widać już owych nieprzeliczonych roi gwiazd mniejszych, same tylko jeszcze widać gwiazdy pierwszego, drugiego i trze-

ciego rządu, ale światło ich jakby zmalowało. Bo po całym firmamencie roztoczyła się jasność srebrzysta, niby jasny welon gazowy, z po za którego tylko płomienniejsze oko gwiazdy przeziera. Ta sama pożąta blada prześwietliła ciemności atmosfery, i rozlała się szerokimi strugami po powierzchni ziemi. W księżycowej jasności odsłoniły się oku naszemu i góry, i doliny, i lasy i wody, i wszystko, co ma kształt jaki, uwydatniło się w konturach swoich.

Atoli nie jest to blask życia, którym zawidniły przedmioty; nie widać w nich ani krasy barw, ani ciepła kolorów; nie widać żywotnego tchnienia. Zimna, blada jasność, jakby jasność śmierci, połała się po nich i roztoczyła po nich urok, jakby posągowego, bezkolorowego piękna. Bo to jest świat nocny, uśpiony, znieruchomiony błogim spokojem natury, który księżyc blaskiem swoim rozświeca, i dla tego tak czarowny, posągowy urok jego kształtów; dla tego te olbrzymie cienie, co się od każdego przedmiotu w gigantycznych rozmiarach kładą po powierzchniach, srebrną polaną rozświeconych. Świat nocy księżycowej, jest to świat cieniów, tak blisko spokrewniony ze światem umarłych, — z owymi polami elizejskimi, po których przechadzają się zimne i blade cienie tych, co tu kiedyś spędzili dzień swego doczesnego żywota. Światło księżycowe nie jest światłem życia, którego treścią jest ruch i jaw, ale jest światłem takiego życia, którego treścią jest spokój i sen. Bliżej jest więc wyrazu żywota umarłych, niż żywota żywych. Ztąd pochodzi owa romantyczna piękność księżycowej nocy. Świat rzeczywisty znieruchomiał na posąg, bo życie w nim zasnęło; w bladych promieniach księżycy majaceją przedmioty, a olbrzymie cienie się słaniają. Cóż więc naturalniejszego, jak że o tym blasku, jakby z innego świata przyniesionym, umarli powstawają z grobów, i duchy po promieniach gwiazd schodzą, i ukryte moce w postaciach demonicznych z wnętrzości ziemi występują? — i że cały ten świat mar zimnych i bladych napawa się słodyczą księżycowej nocy?

Tak wyobraźnia człowieka, natchniona urokiem świetelnego piękna, jakie księżyc w pełni o nocnej dobie roztacza,

zbliża z sobą dwa osobne światy: świat rzeczy widomych i niewidomych; łączy życie przedśmiertne z pośmiertném. Nigdy się tak pięknie, tak lubo nie marzy, jak wśród pięknej nocy księżycowej, gdy imaginacją rozkołysują nie strachy śmierci i nocy, ale potęgi jasne, świetelne, błogosławione, z obliczem opromienionym, jak oblicze księżycy.

Bywa, że człowiek tak przemarzy noc całą, zwłaszcza krótką noc letnią, i że go zdybie świtający poranek. Tam od wschodu rozlewa się zrazu brzask bładny, potem różowe pokazuje się światło, i coraz bardziej i coraz szerzej czerwienieje; — zapłonęło niebo, i nagle jak błyskawica, zadrgnęły pierwsze promienie wschodzącego słońca, i wystrzeliwszy z poza horyzontu, pozłociły wyżyny odległych okolic. W mgnieniu oka zmienia się postać rzeczy. Dzień jasny, uroczy zstąpił na ziemię; całe przyrodzenie ożyło i płonie złotymi promieniami słońca. Co było szare i niewyraźne, w ostrych zakreśliło się rysunkach i roztacza żywotne farby swoje. Poszmer nocny, co nas przerażał, jakby cichy poszept duchów, przeobraża się w harmonijną muzykę poranku; a owe nocne rozgłosy złowrogie, co się wydobywały wśród ciemnej zamieci żywiołów, przemieniły się w głosy wesela i radości. Ustała cisza grobowa nocy, co nas trwożą przejmowała, a ruch życia różnogłośny powiał po całej naturze. Przedmioty jój wyniosłe rzucają jeszcze długie, chłodne cienie, ale i w tych cieniach widać życie, i w tym chłodzie jest już ciepło żywota. Bo przypatrz się ceniom porannym uważnie, a ujrzysz u krańców jakieś drganie, jakby walkę światła z ciemnością. A że chyżo podnosi się słońce na sklepieniu niebios, cień prawie widocznie gigantyczne swoje kontury zmniejsza.

Z podniesieniem się wielkiej tarczy słońca po nad widnokrąg, zda się, że się wylały oceany światła, i goreją jasnością w przestworzach nicestwa, które sobą wypełniły. Sądziłbyś, że się cała wschodnia okolica nieba pali, takie tam biją płomienie. Oblicze natury i wszystko, co żyje, w tę stronę się obraca; słońce staje się punktem centralnym całego tego obrazu. Kwiaty, tknięte jego promieniami, budzą się ze snu i rozwijają strojne kielichy, na których zaraz barwisty motyl

przysiada. Listki perlą się kroplami rosy porannój, a chrząszcz szmaragdowy gasi w nich pragnienie. Ptak ranną nuci piosenkę, a w świetle słonecznym mieniające barwy pierza swojego roztacza. Rusza się w lasach zwierzyna, popatrzy z po za drzew po dniu białym, i na żér w pola wychodzi; — i człowiek, powstawszy ze snu, spojrzy na wschód słońca, poszepce pacierze i do pracy się zabiera.

Słońce, jako gwiazda dzienna, wraca życie, rozkosz i swobodę. W stosunku do romantycznego, księżycowego światła, jest to światło plastyczne. Człowiek sobie w nim podoba, bo czuje, że do niego stworzony. Znikła lęklivość z serca, i myśl się nie gubi w nieskończoności nicestwa; wyobraźnia nie marzy majaczącymi widziadłami; plastyczna pełnia piękności i życia nas ogarnia, i wiąże z naturą w nierozzerwaną jedność, w której nam tak błogo.

Tak codzień słońce, jeżeli go chmura nie zasmuci, odbywa wjazd swój tryumfalny na ziemię, i kiedy nam dzień cały przyświecało, opuszcza nas, znowu roztaczając po niebiosach równy blask majestatu. Jakbyś masy szczerego złota roztopił, taka polewa pozłoty wylała się na zachodzie. Spuszczają się słońce w ten ukrop złocisty; gore płomienistym obliczem u samego widnokręgu, jakby na pożegnanie chciało mu zostawić hojny dar światła swojego; chyli się zwolna coraz niżej, jakby mu żal było z światem się rozstawać. Znika nareszcie; widać tylko jeszcze strugę złota, jako ślad tryumfalnego jego pochodu. Ale i ten znika, a wieczorna jutrzyenka posęła za nim promienie różane, dopóki i tych mrok nie zasłoni.

Plastyczna piękność słońca przechodzi w romantyczność podczas zaćmienia. Zaćmienie księżyca nie ma tego uroku; bo albo przypada we dnie, kiedy twarz jego błada znika w blasku słonecznym, a zatym i zaćmienie przy jasności dnia wrażenia żadnego nie sprawia; — albo przypada w nocy, gdzie się cień ziemi, padający na księżyc, z ciemnością nocną łączy. Inaczéj się rzecz ma przy zaćmieniu słońca. Tu cieniem księżycowym, co się na ziemię siania, jasność dnia się zaciemnia. W zwyczajnym trybie żywota powstaje nadzwy-

czajna przerwa. Panowanie ciemności wdziera się w panowanie światła, i zda się, że nicestwo czyni zamach na byt, że śmierć zagraża życiu natury. Dla tego ptastwo trwoży się w powietrzu, zwierz chowa się po norach, i człowiek niepokoi się, jakby nieszczęście przeczował. Patrzy trwożliwie, jak oblicze słońca zwolna się czarną tarczą zasłania, a równocześnie jasność dnia blednieje; jak potym cień czarny powlekl całą twarz słoneczną, jakby krepą żałobną, a na świecie zamierzchło, i jakaś księżycowa bladeść po wszystkim się rozlała.

Jak w życiu człowieka są chwile, w których go przecucie śmierci przejmuje, i stawa mu na oczach jój obraz, tak i zaćmienie słońca ogarnia świat przecuciem jego skończenia. Słońce się zaćmi i gwiazdy z nieba spadać będą, powiada pismo, i nastąpi skończenie świata. Najprawdziwszy to obraz, bo trzeba zniszczenia światła, aby nastąpiło zniszczenie wszelkiego żywota i bytu; a skazówką niejaką tego zniszczenia jest zaćmienie słońca, i ztąd owo przecucie trwożliwe w życiu natury. Ustępuje ono dopiero, gdy znowu słońce z pod czarnej zasłony twarz jasną wychyli i radosne, bo przebłagane, na świat rozleje spojrzenie.

Mówiąc o pięknie światel, rozwieszonych na firmamencie, nie możemy pominąć kometowego światła, widnego niekiedy wśród nocy. Kometa nie tyle dla świetelnej piękności, ile dla wrażenia, jaki na lud wywiera, na estetyczną zasługuje uwagę. Jest więc i on pięknem światła romantycznym. Światło jego jest blade, mgliste, roztocz na oko uważana, nie wielka; jądro tylko błyszczy większą napiętością blasku. Najczęściej wlecze się za nim, w odwrotnéj stronie od słońca, w postaci miotły, albo długiego ogona, mało jeszcze zgęstniona kosmiczna materya, o świetle mdłym i bladym, przez które potężniejsze światło innych gwiazd przegląda.

Pokazanie się komety, zwłaszcza ogoniastego, do rzadkich zjawisk na niebie należy, i dla tego lud wróży ztąd sobie klęski, morowe powietrze, lub wojny, i ze strachem pogląda na tę miotłę, co zda się grozić światu naszemu zniszczeniem, zawieszona nad nim, jak miecz archanioła. Jakkolwiek nie ma prawdy w tych wrózbach, jest przecież prawdziwe ich tło.

Lud, samym instynktem wiedziony, bez wiedzy tego, czym jest kometa, przeczuwa przecież jego jakby wielkie kosmiczne znaczenie, i lęka się zgubnych ztąd, bo możliwych skutków dla mieszkańców tej ziemi. Jakżeby się zdumiał i uląkł człowiek nieumiejętny, gdyby wiedział, że ogon komety z r. 1811, wedle obliczeń astronoma Herszla, 22 miliony mil wynosił! Kometa z roku 1744 miał aż sześć mioteł, które podzielone ciemnymi pręgami, zajmowały na niebie kąt 60° rozwartości mający. Nie dziw więc, że tak upostaciowany kometa, pokazujący się w parabolicznym, lub eliptycznym biegu każdej nocy na innym miejscu, rozciekawia imaginacją naszą, i piękno nocnego światła na firmamencie podnosi.

b) Światło meteorologiczne.

Nie same tylko sklepienia niebios rozweselają nas pięknym światłem, przesyłając nam jego promienie z przepaścistych głębin nieskończonego przestworza; w napowietrznych także regionach atmosfery naszej wielokroć czarowna gra światła się objawia. Meteorologiczne zjawiska, są jakby ognie sztuczne, fajerwerkami zwane, którymi raz po raz malownicza natura mieszkańców planetarnych darzy; jako tamte, tak i one potrzebują ciemności, a przynajmniej mroku, aby się na tle cienistym, wyraźniej i piękniej światłem swoim odbiły.

Poznaliśmy światło kosmiczne, jako objaw płciowego procesu pomiędzy ciałami niebieskimi, z których jedne były natury męskiej, czyli świecącej, drugie natury żeńskiej, czyli ciemne, choć może właściwym sobie światłem, ale nader słabym opatrzone.* Skutkiem tego samego procesu będą

* Nowsza teoria światła uważała, że nieoświecona strona księżycowa osobne pokazuje światło, które w takiej sile z odbitych promieni ziemi, nie mogłoby świecić. Przekonano się także, że odległe planety, jak Jowisz i Uranus, mające małą względną gęstość materii, cztery razy więcej nam światła przesyłają, niżeli go od słońca odebrać mogły. Nareszcie polaryzacja światła pokazała, że w plane-

światelne zjawiska meteorów. Tworzy je elektryczność, będąca także dwubiegunową płciowością, mająca się do płciowości światła, jak materjalność do idealności, jak cielesność do duchowości, i zostająca z nią w nierozzerwanym stosunku; z czego się tłumaczy, że proces światła rozwija elektryczność, a proces elektryczności światło.

Wśród upałów letnich, przy jaskrawości słonecznego światła, kiedy nagromadziły się gazy i utworzyły ciemną chmurę w elektryczność brzemienną, która spuściwszy się ku ziemi postawiła się pomiędzy nią a słońcem, powstaje z takiego zbliżenia rozstęp elektryczności w ziemi, i dwa jój przeciwne bieguny, jeden w ziemi, drugi w chmurze nawalnej, łącząc się z sobą do wzajemnego uścisku, z hukiem grzmotu przedzierają warsztwę powietrza, co je rozdziela — i zaświeci zygakiem błyskawica, jakby się niebo szczeliną rozwarło i jasność tędy z morza światłości mignęła. Światło błyskawicy jest ogniste; po jego kolorze siarczystym i po jasności rażącej poznajemy, że to nie światło słoneczne, ale światło żywiołów, że to pochodnia hymenu, przyświecająca ich każdorazowemu uściskowi. Polot błysku tego elektrycznego światła chyży; w jednym momencie ziemia i niebo jasną jego luną się oblewa, i w tój samej chwili jasność znika i zostawia pomrok, który ciemna chmura rozwiesza. Acz długość tego płomienia nieraz milę geograficzną wynosi, taka przecież jest jego szybkość, że nie jesteśmy w stanie oznaczyć, gdzie się poczyna, a gdzie się kończy. Błyskawice strzelają z chmury na wszystkie strony; te które uderzają w ziemię — a uderzenie ich jest gwałtowne, zabijające — zowiemy piorunami.

Wszystkie te okoliczności sprawują, że piękno światła

tach, krom słonecznego światła, musi być inne, im samym właściwe. Wszystko to naprowadza na domysł, że wszelka materya jest świecąca, ale w różnym stopniu napiętości światła. To jednak naszej hipotezy nie zmienia. Będzie zawsze światło męzkie (słoneczne, jasne), i światło żeńskie (planetarne, ciemne), i proces płciowy zachodzić będzie nie między światłem a ciemnością, ale między światłem jasnym i światłem mrocznym.

elektrycznego, które nawałnica wśród grzmotu rozwija, przedstawia się w charakterze wzniosłości, przechodzącej wielokrotnie w straszliwość. Na morzu mianowicie, gdzie śmierć groźna w oczy zagląda, i strach blady na twarzach okrętowej załogi osiada, — wśród cieniów nocy, które błyskawica jaskrawo rozświetla, a huk grzmotu przeraźliwie się po grubych ciemnościach rozlega, — charakter piękna, co dopiero wspomniany, w tym groźniejszych maluje się konturach. Ale kto ma serce, jak Horacy powiada, miedzią zhartowane, ten z upodobaniem patrzeć się będzie na tę grę światła elektrycznego z ciemnościami nocy, wśród której przedmioty natury i oblicza ludzi, to zajaśnieją jaskrawo, to znikną w grubiej ciemności; zdawać mu się będzie, jakby z czarnych otchłani tartaru raz po raz pojrzał na jasne pola elizejskie.

Wszakże ta gra światła meteorologicznego nie zawsze pojawia się w tak straszliwym charakterze. Tu żywioły natury, jak olbrzymie giganty, na wielką skalę odbywały zaślubiny swoje, i dla tego pomniejsze twory chowały się trwożne w kryjówkach swoich, by nie zginęły w rozszalonych ich uciechach. Ale gdy zdala od ziemi elektryczność zasiadła i płomienną miłością, co z jej oczu bije, kochankę wabić się zdaje, wtenczas gra jej światła ma coś miłego i zachwycającego. — Po dniu letnim, gorącym, przy pogodnym, wieczornym niebie, gdy już słońce zaszło i mrok zapadł, a powietrze chłodzić się począło, widzimy nieraz łyskanie się bez grzmotu, wśród największej ciszy powietrza. W tych wysokich regionach nagromadziła się elektryczność, ale się nie zebrała w chmurę; a że w takiej odległości nie znajduje przedmiotu do biegunowego uścisku, a do ziemi za daleko, wypuszcza z siebie płomień nieplodne, słabsze, bledsze i krótsze, — ale za to dla oka miłsze. Znak to żywota, który się w tych wysokościach atmosfery naszej objawia; sprawujący tym wdzięczniejsze wrażenie, że mu się przypatrujemy, wśród ogólnego spokoju natury, i wśród zapadającego mroku nocy, kiedy już to życie ustawać się zdaje. Widzimy na oczy, że czuwa opatrność, która światem rządzi, i że kiedy wszystko, co ciemności pokryły, w sen zapada, tam u góry, w napowietrznych sferach, proces

żywotny się odbywa, sprowadzający do równowagi napiętością dziennego światła i ciepła wezbrane siły natury.

Jużeśmy wyżej wspomnieli o nadzwyczajnej szybkości błyskawicznego światła. Jest to własność, która ma coś dzikiego i demonicznego. Będziemy i w innych zjawiskach elektrycznych, i we wszystkich światłach niesłonecznych, uważali tę nagłość ich powstawania i znikania, ten trawiący niepokój ich płomieni. Na tym właśnie polega przeciwieństwo niebiańskiego i ziemskiego światła. Z jakim że to spokojem rozlewa słońce jasność swoją; z jaką uroczystością przychodzi do nas i odchodzi, wolny, prawie nieznaczny pochod odbywając! Jakże to miło patrzeć na to rozwidnianie się poranku! — jak zwolna wszystko się rozjaśnia, jak w promieniach wschodu najprzód najwyższe szczyty przedmiotów jaśnieją, jak mrok stopniowo z nich zstępuje, zanim cała ich postać w światłości się ukaze! Równie wdzięczne i poważne jest odejście słonecznego światła. Mrok od przeciwniej strony zapada, i jedna postać po drugiej weń wstępuje. Po nizinach i dolinach ciemność zalega, i tylko jeszcze szczyty gór i wieżyc świecą, i ostatnie pożegnalne szła nam spojrzenia promienniej jasności. Nie ma tego wszystkiego, w elektrycznym świetle, a najmniej w polotnym migu błyskawicy.

Do pięknych meteorów nocnych policzamy jeszcze tak nazwane gwiazdy spadające i zorzę północną. — Kiedy się wpatrujesz wśród pogodnej nocy, w to niebo tajemnic pełne, popisane hieroglifami słońc świecących, naraz zda ci się, jak by gwiazda jedna wypadła z niebieskiego stropu i chyżym, świecącym lotem przerzynając ciemnią powietrza, spadła tam gdzieś na ziemię. Rzeczywiście był to posłaniec z owych wysokości i głębin, gdzie te słońca zawieszono, w któreś się co dopiero wpatrywał. On ci przyniósł świadectwo, że wszystkie światy, by téż z najodleglejszego przestworza, są z sobą w połączeniu, bo są jednością stworzenia; że po promieniach swych światel zstępują do siebie i nawiedzają w miłości; że sobie z tych niezmiernych oddali przesekają w zadatku nie tylko gończe światło, ale i materią kosmiczną.

Taką materią kosmiczną jest właśnie tak nazwana spa-

dająca gwiazda.* Przybywa ona z daleka, z szybkością 7—8 mil na sekundę, a dostawszy się do atmosfery ziemi, zapala się, i świecąc ją przerzyna. Najwięcej tych meteorów pokazuje się w nocach sierpniowych i wrześnieowych. Brandes narachował ich 480 w jednej nocy, na piątej części widnokręgu.

Zjawiskami tegoż rodzaju na większą skalę są kule ogniste, mające nieraz kilkaset, do tysiąca sążni średnicy. Są to spadające *aerolity*, czyli zdrobniałe, poronione ciała niebieskie. Błądząc po przestworzach, gdy się dostaną w granice naszej atmosfery i jej siły przyciągającej, z wielkim majestatem światła, tryumfalny wjazd swój do nas odprawiają. Najprzód widać w oddali 15 do 18 mil, jakiś punkcik świecący, albo też jasny obłoczek, który się później zapala, rozwiększa i chyżym lotem atmosferę przerzyna. Aerolity lecą chyżością kilku mil na sekundę w liniach krzywych, przebiegając obszerne przestrzenie lądu i morza. Czasami sadzą w łukach, jakby kule rekoszetujące; czasami spuszczają się parabolicznym łukiem, który częstokroć do poziomu równoległą linią tworzyć się zdaje; niekiedy też zmieniwszy kierunek, który ich do ziemi zbliżał, opuszczają znowu naszą atmosferę i gubią się w wysokościach przestworza. Kto na nie patrzy, widzi jak zwiększa się ich światło coraz bardziej i w kulę ognistą formuje; jak iskry i kłęby dymu wyrzuca, albo je za sobą wlecze; jak w bliskości ziemi powstaje huk, jakby rotowego ognia, i meteor, albo jedną masą kamienną, albo kamiennym deszczem na jej powierzchnię pada. To widowisko meteorologiczne przytrafia się i we dnie. Kiedy w okolicy zwrotnikowej około pierwszej godziny z południa kula taka ognista zleciała, siła światła tak była potężna, że nim wszystkie okna po domach zajaśniały. Wszakże właśnie dla tej napiętości świetlnej widowisko to w nocy jest tém świetniejsze i wspanialsze.

Równie rzadkim zjawiskiem w naszych stronach są zorza północne. Już starożytni żeglarze, kiedy się puszcza

* Wedle hipotezy Chladniego z roku 1794, którą i Humboldt przyjmuje. Zob. jego *Kosmos*.

morzem ku północnym stronom, powiadali za powrotem, że tam nocą widzieli światło purpurowe, jakby się krew polała na niebie. W północnych, blisko biegunowych krajach, zorza należy do zwyczajnych zjawisk. Natura nią wynagradza w tych strefach brak światła słonecznego wśród długich nocy zimowych. Padoł ziemski — zmartwiał tam od trzaskających mrozów i ociemniał kilka-miesięczną nocą; ale połysk elektryczny, co te ciemności czarownym światłem przeświała, daje świadectwo wyższego życia naszego planety. Zorza rozświała grobowe oblicze biegunowej ziemi, jak szata anioła przy grobie, z którego wstał z martwych Zbawiciel. Mieszkaniec tych stron, gdy z ciemności i mrozu podniesie wzrok na tę nadobną grę elektrycznych światła, mimowolnie unosi się duszą do lepszego, świetelnego żywota.

Niekiedy jednak, gdy zorza bywa silniejsza, rozbieża się po obszerniejszym wycinku kuli, sięgając aż w umiarkowane strefy. Nawet w Lizbonie może być widziana. Lud wtenczas o mroźnej, pogodnej nocy wysypuje się gromadnie dla przypatrzenia się pięknemu zjawisku światła; a że się zawsze pokazuje od północno-wschodniej strony, i krwawymi strugami rozlewa, wróży ztąd klęski i zniszczenia wojen, jakie od tych stron przyjść mają. I nie dziw, że taka lekliwość ogarnia serca. Wszakże i w atmosferze widać wtenczas jakieś drzenie światła. Byli tacy, co słyszeli szelest w powietrzu, jakby rakety pękały, a igła magnesowa, ów zegar magnetycznego życia naszego planety, niezwykłą w ciągłych perturbacjach objawia niespokojność.

Zorza ukazuje się w postaci jakby mgły świecącej, nieco śniadego koloru, która się wznosi po nad horyzont, od brzegów odgraniczona pasem mlecznej białości, szerokim na trzy tarcze księżycowe. Jasne promienie wnoszą się słupem w górę, krzyżują i tworzą jakby namiot, albo jakby świetne sklepienie tumu. Cudne są kolory tych promieni: purpurowe, zielone i fioletowe, zarazem mieniające się to natężeniem, to osłabieniem światła. Gdy się tak trafi, że krańcowe jego słupy między dwoma gwiazdami się zawarły, widać wtedy wyraźnie poruszenia zorzy, to przerzucającej się za te granice, to ścią-

gającej się wśród nich. Polotna jak każde światło, wystrzela raz po raz nowymi słupami. Porucznik Ross w trzeciej arktycznej podróży Parisa opowiada, że widział, jak wiązka polarnego światła strzeliła pomiędzy okrętem, a brzegiem przeciwnym lądu, zajmując przestrzeń na 9000 stóp szerokości. Cook uważał zorzę także w stronie południowego bieguna ziemi. Wystawiając sobie glob ziemski, jakby dwie półkuliste góry, podstawami ze sobą zestawione, pojmiemy oraz, że wierzchołki tych gór palą się zorzą polarną, jakby ogniem ofiarnym, świecącym w ciemnościach nieskończonego przestworza wszechmocnemu architektowi na chwałę.

c) Światła ziemskie.

a) Ogień.

Malownicze jest także piękno ziemskiego, materialnego ognia i malowniczym światło, które na pobliższe przedmioty rozlewa. I ogień jest hymenową pochodnią, którą zapala ściśle połączenie się różnopłciowej materji. Jako gdy dodatna elektryczność z ujemną się połączy, płodem tego połączenia jest płomyk elektryczny, w którym się owe przeciwieństwo biegunowe nijaczy; tak i przy paleniu się ciał palnych podobne zachodzi połączenie, a jego objawem jest płomień! To téż ta sama jasność płonie w płomyku lampy, którą wstępujący do ciemnych kopalni góral zapala i uwiesza u piersi, która płonęła w piorunowej błyskawicy i w łagodnym blasku słonecznym.* Inne są tylko charakterystyki tych hymenowych światel, bo materialności płciowe są inne.

* Nowsi fizycy tłumaczą sobie przez chemiczne powinowactwo teorię płomienia, to jest: że zasady materialne ciał łączą się z sobą do nowego ciała (to, co ze spalania powstaje), a ich przeciwne elektryczności łączą się w płomień. I tak fosfor, ma zasadę fosforową i elektryczność dodatnią; kwasoród ma zasadę gazu kwasorodnego i elektryczność ujemną; ze spalania powstaje kwas fosforowy i płomień: pierwszy z połączenia się chemicznego zasad materialnych,

Z tego też powodu ognie ziemskie różnej są napiętości światła i różnego koloru. Na poznaniu tych własności materii palnych, mianowicie prochu, polega sztuka ogniowa. Ale i natura ognie gazów i minerałów palnych w różne i piękne maluje kolory. Siarka pali się ślicznym i fioletowym kolorem, oleje ziemne błękitem; wysoki kwasu boraxowego mają płomień zielony; czerwono pali się solan stroncyanu w wysoku rozpuszczony; fosfor rozpościera silne, białe, jaskrawe światło, a znowu mdłym niebieskawym światelkiem łuszczy gaz wodorodny. W ogóle, tym bielsze i silniejsze jest światło, im palenie odbywa się przy wyższym stopniu gorąca i przy większej ilości kwasorodu, który ze wszystkich ciał jest najwięcej żeńskim, i najściślej łączy się z ciałami palnymi. Znane jest powszechnie przy doświadczeniach fizykalnych śliczne widowisko palenia się żelaza w kwasorodzie; rozpala się do rażącej białości, a iskrami na okół ciska. Nader ciekawe tworzy się zjawisko światła, gdy weźmiemy blaszkę platynową, nałożoną ciężką warsztewką cyny; zwinąwszy ją w trąbkę i wystawiwszy na działanie płomienia, nastąpi nagle połączenie metalów, jakby z hukiem prochu, i roztoczy się cudne światło, wśród którego cząsteczki metalowego roztopu, w postaci jasnych iskier, na okół pryskają.*

Światło zwyczajnego ognia, który z drzewa nałożonego się rozpala, wiele ma miłego i malowniczego. Zrazu widzisz jakby walkę ciemności ze światłem. Wiją się czarne kłęby dymu, jakby ukryte w materii zastępy jej ciemności, wydobywają się z jej łona, i tłoczą do walki z płomieniem, który ich ciemne gazowe ciało chwyta, rozrywa, rozprasza. Płomieniom powietrze niewyczerpane przystawia posiłki, wiatrem je rozdmuchuje, kwasorodem podsyca. Powstaje szum walki, trzaskanie jakby rotowego ognia, a raz po raz pryśnie węgiel gorejący, jak kula, co po za plac boju sięgła. Nareszcie

drugi z połączenia się elektryczności przeciwnych. Tym sposobem płomień piorunu i płomień lampki nocnej, co się przy łożu pali, byłby jednej natury.

* Porównaj obszerną rozprawę Talbota i Blacaddera o kolorach płomienia, w czasopiśmie Baumgartnera I. 403.

przemogło światło; wszystka materya stoi już w ogniu. Sadzą chyże, ruchliwe i kręte płomienie do góry, i jakby jazda płomienista, rozpraszają chmury dymu, co górą pierzcha przed ich natarczywością. Po odniesionym zwycięztwie, gdy z dymem uszły ostatnie resztki ciemności, stoczyły się płomienie w żar ognia jaskrawy. Każdy szczep drzewa zwęglony, płonie żarem, i zwolna rozsypuje się w gorejące węgle. Co za cudny widok tego jakby obozu zwycięzkiego światła na pobojowisku spalonej materyi! Tu śrebrzy się żar biały i płonie fosforycznym światłem; ówdzie żar żółty łąszczy, jakby świeży roztop złota; dalej goreją węgle czerwoną jasnością, jak kawalce rozpalonego żelaza. Od brzegów żar przechodzi w tlenie się i ustraja węgle bielą popiołu; z całego ogniska bije tło płomienne, najskrzone gwiazdami, czemu się człowiek z widocznym upodobaniem przygląda.

W takim pięknie przedstawia nam się żywioł ognia. Ma ono dwie strony: powabu, gdy w umiarkowanych zakresach płonie, i wzniosłości, gdy staje się gróźnym żywiołem zniszczenia. W pierwszym charakterze przedstawia nam się obraz, gdy się przeniesiemy w mieszkanie ludzkie, gdzie o wieczornej dobie ogień na kominie się pali, i rozpląnęły czerwonym światłem oblicza osób, co go w koło obsiadły. Cienie ich długie skłaniają się na przeciwną ścianie, i migają po niej jak nocne mary, migotem ruchliwych płomieni mknione. Po całej komnacie rozściela się jasność, coraz słabsza i ciemniejszą, im się bardziej oddala od prostolinijnych promieni światła, które z kominkowego ognia się rozchodzi; a gdzie trafi na płaszczyzny gładkie, jak na srebrne, lub cynowe talerze i naczénia, tam się jaśniejszym odbije blaskiem, i ogień, jak słońce, w każdym z osobna się przegląda.

Lecz kiedy się step pali, i rozległa równina, jak oko sięga, zamieniona w morze płomieni; — kiedy się las pali, i przedstawia olbrzymi wał płomieni, iskier i dymu; — kiedy się miasto pali, i całe ulice, dachy domów i wieże kościołów stoją w płomieniach, — widok to straszliwy, ale wzniosły, zwłaszcza podczas nocy. Szeroka czerwona łuna rozlega się po niebie, a im bliżej ognia, tym groźniejsze jój tło, jak zachmu-

rzony oblicze Plutona, podziemnymi ogniami Tartaru oblane. Nareszcie w okolicy samego ognia, taka jasność jak we dnie, tylko że rozjaśnione nią przedmioty i oblicza, tym są jaskrawsze, że na tle cienia własnego narysowane. Górą kłębią się masy dymu, zrazu ożółcone światłem płomieni, co się wśród téj czarnej powłoki wiją, dalej coraz bardziej żółtość szarzeje, a to nieustanne kłębianie się płomieni i dymu, jakby w zapaśnej walce z sobą, daje przeraźliwy obraz chaotycznej żywołów zamieci. Raz po raz w tę stronę strzeli słup ognisty, albo sypnie deszcz iskier żarzystych. Rozniecony ogniami wicher, szarpie ich płomieniste ciało, porywa szmaty palących się materyałów, i jak meteory zniszczenia roznosi je po powietrzu. W jasnym, przezroczystym ogniu widać zwęglone na żar gałęzie drzew, drewniane wiązania dachów i wież, wałę się palące głownie i w gruzy rozwalają się mury. Straszliwy obraz zniszczenia! — Ale opodal roztacza się zwierciadło spokojnej wody, i malowny pędzel natury cały ten obraz grozy życia i rzeczywistości na tło inne przenosi, w którym jak na obrazie malarskim, spokojnie podziwiać możesz całą wzniosłość pożaru.

Piękno płomienia polega na przeciwieństwie światła i ciemności. Nie ma tego przeciwieństwa we dnie, kiedy słoneczne światło na całej półkuli rozproszyło ciemności nocne i wszędzie białą jasność roztacza. Ale kiedy pod czarnym kirem nocy ogień, jak kula ognista, rozświeci się, otoczy go cień nocny, i nadaje urok gubiącego się w nim światła, bo z oddaleniem jasność pożaru w ciemnościach słabieje, a nareszcie ginie. Ztąd pochodzi, że i przedmioty, światłem ognia oblane, w takim samym przedstawiają się nam uroku. Czarowny ma być widok posągów na Watykanie, kiedy im się przypatrujemy przy świetle woskowych pochodni. Jest jakiś urok melancholiczny pogrzebu, nocą przy pochodniach odbywającego się. Życie ludzkie jest burzliwe, jak ten płomień pochodniowy; ulatuje i trawi się, i zapada w wieczność, jako światło pochodni w ciemnościach przestworza się gubi. Starożytni, snąc pojmując lepiej takie znaczenie pochodniowego światła, używali pochodni w uroczystych pochodach i igrzyskach, jak n. p. w *pa-*

natheneach, w *wulkanaliach*, w *prometeach*. Młodzież z zapalonymi pochodniami biegła do celu, i był zwycięzcą, kto go dobiegł z palącą się pochodnią; komu zaś pochodnia zgasła, podawał ją następującemu. Piękny obraz, a razem i wróżba przyszłego życia ludzkiego! — Nie jedno w połowie zawodu zagaśnie, a rzadki ten, kto je do kresu świetnego żywota doprowadzi.

Promienie słoneczne w prostolinijnych rozchodziły się kierunkach; niekiedy, w czasie zachodu, widzieć także można ostrokągi promieniste, co się ze słońca, jako ze wspólnego środka, na półkulnym horyzoncie rozchodzą. Płomienie ognia nie mają tych prostolinijnych konturów, które są cechą nieorganicznego światła. Więcej do życia zbliżone, w falistych liniach i powierzchniach się wiją. A taka jest zmienność konturów, taka ruchliwość żywiołu, że na żadnej linii oko spocząć nie potrafi; jest to istny niepokój życia, nieustanne trawienie się, — ale właśnie dla tego malownicze wrażenie ognia jest tak miłe i powabne, że nam nieustający ruch żywota naszego przedstawia.

Poznaliśmy powyżej piękno kosmicznego, a teraz piękno ziemskiego światła. Jeżeli oba ze sobą połączymy, powstaje trzeci rodzaj piękna świetnego, to jest światło mieszane. Urok jego jest tak magiczny, że olśniete nim oczy, jakby ogniem bengalskim, samym czarownym wdziękiem tego blasku się pasą, a kontury przedmiotów nikną w nim i tracą na piękności kształtu. Natura często przedstawia nam widowisko tego blasku mieszanego światła, odbitego na przedmiotach, jakby połyskiem drogich kamieni. Kiedy wśród nawałnicy we dnie, czy w nocy, piorun uderzy, i pożar ztąd powstanie, wtenczas siarczysty blask błyskawicy, połączony z czerwonym blaskiem pożaru, tworzy owo magiczne chwilowe oświecenie. Podobnie czarowne światło pada na przedmioty, oblane z jednej strony srebrnym blaskiem księżyca, a z drugiej czerwonym światłem rozpalonego ogniska.

Najnowsza sztuka malarska, obrachowana na efekt, podpatrzyła malowniczą naturę w jej czarownych obrazach przy oświeceniu podwójnego światła, i wielokroć sceny natury i życia społecznego w takim samym mieszanym przedstawia świetle.

Wszakże i tu spostrzegamy zaraz, że efekt światła dzieje się z ujmą form pięknych, w które oświecone przedmioty są przybrade. Różane ognie bengalskie są także tylko grą mieszanego światła, z tą różnicą, że je tworzy mieszanina materiałów palnych. Jedno z pospolitych doświadczeń jest owa gra spirytusowego ognia, do którego wrzuciłeś garść soli. W blasku téj płonącej mieszaniny oblicza ludzkie zielenieją, jakby z grobów dobyte, a im twarz czerwiejsza, tym straszliwiej trupia.

β) Światło fosforyczne.

Ciała ciemne, oświecone promieniami światła, stają się same świecącymi. Postrzegamy to na wielką skalę u planetów i księżyców, które w ciemnościach nocy przyświecają nam pożyczanym światłem. To samo dzieje się na ziemi, jeżeli utworzymy sobie ciemnię, np. jeżeli w szczelnie zamkniętym pokoju, przez mały otwór, zrobiony w okienicy, wpuścimy do niego światło, natenczas na ścianie przeciwnéj odmalują się przedmioty, znajdujące się przed otworem na jasności (*camera obscura*). Dzieje się to skutkiem odbicia się promieni światła od powierzchni ciał, czego prawidła katoptryka nam rozwija.

Wszakże świecenie się ciał ciemnych pożyczonym światłem znika wśród dniowej jasności, i piękno takiego świecenia kojarzy się z pięknem ogólnego słonecznego światła. Aby ciała świecące były piękne, muszą mieć osobne swoje światło, którym się, mianowicie w nocy, uwydatniają. Do ciał tego rodzaju policzamy tak nazwane ciała fosforyczne, albo świetlno-magnetyczne.

Na rozmaity sposób tłómaczono sobie dawniej fosforescencyą ciał. Najnowsze przecież odkrycia pokazały, że i to światło jest skutkiem procesu elektrycznego, a zatym, że równie, jak wszystkie poprzednie światła, jest jasnością hymenową, przyświetlającą płciowemu łączeniu się ciał i żywiołów. Rozłup w ciemności kawałek błyszczenia (miki), a ujrzysz sła.

be polyski światła na rozerwanych powierzchniach, ale równocześnie przekonasz się, że jedna połowa jest w stanie ujemnej, druga w stanie dodatniej elektyczności. — Nacierając dyament, albo go rozgrzewając cokolwiek, przez co się elektryczność w nim rozwija, nadamy mu własność świecenia przez niejaki czas w ciemności. Tój samej własności nabiera przez dłuższe wystawienie go na słońcu.

Najwięcej jednak ciała przez tarcie i ogrzanie nabywają własności przyświetlania nocą. Siarczyk cynku za najmniejszym potarciem wydaje światelko żywe. Ucierając w moździerzu feldszpat biały, przezroczysty, cała masa zdaje się być w ogniu białawego koloru. Niektóre odmiany flusspatu, ogrzane ciepłem ręki, już wydają światło fosforyczne, mniej więcj żywe; inne minerały ogrzać trzeba do 80° R. i wyżej jeszcze, aby zaświeciły blaskiem, który bywa rozmaitego koloru. Sztuczne fosfory, ale zawsze dokonane siłami natury, świecą natężonym i nader pięknym światłem. Siarka, pomieszana z niedokwasem cyny, daje śliczne białe światło; pomieszana z niedokwasem cynku, przyświetla zielonkowatym, częściowo niebieskawym światłem; pomieszana z niedokwasem kadmium, ma blask złotego światła. Głośnymi z piękności światła stały się fosfory, znane pod nazwiskiem kamienia bonońskiego i fosforu Kantona,*) które, wystawione na promienie słońca, przez kilka sekund takięj nabierają siły przyświetlania, że przez kilka godzin świecą czerwono, jak węgle rozpalone.

W tym przyświetlaniu minerałów potęgą własnego światła upatrujemy symboliczny wyraz duchowego żywota wśród ludzi. Duch ludzkości, który rozwija się w czasie i przyświeca pokoleniom i narodom, jest jak to słońce, wywołujące promieniami swojimi w minerałach moc przyświetlania. Jak sztuka tworzy potężne fosfory, tak nauka wykształca umysły, które,

* Szewc Casciorolus, z Bononii, wynalazł 1602 r. kamień bonoński w taki sposób, że siarczan barytu pokruszony i skropiony kwasem solnym, rozpalał na żarzytych węglach. — Fosfor wynaleziony przez Kantona 1768 r. jest siarczanem wapna, pozyskanym przez rozpalenie skalcynowanych muszli ostrzygowych ze siarką.

naciągnąwszy w się promieni światła z ducha przeszłości i obecności, świecą na długi czas światłem własnego geniuszu. Umysły, naturze pozostawione, świecić będą, ale tylko słabym światłem. Inne połyskują oną fosforescencyą ducha, podniecone gorącym uczuc wladających; inne nabierają téj własności przez tarcie, to jest, przez ścieranie się z potęgami otaczającego je świata; u innych nakoniec nigdy się ta własność nie okaże.

Bo i w duchu człowieka powstaje elektryczna napiętość, którą wywołuje, już nieugaszone pragnienie wiedzy, już zapal sławy, miłości, religii, już walka zewnętrzna, rozdierająca pokój życia. Duch zapłonie i zaświeci własnym światłem, to mądrości, to czynu, to poświęcenia, ilekroć przechodzić będzie z pragnienia do sytu, z rozdwojenia do jedności, z napiętości biegunowej do równowagi. Wszakże są umysły ludzkie, które czy z gnuśności, czy z przytępienia władz duszy, zawsze sobie są równi i nigdy z równowagi nie wychodzą; ich nic nie poruszy, nic elektrycznie nie wstrząśnie; są to ciemne i zimne ciała, które tylko obce ciepło grzeje, obce światło oświeca.

Już z tego symbolicznego charakteru ciał przyświetlających, co ich wyrazowe piękno stanowi, podaje się bezpośrednio, że im wyższa będzie organizacja ciała takiego, tym moc przyświetlania będzie w nim potężniejsza. Dotąd uważaliśmy tylko same minerały świecące, których światło naturalne było tak słabe, iż trzeba było sztuką naturze przyjść w pomoc. Większe już jest naturalne światło w fosforescencyach roślin, a daleko jeszcze większe u zwierząt.

Dziwny to urok sprawia, a wprawia człowieka w zadumę, nieraz w zachwycenie, kiedy wśród czarnej nocy stara wierzba pruchnem zaświeci, jakby światłem bladym, grobowym; albo gdy po powietrzu świecące owady, jakby latające gwiazdeczki migają, i świętojański samiczy robaczek między trawą brylantowym ogniem łyszczy, zawiadamiając tym głosem świecącym samca, o miejscu swojego pobytu. Cudniejszy jest widok, kiedy o nocnej dobie okręt po powierzchni morza szybuje, a w okół niego i za nim ogniste strumienie się bałwanią. Ja-

każ to siła tajemna, pytamy się, wydobywa z tych istot taką zorzę promieniejącego światła?

Niemal wszystkie gatunki drzew, kiedy pod wpływem ciepła i wilgoci przechodzą w stan zgnilizny, nabierają własności przyświetlania. Walka sił organicznych i nieorganicznych, która się wtedy odbywa, sprawia napiętość elektryczności, a jój objawem jest światło. Z tego samego powodu świecą cząstki ciał zwierzęcych, a ryb w szczególności, kiedy się w nich rozkład chemiczny odbywa. Ostatki organicznego życia, zda się, ulatują w wieczność, na płomiennych skrzydłkach fosforycznego światła.

Ale i w żywych jestestwach organicznych rozwija się przyświetlanie nocą. Pomędzy grzybami już Lineusz przytacza gatunek, przewany przez niego *byssus phosphorescens*, który w ciemnościach świeci. We wschodnich Indyach rosnąć ma rodzaj pieczarek (*agaricus lucens*), których mieszkańcy jako latarni zażywają przy szukaniu i zbieraniu grzybów. Aleksander Humboldt uważał, że mianowicie w kopalniach wyrasta gatunek podskórników (*rhizomorfów*), wydających ze siebie światło. Są to rośliny, na podobieństwo korzeni czarniawych, wyrastające w miejscach chłodnych i cienistych, kończyny ich białawe, szczególnież w odrostkach młodych, wydają światło, niekiedy bardzo mocne. — Pomędzy mchami fosforycznymi zasługuje na uwagę *schistostega osmundacea*, gatunek mchu błotnego, który najwięcej w wilgotnych szczelinach porfirowych skał osadza się, i tam z ich ciemnej głębi ognikiem połyskuje, jakby z zaczarowanego, skamieniałego zamku.

U roślin wyższego rzędu przytrafia się fosforescencya podczas ich kwitnienia. „Córka Lineusza postrzegła pierwsza ciekawe zjawisko świeatek, wytryskujących z kwiatu nasturcyi. Postrzeżenie to stwierdzonym zostało później przez innych i gdzieindziej, a mianowicie w kwiatach żółtych, lub pomarańczowych, z odcieniami świetnymi i złocistymi, jak słonecznik, nogietek, gwoździk, aksamitka, i t. p. Świeatełka te mają szczególnież ukazywać się w czasie wieczorów, następujących po ciepłych i burzliwych dniach, i wtedy to bywają daleko żywsze: nigdy zaś nie dają się widzieć przy wilgotnym

powietrzu. Według opowiadania jednego z podróżnych, rośnie w Afryce gatunek pochutniku (*pandanus*), w którym pęknienie pochwy, otaczającej kwiaty, połączone jest z trzaskiem i wystrzeleniem strumienia światła.“)* — Podobnie utrzymują o kwiecie roślin *calendula* i *tropaeolum*, z którego wywiązuje się raz po raz światło fosforyczne. Wszystko to dowodzi, że się wśród płciowej napiętości roślin rozwija elektryczność, i łącząc przeciwne bieguny, zapala się światłem. Podobne zjawiska uważano także przy zawięzywaniu się kryształów.

Pojawniejsze jest jeszcze zjawisko przyświetlania u zwierząt, u których nadto ta ważna zachodzi okoliczność, że takowe od ich woli zależy, a zatem pod panowaniem działania nerwowego zostaje. Postrzegamy to u świetlików, że gdy ruch jaki w pobliżu posłyszają, lub czują, światło ukrywają. Uważano u owadów świecących, że w ostatnich trzech pierścieniach brzuchowych osadza się ciecz żółtawa, na pół przezroczysta, która pod mikroskopem pokazuje mnóstwo włókien rozmaicie rozgałęzionych. Z téj materyi, zdaje się, że się wydziela światło, albowiem i po śmierci owadu, można przez ciepło, lub galwanizm, wprowadzić ją w stan przyświetlania.

Na wielką skalę rozpościerają światło fosforyczne niższe gatunki zwierząt, jako to, żegawnice, pierścienice, wymoczki. Nieprzeliczone ich mnóstwo żyje w wodach morskich, a że każde z osobna wydziela iskrę elektryczną, ztąd morze nieraz wydaje się nocą, jakby gorzało. Najczęściej w południowych morzach natrafiamy na to widowisko. Kiedy się woda mocno bałwani, a okręt pędzony wiatrem ją porze, widać jak się za nim ciągną czerwonopłomienne strugi, które nikną wśród dalszych bałwanów. Jeżeli zaś wiatr ustał, a noc gorąca i powierzchnia wody lekko tylko nakarbowana, zdaje się nieraz, że całe lustro morza, jak daleko okiem sięgniesz, w płomieniach stoi. Nabierz jój węborkiem, a i tam świecić będzie, dopóki się kołysze, i dopiero przestaje przyświetlać, gdy się usatkowała. Najpiękniejsze jest widowisko, kiedy nie sa-

* Botanika Andryana Jussieu, przekł. Tytusa Chałubińskiego § 647.

ma tylko powierzchnia, ale cała głębia wody w ocean ognisty zamienioną się być zdaje. Każda fala, która się na powierzchni ruszy, rąbkim płomiennym jaśnieje, a środkiem głębin świecących, widzisz pływające ciała ogniste, i po kształtach poznajesz, że to ryby i potwory morskie, światłem fosforycznym oblane; z nich jedne wolno płyną, drugie migają szybkim ruchem jak błyskawice, suwając w oddal, lub głąb morza. Forster, opisujący te zjawiska na morzu południowym, powiada, że kazał nabrać pełne naczynie takiej wody płomiennej, i znalazł w niej nieprzeliczone roje świecących kuleczek, które się z niezmierną szybkością poruszały. Gdy woda chwilę postąła, zdawało się, jakby się liczba tych roi zmniejszyła, ale za jój poruszeniem na nowo się pokazywały, na podobieństwo iskier latających. Ciałka te, wielkości główki od szpilki, pokazały się nad mikroskopem żywymi, galaretowymi, przezroczystymi wymoczkami, mającymi własność wydzielania z siebie światła elektrycznego. — Ale i na północnych morzach zdarzają się podobne przyświetlenia. Jadąc nocą gondolą po kanale, który od lagun Wenecyi do Mestre prowadzi, widać nieraz nadzwyczajne płomienienie się wody, którą czy wiosło, czy kamień rzucony w poruszenie wprawia.

Tak więc malownicza natura, obsypawszy firmament światłami, aby w nocy ztamtąd ziemi przyświecały, nadała tę samą własność przyświecania i niektórym jestestwom ziemskim aby wśród ciemni nocnej, jakby wśród ciemni nicości, poświećtały blaskiem życia, i były jak świecące meteory napowietrzne, upiększające świat, kirem nocy okryty. — Pozostaje nam jeszcze mówić o pięknie światła, z powierzchni gładkich odbitego.

γ) Blask i lustr powierzchni gładkich.

Im chropowatsza powierzchnia ciała, tym się bardziej odbite promienie na różne strony rozstrzelają; im gładsza, tym jest odbicie ich regularniejsze, to jest: że pod tym samym kątem promień się odbija, pod jakim wpada, i że oba promienie leżą na téj samój płaszczyźnie. Przez rozrzucanie

się promieni staje się ciało widzialnym; przez regularne ich odbicie musi przedstawiać obraz nie swój, ale obcy, z którego nań promienie padały. Gdyby więc powierzchnia bezwzględnie była gładka, a takięj nie ma w naturze, ciało samo byłoby niewidzialne, i tylko by się w nim przeglądały obrazy innych ciał. Na tych katoptrycznych zasadach polega sztuka malownicza natury zdejmowania obrazów, i malowania ich na płaszczyznach gładkich, przy czym tło płaszczyzny bywa wydajne, z powodu niedoskonałego jęj wygładzenia.

Sztuka ludzka wynalazła zwierciadła, zdejmujące obrazy tych wszystkich przedmiotów, których promienie na wygładzoną ich płaszczyznę padają. Sztuka poleruje powierzchnie kamieni i kruszców, w których blask światła słonecznego, albolu ziemskiego, ślicznie się odbija, jak to widzieć można na stalowych, lub miedzianych puklerzach, i na lśknących hełmach i zbrojach. — Natura utworzyła sobie tylko jedno zwierciadło, to jest, gładki lustr wody. Wszystkie zaś inne ciała ogładziła o tyle tylko, aby się z nich sama jasność słoneczna odbijała, przez co tworzy się piękno ich blasku.

Blask sprawia szczególne wrażenie, którego doznawamy, patrząc na ciała lśniące, a które wyraźnie wyróżniamy od uczucia kolorów. Jest to świecenie ciała, ale wśród dnia tylko, lub nocą, w oświeceniu innego światła; atoli różne od fosforescencyi, bo nie własnym, ale cudzym przyswiewtła światłem; — chociaż zawsze jest tam coś i z własnego światła, czy to elektryczny połysk, który z wnętrza ciała na jego powierzchnię występuje; czy odcień koloru, który się do blasku mięsza; czy wreszcie świetlenie się tłustości organicznej, która blask gładkiej powierzchni podnosi.

Najwięcej blasku roztaczają minerały, kryształy i drogie kamienie. Rozróżniamy wewnętrzny i zewnętrzny ich połysk. Pierwszy, mianowicie w minerałach, płonie nadzwyczajną żywością; drugi, pod wpływem powietrza, z czasem jakby osobną powłoką przykrywa się, która jego świetność słabi i przygniata. Wszakże bywają i gładkie powierzchnie, które świecą tak promienisto, jakby się światło słoneczne w nich kąpało.

Napiętość światła mineralowego bywa rozmaita. Już zdala łyseczy ognistym blaskiem dyament, i większa część drogich kamieni: jak rubiny, szmaragdy, safiry, topazy, hyacyny, pyropy, opale, obsydiany. Bezpośrednio łączą się do nich w mocy blasku: kryształ górny, łyseczyk, feldspat, flusspat, bursztyn, i samorodne kruszce: złoto, srebro miedź, żywe srebro, błyszcz ołowiu, krusz miedziany, antymon, ruda cynowa i t. p. Mniej płoną, ale zawsze jeszcze piękny blask rozszczepiają: kwarcy, jaspisy, turmaliny, karneole, smółki, perłowce, kryształy soli i siarki, baryty, szpat wapienny; z kruszców: platyna, żelaziak szpatowy, miedziak promienisty i t. p. Mało się świecą asbesty, lawa, szpat brunatny, węgiel kamienny, prętowiec (*skapolit*), błyszcz srebra, żelaziak chromowy, i t. p. Migocą się krzemienie, serpenty, gipsy, żelaziaki brunatne. Zupełnie bez blasku są kredy, łupki pospolite, niektóre gatunki jaspisu, piana morska, czerń miedzi, okra cynkowa i t. p. — Zgoła możnaby w blasku nieorganicznych tworów te same odróżnić odcienia, któreśmy w świetle uważali, i byłby blask na podobieństwo światła słonecznego, światła elektrycznego i światła ogniowego, z wszelkimi tych światel podgatunkami.

Blask ciał kryształicznych i mineralogicznych jest tak pod względem napiętości światła, jak koloru, każdemu z nich z osobna właściwy, stanowi charakter ich indywidualności, i zdaje się być skutkiem płciowego, czyli elektrycznego działania, jakie promienie światła, odbijając się od gładkich tych ciał powierzchni, w nich wywołują. Pokazuje się to widocznie na wielu tworach kopalnych, niemających albo żadnego blasku, albo słabo tylko połyskujących, a w których przez tarcie silniejszy da się wydobyć połysk. Tak np. bol i mydleniec (mydło górne) mają nader mdły połysk tłustości, a porytowane czym ostrym, nabierają pod rylcem świetnego blasku. Podobnie w pianie morskiej, w słońcu, będących bez żadnego blasku, można go wydobyć za pomocą rylca.

Indywidualność blasku ciał nieorganicznych maluje się w rozmaitych odcieniach. Inaczej świeci perłowa macica, inaczej stal, inaczej srebro rodzime, acz napiętość blasku prawie

ta sama. Rozróżniamy następujące gatunki blasku. Blask metaliczny płonie różnymi barwami w jaskrawości słonecznej, ma w sobie coś uroczystego, jakby blask dniowego światła. Podziwiamy go we wszystkich kruszcach rodzimych; ale znajdujemy go i w rudach kruszczowych: w błyszczu ołowiu, w żelaziaku błyszczącym, w iskrzyku złocistym, w kruszu miedzianym, w węglóbłysku (*antracis*), w graficie i t. p. Półmetalicznym blaskiem połyskują łyszczyki i spiżowce, psilomelany i inne gatunki łyszczykowatych kamieni i kruszców. — Ognisty i uroczy jest blask brylantowy, rozweselający oko, jak blask ogni sztucznych. Najpiękniej przedstawiają go dyamenty, — ale naśladują go inne rodzaje rzeczy kopalnych, np. blenda cynkowa, siarczan ołowiu, [krokosz ołowiany (chromian ołowiu), szpat ołowiany, kwiat antymonowy. — Blask perłowej macy mieni się z białego tła w różowo zielonawe kolory; jest to blask księżycowy, który także uważamy w niektórych odmianach ortozu, w tak nazwanych kamieniach księżycowych (*adularach*), dalej w prenitach, cyanitach (błękitach), stilbitach, perłowcach, w blendzie rogowej, w łojku, w szpacie żelaznym i t. p. — Blask bławatny jest miękko połyskliwy, jak np. w asbeście, w tremolicie, w fosforofluoranie glinki (*wawellith*), we włókniastym gipsie i w takimże malachicie. — Blask woskowy odbija się w chalcedonie, w półopalu, w żółtym ołowiaku; blask tłusty w kwarcu, w mikarelu, w smołowniu, w bursztynie, w fosforanie ołowiu. — Blask szklisty, mający najwięcej podobieństwa do światła gwiazdowego, pokazuje się w rubinach, topazach, szmaragdach, berylach, turmalinach, kryształach górnych, w fluorynie i t. p.

Są i przejściowe pomiędzy tymi blaskami odmiany. Mieni się pomiędzy brylantowym a tłustym blaskiem: cyrkon, boracit, siarka, ruda cynowa kornwalska; — pomiędzy brylantowym a szklistym blaskiem zabiera środek lazur miedziany; a pomiędzy brylantowym i perłowym blaskiem, galman i łyszczyk uranu. Tłustoszkliste są hyacenty, ametysty, granaty, oliwce, augity; woskowszkliste są opale; perłowoszkliste: kostkowce (*analcymy*), szpat wapienny, gips lodowaty (*selenit*), promieniec (*aktynot*); i tak dalej w nieskończoność odmian i odcieni.

Najrozmaitsze więc piękno przedstawia nam blask nieorganicznej natury. Całe jój życie, o ile się na zewnątrz objawia, stacza się do tego połysku, który z tak wewnętrznych, jak zewnętrznych części nieorganicznego ciała płonie. W odłamach szczególniej podziwiamy niezwykłą żywość i świeżość blasku, i uderza nas, że środkiem tych na pozór martwych minerałów i kamieni, taki blask żywotny płonie.

Ten sam blask żywotny jest także ozdobą roślinnego i zwierzęcego świata. Wszakże z naturalnych przyczyn tylko na powierzchni ciał organicznych rozściela się; albowiem środkiem odbywa się ruch organów i soków, czyli funkcyi żywota, i tylko na powierzchniach spokój formy osiada. Blask u tych jestestw nie będzie téż miał takiego znaczenia, jak w nieorganicznych tworach, bo przygasza go wyraz życia, który' z całego jestestwa organicznego przegląda. Z tego samego powodu osadni blask będzie na częściach najmniej organicznych: w roślinach na naskórkach liści, kwiatu, łodygi i owocu; u zwierząt na rogowych częściach ciała: skóry, włosów, sierci, łusk, pierza, szponów, paznogi i rogów. Nie będziemy tu już widzieli płomiennego blasku kruszców, ani szklistego połysku drogich kamieni; będzie to blask przygaszony, nieurozmaicony tyloma odcieniami, które stanowiły lśniące bogactwo nieorganizmu.

Najmniej go roztaacza roślina. Części drzewne chropowate, a naczynia soczyste, naskórki, wielokroć pyłkiem, lub puchem pokryte, nieprzydatne są do tworzenia płaszczyzny gładkiej, na którejby się promienie światła odbiły. Kora na pniach, łodygach i gałązkach, póki młoda, jest gładkolicą; ale miętka, ma tylko mdły i słaby połysk; stara kora pęka, mchem porasta, i zupełnie jest bez blasku. Na wiosnę, kiedy jeszcze listki nie puściły, ale już soki po pniu i gałęziach krążą, najpiękniej się wydaje połysk kory młodych latorózg, połączony z odświeżoną ich barwą amarantową, jak u brzózek, lub żółtą, jak u wierzb złotych.

Kwiat, jakkolwiek piękny co do barwy i ułożenia, słaby także tylko ma blask listków barwistych. Płoną kolory, ale połysk ich mały, dla tego, że miękisz kwiatu zbyt mięsisty

i niedosyć gładkopowierzchny. Im suszejszy jest listek kwieciana, tym większy jego połysk. W ogóle jednak blask kwiatu bywa miękki, aksamitny, jak u słoneczników, georginiów, kaktusów, tulipanów.

Liść zielony rzeczywiście najwięcej rozrzuca blasku, a że jest szatą rośliny, słusznie natura obdarzyła go tym malowniczym urokiem, w którym się do słońca przegląda. Liść tak jest osadzony, że płaszczyzna jego szeroka stoi prostopadle, lub nieco ukośnie do łodygi, albo do gałązki, przez co wierzchnia jego część obrócona jest ku niebu, dolna zaś ku ziemi. Ztąd też pochodzi, że tylko wierzchnia płaszczyzna blask w promieniach słońca rozacza, spodnia zaś ma połysk zupełnie przygaszony.

Blask z liści na ten sposób rozłożonych, nadaje drzewom naszym właściwą fizygnomią. Inny naturalnie będzie rozdział cienia i blasku, jeżeli liście pod innym kątem są osadzone. — „Powierzchność drzew i lasów Nowej Hollandyi przejęła pierwszych podróżnych, którzy je widzieli, szczególnym uczuciem, jakie sprawiało niezwykle rozdzielenie światła i cieni. Dziwiono się długo nad tym osobliwszym wrażeniem, nie mogąc odgadnąć jego przyczyny. Brown, zwiedzając te kraje, łatwo sobie zdał sprawę z tego niezwykłego oświetlenia, przekonawszy się, że drzewa te po większej części posiadają liście inaczej osadzone, jak w naszych, tak, że światło wpada między blaszki ułożone pionowo, nie zaś na leżące poziomo.*

Blask liści jest rozmaity. Najwięcej go mają liście suche, skórkowate, np. u cytrynowego drzewa, u kamelii; najmniej liście miękkie, mięsiste, drobnymi włoskami nastrzępione, jak u łopionu, geranii. Pięknie wygładzone i nakarbowane liście olszowe świecą się, jakby były wyprasowane; zaś liść bluszczu, na pół przezroczysty, ma blask miękki, jakby zwilżony. Liść wierzby i srebrnej topoli ma w połysku swoim coś srebrzystego; wesoło mieni się blask jasnozielonych liści, jak leszczyny i jaworu; smętnym jest połysk ciemnej myrty, lub bladego

* Botanika And. Jussieu, przekład Tyt. Chałubińskiego, w przypisku do § 124.

cyprysu. Blask listków trawy nadaje ową cudną świeżość łąkom i oziminom, która nas na każdą wiosnę zachwyca. Gdy trawy usychają, blask z nich znika, i ztąd owa trupiość zieleni jesienniej. Jedne mchy zatrzymują przez rok cały jedwabisty połysk zielonej barwy swojej, bo też one najwięcej do nieorganizmu zbliżone, i jakby bezpośrednio z niego się rozwijają, z nader małym zakresem wegetacyjnego życia.

Jużeśmy wyżej porównali owoce zawieszane na drzewach, mianowicie uszlachetnionych, do ornamentu drogich kamieni, którymi są przyozdobione. Rzeczywiście połysk tych ciałek krągłych, soczystych, ma najwięcej do nich podobieństwa. — Szklisty jest blask wiśni, tereśni, porzeczek, białych winogron; półmetaliczny jest połysk śliwy, tarki, jabłka, żołądzi; tłusto łyseczy się kasztan, świeżo z łupiny wydobyty; woskowo perłowym blaskiem połyskują różne gatunki grochów; woskowo szklisty blask mają głóg i jarzębina itp. Wszelako jeżeliśmy pod względem kształtu porównali owoce do drogich kamieni, to pod względem soczystości i mięsistości, zbliżają się już do ciał zwierzęcych; blask ich ma zawsze coś miękkiego, bławatego, i tym charakterem zbliża się do połysku cielistego u zwierząt i ludzi. Tereśnia ma pod tym względem szklisty blask oka, jabłko blask rumianego lica, morela przygaszony blask ciała, żołądz blask dziobu ptasiego, naskórki grochów blask łuski itp.

W królestwie zwierzęcym malownicza natura pomaga sobie osobnym materyałem, aby podnieść na powierzchni blask tworów żywotnych. Jest to ciecz tłusta, którą skóra wydziela, a która włosom, sierci, wełnie, pierzu i łuskom, nareszcie i samej nagiej skórze połysk szczególny nadaje. Wydzielanie podobnej cieczy można było uważać u niektórych gatunków roślin, mianowicie przy zawieszaniu się pączków, które natura smolnym lepem obsłania, tudzież przy pniach koniferów, wydzielających żywicę. Blask tej tłustości jest szklisty, ale cel jej u roślin jest inny, i dla tego nie rozściela się na ich powierzchni.

W niższych gatunkach zwierząt, u zwierzokrzewów i mięczaków, jest jeszcze blask mineralny, bo się stacza do ich wa-

piennych mieszkań: mniej łyskliwy u koralu, ale nader piękny, perłowy, na wewnętrznych, gładkich powierzchniach konch i muszli. Łuska rybia, jako półprzezroczysta materya rogowa, sama z siebie jest połyskliwa, nabiera przecież tym większego połysku za pomocą cieczy mazistej, którą ryba na całej powierzchni wydziela i która jej ciału nawet pod wodą cudny blask nadaje. Z płazów najwięcej go mają węże. Ród skrzydlatych owadów płonie przepychem farb, które w jasności blaskiem świecą, a na gazowych ich skrzydełkach srebrny połysk się odbija.

Ptastwo im świetniejsze ma farby, tym więcej łyszczy ich blaskiem, już jedwabistym, jak u strusiów, już metalicznym, jak u pawiów, kogutów, bażantów, ptaków rajskich. Nawet białopióre ptastwo, jak łabędzie, gołębie i papugi białe, mają miętki, nieco przygaszony srebrzysty połysk.

U zwierząt ssących świeci tłustością sierć, zwłaszcza krótką i do skóry przylegającą. Im zwierz lepszej tuszy, tym piękniejszy połysk sierci; przeciwnie, znika u zwierząt zbiednionych i niezdrowych. Ztąd też pochodzi, że zwierz w stanie dzikości, jako w stanie najwięcej mu odpowiednim, ma sierć gładszą i łyskliwszą, niżeli zwierz chowany, albo przeniesiony do innego klimatu. Śliczny jest połysk konia tabunowego. Może dla tego w Persyi konie poświęcone były słońcu, że w jego promieniach takim blaskiem się lśknęły. Gdzie zwierz zupełnie nagi, jak w południowym gorącym klimacie, skóra się świeci i ma blask aksamitu.

Świetniejszym blaskiem tli się oko. Już u ryb i płazów uważać to można było; atoli zbyt małe i bez szczególnego wyrazu, nie zwracało na siebie uwagi. U ptaków, zwłaszcza drapieżnych, jest już więcej żywości w oku; wszakże jakiś nieporównany urok świeżości, zdrowia i życia, leży w blasku oka czworonożnych zwierząt. Popatrzmy tylko na to ciemne tło oka sarniego, albo konia stepowego, jak wdzięczny połysk z niego bije; albo wnijdźmy pomiędzy gromadę owiec zdrowych, a ujrzymy ich oczy migające błękitnym ogniem, jak gdyby osadzone w głowie brylanty. Już i namiętność gra w oku i z jego blaskiem się łączy. Zaiskrzy się płomieniem oko wilka, i psa

oko zapłoni szmaragdowym ogniem widowym w przyciemnionym miejscu, gdy się zwierz żądzą zdobyczy, lub polowu zapali.

Skóra ludzka ma słaby, miękki połysk, wydatny najwięcej na kościstych częściach ciała. Na czole, mianowicie w jego wypukłościach, gdzie skóra na czaszce wyciągniona, bardziej jest gładka, na grzbiecie nosa nieco wygiętego, na kościach policzkowych, na jabłkach kolana, zwykły osiadać wyraźniejszy połysk. Ale i po pulchnościach mięsistych, po policzkach, piersiach i udach, rozlewa się pewien blask żywotny, który tym gładkim i falistym powierzchniom wdzięk rozkoszy nadaje. Nie jest to blask marmuru, lub alabastru, z którego posągi utoczone, na tych krągłościach więcej, jak indziej jaśniejący; ale jest blask gorącym życia owiany i zmiękczony, który rozkosz budzi.

Połysk włosa i paznogi jest dalszą ozdobą ciała ludzkiego. Blondyni mają blask włosa złocisty; bruneci blask ciemnego hebanu. Świecenie się paznogi uwydatnia rogowe pokrycia na kończynach palców. Wszelako blaskiem nad wszystkie blaski, jest blask oka ludzkiego, kędy dusza przegląda. Owo miganie się białego punkciku na kolorowej tęczy, czy to ona szafirowego, czy czarnego koloru, owo jego przerzucanie się na wszystkie strony, za każdym ócz poruszeniem, niewymowny ma urok. Na całym jaśniejącym sklepieniu oka ów punkcik ruchomy jest, jakby kołująca po nim srebrzysta gwiazda, promieniejąca nadzwyczajnym wdziękiem, gdy oko się łąą zawilży.

Blask oka jest wyrazem duchowego żywota w zdrowym ciele i przy zdrowym umyśle. Uroczysty i spokojny jest blask oczu mędrca; elektryczny i niebiański w zachwycie ducha; ognisty w zapale uczuć; płomienisty, jak żar węgla, w chuciach i namiętnościach. Rzekłbym, że każde inne uczucie, innym blaskiem w oku się migoce. Drzemie dusza, albo choruje wraz z ciałem, gdy blask oka mdły i samą świeci wilgocią, co powierzchnią jego pokrywa.

Mówiąc o blasku ciała człowieczego, mieliśmy białą, kaukazką rasę na myśli. Inne rasy nie mają tyle idealności. Czarna skóra Etyopów połyskuje tłustością; włos wełniasty jest bez blasku; za to białko oka, karmin ust i koralowy blask

zębów, więcej przy ciemnym tle całego ciała jaśnieją. Rasa malajska mniej pod tym względem zasługuje na uwagę.

Gładka powierzchnia oka, powleczone błoną przezroczystą, zawsze zwilżoną, stanowiła już zwierciadło, w którym się można było przejrzeć, jak w każdej gładkiej powierzchni. Przechodzimy więc do zwierciadeł natury, czyli do płaszczyzn, na których ona, za pomocą odbijania się promieni światła, zdejmuje obrazy okolic i przedmiotów. Jużśmy wyżej wspomnieli, że takim zwierciadłem na wielką skalę jest gładka powierzchnia wody. Patrząc na nią zdala, nie widzimy nic, krom jasności blasku, który się od niej odbija. Lecz zbliżywszy się po nad sam brzeg, ujrzymy w nim odbity obraz naszej własnej postaci, tylko że w przeciwnym kierunku. Człowiek w stanie natury chodził po nad wód kryształę, i przeglądał się w nich i przypatrywał urodzie swojej. Ale i brzegi malowane, i wszystkie wyniosłe przedmioty: wzgórze, góry, skały i drzewa, bydło paszące się po nad brzegami, i pasterze, tudzież chaty i pałace — zgoła wszystko, jak daleko promień sięga, który się z przedmiotów na lustrze wody odbija, — wszystko to maluje się we wodzie, i tworzy jakby świat drugi, przeciwnożny, wierzchołkami swymi w głębiny wód wysadzający.

Piękny to i romantyczny widok tych dwóch obrazów przeciwległych, tego drzewa rozłożystego, co się z korzeni i ze ziemi na dwie przeciwne strony rozrasta, i w świecie rzeczywistości, i w świecie optycznej ułudę, a jednak do rzeczywistości tak doskonale zbliżonej. Aby zaś temu światu pod wodą niczego nie brakło, cały obraz uroczy nieba odbija się we wodzie z różnokształtymi, różnocieniowanymi obłokami; i słońce promieniste świeci tam za dnia, a nocą srebrzy się księżyc, i cały firmament, nahaftowany gwiazdami, rozwiesza się w głębinach w tej samej odległości pod lustrem, jak nad lustrem wody. I nie potrzeba na to rozległych przestrzeni oceanu. Każda, by i najmniejsza przestrzeń wody, do gładkiego lustru zrównoważona, odbija ci obok przedmiotów pobliskich, całe niebo nad nią rozwieszane. Wszakże i w kropelce rosy, co się na listku trawy uwiesiła, lyszczę obraz całego słońca; a schyl się wśród dnia po nad rozpadliną skały, gdzie w ciem-

nój głębi woda się nagromadziła, ujrzysz, jak w czarnoksiężkim zwierciadle, gwiazdy, które ci jasność dnia zakrywa.

A coraz inne przeciągają obrazy po tym płótnie wodnistym, bo coraz inną jest draperya nieba; a chociaż brzegi te same, to blask światła, który je oblewa po różnych porach dnia, nocy i pór roku, w coraz innym pokazuje je uroku. Aby zaś jednostajnością takiego kolorowego daguerotypu nie zużyły, raz po raz przeciągnie chmura, wicher powierzchnią wody zbałwani, i znikną uroczyste obrazy, aby się znów w tym cudniejszej świeżości okazać.

Wszakże najczęściej powierzchnia wody nie tworzy gładkiego zwierciadła, lecz lekko się fałdzi i bałwani, powiewem wiatru kołysana. Wtenczas w każdej fali słońce, lub księżyc się odbija, wraz z nią się kołysze i z jednej fali do drugiej przeskakuje. Każdy rąbek srebrzy się, i cała powierzchnia przedstawia widok drżących promiennych światel, które się dziwnie pięknie łamią z migającymi cieniami po wyżłobieniach fal. Nieustająca to gra odbijających się promieni i nieskończona intonacja farb. A kiedy na pogodnym niebie zachodzące słońce strugi złota rozleje, to i powierzchnia wód w morze złota się zamienia; gdy zaś po zachodzie purpura niebo rozczzerwieni, widać i na wodzie, jakby krew polaną, która się za okrętem wlecze, co wały morskie porze.

Z tego to względu blask wody wśród lądowej okolicy jest jak blask oka na ludzkim obliczu. Woda ją ożywia i uroku dodaje. W niej się z lubością przegląda natura; a ona wierne jój obrazy odbija. — Równie cudowny urok sprawia przezroczystość wody, przez którą nieraz do samego dna dojrzeć można, i wszystko, co w niej pływa, albo co na gruncie rośnie, lub błyszczy, oku naszemu się przedstawia. Widzimy świat podmorski, za wodą, jakby za szkłem osadzony; a nam samym zdaje się, jakbyśmy nad tym światem w powietrzu byli zawieszeni.

Schoepf, opisując podróż swoją na morzu, w pobliżu wysp zachodnio-indyjskich, skreśla wrażenie, jakie sprawia niezwykła w tych stronach przezroczystość wody. „Morze, aż do gruntu, na 30 łokci głębokości, nadzwyczajnie jest klarowne.

Statek pływa, jak po kryształowym roztworze, i zdaje się być na nim, jak w powietrzu, zawieszonym. Kto nieprzyzwyczajony do podobnego widoku, temu zawraca się w głowie. Spodem jest piasek czysty, jasny, a po nim tumani się rozliczne rośnię: jeżokraby, gwiazdy morskie, ślimaki i ryby, a to wszystko w tak precyzyjnych kolorach, jakich wśród lądowego królestwa zwierzęcego nie zobaczysz. Farby czerwone, niebieskie, żółte i zielone, występują na przemian w czystych i jaskrawych barwach. Dalej płynie statek po nad całymi lasami najpiękniejszych roślin morskich: georgoniów, koralu, alcyonów, flalellów i rozlicznych gębkowatych porostów, co wszystko pięknymi barwami oko rozwesela; a strumienie wody kołyszą czubkami tych roślin, jak wiatr nimi kołysze na ziemi. Zdają się nam tak blisko, żeby je można ręką uchwycić, tymczasem zaledwie ich dosięgniesz wiosłem, na dziesięć stóp długim.“

Krom wody używa natura niekiedy także powietrza, jako tła, na którym maluje obrazy, zdjęte z przedmiotów okolic. Powietrze jest roztworem gazów tak delikatnym, że przepuszczając przez siebie wszystkie promienie światła, samo staje się niewidzialnym. Jest to morze rozprężliwego gazu, nie przedstawiające żadnej płaszczyzny, na którejby się odbijały promienie, od przedmiotów objaśnionych padające. — Sztuka malarska natury maluje na powietrzu obrazy, nie środkiem odbijania się, ale za pomocą łamania się w nim promieni światła. Wszakże nie wszędzie, i nie o każdej porze widzimy te obrazy, znane pod nazwiskiem widma powietrznego, albo *fata morgana*.*

Wśród dni skwarnych, kiedy słońce blisko jest horyzontu, a jego promieniami rozgrzane zostały szerokie płaszczyzny, czy to morza i jego brzegów, czy stepu, lub piaszczystej puszczy, bywa, że przedmioty i okolice daleko odległe i niewidzialne, bo nieraz za horyzontem ukryte, pokazują się w obrazie oku

* Rzeczywiście to nazwisko przywiązane głównie do widm neapolitańskich, które przedstawiają zamki napowietrzne, atoli jako najznajomsze, służy do oznaczenia i innych widm tego rodzaju, np. mamedel genewskich, ukazujących statki na jeziorze w podwójnej postaci, widm egipskich, czyli powodzi złudliwej itp.

ludzkiemu, jakby blisko leżały, albo w powietrzu zawieszone były. Wizerunki ich są już naturalne, już odwrotne, już porozciągane. Nieraz żeglarz widzi brzegi lądu przed sobą, a im więcej się do nich zbliża, tym one dalej się usuwają, jakby za widnokrąg zapadały; a mieszkaniec puszczy dziwi się, że widzi wieś tuż przed sobą, o której przecież wie, że ją wzgórze zakrywa. Podczas wyprawy Bonapartego na Egipt, wojsko, spragnione długim pochodem po bezwodnych piaskach, widywało w niewielkiej odległości jakby jeziora wód, w których się zabudowania wsi, jak w zwyczajnej wodzie przeglądały. Atoli ten obraz przed nimi usuwał się, w miarę, jak się do niego zbliżali. Był to wizerunek rzeczywistej wioski, ale o mil kilka odległej.

Widzieć można podobne malownicze zjawiska na jeziorze genewskim, w pobliżu morza niemieckiego, a na morzu śródziemnym w okolicy zatoki neapolitańskiej. Po puszczech Afryki i po stepach Azji należą do bardzo zwyczajnych złudzeń optycznych, i są dla wędrowca i mieszkańca tych okolic miłym widowiskiem, wśród nużącej jednostajności piaszczystych, lub pastwiskowych obszarów. Widma napowietrzne są, jakby uwidomione, senne obrazy drzemiącej ciszy tych nagich okolic,

I.

Piękno farb i kolorów.

a) Mrok, uważany jako przejście od światła do kolorów.

Poznaliśmy światło w rozmaitych jego estetycznych własnościach, a mianowicie: piękno światła niebieskiego, atmosferycznego i ziemskiego; uważaliśmy w nim przede wszystkim jasność, oświecenie przedmiotów i wygraniczanie się ich cieni. Wszakże już i w tych światłach nawijało się nam piękno ich kolorowe, mające stanowić estetyczny przedmiot osobnego działu w malarstwie natury.

Ponieważ brak światła jest zupełną ciemnością, a jego objaw, niczym nienadwerężony, zupełną jest jasnością, ztąd wszelkie inne uwydatnienia się światła, które kolorami nazywamy, muszą być rozmaitym stopniem połączenia się jasności z ciemnością; z czego się oraz pokazuje, że mrok stanowi przejście od jasnego do kolorowego światła.

Czym jest w sztuce malarskiej półświatło i różne jego tony i cieniowania, tym jest w malarstwie natury mrok. Mrok nie jest cieniem, choć może być skutkiem cieni; mrok nie jest ciemnością, ale jest świeceniem jasności w ciemnościach. Ponieważ światło jest twierdzeniem (pozycją), a ciemność tylko jest jego przeczeniem (negacją), ztąd wypada, że jedno drugie wyłącza, — że więc gdzie jest światło, nie może być ciemności, a gdzie ciemność, nie może być światła. Aby

przeto mogło nastąpić świecenie jasności w ciemnościach, musi zachodzić przeszkoda, która się światłu w jego całkowitym twierdzeniu, to jest, w jego całkowitej jasności, uwydatnić nie pozwala, i o tyle ciemność się rozpościera, o ile światłu jasności nie dostawało.

Wszędzie przeto powstaje mrok, gdzie się albo promienie światła gubią w nieskończoności przestrzeni, albo gdzie ich część przeszkodą jaką, to jest, ciałem ciemnym zakrytą została. Ztąd pochodzi, że granice mroku są nieokreślone. Będzie to zawsze światło, ale ciemnościami w różnym stopniu omroczone i omraczające przedmioty, na które pada. Na tym właśnie polega romantyczna malowniczość mroku. Połączenie światła z ciemnością jest zawsze symbolem połączenia nicości i bytu, śmierci i życia, a chwile takie budzą w głębiach duszy przeczucia niewyraźne o jednym i drugim, i myśl, gdy mimowolnie ulata na rozstaje tego i tamtego żywota, gubi się po ciemnościach świata, którego jeszcze nie ma, i tego, który już minął.

Każde światło mrok rozpościera, bo jasność jego z odaleniem od ogniska mroczeje, i zasłonioną być może ciałem ciemnym, lub na pół przezroczystym. Wszelakie światła nocne są rzeczywiście mrokiem, albowiem są świeceniem wśród ciemności, i dla tego to urok ich tak romantyczny: np. gdy mroczne światło kagańcowe rozściela się po sklepieniach ciemnego więzienia; albo gdy w ściemnionym świetle lampy majaceją kontury ścian i rzeźb grobowej kaplicy. Mrok księżycowy na cmentarzach i pobojowiskach dziwny tym miejscom urok nadaje.

Mrok dniowy ma najwięcej rozmaitości, i dla tego najwięcej piękna malowniczego. — Mrok świtu jest świeceniem światła w ciemności przez jego *wstępowanie*. Ztąd rozweselający jego charakter napawa nadzieją, obudza rozkosz życia, rozprasza trwogi ciemności. Śniady jego kolor, co się po niebie i ziemi rozściela, — mimowolnie nastrecza marzenia o świtanu wypadków, które z nocy przyszłości występują na widownią świata, w równie niewyraźnym obliczu, ale poetycznemu wzrokowi objawiają *przedświt* dziejowy. Lecz twarz

świtającego mroku wypogadza się coraz jaśniejszym światłem i przedmioty wszystkie jaśnieją, aż w porankowym świetle zabieleją uroczystą szatą, w którą się natura przybiera, na powitanie przychodzącego w majestacie słońca.

Mrok zmierzchu jest przeciwnej natury; jest światłem, stopniami gasnącym, jest więc świeceniem światła w ciemności przez *ustępowanie*. Po zachodzie słońca, powietrzokrąg jeszcze jego promienie ku nam przesyła, i daje światło, zmierzchem, czyli mrokiem wieczornym nazywane. Ztąd elegijny jego charakter: budzi żal za ustępującą jasnością dnia, a trwogę przed następującymi ciemnościami. Coraz bardziej niewyraźniają przedmioty, aż w cień nocy zapadną. Tak nazwana szara godzina, której przyjemności opisał nasz Skarbek, nastrożca także do marzeń, ale innego rodzaju. Znowu dzień jeden zapadł w przeszłość, a śmierć się o tyleż przybliżyła. Radzi gawędzimy o tym, co w tym dniu minęło, a myśl trąca o ciemną krainę śmierci, do której wiedzie gościniec szarego mroku. Szare światło rozwiesza się po wszystkich przedmiotach, po niebie, po wodach i po ziemi, jakby natura żalobę na siebie przywdziewała.

Mrok dzienny bywa za dni słotnych, pochmurnych. Natura wtenczas osmutniała; przedmioty ociemniały i okolica nabrała melancholicznego pojrzenia, które się także żyjącej naturze udziela. Świegotanie ptastwa przycichło, zwierz w kniejach poziewa, i drzewa leśne z resztą roślin, nudząc sobie, drzeć się zdają; raz po raz tylko coś sobie poszepcą, gdy wiatr w ich liściu zaszeleści. Człowiek także osmutniał i duszę do pojrzenia natury nastroił. — Wszelako w tej jednostajności mrocznego światła nie ma takiego uroku, jaki z przeciwieństwa mroku i jasności przyległej powstaje. Kiedy przeciągają obłoki, i jeden z nich twarz słońca zasłoni, tworzy się mrok na tych miejscach, na które cień obłoku pada, a dalej rozściela się biała jasność słoneczna, jakby pożłota polana. Piękny to nader widok, gdy z mroku pogładasz w oddal, i widzisz albo wieś światłem pożłocioną, albo jaśniejący w świetle szmat zielonego boru, albo wreszcie promieniejący zdala łąki i roli.

Z tego samego powodu przyjemnym jest mrok, który cień przedmiotów rzuca. Pomiedzy przedmiotem a cieniem, który na ziemię oświeconą pada, rozprzestrzenia się ciemność, z ciała wydzielona, którą oświecając jasność dniowa, mrok stanowi. Wśród upałów letnich, człowiek chętnie szuka téj strony, po której cień pada, aby w jój mroku mógł się przechadzać, bo tu nie ma ani téj jaskrawości światła, ani tego dopiekającego gorąca, które nam się uprzykrza po słonecznej stronie; a natomiast jest miły pogląd z mroku na jasność, i na tę linię graniczną, która cień od światła oddziela, i na ten kontrast tych samych barw, po jednej stronie mrokiem ściemnionych, po drugiej jasnością płonących.

Mieszkanie człowieka zwykle jest omroczone, jeżeli w nie promienie słońca nie padają. Lecz niech przez jedno okno wpadnie kolumna promieni, i snopem światła tak jasno zaświeci, że każdy proszek w niej widać, zaraz powstaje kontrast mroku i światła, który tak malownicze oświecenie w mieszkaniu sprawia. Tam, gdzie kolumna światła pada, jasna pozłota maluje się na posadzce, i wszystkie przedmioty, trafiające na kierunek promieni, przepasane są taką samą jasnością. Na okół zaś mrok zalega. Malarze korzystają z tego piękna natury, w jasności światła główną figurę obrazu stawiają, kiedy na otaczające przedmioty mrok cienisty pada.

Zachwycające robi wrażenie mrok cienistego lasu. Pomiedzy liśćmi drzew panuje nieustająca refleksja promieni i gra światła i cienia. Promienie, wielekroć odbijane, łamane i pochłaniane, w małej tylko ilości, i z trudnością, przedzierają się przez gęstwinę gałęzi i liścia, i tworzą mrok, podobny nieomal temu, jaki podczas całkowitego zaćmienia słońca po świecie się rozściela, i tak romantyczne rodzi światło. Tajemnego znaczenia pełne jest cieniem drzew omroczone światło borów, lasów i gajów. Gdy wstępujesz pomiedzy rozrosłe buki, lub donośne świerki, i wśród dnia jasnego ów zamrok leśny cię ogarnie, zda ci się, jakby cię owionął duch Boży, i jakbyś przeczuwał jego kroczenie w pobliżu tych drzew. Drży światło pomiedzy liśćmi, jakby kroplami kapalo, i raz po raz widzisz na ziemi jasne ślady tego promiennego deszczu. W ga-

szczu mrok ciemnieje; gdzie rzadziej drzewo stoi, jaśniejszą ma barwę; a nieraz widzisz czubki drzew ozłocone słońcem. Albo cała kolumna światła otwór dla siebie znalazła, a kędy padła, pozłociła wszystko: liście, gałęzie, pnie i kobierzec ziół i traw, na ziemi rozesłany, — a w okół mrok ciemniawy wdziękmu tój jasności przydaje.

Piękno mroku polega więc przedewszystkim na przeciwieństwie ocienionego i jasnego światła. Co tu natura malowniczo przedstawia, to poezya słowem opowiada, a człowiek uczuciem przeczuwa. Na tle życia ludzkiego są podobnie jasne i omroczone strony. Szczęście je rozświeca, nieszczęście ociemnia. Obraz żywota naszego jest nałożony grą cienia i światła moralnego. Człowiek w podobnym obrazie natury widzi wizerunek własnego życia, i podoba sobie w nim; światło jasne zawsze go rozwesela, mrok lęklwym czyni, a kto ma nerwy słabe, a uczucia drażliwe, tego mrok strachem ogarniać będzie; podwaja kroku, aby z niego wyszedł, jakby ze sfery wróżącej mu nieszczęście.

Mrok nabrać więc może charakteru wzniosłości i straszliwości, gdy się pod danymi okoliczności głąbiny ducha naszego gróznym przecuciem poruszają, albo gdy jest skutkiem przyczyn, które grożą klęskami i zniszczeniem. Tak na morzu, gdy się czarne, nawalne chmury na okół rozpołożą, i światłoienne zamroczą, porównają czernią odbijając się w spiętrzonych bałwanach morskich: wtenczas mrok jest straszliwym zwiastunem burzy, a może i śmierci. Albo gdy wulkan masy popiołów w górę ciska, a te, wichrem porwane, lecą czarną chmurą i słońce zakryją, a pod ziemią grzmot jakiś się rozlega — mrok, który się wtenczas rozpościera, nosi wyraz grozy na sobie, i trwogą mieszkańców ogarnia. Sama jasność wtedy blednie; zdaje się że drży i uchodzi przed ciemnościami, które w coraz groźniejszej postawie gromadzą się, jakby zastępy zniszczenia, wysłane z piekieł ku wytraceniu światła i tego wszystkiego, co jest ze światła.

b) Kolory światła.

Mrok, uważany w przeciwieństwie z jasnością, jest nacięniowanym, a zatem niejako już kolorowym światłem. Albowiem kolor nic innego nie jest, jak mrokiem, w szczególny i rozmaity sposób uwydatnionym, na tle światła jasnego; zaś główną takiego uwydatnienia podstawą jest nacięniowanie, czyli świecenie światła w ciemni pewnego rodzaju, która z właściwości światła, lub ciała wynika.

Fizyka nas poucza, że wpuszczając do ocienionego pokoju, przez mały otwór okienicy, wiązkę promieni słonecznych tak, aby na białą przeciwną ścianę prostopadle padała, ujrzymy na ścianie okrągły, świecący obraz słońca. Przepuszczając zaś owe płomienie przez trójkąt szklany, wtedy padnie na ścianę obraz słońca w podłużnej, na obu końcach zaokrąglonej figurze, w której wyraźnie siedm kolorów rozróżnić można. Od spodu widać kolor czerwony, nad nim pas koloru pomarańczowego, dalej żółtego, następnie zielonego, potem jasno-niebieskiego i granatowego, nakoniec fioletowego. Ten kolorowy obraz słońca nazywają fizycy widmem słonecznym. Kolorowe jego promienie mają tę własność, że się już przez trójkąt więcej nie rozkładają, a zebrane przez soczewkę, znowu się w białe światło zamieniają.

Z tego doświadczenia wyraźnie się pokazuje, że biały promień światła, jak tylko przez gęstszy środek przechodzi, rozkłada się na wiązkę promieni, z których każdy, mając inny stopień łamania (najmniej się łamie promień czerwony, najwięcej fioletowy), sprawia wrażenie innokolorowego światła, które stopniami, nieznacznie z jednego koloru w drugi przechodzi. Że się do tej właściwości światła mięsza także ciemność, która kolorowemu światłu podstawę daje, pokazują tak nazwane *Fraunhoferskie* linie, ciemnego, a nawet czarnego koloru, które na widmie postrzegać się dają; a jeszcze większy stawia na to dowód interferencya światła, tworząca, przy spotkaniu się dwóch promieni tego samego kolorowego światła, mnóstwo jasnych i ciemnych linii, równoległe i równo od siebie oddalonych.

Undulacyjna teorya światła bardzo dokładnie wszystkie te zjawiska tłómaczy. Myśmy je przytoczyli, aby dać poznać początek kolorowego światła, zwłaszcza, że samo siedmiokolorowe widmo słoneczne jest nader malownym obrazem. Uważamy je także często bez doświadczenia z trójgranem. Kiedy promień światła przechodzi przez naczénie ze szkła białego, wodą napelnione, widzimy na ziemi piękne siedmiokolorowe widmo, które za poruszeniem wody w naczénieniu miga jak błyskawica, skłóca z sobą kolory, a te, mieszając się, białe połyski tworzą, aż z ustatkowaniem się wody, znowu się w piękny siedmiobarwny pas ułożą.

To samo zjawisko, tylko w okazalszej postawie, przedstawia nam natura w tęczy. Kiedy po jednej stronie deszcz pada, a po drugiej słońce świeci, wtenczas każda kropla deszczu jest jakby osobnym prysmatem, w którym się rozkładają promienie słoneczne, i tym sposobem powstaje tęczę, jak łuk majestatyczny, z siedmiu kolorów ulany, na ciemnym tle powietrzokręgu cudnie się odbijający, niekiedy drugim, nieco bledszym łukiem przyozdobiony. Widzisz wyraźnie, jak dwoma barwistymi słupami do góry się podnosi, i w potężne półkole rozpina, a przed tą bramą tryumfalną rozściela się struga złotego światła, w której się zwilżone trawki i zioła, kroplami deszczu operlone, tak czarownie odbijają. W głębi ciemne, granatowe chmury, pokonane cofają się przed światłem, które przez ten łuk tęczowy w zdobyte regiony ziemi zwycięzko wstępuje.

Nie dziwnego, że tak malownicze zjawisko było zawsze przedmiotem poetycznych pojęć ludowych. Mitologia grecka uważała tęczę, jako boginię Iris, posłannicę Junony, bo z szybkością błyskawicy z nieba na ziemię łuki swoje spuszcza. Germanowie uważali ją, jako most, rzucony pomiędzy niebem i ziemią, po którym bogowie wstępują i zstępują. Księgi Mojżeszowe podają nam tęczę, jako symbol pokoju między niebem i ziemią, jako pieczęć Boga, wyciskającą się oblękiem siedmiu światła na niebie, na stwierdzenie danego Noemu przyrzeczenia, że już nigdy świata potopem karać nie będzie. — Jeżeli człowiek na małą skalę, i jakby w miniaturze, ujrzeć

chce ową siedmiobarwną pieczęć, niech w doświadczeniu powyżej przytoczonym, zamiast graniastosłupu trójściennego, użyje szkła wytoczonego w ostrokrag, i przez jego wierzchołek przepuści promień światła słonecznego, a widmo pokaże się w postaci tęczowego pierścienia, w nader malownym obrazie.

Z siedmiu kolorów tęczy właściwie trzy tylko są kolory główne, to jest: czerwony, żółty i niebieski. Albowiem z połączenia dwóch pierwszych powstaje kolor pomarańczowy, z połączenia dwóch drugich kolor zielony, z połączenia skrajnych kolor fioletowy; granatowy zaś jest tylko zciemnionym kolorem niebieskim. Rzeczywiście, z tych trzech farb zasadniczych, malarze wszystkie inne wyprowadzają, przez samo ich rozjaśnianie, rozciemnianie i łączenie.

Ponieważ między kolorami tęczowymi zachodzi przejście z jednego koloru do drugiego, które jedynie za pomocą podobnego rozjaśniania i ściemniania, jak w malarstwie, osiągnąć się daje, ztąd obok trzech powyższych zasadniczych barw, trzeba jeszcze przyjąć kolor biały, jako środek rozjaśniający, i kolor czarny, jako środek naciemniający, z połączenia których powstanie trzeci kolor szary.

Kolor czarny jest właściwie kolorem ciemności, czyli niedostatku światła, wydatny tylko dla tego, że bezwzględnej ciemności nie ma w żadnym ciele. W pojęciu kolorowego światła może jedynie mieć znaczenie środka, zubożniającego jasność rzeczywistych kolorów, jak to widzimy w ciemniejącym postępie od żółtego do zielonego, dalej do niebieskiego, granatowego i fioletowego koloru. Atoli za pomocą tegoż środka, jeden i ten sam kolor wszystkie stopnie zubożenia światła przechodzić może, aż się w czarny kolor, to jest, w zupełny brak światła zamieni.

Kolor biały, jako środek rozjaśniający, ma przeciwne znaczenie. Jest on najwyższą potęgą światła, jego właściwym kolorem, jego jasnością, czyli jest światłem samym, jako objawiająca się forma jego istoty. Ztąd wszystkie kolory tęczy staczają się napowrót w kolor białego światła, bo są jego pierwiastkami. Postępując od fioletowego do czerwonego koloru, widać rozjaśnienie ku środkowi. Z jednej strony czer-

wony kolor rozjaśnia się w pomarańczowy, pomarańczowy w żółty; z drugiej strony fioletowy rozjaśnia się w granatowy, granatowy w niebieski, niebieski w zielony, a zielony w żółty. Kolor żółty jest w widmie słonecznym najjaśniejszym kolorem. Atoli za pomocą jasności, czyli koloru białego, można każdą w szczególności barwę rozjaśniać przez wszystkie stopnie napiętości jój koloru, aż ją samą w kolor biały zamienimy. Kolor biały zubożetnia zatym ciemność, to jest bledzi kolorowe światło, aż w jasności białego światła reszta kolorowej ciemności zniknie.

Kolor szary nie jest także kolorowym światłem w prawdziwym znaczeniu tego wyrazu. Albowiem jest tylko połączeniem w różnej mierze rozjaśniającego i naciemniającego środka; połączeniem jasności i ciemności, — w farbach, połączeniem białego i czarnego koloru. Ztąd mrok bywa szary, i szare są kolory linii w Fraunhoferskich widmach i w interferencyi światła. Z tego samego powodu pomiędzy tęczowymi kolorami nie znajdujemy szarego.

W naturze są rozlane po przestrzeniach owe kolorowe światła, o których co dopiero mówiliśmy. Nie mamy tu jeszcze na myśli farb, to jest, pigmentu, który się chemicznie z ciałem łączy i pewną barwę mu nadaje, o czym później będzie mowa; ale mówimy o owych złudliwych kolorach światła, które się po przestrzeniach, okolicach i oddalacach rozślaniają. Goethe, w nauce o barwach, nazywa je kolorami złudliwymi, nikłymi, fantastycznymi, zmiennymi — w ogóle kolorami fizycznymi, rozróżniając je od kolorów chemicznych, które do ciał rzeczywistych stale przyległy. Malownicze ich piękno jest przestrzenne i stanowi kolorowe oświecenie okolicy.

Światło dzienne rozlewa wszędzie jasną białość, która tak mile oko rozwesela i duszę umacnia; zaś ciemności nocy rozpościerają kir czarny, który oku nic nie przedstawia, a duszę trwogą przejmuję. Ta sama czerń przegląda i za dnia, gdy z miejsca jasnego w próżne otwory patrzysz, pochłaniające, jak nicość żarłoczna, wszystkie promienie światła i niewracające żadnego. Ztąd czarne są głębiny, przepaście i otchłanie; czarno wyziera otwór jaskini, i każda jama czarną paszczękę ku światłu rozwiera. Dla téj czarnej ciemności przejmują nas strachem głę-

bie i podziemne pieczary, i ma stalone odwagę serce, kto je pierwszy zwiedza. Imaginacya ludu zaludnia je smokami i potęgami piekła.

Kiedy przez zgęszczony, ale oświecony środek, patrzę na światło, wyda mi się żółtym; kiedy przezeń patrzę na ciemność, wydaje mi się błękitną. Z tego powodu kolor żółty więcej ma ciepła, bo rozgrzewa tłem światła, w które i z którego patrzę; przeciwnie, kolor błękitny (niebieski) więcej ma zimna, bo go oziębia nicość, w którą się ze światła wpatruję. Wszakże wyraz jednego i drugiego kolorytu jest malowniczy. Nieraz, kiedy nam chmury niebo zakryją, pożółknie ich szarość od promieni słońca, które na nie padają, jakby się żółcią zalały. Koloryt obłoków i atmosfery ma wtenczas coś groźnego, jakbyśmy przewidywali walkę ciemności ze światłem. Wszakże pociesza nas pewne zwycięstwo światła, które po za żółtymi chmurami przenikamy. Weselszy daje pogląd żółty koloryt okolicy, który się tworzy przy ciężkiej, nabranej atmosferze. U nas, w jesieni, w dniach pogodnych, krótko przed zachodem słońca, taki koloryt po całym widnokregu rozściela się.

Błękitny, lazurowy kolor firmamentu, na który się niemal codziennie patrzymy, a który na południowym, włoskim niebie nieznany na północy urok na całą okolicę rozlewa, jest na wielką skalę kolorem niebieskim, który się tworzy z poglądu w nicość ciemną, przez warsztwy oświetlonego powietrza. Im te warsztwy mniej zgęszczone, jak w ciepłych klimatach, tym ciemniejszy błękit; a na wysokich górach, kędy zbyt rzadka atmosfera, firmament ma kolor ciemnego granatu, i ciemnością swoją zastrasza. Człowiek przenika, że tam wyżej, w przepaściach niebios, gdzie żaden promień się nie zatrzymuje i nie odbija, straszna czerń nicości wyziera. — W okolicy górzystej, zrana i przed zachodem słońca, stroją się kontury gór w płaszcz z szafirowego granatu, i otulają nim stopy, wypukłości i wierzchołki swoje.

Z przerwania się koloru żółtego w niebieski, i niebieskiego w żółty, tak, że własności obydwóch nie znoszą się, ale w przeciwieństwie swoim utrzymują, — powstaje kolor czerwony. Żółtość w nim spotężniona do wyższej potęgi, ale i błękit

do równej potęgi podniesiony. Ztąd razem jaskrawość i naciemnienie światła czerwonego; — ztąd więcej w nim ognia, ciepła namiętności, niżeli w świetle żółtym, ale zarazem i więcej powagi, uroczystości, nadanej przez naciemnienie. Ze wszystkich kolorów najwięcej przepychu w czerwonym.

Jeżeli się zaś kolor niebieski z żółtym nie przerzuca, ale się wzajemnie oba nijaczają, i tym sposobem ich przeciwieństwo znosi, powstaje natenczas kolor zielony. Ztąd taka miła zieleń dla oka ludzkiego; ani go drażni jaskrawością jaśni, ani go razi posępnością czerni. Przeciwieństwa zniesione, a spokój światła rozesłany. Natura dla tego tym kolorem ubarwiła nam ziemię, postroiła drzewa; cała wegetacya roślinna, w zieloną suknię przybrana, po której kwiatki z rzadka rozrzucone innymi kolorami świecą.

Czerwony i zielony koloryt widzimy wielokroć rozlany na pogodnym niebie, przed i po zachodzie słońca; pierwszy w różanym i purpurowym świetle, drugi w bladej barwie i na przestrzeni, nie daleko sięgającej. Za to kolor zielony właściwy jest rozległym płaszczynom morskim. Naczerpnąwszy wody morskiej w szklanę, ujrzymy ją przezroczystą i bez koloru; atoli cała płaszczyna morza w rozmaitych, najwięcej zielonawych, mieni się kolorach. Patrząc się na nią z lądu, wydaje się być koloru zielono błękitnego; patrząc z morza, zdala od lądu, postrzegamy kolor błękitno-zielony, który ultramarynowym zowią.

Morze na powierzchni swojej nie ma stałego koloru. Na północy, przy Grönlandyi, przychodzi do jasnego, zielonego błękitu, do ciemnej oliwkowatej zieleni; i zmiany te są stałe, od koloru atmosfery i obłoków niezależne. Wiliam Scoresby, który robił wyprawę na wieloryby w r. 1817, powiada, że morze północne lodowate, gdzie jest wolne od lodu, najwięcej bywa zielone, niekiedy jak trawa, nieco naciemniona; atoli, zmiany barw są tak nagłe, że w przeciągu dziesięciu minut kolor z jasnozielonego przechodził do oliwnego i niebieskiego. Niekiedy są te przejścia nieznaczne; czasami jednak tak nagłe, że widać wyraźnie linię graniczną, która dwa różne kolory morza od siebie oddziela.

Gdzie głębiny morza nie są wielkie, tam najczęściej spód jego na zmianę koloru wpływa. Jasny piasek na gruncie zmienia kolor ultramarynowy na jabłkowato-zielony, tym jaśniejszy, im miałczyzna większa; żółty, albo brunatny piasek, ściemnia kolor zieleni, że zdaje się w czarny przechodzić; zielono-szary bywa kolor, gdzie spód morza skały stanowią. Ztąd pochodzą zapewne nazwy czerwonego, żółtego, czarnego morza. Także obłoki i błękit nieba przyczyniają się do urozmaicenia kolorowego światła, które z lustru oceanowego wystrzela. Na mieliznach mianowicie, i po grzbiecie bałwanów, odbija się albo ciemna chmura, albo białe obłoki i jasny błękit nieba; a słońce o różnych dnia porach, różną intonacją światła koloryt morza cechuje.

Otóż mamy w głównych zarysach przedstawione malownicze piękno kolorowego światła, nie przyczepionego chemicznie do ciał, ale rozlanego złudliwym urokiem po przestrzeniach obszarach wody, ziemi, powietrza, i nieba. Uważne oko dostrzeże po mniejszych wydziałach najrozlicniejszą barwiistość, która na podobieństwo ognia bengalskiego, rzuca kolorową łunę na powierzchnie i przedmioty, już je ociemniając, już rozjaśniając kolorowym światłem. Każda pora dnia, każda pora roku, każdy stan powietrza, każdy klimat, każda strefa inna, rzekłbym, każda okolica, ma swoje osobne tony światła, tak delikatnie odcieniowane, że ich różnicę estetycznym wzrokiem odgadniesz, i estetycznym uczuciem poczujesz, ale jej oznaczyć nie potrafisz. Tysiące ócz téż patrzą na te malowane, ale nieuchwytne odcienia kolorowego światła, i nie uczują jego piękności. Trzeba mieć zmysł estetyczny, aby mieć poczucie estetyczne najdelikatniejszych malarskich odcieni światła, po przestrzeniach rozlanego.

Sztuka dotykalniejsze wprowadza światła kolorowe, za pomocą szkieł nafarbowanych. Nic to rzadkiego patrzeć się na okolicę piękną przez szyby różnobarwne, i podziwiać ją w rozmaitych kolorach. Owe różnice estetyczne światel kolorowych, któreśmy wyżej podali, tu zatwierdzenie swoje znajdują. Patrząc przez szkło żółte, zdaje się jakby wszystka okolica w złotym ogniu słonecznym gorzała: jest to charakter

skwaru letowego; — patrząc się na nią przez szkło niebieskie, zimowym powleka się znamieniem: jakby mroźny błękit wszędzie roztacza. Jeżeli pojrzysz przez szkło czerwone, wszystkie przedmioty zafarbowały się łuną krwawą, płomienną, jakby od straszliwego pożaru; ale jest razem widok wzniosły i wspaniały, bo to łuna, niby pożaru wśród nocy, na jój czarnym tle zmroczona. Szkło zielone przedstawia obraz jakby morskiej okolicy w ultramarynowym świetle.

Możnaby się zapytać, czy tu sztuka przewyższa naturę? Będziemy na to pytanie mieli odpowiedź, gdy sobie zadamy inne, czybyśmy chcieli żyć w świecie takiego kolorytu? Podobać nam się może chwilowo, jako chwilowe złudzenie; ale jako stała rzeczywistość, byłaby taka jednostajność znudzeniem. Ta też jest natura kolorowych światła przestrzennych, że rozlewając się po przestworzach ziemi i nieba, powietrza i wody, aby były piękne, nie mogą być stałe i ciągłe; ale są chwilowe i nikłe. A im delikatniejsze i zmienniejsze odcięcia, tym urok ich większy. Jest to rzeczywista fantastyczność światła, i tylko w tej właściwości swojej piękna.

c) Farby.

Kolory, będące skutkiem pewnego barwniku, czyli pigmentu, który wszystkie cząstki ciała ciemnego jednolicie, albo różnolicie przenika, i najściślej z nimi, jako jedna ich właściwość jest połączony, nazywamy kolorami chemicznymi, które Goethe, w przytoczonym wyżej dziele, nazywa także stałymi, właściwymi materyalnymi. Pigmenta w tym znaczeniu zowią się zwykle w ciałach nieorganicznych barwą, w zwierzęcych maścią, u ludzi płcią, lub cerą; a jeżeli się z jednego ciała na drugie przenosić dadzą, farbą. Wszakże i kolory barwników zwykliśmy barwami nazywać.

Estetyka nie może rozstrzygać sporu, jaki co do tego przedmiotu zachodzi pomiędzy zwolennikami teorii Newtona i Kartezjusza. Jedna, dla wytłómaczenia zjawisk światła, przyjmuje eter, w wysokim stopniu elastyczny i przynoszący

nam poruszonymi falami światło, na ten sam sposób, jak po falach powietrza dochodzi nas głos (teoria *undulacyi* światła); — druga utrzymuje, że każde ciało wydaje z siebie płyn świetelny, świetlik, na podobieństwo ciepłika, który promieniami prostolinijnymi rozchodząc się, światło rozpościera (teoria *emanacyi* światła).

Wedle pierwszej teoryi farba byłaby skutkiem szczególnego ustawienia atomów ciała, o które się rozmaicie eterowe fale kolorowego światła odbijają i nijaczą; wedle drugiej, farba powstaje w skutek rozmaitego połączenia się z sobą ciemnych i jasnych cząstek płynu świetelnego. Na to się zgadzają wszyscy, że undulacya wybornie tłómaczy zjawiska fizycznego światła, kiedy objawy chemicznych kolorów, tylko przez emanacyą do zadowolenia wytłómaczyć się dadzą. To także pewna, że jeżeli estetyczne na światło poglądy mają znaleźć w optyce zatwierdzenie swoje, takowe więcéj na teoryi Kartezjusza, niżeli na teoryi Newtona polegać muszą. Dla tego téż Goethe i Hegel filozoficzne swoje pomysły o farbach z zasad emanacyi światła czerpali.

Zostawiamy spór nierozstrzygnięty i uważamy tylko estetyczne znaczenie barwników, czyli kolorów stałych. Jak każda forma, tak i farba ciał jest nieuchwytna, bo bezmateryalna. Jakim sposobem malownicza natura tę kolorową barwę ciału nadaje, jakim środkiem ów tajemniczy barwnik w nim wyrabia, którym je wskrós i zewnątrz maluje, jest to tajemnica, której ani undulacyjna, ani emanacyjna teorya do przekonania nie wyjaśni. Jak każda właściwość ciała, tak i barwa jego jest siłą, a cudowna pracownia sił natury, będąc czysto duchowego znaczenia, wiecznie będzie zmysłom ludzkim zasłonioną. Umrze, kto tę zasłonę Izydy będzie chciał uchylić albowiem stać się musi bezmateryalnym duchem.

Kształt jest wypełnieniem przestrzeni przez materjalność ciała; farba jest wypełnieniem téjże saméj przestrzeni przez światło, które się z materjalnością ożeniło, jak forma z treścią. W każdym atomie ciała ciemnego jest farba; ona przenika wszystkie jego cząstki, tak wewnętrzne jak zewnętrzne; ona jest objawem jego złożeń krystalicznych, jego wyrobów

i mieszanin organicznych; ona jest znaczeniem, napiętością, niejako duszą, tak całości ciała, jak każdej jego cząstki. Ciała przezroczyste, bezbarwne, jak powietrze, woda, szkło, są bez indywidualności i dla tego bezkształtne, — bo materialność ich jeszcze się nie połączyła ze światłem, ale przepuściła przez siebie jego promienie, niemając do nich powinowactwa, jako do materji także bezkształtnej. Gdy się owe żywioły indywidualizują, to jest w kształty ubierają, przybierają oraz barwy i ciemnieją. Tak powietrze, wyziewami ziemi w mgłę, albowi w obłoki zgęszczone, nabiera kształtu i barwy; tak woda, w lód się zamieniająca, — tak szkło zbyt grube i nieczyste, przechodzące dla tego z przezroczystości w półprzezroczystość, już kształty i barwy swoje odkrywają.

Farba jest przeto wyrazem indywidualności ciała, a gdy się połączy z blaskiem, jest jakby połyskiem duszy jego. Co się wewnątrz niego niewidomym sposobem wyrabia, to się jako barwnik na zewnątrz objawia. Jest to wytrysk utajonego w materialności światła, które się w niej na farbę wygotowało i osobną, sobie tylko właściwą indywidualnością ciała świeci — jak dusza utajona, która jest wszędzie, ale jej pochwycić nie można.

W ciałach nieorganicznych farby bywają najczęściej jednostajne, jak w rodzimym złocie, żywym srebro, węgla i t. d. A ponieważ się do nich dołącza blask krystaliczny, przeto żywość kolorów daleko większa środkiem, niż na powierzchni, gdzie wpływem kwasorodu wielokroć farba się nijaczy i blask utracą. Roślinne i zwierzęce jestestwa, mają środkiem osadzone organa, funkcje wewnętrzznego życia odbywające, a cały objaw życia wystrzela na zewnątrz. To też powierzchnie tych ciał pomalowane najpiękniejszymi farbami, wszystek barwnik do powierzchni w naskórek się stacza, i najrozmaitszymi płonkami kolorami, zaś środek ciał bywa ciemno i mniej piękno-kolorowy. Przy estetycznym rozbiórce światła wyrazowego zwrócimy jeszcze na to uwagę. W tym miejscu dosyć nadmienić, że farba, jako objaw formy, jest oraz wyrazem istoty ciała. Dośrodkowym jest działanie siły krystalicznej, a od-

środkowym działanie siły organicznej; ztąd w nieorganicznych tworach do środka stacza się farba, w organizmach zaś na ich powierzchniach się rozlewa.

Estetyczne znaczenie kolorów jest takie samo u farb, jakie było u światel kolorowych, boć natura koloru jest ta sama, czyli się jako światło, czy jako barwnik przedstawia. Znaczenie farby staje się tylko dla tego rozleglejsze, że jako forma jest oraz znamię innych właściwości tworu, który ubarwia. Pan Zenon Hałatkiewicz, w znakomitym piśmie o świetle, jako ogniwie, jednoczącym świat wewnętrzny z zewnętrznym, okazał nader przekonująco, że trzem zasadniczym kolorom: czerwonemu, żółtemu i niebieskiemu, odpowiadają trzy zasadnicze smaki: kwaśny, gorzki i słony; zaś zubożniającym kolorom: białemu i czarnemu, odpowiadają zubożniające smaki: słodki i obojętny (bezsma). Dowiódł następnie, że barwa czerwona i smak kwaśny są zwykle własnościami tego samego ciała, że się mają względem innych ciał jako kwasy, i w działalności swój odpowiadają ciałom elektryczno dodatnym; — że barwa niebieska i smak alkaliczny (solny) idą podobnie w parze, że działają jako zasady i odpowiadają ciałom bliższym ujemnego bieguna elektryczności; — że nakoniec barwa żółta i smak gorzki bywają także własnościami tego samego ciała, które już jest ukwaszające, już odkwaszające, i zajmuje środek między obydwoma biegunami elektrycznymi.

Co tu pomieniony autor wywiódł fizyologicznie, da się także przenieść na estetyczne pole. Jak blondynowe ukolorowanie człowieka znamię jest miękkiego, łagodnego temperamentu, a czarny zarost i ciemna pleć znamię charaktery burzliwy i ognisty; tak i ubarwienie wszelkich innych tworów, na pewną osobną właściwość każdego z osobna wskazuje, i pewne estetyczne uczucie obudza. W ogóle jaśniejsze barwy rozweselają, nastrajają duszę weselem, żywotnością, i wróżą na odwrót, że ciało téj barwy ma żywotniejsze siły, wydatniejsze własności, potężniejsze skutki, więcej jednak łagodne, niż szkodliwe. Ciemne barwy osmutniają, nastra-

jają nas posepno, i przesadzamy, że i ciała nimi nakolorowane, mają powolne a szkodliwe właściwości.

Kolor biały, uważan oddawna słusznie za kolor niewinności i czystości ducha, czego symbolem lilia biała. Bo jak w białym promieniu nie rozstrzeżiło się jeszcze widmo kolorowych światel, i nie rozłożyło na cień i jasność, tak w niewinnym i czystym sercu nie ma jeszcze rozkładu wiedzy na wiadomość złego i dobrego.

Z powodu téj bezbarwnéj jasności kolor biały wszędzie, gdzie w naturze zachodzi, miłe obudza uczucie. Białą jest jasność światła dziennego, białym obliczem spogląda na ziemię księżyc, kochanek ziemi, snem nocy ujętę; biała jak kryształ jest woda źródłana, będąca zdrojem życia tworów zwierzęcych; biały śnieg okrywa pola, jakby szeroką pierzyną; pod którą rozgrzewa się ziemia i rośliny od mrozów zasłania. Z kamieni, biały marmur i alabaster mają najwięcej wdzięku, i najprzydatniejsze z téj własności kolorowéj do posągowych wyrobów. W kredzie łagodny charakter białego koloru, miękkością materyału się oznacza. — W królestwie roślin białe kwiaty mają urok niewinności; biała kora właściwą jest miękkiéj, wiotkiéj, jakby płaczącéj brzozie, której sok ma tyle słodczy. — W królestwie zwierzęcym białe ptastwo bywa najłagodniejsze, jak: gołębie, łabędzie. U zwierząt ssących zwykle słabizny ciała, podpiersie i podbrzusze, białym kolorem naznaczone. Chylus i mleko są białe i słodkie zarazem.

Maść biała bywa równie pospolita, jak u ptastwa, i trafia się zazwyczaj u zwierząt łagodnego temperamentu, jak u owiec. A jeżeli się trafiają drapieżne zwierzęta, będące białéj maści, jak wilki, lisy i niedźwiedzie białe, są to wyjątkowe zjawiska, tak jak białe kruki. Wszakże i te wyjątki pod estetycznym względem zasługują na szczególną uwagę. Sprzeczność, jaka zachodzi między barwą białą, która znamieniuje łagodność, a drapieżnością zwierzęcia téj maści, jest rodzajem dissonansu, który się przez inne właściwości i formy do harmonii układa, z czego powstaje wrażenie albo komi-

czności, albo wzniosłości. Jak straszliwą jest zbrodnia w kobiecie, lub w dziecku, jak wznioślejszym rozbójnik szlachetny, tak i groźniejszym jest niedźwiedź północny, dla tego, że w białą sierć przybrany. Przeciwnie, drobniejsze zwierzęce kretyny, jak mysz biała, króliki białe, bawią i rozweselają tą sprzecznością koloru i usposobienia. Ta sama sprzeczność zachodzi czasem w nieorganizmach. Są np. we wielkiej liczbie białe alkaloidy ze smakiem gorzkim, choć zazwyczaj do białego koloru przywiązany smak słodki.

Jako regułę jednak przyjąć należy, że natura wszędzie białe barwy z łagodnym usposobieniem łączy. Dla tego pleć kobieca bielsza od męskiej, dla tego włos dziecięcy biały, gdy jeszcze nie rozwinęły się namiętności, i bieleje na starość, gdy już przycichły; a biała rasa kaukazka zdolna większego uobyczajenia, niżeli innokolorowe rasy.

Na przeciwniej stronie koloru białego farb, stoi kolor czarny, jako jego zupełne zaprzeczenie. Ztąd oddawna jest znamieniem wszelkich przeczeń moralnych, które imaginacya ludów uosobiała. Czarną jest zbrodnia, czarne są cienie nocy, i czarne postacie duchów ciemności. Wszystko to zostaje ze sobą w związku: zbrodnia się kryje w nocy, i duchy ciemności ulatują, gdy kur na dzień biały zapieje. Słowianie mieli białego i czarnego boga, a ten ostatni, jak perski Ormuz, był bogiem ciemności i złego; podobnie wedle wyobrażeń chrześcijańskich, czart przeklęty jest czarnym duchem. Czarny kolor jest znakiem żałoby, bo i wyobrażenie śmierci, jako nicości, jest czarne; tenże sam kolor jest znamieniem czarnoksiężkięj sztuki, która, wedle wyobrażeń pierwotnych, trzyma z czartem. Nowsza kultura przypisała czarnemu kolorowi uroczystość, i strój czarny, jako uroczysty, uchodzi. Jest to wyobrażenie chrześcijańskiej estetyki. Religijne uczucie chryścjanizmu zbywa się wszelkiej próżności, i wszelkiego blasku tego świata. Dla tego kolor czarny, jako negacya światła i wszelakięj pstrocizny, najwięcej odpowiadał takiemu usposobieniu, i nabrał religijnęj i cywilnęj uroczystości. Charakter uroczysty, w takim znaczeniu uważany, nie jest bynajmniej w sprzeczności z poprzednimi znamionami barwy czarnęj.

Z tego wszystkiego pokazuje się, że estetyczne wrażenie barwniku czarnego ma coś demonicznego, żałobnego i nastraja umysł człowieka do smutku, melancholii, a nawet do trwogi. Natura mniej więcej w odpowiednich przypadkach maluje czarno twory swoje. Czarna jest ziemia urodzajna, albowiem jest pruchnicą, czyli grobem jestestw organicznych, z którego powstaje nowe organizmu życie; czernią się chmury nawałnicą i burzą brzemienne; czarne bazaltowe skały i melafiry (porfiry czarne) są jakby żużle, lub spalenizny wulkaniczne. Czarne jest także zwęglenie roślin, znanienujące ich zniszczenie przez ogień; czarną skórą murzynów, pod spieką afrykańskiego nieba, od której i kory drzew na węgiel czernieją.

Uważano, że w całym kwiatostanie nie ma barwy czarnej; są tylko farby czarno-brunatne, jak np. w kwiecie bobu. Bo téż barwnik czarny, będąc symbolem zniszczenia, nie przystaje do obrazu kwitnącego kwiatu. W królestwie zwierzęcym maści zupełnie czarne tak są rzadkie, jak zupełnie białe. Lud przywiązuje do czarnego koloru zwierząt nadprzyrodzone jakieś własności i sympatyczne znaczenie, np. do psa, lub kota czarnego, do kury czarnej i t. p. Jest rzeczywiście coś demonicznego, mianowicie w połysku czarnego oka, które z całkowicie czarnej postaci zwierzęcia wygląda. Nawet baranek czarny traci urok łagodności, który się w białym obrazuje. Czyli temperament zwierząt zupełnie czarnych jest złośliwszy i dzikszy od innomaścistych, należałoby wprzódy doświadczeniami stwierdzić; przynajmniej dzikość kota czarnego, i złość psa takiegoż bywa większa.

U ludzi włos kruczy uchodzi za piękność, i bywa znamiem jędrności, mocy charakteru, ale i namiętności. Jest to jedyna część ciała ludzkiego, w której się zwykły wydzielac pigment czarny. Tak nazwane oczy czarne, są rzeczywiście tylko ciemne, kafowe. Gdzie natura tym pigmentem i skórę ciała nafarbowwała, jak u Negrów, tam nie widzimy tego wyższego usposobienia, które pod każdym względem białą rasę cechuje. Spieka nieba przepaliła ich do gruntu, w duszach ich przepalonych wrą tylko krewkość i chucie.

Kolor szary, jako powstający z połączenia białej i czarnej barwy, ma coś i z jednej i z drugiej. Jako kolor przejściowy, jest najmniej piękny; w naturze będzie to kolor pospolity; w społecznym świecie, powszedni, upośledzony. Cechą jego estetyczną będzie niewyraźność, mroczność, pośepność; duszy nie podnieca; w rzadkich tylko przypadkach, mianowicie po dniach jaskrawych, albo po czarnych nawałnicach, równie jak po każdym gwałtownym wstrząśnieniu ducha, przypada nam do smaku takie zobojętnienie dwóch barw przeciwnych w barwniku szarym.

Mrok szary rozpościera się po świecie, gdy dzień poczyna i gdy się zmierzcha. Północne niebo najczęściej pokryte obłokami szarą, ołowianną farbą. Szarą jest mgła, która o jesiennej porze zapada i widok słońca nam zakrywa; szarzeje ziemia, gdzie ją zieleń roślin nie pokrywa; szarzeją nagie skały, zwiertzone na powietrzu; i szare są powierzchnie pospolitych kruszców rodzimych, które kwasoród zniepokwasił, jak ołowiu, cyny, żelaza. Wszystko w naturze szarzeje, co przekwitło, przedojrzało, przeżyło się. Szara w ogóle starość, zstępująca już prostym gościńcem do czarnych ciemności grobu. Szare także ślady zbrukania przez słoty i deszcze, i szarymi są zgliszcza i popioły.

W państwie roślinnym szare są porosty, znamiona starych drzew, i szare szorstkie zmarszczki kory pniów starych. W kwiatostanie nie ma barw szarych, z tego samego powodu, co czarnych. Pomiedzy zwierzętami szary kolor bardzo powszedni, mianowicie u pospolitych gatunków. Rzecz uwagi godną, że przez uszlachetnienie zwierząt, przenosząc je ze stanu dzikości w stan oswojenia, szlachetnieją także barwy. Szare są żbiki, a najrozmaitsze, najwięcej srokaty barwy mają koty domowe; gęś dzika jest szara, a białe i łaciate są gęsi swojskie. Zwierzęta kryjące się po dziurach i norach, najwięcej bywają szarą sierci, jak myszy, szczury, jaszczurki. Inna natura zaopatrzyła kolorem szarym, aby je oko drapieżne od szarą ziemi, do której przylegają, rozróżnić nie mogło, i aby je tym sposobem osłonić od napaści, jak np. skowronki, przepiórki, zające. Z owadów brzydkie i na-

molne robactwo, jak muchy, stonogi, bywa zwykle szarego koloru.

Trzy powyższe kolory były barwami skrajnymi w szeregu farb ustawionych, i służyły ku zubożeniu jasności, lub ciemności innych. Prawdziwymi barwami są dopiero kolory widma słonecznego, których charakterem jest przepych, wspałałość, strojność. To téż uważać będziemy, że malownicza natura wszędzie tych barw używa, gdzie się w uroczyste obłoczy szaty, jakby na gody weselne, albo gdzie się wdziękami młodzieńczej wiosny krasi. Ponieważ każda z tych barw, przez domieszanie cieni, lub światła, nieskończenie da się odmieniać, przeto niewyczerpane jest źródło strojnych kolorów, którymi natura tworzy swoje malowniczo zdoła.

Farba czerwona jest pełna energii, życia i siły, w najrozlicniejszych odmianach amarantu, ponsu, purpury i różu. Jako taka jest symbolem miłości, władzy i krwawego rzemiosła. Z tego powodu czerwona rzeczpospolita, pod znakiem czerwonej chorągwi, niedawno temu zastraszała ludy. * W purpurę stroili się zawsze monarchowie i najwyżsi urzędnicy państwa, i dotąd trony i krzesła wysokie purpurą obite. Rumieniec na licu, i koralowe usta, nie tylko są krasą twarzy, ale i znamię zdrowia, pełni soków i czerstwości.

Ztąd i w naturze spostrzegamy, że wszędzie używa barwy czerwonej, gdzie silniejsze objawia się życie, potężniejszymi środkami czy to klimatu, czy organizmu, czy życiodajnego żywiołu wywołane. I tak: u zwierząt niższego rzędu krew jeszcze jest biała, u zwierząt pacierzowych już jest zczerwieniona, a sztuka lekarska i fizjologia, szukając w żelazie chemicznych na to powodów, zgodziła się w końcu na to, że barwa krwi czerwona, zależeć musi od siły żywotnej. — Uważajmy czerwoność skóry u zwierząt, a znajdziemy jęj zaróżowanie dopiero u ptaków, a zarumienienie dopiero u człowieka, i to na licach, a zatym w okolicy najwyższych funkcji żywnych. Najpyszniejsze czerwone barwy, tak upierzenia pta-

* Le specire rouge.

siego, jak łusk rybich, skrzydeł i stawów owadzich, nareszcie mięczaków i zwierzkokrzewów, natrafiamy pod tropikowym niebem, gdzie najbujniejsze roztacza się życie organiczne. To samo powiedzieć trzeba o wegetacji tropikowej, z której barwnik czerwony po kwiatach, korach, drzewach, korzeniach i owocach, uroczy się rozpościera.

Życiodajny kwasoród ma ze wszystkich ciał największe powinowactwo do barwy czerwonej, którą ciałom nadaje, gdy do ich składu wchodzi, jak np. rdza, kartamin, czerwony farbnik, powstający z połączenia kwasorodu i morfiny i t. p. Natura też najwięcej używa tego żywiołu, dla nadania tworum swoim barwy czerwonej. Wedle Berzeliusza, czerwieni liściowa, na liściach zczerwienionych pod jesień, niczym innym nie jest, jak błękitem kwiatowym, ukwaszonym przez kwasoród powietrza atmosferycznego. Czerwone barwy płomienia także tylko są skutkiem połączonego z ciałami palnymi kwasorodu, bo ani w jodzie, ani w siarce, ani w bromie, ani w innych żadnych materyach zapalających, ciała palone nie barwią płomienia czerwono. Na téj zasadzie utworzone sztuczne ognie bengalskie roztaczają, nie tylko po płomieniu, ale i po atmosferze okólnój, śliczne czerwone światło, będące skutkiem wielkiej masy kwasorodu, która w mieszaninę ciał palnych wchodzi. Na téj zasadzie łuna pożaru nocnego jest czerwona, i rumieni się wschód i zachód słońca, a czerwieni twarz w pełni wschodzącego księżyca. Ztąd nakoniec pochodzi, że barwniki niebieskie rozmaitych roślin, przez połączenie się z kwasami, zmieniają kolor na czerwony, albo będąc już czerwone, podnoszą żywość czerwieni do szkarłatu.

Farba żółta nie ma ani téj jaskrawości co czerwona, ani tyle ma uderzających odmian, chociaż stopniowanie cieni i światła i u niej w nieskończoność da się rozprowadzić. Żółtość złota, cytryny, słonecznika, kanarka, stanowi różne téj samój barwy odmiany, jednakowoż bez wydatnej różnicy, a ztąd bez osobnego estetycznego wyrazu. Pochodzi to ztąd, że kolor pomarańczowy i zielony stoją tuż na pograniczu, jako wydatniejsze przejścia farby żółtój, z jednéj strony w farbę czerwoną, z drugiej w farbę niebieską. Jeżeli barwa czerwona

była gorącą, żółta jest ciepłą. Charakter jój jaśniejszy, łagodniejszy, powolniejszy i po największej części piękny.

Zkąd jednak pochodzi, że kolor ten wzięto za symbol fałszu? Może dla tego, że to barwa w naturze najwięcej zwodnicza. Lada chmura złote promienie słońca nam uchyla i mrok po ziemi rozpościera; a za najmniejszym domięszaniem obcego koloru, żółtość zaraz barwę swoją na inną zmienia i zanieczyszcza. W żadnym innym kolorze nie ma tego przejścia od piękności do szpetności, od szlachetnego do obrzydliwego wrażenia. Już to Goethe uważał, którego postrzeżenia o kolorach nader są ciekawe i subtelne, że prawie nieznacznym jest odcieniowanie, którym natura od żółtości najszlachetniejszego metalu do żółtości obrzydliwego łąjna przechodzi. Tak i smoła rozgrzana złoci się, potem w ciemniejszą żółtość bronzu przechodzi, aż wreszcie skrzepla czernieje. Prawdopodobnie najwięcej przyczyniła się farba żółci, owego organu złości, zazdrości i fałszu, że barwę żółtą za symbol tych ujemnych przymiotów duszy uznano

W naturze całej znachodzimy te same dwa przeciwne charaktery koloru żółtego, wesołości i pomroku, piękna i brzydoty, a zawsze odcienia téj saméj farby, tak biegunowego odstępu, nadzwyczajnie są delikatne. W nieorganicznej naturze n. p. pięknym kolorem jaśnieje żółty piasek, gdy glina żółta i okier mają brudne barwy. Wśród roślin poglądamy mile, gdy na wiosnę mlecze i jaskierki po łąkach się rozsypały i żółtym kwiatem je zdobią; zaś gdy pod jesień liść ożółkł, smutny to i niemiły widok. U zwierząt zdobne i świetne są żółte kolory piór ptasich, jak np. u kanarka, w skrzydełkach szczygła, w podpiersiu żolny; przeciwnie, odraża kolor żółty żmii, jaszczurów i innych gadzin. Wspaniałym jest żółty kolor lwa, a żółta maść konia byłaby szpetną. U ludzi pyszne są pukle i kędziory złotego włosa, a przez małe przejście staje się włos rudym, płomienistym, który prawda u Rzymian uchodził za piękność, u nas się nie podoba i odstręcza, jako mniemane znamię fałszywego i złego charakteru człowieka. Ten sam pigment, który rogową materję we włosach tak uroczko zdobi, gdy się rozleje żółtaczką po powierzchni ciała, jest

odrażliwego, chorobliwego pojrzenia. U wielu owoców żółtość jest znamieniem dojrzałości, i pięknym zdrowiem jaśniej wtenczas barwa. Mało potrzeba zmiany, aby ta sama barwa zmieniła się w chorobę, w zgniliznę, równie ckliwą, jak brzydką. Zarodki życia bywają żółte, jak żółtka jaj i pyłki nasienne roślin, i zdaje się, jakby z téj pięknej barwy nadzieja przyszłego żywota przeglądała; przeciwnie, szczątki organicznego życia także żółkną, ale albo brudnym, albo odrażliwym kolorem. Ta sama sprzeczność zachodzi w smaku ciał żółtych: jedne są słodkie jak miód, i większa część żółtych owoców; inne są gorzkie, jak żółć, gorczyca, tytuń, owoce kolokwinty itp.

Kiedy takięj zmienności i takiego przeciwieństwa jest kolor żółty, rzec można, że barwą stałości i statku jest barwa niebieska. Z tego-tęż względu kolor ten uważany był zawsze za symbol wierności. Rozróżniamy w nim trzy główne odcienia: lazuru, błękitu i granatu. Każdy z nich ma swoją wyłączną piękność, a żadna jego odmiana w brzydkość nie przechodzi. Goethe powiada o téj barwie, że to jest *nic*, w pełni uroku pojawiające; że w niej jest coś, co się wdziękiem do nas uśmiecha, a pokojem światła zadowala; że jest coś, co nas pociąga za sobą, ale zarazem ustępuje przed nami.

Jak kolor czerwony pomiędzy farbami jasnymi, tak kolor niebieski pomiędzy barwami ciemnymi ma najwięcej energii. Atoli nie jest to energia gorąca, krwista; lecz zimna, gładowa. Albowiem po za tą energią barwy przegląda ciemność, będąca prawdą wyrazem pokoju, ale razem i chłodem śmierci. Barwa nieba dała nazwę kolorowi niebieskiemu. Jakoż na firmamencie wszelakie odcienia jego postrzegać się dają. Białe jest północne niebo, najwięcej jasności ma jego barwa niebieska o południowej dobie i letnią porą. Ciemniejszy już błękit zwrotnikowego nieba, nadzwyczajnej czystości i niesłychanego uroku. Kiedy zaś zaciemniają się chmury, ale bez deszczu w pogodę się rozejdą, wtenczas granatowego nabierają koloru. Groźniejsze więc wrażenie ostatnich, jakby na rozstaju burzy i pogody w niepewności nas zostawują, czy pierwsza, czy druga nastąpi. Południowego błękitu urok jest

zachwycający, atoli ciemnia jego głębsza, każe nam oraz przeczuwać głębiny przepaściste firmamentu. Najmnień ma cieni jasne lazuruwe niebo, ale nie zbywa się wrażenia nicości, bo się oko w tój czczości niebieskiej gubi, i to jego romantyczny charakter stanowi. Wszakże kiedy z po za chmur czysty błękit nieba się pokaże, jakieś miłe wrażenie zdrowia człowieka ogarnie, i kolor chłodniejszy się wyda, niżeli przy zwyczajnej jaskrawości słonecznej, która niebieskość firmamentu jasnością swoją rozbiela.

Kolor firmamentu, jak się już wyżej przytoczyło, jest złudzeniem optycznym. Przywiedliśmy go tu raz jeszcze dla tego, aby dać poznać, że kolory światła i kolory barw, pod estetycznym względem w niczym się od siebie nie różnią. Czystość i stałość koloru, wdzięk w każdym jego odcieniu, są znamiem niebieskiego światła. Te same znamiona noszą na sobie barwniki niebieskie, którymi natura pomalowała twory swoje. Bo czy to rozpatrujesz się w niebieskich kolorach ziem i kamieni, n. p. w niebieskich turkusach, w błękitnym siarczanie miedzi, w granatowym ametyście; — czy porównasz z sobą śliczną barwę niebieskiej niezabudki, ciemniejszego modraku i zupełnie ciemnego indygo; — czy wreszcie pomiędzy ptastwem wybierzesz błękitne pióra krasiek i niebieskich indyjskich gołębi, a pomiędzy zwierzętami ssącymi takąż sierć lisów niby niebieskich; — wszędzie cię uderzy przyjemne wrażenie tój farby.

Dwie są tylko odmiany, nie powiem wznecające odrazę, ale stojące na samym zrębie pięknej barwistości: jest to barwa sina i barwa pleśni. Pierwsza już szarzeje i dla tego traci na wartości; czerń jakaś spodem nię się przebija, co jęj urok odejmuje i na stronę ujemnego piękna przeciąga. W takim znaczeniu wydaje się siność na ciele, z zawrzenia krwi pochodząca. Mnień zraza kolor siny, gdzie nie ma tego przeciwieństwa zdrowia i choroby, życia i śmierci, i dla tego sine kamienie podobać się nawet mogą. Z koloru pleśni przebija już żółtość zgnilizny. Wszakże gdzie pleśń w osobne organiczne ciała się wyradza, pokrywa się farbą blado niebieską, która jako farba, nie jest szpetną.

Uważaliśmy poprzednio, że głównym środkiem, którym natura przedmioty czerwono maluje, jest kwasoród. Pan Zennon Hałatkiewicz, z którego uwag fizjologicznych o świetle wieleśmy i pod estetycznym względem korzystali, czyni to spostrzeżenie, że wodoród jest środkiem, za pomocą którego natura nadaje przedmiotom kolor niebieski, a że węgiel służy do nadania im koloru żółtego. Rzeczywiście wodoród paląc się, rozwija płomyk błękitny. „A niektóre sole metaliczne, jak węgiel miedzi zielony, przedstawiają się tylko wtenczas w barwie niebieskiej, kiedy w związku swoim zawierają wodę, a raczej wodoród, chemicznie z nimi połączony. Inne znów, chociaż posiadają tę samą barwę, jak siarczan miedzi, to po utraceniu wody krystalicznej barwa niebieska przechodzi w białą, i zaledwie staje się widoczną.“ * Ammoniak, który nadzwyczajnie jest zamożny w wodoród, gdy się połączy z siarczaniem miedzi, podwyższa tak wysoko jego błękit, że z nim dawniejsza barwa całe nie może iść w porównanie. Są to poślaki, po którychby wnosić można, że wodoród przyczynia się głównie do ubarwienia ciał w kolory niebieskie. Utwierdza się ten domysł przeciwieństwem, jaki między czerwonymi a niebieskimi roślinnymi barwami zachodzi. Bo jak kwasy działały na barwniki niebieskie, zamieniając je na czerwone, tak alkalia mineralne działają na barwniki czerwone, zamieniając je na niebieskie. Pierwsze było skutkiem kwasorodu, drugie jest skutkiem wodorodu, wchodzącego w skład ciał alkalicznych.

Na podobnych poślakach oparty jest domysł, że węgiel pigmentem żółtym ciała powleka. — Jest rzeczą pewną, że w skład wszystkich barwników żółtych, tak zwierzęcych, jak roślinnych, wchodzi węgiel, i zawsze w przeważającej ilości pomiędzy innymi pierwiastkami. Równie nie ulega wątpliwości, że im ciała palne więcej węgliku posiadają, tym wyraźniej przedstawia się żółta barwa płomienia, będąca gazem węglowym, przez ciepło wydzielonym. Ten sam wydzielający się węgiel jest przyczyną żółtej farby tych ciał, które powstały

* Światło, jako ogniwo jednoczące świat wewnętrzny z zewnętrznym, str. 77.

z rozkładu istot organicznych, dokonanego drogą ognia: n. p. smoła, kreosot, ocet drzewny itp. Ztąd wszystkie tłuszcze, oleje, żywice, wydzielające węglík, żółkną, a to tym bardziej, im bardziej się starzeją. Wszelakie spalenzny na ciałach bezbarwnych zostawują ślady żółte, i cała wegetacya jesienna żółknie. — Węglík sam przechodzi rozmaite barwy i tą zmiennością uludną zbliża się do charakteru żółtego barwnika. Widzimy go białym w dyamencie, żółtym w płomieniu, czarnym w węglu. Gdy się chemicznie łączy z organizmem ciała, farbuję ich ciała w najrozmaitsze kolory, jak to uważaliśmy na rasach ludzkich.

Poznaliśmy tym sposobem tajemne czynniki, których natura śnać używa do wyprowadzenia trzech zasadniczych farb: czerwonej, żółtej i niebieskiej. Jakkolwiek na domysłach oparte są te wnioski, i nie trzeba ich brać w takiej rozciągłości, aby krom kwasorodu, wodorodu i węglíku, natura nie miała innych jeszcze środków w malarskiej sztuce swojej, to jednak wiele przemawia za tym, że najwięcej wpływają do tworzenia barwników. Jak kolor żółty w widmie słonecznym zajmuje pośrednie miejsce pomiędzy czerwonym i niebieskim, tak węglík pomiędzy kwasorodem i wodorodem w szeregu elektrycznym.

Barwa czerwona widma słonecznego posiada z wszystkich jego kolorów, w najwyższym stopniu siłę ukwaszającą, czyli elektryczno-dodatną, i w szeregu elektrycznym posiada ją także kwasoród w najwyższej potędze pomiędzy wszystkimi pierwiastkami. Promień światła niebieski ma podobne własności z elektrycznością ujemną, a ciała téj barwy mają siłę odkwaszającą i smak alkaliczny; z powyższych zaś trzech czynników barwnikowych, wodoród także jest najbliższy biegunu elektryczności ujemnego.

Tym sposobem szereg elektryczny barw zasadniczych byłby zupełnie odpowiedni takiemuż szeregowi ich czynników. Zważywszy nakoniec, że w królestwie zwierzęcym barwa czerwona i czynność ukwaszająca przeważa, a w królestwie mineralnym czynność odkwaszająca, odpowiednia w swoim działaniu barwie niebieskiej, która w krystalizacyach przebija; że w królestwie roślinnym obie czynności w równej mierze zachodzą,

a barwa żółta, przeglądająca także z zieleni liść, za panującą uważaną być może; — wyprowadzamy jeszcze i ten ostatni wniosek, że trzem barwom pierwotnym odpowiadają mniej więcej trzy królestwa natury. Widzimy oraz, że im pod względem warunków życia i istnienia, odpowiadają także trzy powyższe czynniki; albowiem dla życia zwierzęcego najpotrzebniejszy jest kwasoród, do życia roślin węglík, a w kryształizacyi ciał mineralogicznych zdaje się wodoród znaczną odgrywać rolę.

Tajniki natury i środki, którymi dokonywa sztuki malowniczej na tworach, odchylają się jeszcze więcej przy barwie zielonej, najznakomitszej z pomiędzy barw złożonych, czyli pochodnych. Wiadomo, że światło koniecznie jest potrzebne roślinom nie tylko do życia, ale i do wyrobienia się w nich pierwiastku zielonego, który *chlorofilą* nazywają. Bez światła tracą barwę zieloną, blednieją, słabną i więdną. A jeżeli w ciemnym miejscu z nasienia wyrastają, są bezbarwne, czasami bladą, błękitną farbę wydające. Wedle doświadczeń czynionych przez Gardnera, celem zbadania, który z promieni widma słonecznego najwięcej sprzyja do wyrobienia się barwnika zielonego, pokazało się, że rośliny w ciemności rozwinięte, a więc beżbarwne, wystawione na działanie promienia żółtego, potrzebowały $4\frac{1}{2}$ godziny czasu dla zazielenienia się; pod promieniem niebieskim w $17\frac{1}{2}$ godzinach zaledwie słabiej zieleni nabrały; zaś pod promieniem zielonym już w $3\frac{1}{2}$ godziny rozzieleniły się zupełnie.

Z tych postrzeżeń wynika, że kolor światła zielony, będąc téj samój natury, co farba zielona, najwięcej dopomaga do jój rozwinięcia się w roślinach; że kolor żółty jest barwy zielonój podstawą, a niebieski tylko domieszaniem, i dla tego najslabiej na wytworzenie się zieleni roślinnój wpływa. Następnie da się ztąd wyprowadzić jeszcze i ten wniosek: że skoro wodoród jest czynnikiem barwy niebieskiej, a węglík żółtój, że więc barwa zielona od pewnój miary wzajemnego na siebie działania wodorodu i węglika zależeć będzie. To się potwierdzać zdają doświadczenia fizyologiczne, czynione na roślinach. Albowiem promień światła żółty ma własność rozkładania kwasu

węglowego, przez co wydzielony węgiel osłabia działanie kwasorodu na wodoród, a powiększa działanie wodorodu na siebie, względem którego zachowuje się jako półkwas. Pierwiastek chlorofili bezbarwny, albo błękitnawo już zafarbowany, nabiera wtenczas koloru zielonego.

Od większego, lub mniejszego działania wodorodu, zależy ciemniejsza, lub jaśniejsza barwa zielona roślin. Ztąd liście roślin, nad wodami i w wilgotnej ziemi rosnących, zawsze są zieleńsze i ciemniejsze, niekiedy w błękit przechodzące, niżeli liście tych samych roślin, posadzonych na miejscach suchych i niedostatek wilgoci mających. Ztąd porosty wodne, jak wymocznice, zielenice, wszystkie są zielone i prawie niebieskie, kiedy u porostów, co jak lizaje pokrywają skały, ziemię i kory drzew, barwa bywa brunatna, żółta, pomarańczowa, ruda, szara, a nawet czarnawa. Ztąd nareszcie i kwas siarkowy, rozbudzając do ruchu siły wodorodu, tak przeważnie się przyczynia do nadania zieleni ciemniejszej barwy.

Estetyczne wrażenie zielonej farby jest takie samo, jakie sprawia kolor światła zielony. Jest i tu równowaga cieni i światła, ujęta w kolorowym wdzięku, a nieskończoność od-cieni aż podwojoną została. Bo kiedy najrozmaitsze mogło być stopniowanie żółtej i niebieskiej barwy, o wiele więcej rozmaitszą musi być kombinacya z obydwóch. Każda ma swoją osobną pięknosc. Weselszego wejrzenia są te zielenie, w których barwa żółta przeważa; elegijnie usposabiają, gdy w nich barwa ciemna, niebieska jest panującą. Oliwkowy kolor, jako najwięcej umiarkowany, był symbolem pokoju. Chceszli uraczyć się wdziękami różnobarwnej zieleni, idź w pole, pomalowane szmatami łąk i zbóż różnozielonych; albo do lasu o różnych gatunkach drzew i krzewów, gdzie często w nader harmonijne wzorce poukładały się, to jasne, to ciemne zielenie liści.

W królestwie rzeczy kopalnych barwa zielona nie jest rzadką, i nabiera wielokroć nader pięknego koloru, jak w szmaragdzie, w berylu, w turkusie, malachicie, kamieniu serpentynowym itp. W królestwie zwierząt najwięcej się zielona barwa pojawia u zwierząt skrzydlatych, to jest u owadów i ptaków.

U ryb i płazów natrafiamy także na piękne zielone barwy; u zwierząt ssących prawie całe ich niema, podobnie brak niebieskich. Jest to barwa, która się w całej swojej świeżości i w całym bogactwie odmian tylko w królestwie roślinnym znajduje. Jeżeli ją wzięto za symbol nadziei, przeniesiono do niej zapewne to znaczenie ze zielonej barwy, w którą się wiosna stroi, i nadzieją przyszłych owoców nas darzy.

Inne barwy pochodne nie mają takiej wagi i takiego znaczenia, jak zieleń, dla tego w krótkości tylko o nich pomówimy. Kiedy się farba czerwona łączy z żółtą, powstaje z ich podwójnej jaśni silniejsza jeszcze jaskrawość, jak gdybyś płomień do płomienia domięszał. Czerwona żółtość daje kolor pomarańczowy, jaki przedstawia owoc tegoż nazwiska; — śliczna to barwa, wspaniała, ognista, nierażąca i umiarkowanego ciepła. Natura użyła tej barwy do wyozdobienia wielu kwiatów i owoców południowego nieba, które wśród cienistego, zielonego liścia pięknie się wydają. Przeciwnie, żółta czerwoność ma barwę gwałtowną, jaskrawą, rażącą zbyt kłórowej jasności. Znajdujemy tę farbę w cynobrze, w minii, w niektórych kwiatkach zwrotnikowego nieba, i w pysznym ubarwieniu piór pastwa gorącego klimatu.

Kiedy się farba czerwona łączy z niebieską, jaskrawość czerwonej barwy zmniejsza się wprawdzie, ale się nie znosi. Owszym powstaje jakieś przeciwieństwo pomiędzy ciemnością błękitu, a jaskrawością czerwieni, pomiędzy chłodem jednej, a gorącym drugiej farby, co ich połączeniu wyraz niepokoju nadaje. Błękit zczerwieniony daje barwę, którą nazywamy lila (kolor bżowy) — barwa jasna, ale blada, żywa, ale bez wesołości życia, i ten to kontrast ma coś niepokojącego. Zbłękitniona czerwien tworzy kolor fioletowy. Przeciwieństwo tu jeszcze bardziej niepokojące. Z pod ciemni błękitu przebija jaskrawość czerwieni, jak łuna pożaru przedzierająca cień nocy, jak światło rozumu, chcące zgłębić niezgłębianą tajemnicę bóstwa, — ztąd kolor fioletowy symboliczną barwą teologii. Oba kolory pochodne znachodzimy w naturze dość często, w nieorganizmach i roślinach, mało w królestwie zwierzęcym.

Farby pochodne drugiego rzędu są te, które z trzech farb pierwiastkowych powstają, a taką może tylko być jedna, z powodu, że tylko są trzy pierwotne barwniki. Farbą tego rodzaju jest farba brunatna, której nie znajdujemy pomiędzy kolorami widma słonecznego; albowiem tam mogą tylko zachodzić kolory przejściowe, na granicy dwóch farb przyległych powstające. Rozmaitość odmian barwy brunatnej jest w trójnasób nieskończona, bo z kombinacji trzech nieskończenie różnie nacięniowanych barw powstająca: żółtej, niebieskiej i czerwonej, z których każda w różnej mierze może być wzięta. Ponieważ czerwień ma z nich najwięcej energii i siły, przeto i w tym trójkowym połączeniu kolorem swoim przeważać będzie. Ona też indifferentyzmowi, który powstaje z połączenia się dwóch barw pierwszych, nadaje wyraz mocy, tęgości i znaczenia.

Wszakże poetyczna energia czerwieni przemieniła się w takim przekształceniu w energią prozy brunatnego koloru, służącej więcej ku użytkowi, niżeli ku ozdobie. Jest to farba wypieczona ku potrzebom powszedniego życia, a nie wytworzona promieniami jasnego słońca ku rozweseleniu oka; jest farba po spalaniu, nie wśród palenia. Z tego względu, co jest pożytkowe, miewa w naturze brunatną barwę. Najwięcej gatunków piasku, gliny i ziemi są tego koloru; ruda żelazna jest brunatna, w roślinach kory drzew, pestkowe osłony nasion i owoców są brunatne. W dojrzałości najwięcej nasion i owoców z wierzchu brunatnieje.

Barwa brunatna jest zarazem znamię siły: dla tego wśród ptaków orły są brunatnoplóre, a wśród zwierząt czworonożnych te najwięcej uchodzą za mocne i wytrwałe, które mają maść brunatną. W ogóle jest to barwa najpowszechniejsza u zwierząt ssących, rozmaicie u rozmaitych gatunków nacięniowana. Ogorzała, ciemna, brunatna płuć ludzka, rokuje także moc charakteru, i wróży silne namiętności.

Z natury rzeczy wypada, że farb pochodnych drugiego rzędu więcej być nie może, i że farby pochodne trzeciego rzędu są niepodobne. Bo gdybyśmy n. p. do farby fioletowej, do której wchodzi czerwona i niebieska, dołączyć chcieli żółtą,

powstałaby koniecznie brunatna, jako mieszanina trzech farb pierwotnych; gdybyśmy dołączyć chcieli czerwoną, albo niebieską, nie zmieniałaby się barwa fioletowa, tyłkoby się albo bardziej zjaśniła, albo bardziej ściemniła. Z tego samego powodu połączenie dwóch barw pochodnych pierwszego rzędu, n. p. zielonój i pomarańczowój, nie może dać innego złożenia, jak tych samych trzech farb pierwiastkowych, a więc w wypadku da farbę brunatną. Widzieliśmy, że już na troistym złożeniu farb pierwotnych kończyła się poezya barwy, i przechodziła w prozę pożytku. Dalsze złożenia tyłkoby więc bardziej zabrudzały i zamulały owo piękno urocze barwy, którym pierwotne i przejściowe kolory płoną.

Kolory przejściowe, powstające z różnomiarowego połączenia dwóch pierwiastkowych barwników, już są pierwszym stopniem nacięniowania farb, za pomocą którego malownicza natura swoje szaterunki odbywa. Nacięniowania są dwojakie: albo w jednej i téj samój farbie, za pomocą ścięmnienia przez kolor czarny, a rozjaśnienia przez kolor biały, albo w dwóch różnych farbach, kiedy jedna w drugą przechodzi. Pierwszy rodzaj szaterunku jest większą lub mniejszą napiętością barwy, odbywa się przez jęj rozrzedzanie, lub jęj nagłębianie, i stanowi tak nazwany *ton* farby: głębokij, albo wysoki, odpowiedni niskim, albo wysokim tonom w muzyce; tak, że niskie tony basu głębokio nacięniowanym farbom, a wysokie tony dyszkantu rozjaśnionym barwom odpowiadają.

Drugi rodzaj nacięniowania jest przejściem jednej farby w drugą, przez większe lub mniejsze jęj domięszanie. Przejście zachodzić tyłko może pomiędzy farbami pogranicznymi, jak to uważaliśmy poprzednio w barwie pomarańczowój i cynobrowój, gdzie jedna jest przechodzeniem farby czerwonej w żółtą, druga farby żółtój w czerwoną. Podobnie lila jest domięszaniem farby niebieskiej do czerwonej, zaś fiolet domięszaniem farby czerwonej do niebieskiej. Nakoniec i w barwach zielonych można rozróżnić, jako dwa przeciwne szaterunki, barwę żółto-niebieską i niebiesko-żółtą. Gdy do żółtój barwy domięszam niebieskiej, będę miał barwę żółto-zieloną; gdy przeciwnie do niebieskiej dołączę żółtój, będę miał modro-zieloną.

Tu się oraz pokazuje różnica pomiędzy szaterunkiem jednego, a drugiego rodzaju. Szaterunek przez ściemnianie, lub rozjaśnianie, sprowadza w barwie zielonej dwie jej odmiany: ciemno-zieloną i jasno-zieloną. Barwa jasno-zielona nie zawsze jest żółto-zieloną, ani ciemno-zielona nie zawsze modro-zieloną; albowiem szaterunki, przez przechodzenie barw powstające, mogą być na nowo szaterowane przez ściemnianie i rozjaśnianie. Tak n. p. barwa oliwkowa jest ciemno-zielona, nie przestaje być żółto-zieloną, dla tego że kolor żółty w niej przeważa. Barwa zaś wielu porostów, n. p. w chrobotkach, tarczownikach, będąc modro-zieloną, dla przeważającego niebieskiego koloru, jest barwą bardzo rozcieńloną, i dla tego jasno-zieloną.

Jest jeszcze druga różnica dwóch powyższych szaterunków. Nic łatwiejszego, jak kolor jasnej barwy zamienić na kolor ciemnej barwy, i przeciwnie; bo w nich zachodzi prosty stosunek cieni i światła. I widzimy to co dzień, jak przez rzucony cień natura barwy swoje mroczy, przez promienie światła rozjaśnia. Na tym samym listku postrzegamy jasną i ciemną zielen, gdy na jedną jego część cień, na drugą światło pada. Inaczej się rzecz ma przy szaterunkach, utworzonych przez przejście dwóch barw pogranicznych. Malarz tworzy przejściowe farby przez domieszanie, a ztąd naturalnie z koloru pomarańczowego może utworzyć cynobrowy, i przeciwnie, wedle tego, czy więcej żółtego, czy więcej czerwonego barwnika przybierze. Lecz natura nie zdaje się tworzyć przejściowych barw przez mieszanie, tylko przez przechodzenie, z czego wypada, że przejścia pomiędzy przejściowymi szaterunkami już być nie może. Rozjaśnia więc tylko i rozciemnia tak pomarańczowy, jak cynobrowy kolor, ale nigdy z jednego w drugi nie przechodzi, to jest, nie tworzy przejściowego koloru pomarańczowo-cynobrowego, ani cynobrowo-pomarańczowego. Byłoby to zamuleniem barw i przekroczeniem granic piękna, o czym się przy mieszaniu farb rzeczywistych przekonać można.

Następnie natura nie robi przejść pomiędzy pierwiastkową, a przejściową barwą, jeżeli pierwsza w drugiej się już nie

mieści; z tego względu nie tworzy szaterunku między niebieską a pomarańczową, między zieloną a czerwoną, między żółtą a fioletową farbą. Nie ma też w naturze barwy żółto-fioletowej, ani czerwono-zielonej, ani pomarańczowo-niebieskiej i t. p. Albowiem w takim przejściu byłoby połączenie w różnej mierze trzech barw pierwotnych, dające, jak wiadomo, barwę brunatną.

Jako przykład przedstawiamy tak nazwaną macoszkę, z gatunku fiołków. Jest to kwiatek o pięciu listkach, z których dwa tylne są fioletowe, i u samego dopiero spodu pokazują kolor bżowy; dwa średnie są przez połowę żółte, a przez połowę fioletowe; piąty, wierzchołkowy, ma spodem barwę pomarańczową, dalej żółtą, na końcu fioletową. Przypatrując się tym barwom, widzimy, jak nieznacznym szaterunkiem pomarańczowa w żółtą przechodzi, dla tego, że ostatnia w pierwszej już objęta; przeciwnie, jak fioletowa ostro, bez szaterunku, tak od żółtej, jak od bżowej barwy się oddziela; — pierwsze dla tego, że żółta w fioletowej nie jest objęta; drugie dla tego, że tak lila, jak fiolet, są już przejściowe farby.

Estetyczne wrażenia szaterunków natury są nader rozmaite i niewypowiedzianego wdzięku, a kombinacya ich nieskończona. Sam ton farby różną napiętością światła różne wrażenia sprawuje. Błado-czerwona barwa n. p. pełna słodyczy i łagodności; głęboko nacerwieniona świeci wspaniałością i energią. W ogóle szaterunek bielejący usposabia żeńsko, rozbudzając łagodne, miłe, miękkie uczucia; szaterunek ciemny nastraja nas męzkim, silnym, potężnym wrażeniem. Wszakże tylko do pewnej granicy, którą natura rzadko przekracza, rozciąga się rozcieńający i ściemniający szaterunek. Zbyt blade barwy są mdłe, chorowite, albo bez wyrazu; zbyt ciemne są zasepione i pomroczone; a tak w jednych, jak w drugich, piękno pierwotnego koloru aż do niewydatności znika.

Jeżeli zaś oba szaterunki połączą się ze sobą, i tony barw rozłożą się po farbach przejściowych, wrażenie piękna jeszcze bardziej się urozmaici, jak to mianowicie przy barwie zielonej uważać można, wyróżniając z niej jabłkową, oliwkową, szmaragdową, ultramarynową, wpadającą w żółty,

w modry i w czarny kolor, — i tylu innych odmian, częścią nazwiskowych, a najczęściej jeszcze beznazwiskowych, z których każda osobne estetyczne wrażenie sprawia.

Na ten sam sposób barwa brunatna szateruje się to żółtym barwnikiem, i nabiera jasnego płowego koloru, który najmniej daje wyrazu energii; — to przechodzi w czerwoną barwę, i ma wtenczas energii najwięcej, jak w kasztanowatych kolorach, i w kolorze gniadłej maści; — albo wreszcie wpada w modrość i tworzy brązowy kolor, czyniąc wrażenie metalicznego zimna.

Nakoniec barwa szara, będąc tylko stosunkiem ciemności do światła, i nie mając w składzie swoim żadnej z barw, ani pierwiastkowych, ani pochodnych, może się szaterować tak jednymi, jak drugimi, przechodząc w brunatne, zielone, fioletowe, pomarańczowe, żółte, niebieskie i czerwone kolory. Pierwiastkowa szarość takim przymieszaniem kolorowych barw pięknieje, nabierając w pewnej części tego uroku, którym każda w szczególności odznacza się. I tak n. p. szara sierć domowego kota, gdyby nie była czarno-pręgowana, byłaby brzydka, gdy tymczasem bura sierć żbika, czyli kota leśnego, już jest spiękniona, i wskazuje na siłę i energią. — Jak nacerwieniona szarość przechodzi w farbę burą, tak szarość nablękitniona przechodzi w kolor stalowy; którego wyrazem jest hart i chłód metaliczny.

Nowy świat wdzięku i uroku rozlewa się po tych barwach i szaterunkach, gdy się do nich domięsza blask, w rozmaitych swoich odmianach, szklistości, bławatności, tłustości, topliwości, metaliczności i t. d., o czym już mówiliśmy wyżej, gdyśmy traktowali przedmiot o samym bezkolorowym blasku; — albo gdy się po nich rozścielą kolorowe światła: różanego świtu, złotego wschodu, purpurowego zachodu, błękitnego powietrza, lunistego ognia. Podróżni n. p. którzy zwiedzali niebieską grotę *Capri*, wypowiedzieć się nie mogą, jaki czarowny urok rozlewa po jej przestrzeniach błękitne światło, będące skutkiem odbicia się promieni słońca od gładkiego zwierciadła morza, które pod nią przepływa.

Gdzie nie ma blasku, tam malownicza natura podniosła

wdzięk barwy przeciwnym środkiem. Powleka farbistą powierzchnię ciała delikatnym, prawie niedojrzanym włosem, czy puchem, lub pyłkiem, który barwie nadaje miękkość atłasu, na jasnych kolorach ich jaskrawość, a na ciemnych ich posepność zmniejsza, i na łagodniejsze, szlachetne wrażenia zamienia. Wszystkie niemal kwiaty tym sposobem przedstawiają się, jako barwiste bławatki, w pewien stroik pięknie powykrawane i ułożone. Jaka szlachetna pulchność jest w zielonkowatej, narumienionej brzoskwini; jaka niewinność w modrym pyłku, który ciemną barwę śliwki powleka! Wszystko to razem wzięte, stanowi czarodziejską sztukę malarską, którą natura świat i tworzy jego w cudne kolory uozdobiła.

Stosunek farb różnych do siebie nazywa się ich *h a r m o n i ą*. Już pierwsze jój ślady postrzegaliśmy przy uważaniu piękna farb przejściowych, gdy się powiedziało, że natura nie tworzy ani żółto-fioletowego, ani niebiesko-pomarańczowego koloru; i że nie robi szaterunku, n. p. pomiędzy czerwono-niebieskim a niebiesko-czerwonym kolorem. Harmonia farb bliżej się oznacza nie w przechodzeniu farb jednej w drugą, ale w ich zestawieniu, i pod tym względem ma niejakie podobieństwo z harmonią tonów, od których nazwiska pożyczła.

Farby uważane z estetycznego stanowiska, mają to samo znaczenie, co światła kolorowe. Ich harmonia przeto polegać będzie na stosunku światła widma słonecznego, które się do harmonii jasnego, białego promienia zlewają. Przypatrując się pomienionemu widmu, widzimy, że pomiędzy każdymi dwoma pierwiastkowymi, czyli niezłożonymi kolorami, znajduje się kolor mieszany, czyli przejściowy: między czerwonym a żółtym jest pomarańczowy; między żółtym a niebieskim jest zielony; między niebieskim a czerwonym jest fioletowy. Kolor granatowy nie wchodzi w rachubę, jako będący tylko ściemnieniem niebieskiego.

Tym sposobem kolorowi pochodnemu odpowiada kolor pierwiastkowy, który z nim zestawiony, przedstawia całkowitą tróję pierwiastkowych, czyli niezłożonych kolorów, to jest,

przedstawia harmonią kolorowych światel do promienia białego. Ztąd także farba

czerwona	wymaga zielonój
pomarańczowa	— niebieskiój
żółta	— fioletowój
zielona	— czerwonej
niebieska	— pomarańczowój
fioletowa	— żółtój,

do dopełnienia swojego. Że tak jest rzeczywiście, poucza nas oko nasze. Połóż na biały papier czerwoną wstęgę i wpatruj się dłużej na nią, a zrabek jój ukaże się w jasno-zielonym kolorze, który jeszcze i wtenczas na papierze będzie widoczny, gdy wstęgę z niego uchylisz. Obwódka będzie ciemno-zielona, jeżeli kolor papieru będzie szary. Na podobny sposób można zrobić doświadczenie z innymi farbami. Ale i w naturze spostrzegamy wielokroć te same złudzenia kolorowe, dowodzące potrzeby dopełniania się farb do jedności, czyli do harmonii. Natura też najchętniej zestawia je ze sobą, a wdzięk takiego zestawienia nader miły dla oka, n. p. czerwone jabłka na zielonój jabłoni; nadobne macoszki żółto i fioletowo nabarwione, niezabudki i z niebieską i z pomarańczową farbą. Przydajmy do tego, że przez takie dopełnienie jedna barwa drugą podnosi. Najpyszniej, niejako najczerwieniiej, wydaje się czerwień obok zieleni, a najzieleniej barwa zielona obok czerwonej, i tak następnie.

Podobna harmonia farb sprawuje oraz harmonią estetycznych wrażeń. Gwałtowna i namiętna energia czerwieni wymaga łagodności i spokoju zielonój barwy; jasna, wesółta i gorąca żółtość dopełnia się do jedności ciemną barwą fioletową, pełną niepokoju i zadumy; chłód i nadobność przezroczego błękitu kojarzy się mile z jaskrawą, sutą i płomienną pomarańczową barwą. I na odwrót taki sam zachodzi stosunek. Jest to ożenek kolorów, o przeciwnych charakterach, połączony w harmonią małżeństwa; — jest pojednanie dwóch biegunów przeciwnych; jest zadosyć-uczynienie ujemności jednej farby, przez dodatność drugiej, i przeciwnie, przez co powstaje zadowolenie dla estetycznego oka.

Wszelako natura w malowniczej sztuce swojej, idąc za popędem fantastycznej obraźni, nie trzyma się zawsze prawideł harmonii co dopiero wyłożonych. Bo zestawienie powyższe barw piękne prawda, ale w ogóle ubogie, dające tylko trzy kombinacje; kiedy zestawienia barw idą w nieskończoność. Jeden rzut oka na malowniczą barwistość tworów pokazuje dostatecznie, jak rozlicznie i rozmaicie połączone są barwy ze sobą.

Trzymając się sześciu kolorów widma słonecznego, widzimy, że mogą jeszcze zachodzić dwie inne trójki ich zestawień, gdy połączymy albo pierwiastkowe, albo pochodne barwy ze sobą. Z pierwszego połączenia będziemy mieli: żółte z niebieskiem, niebieskie z czerwonym, czerwone z żółtym; z drugiego połączenia otrzymamy: zielone z fioletowem, fioletowe z pomarańczowem, pomarańczowe ze zielonym. W królestwach natury najczęściej na podobne zestawienia natrafiamy, mianowicie przy ubarwieniu kwiatów i ptactwa pięknopiórego. Zmysł estetyczny poczuwa w nich jakiś niedostatek, bo w pierwszych trzech parach nie dostaje zawsze trzeciego pierwiastkowego koloru. Ztąd pochodzi, że takiemu zestawieniu nie dostaje owego wyrazu mocy i energii, jaki sprawia całkowita trójca kolorów, w barwistej dwójce ukryta. Weźmy np. krzak żółtych i krzak czerwonych malin; — albo przypatrzmy się modrakowi i czerwonemu makowi wśród zielonej jeszcze pszenicy, a przekonamy się, że po stronie czerwieni z zielenią jest jakaś miła jędrność i wydatność kolorów, gdy po stronie modrego, albo żółtego koloru z zielonym, jest jakaś mdłość i niedostatek.

Dalszym takiego niedostatku następstwem bywa i ta okoliczność, że oko wyszukuje koniecznie trzeciego koloru, i zawsze też coś z niego rzeczywiście napotyka, bo natura, chociaż w części, ów niedobór wynadgrodzić stara się. I tak w pierwszej parze (żółte z niebieskiem) oko w żółtej barwie dopatruje coś pomarańczowego, w niebieskiej coś fioletowego; w drugiej parze (niebieskie z czerwonym) w niebieskiem mieni mu się kolor zielony, w czerwonym cynobrowy; w trzeciej parze (czerwone z żółtym) w czerwonej farbie przebija się coś

fioletowego, a w żółtėj coś zielonego. Im para pierwotnych kolorów już sama z siebie silniejsza, tym naturalnie niedostatek trzeciego koloru mniej się uczuć daje, niżeli w parze barw o kolorach słabych. Słabym jest kolor niebieski, bo zimny i ubogi w światło, sutym i jaskrawym kolorem jest czerwony; przeto w zestawieniu żółtego z niebieskim, jak w niebieskich astrach, że żółtym talerzykiem w środku, najwięcej uczuwamy, niedostatek koloru czerwonego, gdy przeciwnie, w zestawieniu żółtego z czerwonym, jak w kielichu tulipanów, nieobecność koloru niebieskiego cale nas nie obchodzi. Tam też bladeść i mdłość, tu przepych i energia nas uderza.

Zestawienia drugiej trójki barw w kolorach przechodnych przedstawiają niedostatek, nie trzeciej barwy, ale jej czystości. Barwa trzecia znajduje się w każdej parze podwójnie, z czego rodzi się jej zamulenie, w stosunku do dwóch innych barw. Oko nie natrafia na żaden kolor, coby się uwydatniał. Raczej podwaja się niedostatek, i kiedy w pierwszej trójce barw pierwotnych tylko jednej nie dostawało, ale za to zawsze inna, jedna z dwóch zestawionych, nadawała ton całości; — tu nie dostawa dwóch barw pierwotnych, a każda z dwóch zestawionych jest już zniaczoną, jako barwa przechodna, czyli mieszana.

I tak zielone z fioletowym przedstawia kolor niebieski, ukryty dwa razy, a nie przedstawia ani żółtego, ani czerwonego; fioletowe z pomarańczowym ukrywa podwójny kolor czerwony, a nie uwydatnia ani żółtego, ani niebieskiego; narzecie pomarańczowe z zielonym ma żółtość utajoną podwójną, a nijaczy kolor i czerwony i niebieski. Nie ma więc nigdzie wybitnego charakteru w zestawieniu takich barw, jak n. p. w ciemnym fiołku wśród trawy, albo w pomarańczowym owocu, zawieszonym wśród zielonego liścia. Natura w takich przypadkach ociemnia, albo rozjaśnia zielen liści, aby złagodzić disharmonią kolorów. Albowiem pomarańczowa barwa lepiej się wyda na ciemnej, niżeli na jasnej zieleni; przeciwnie się ma z barwą fioletową, która bardziej do jasno-zielonej barwy przystaje.

Sześć kolorów widna słonecznego przedstawia nakoniec ostatnią ich kombinacją, gdy zestawimy jeden kolor z drugim, przez co się utworzy sześć nowych połączeń kolorowych: to jest, czerwone z pomarańczowym, pomarańczowe z żółtym, żółte z zielonym, zielone z niebieskim, niebieskie z fioletowym, fioletowe z czerwonym. Disharmonia tych par jeszcze większa, niż poprzednich. Natura łagodzić ją zwykła przez stosowne nałożenie cieni i światła. Oko w takim zestawieniu farb żadnym już optycznym złudzeniem poradzić sobie nie może i nadaremnie szuka koloru, który by je do harmonii dopełniał. Łączy się tu z sobą zawsze farba pierwotna i ta farba pochodna, która z tamtej przez domieszanie powstała: tak żółta jest zawarta w zielonej, czerwona w pomarańczowej i t. d. Są więc znowu tylko dwie farby pierwiastkowe, których dopełnić nie można trzecią, bo ta się ani z pierwszej, ani z drugiej nie podaje. Mając zestawienie fioletowo-czerwone, to ani z fioletowego, ani z czerwonego koloru nie dopatrzymy żółtego. Dopełnienie odbyć się zatem musi przez dwa kolory: fioletowemu musi odpowiadać żółty, a czerwonemu zielony, i przeciwnie; a to są barwy, które się z danych nie podają, gdyż nie ma ani zielonawej czerwieni, ani fioletowej żółtości.

Disharmonia leży więc szczególnie w tym, że obok złożonej farby stoi zaraz ta, która z niej przez złożenie powstaje. Nie ma połączenia przeciwieństw do pięknej jedności, raczej jest kojarznia charakterów, mało od siebie różnych. Póki jeszcze przeciwieństwo leży przynajmniej w jasności i ciemności barw, np. gdy zestawimy czerwone z fioletowem, albo żółte z zielonem, póty połączenie ich jest znośne; niemiłe całkiem robi wrażenie, gdy albo obie barwy są jasne, albo obie ciemne, np. niebieskie i fioletowe, pomarańczowe i żółte. Goethe nazywa dla tego zestawienia tego rodzaju sprosnymi; żółte z zielonem zowie sprosnością wesołą, zaś niebieskie i zielone sprosnością odrażającą.

Natura używa często podobnych zestawień kolorów w barwach tak roślin, jak zwierząt. Posiada przecież najrozmaitsze sposoby i środki ku złagodzeniu ich disharmonii, i spięknieniu całego ubarwienia. Nietylko nadaje stosowny ton

przez większą, lub mniejszą napiętość światła; nietylko je stosownie szateruje, tak że barwy częścią się mienia, częścią w inne kolory wpadają; — ale sam ukształt zewnętrzny ciała, i różny odstęp pojedynczych jego powierzchni i części, wiele się do tego przyłożyć może, że disharmonijne ubarwienie spięknije.

Jeżeli samo już zestawienie, np. niebieskiej i zielonej barwy, rozstraja harmonią kolorów, to rozstrojenie będzie jeszcze większe, jeżeli zieleń będzie jasną, wodnistą, a niebieskość ciemną, granatową. Natura więc w takim przypadku naciemnia barwę zieloną, zamieniając ją np. w oliwkową, przez co disharmonia już się o wiele zmniejsza. Na wielką skalę postrzegamy takie zestawienie barw w ciemnym błękitnie nieba i oliwkowatym kolorze morza. W ogóle natura wegetacją stref ziemskich maluje w harmonii do barwy nieba. Ciemnobłękitne, prawie granatowe są niebiosa pod zwrotnikami, to też jaskrawe są tych okolic barwy, a zieleń traw i liści ściemniona. Przeciwnie, pod ołowianym i bladoniebieskim niebem północy, szarzeją barwy, i zieleń staje się bledsza, jaśniejsza. Postrzegamy dalej, szczególnie u roślin, niebieskie kwiatki obok zielonych listków. Wszakże kształt kwiatu, w stosunku do liści, zwykle bywa taki, że zielone jego obłonki spodem się chowają, a sam kielich kwiecisty, czy to liczbą, czy to wielkością, tak wydatny, że oko kwiatu i liści nie widzi w połączeniu, ale w rozosobnieniu. Na ten sam sposób lazur nieba zawieszony nad zielonym łańcem, w takiej jest od niego odległości, że wzrok obydwóch barw z sobą nie kojarzy, ale piękno każdój z osobna uważa.

Nareszcie natura ku zniesieniu disharmonii barw istotnych (to jest barw widma słonecznego) używa jeszcze barw posiłkowych, to jest: białej, czarnej i szarzej, którymi tamte przeplata i ich wdzięki z osobna podnosi. Białe listki korony kwiatu robią zwykle przedział pomiędzy żółtą barwą jego środka, a całym zielonym strojem rośliny. Czarne pręgi są ozdobą sierci płowej lub żółtej, tak jak białe podgarlice i podpiersia, u ptaków i czworonożnych zwierząt, czynią piękny rozdział pomiędzy dwiema stronami ciemnej barwy

całego tułowiu. W ogóle kolor biały podnosi urok barw ubogich w światło, kiedy kolor czarny najwięcej przystaje do farb jasnych. Szary kolor nie tyle barwom odbiera światła, co dwa poprzednie, bo białość je słabi, a czarność zaciemnia. Z tego powodu łagodniejszym bywa jego zestawienie z kolorowymi barwami, których disharmonią tym sposobem zmniejsza, że przez złudzenie optyczne w barwy dopełniające przechodzi. I tak szary kolor zielenieje obok czerwonej farby, czerwienieje przy zielonej, żółcieje przy fioletowej, w pomarańczowy kolor przechodzi przy niebieskiej. Najwięcej podoba się zestawienie szarego i czerwonego koloru. Czerwony barwnik dziobu i nóg, u ptaków błotnych i wodnych, pięknie się odbija od szarego koloru ich pierza, równie jak czerwone nagłówki, albo także podgardziele u samców szarego ptactwa. U owadów chrząszczowych, u motyli nocnych, natrafiamy także na takie zestawienie szarego z czerwonym.

Harmonia farb staje się o wiele trudniejszą, jeżeli ich więcej ze sobą zestawiamy. Taka tu zachodzi rozliczność samych kombinacji farb elementarnych, do których i barwy posiłkowe policzyć trzeba; taka różnaitość światła i cieni, jasności i ociemnienia, szaterunku i tonu, za pomocą których natura wielokolorowe ubarwienia swoje upięknia; — że tu już estetyka w systematyczne tych zestawień uporządkowanie wdawać się nie może, i tylko na ogólnych postrzeżeniach przestać musi.

W ogóle, co się o farbach w parzystym ich połączeniu powiedziało, da się i do wieloistego ich połączenia zastosować, gdyż estetyczne wrażenie każdej farby z osobna, i każdych dwóch w połączeniu, pozostaje to samo. Samo się z siebie rozumie, że im liczniejsze zestawienie farb różnych, tym mniej potrafi się w nich uwydatnić harmonia, i disharmonia nie może być tak uderzającą, jak w połączeniu nie stosownym dwóch tylko barw ze sobą; albowiem oko, przechodząc z jednej barwy do drugiej, znajdzie zawsze, że albo przez następny kolor harmonia pierwszych dwóch się osłabiła, albo ich disharmonia złagodziła. Tak np. jedne fiołki mają tylko ciemnofioletowy i bżowy kolor, co nie daje pięknego nastroju barw; w iunych przystępuje jeszcze pomarań-

czowy i żółty kolor, i od razu owa disharmonia znika przez samo przeciwieństwo jasnych i ciemnych barw.

Drugie postrzeżenie estetyczne także się samo przez się podaje, że gdzie jest wiele barw, tam uczucie piękna wymaga, aby w ich napiętości, czy to światła, czy cieni, czy samego koloru, pewna zachodziła modulacja, to jest: żeby nie wszystkie były w równym stopniu silne, lub słabe, lecz żeby jedne z nich występowały naprzód, a drugie mniej były wydatne. Jeżeli ma być wrażenie wesołe, wymagamy więcej wydatności farb jasnych, a jak najmniej barw ciemnych; jeżeli ma być osmucone, posępne, barwy ciemne występować powinny naprzód, a jak najmniej miejsca zajmować barwy jasne. Blondynce najpiękniej w niebieskim kolorze, bo się pleć biała i jasno żółte włosy najlepiej na tle ciemnym oddają; najmniej zaś do twarzy będzie jej kolor żółty. Dla tego i brzoza białokora i jasnowłosa tak pięknie wygląda z pośród czerni świerków i nad błękitem wody.

d) Kolory cieni.

Mówiliśmy już o cieniu w ogólności, jako o ciemności, która się wydziela z ciała ciemnego, z jednej strony oświetlonego. W estetycznej teorii o barwach przedstawia nam się cień w podobnej indywidualności, co ciało, bo w ubarwieniu swoim. Przez barwę nabiera cień wyrazu, acz to będzie tylko wyraz cieniasty, tak się mający do jasnego wyrazu ubarwionego ciała, jak się ma cień do ciała.

- Cienia nie należy brać jako płaszczyznę. Jest on ciałem przestrzennym, rozciągającym się pomiędzy tą płaszczyzną ciemną, która na ziemię pada, a nieoświetloną częścią powierzchni ciała ciemnego. Ta jego przestrzenność jest jednak przenikliwa, bezmateryalna i oporu niestawiająca; jest przedmiotem wzroku, nie dotykania; — czyli jest natury światła i innych nieważków. Nie jest to próżne miejsce ociemnione, ale jest coś, co różnym zmianom kształtu i koloru podpada, jak to już uważaliśmy w cieniach, półcieniach i całocieniach.

Jako niematerialny promień białego światła zdolny był rozłożyć się na siedmiokolorowe widmo słoneczne, tak i cień, pomimo bezmaterialności swojej, tym bardziej zdolnym być może do przyjęcia na siebie barw, że jest przestrzenną, wydzieloną ciemnością ciała, na którą promienie światła padają, i dla tego pewne zmiany i procesy świetelne sprawić w niej mogą. Bo że każdy cień jest światłem oświetlony, już ztąd się pokazuje, że w nim z największą dokładnością przedmioty rozpoznawamy.

Cień przedstawia się najprzód w naturalnym kolorze swoim, to jest, w czarnym, który jest kolorem ciemności, to jest negacyi światła. Ale że wydzielona ciemność z ciała, po jednej stronie oświetlonego, sama jest przez jasność światła rozświetlona, nie może być mowy o negacyi światła, ani o zupełnej ciemności, a ztąd i kolor cienia nie będzie czarny, ale tylko ciemny, jak kolor mroku. Bezpośrednio z tego podaje się: że w przestrzenności cienia nie będziemy żadnego koloru widzieli, gdyż jasność mroczna takową rozświetla; następnie że ciemny kolor jego tylko na powierzchni ciemnego ciała uwydatnić się może, gdzie promienie słońca bezpośrednio nie padają, i ciemność mroczna na ciemnym ciele zatrzymuje się, jako przeciwieństwo z okólnym światłem. Ztąd cień przedstawia się jako płaszczyzna, ale patrząc na nią przez rurkę, jeżeli nie ujrzymy przeciwieństwa ze światłem, zniknie także wrażenie omroczonej przez cień płaszczyzny.

Ciemny kolor cienia ma różne stopnie napiętości, czyli tworzy sylwety przedmiotów, więcej lub mniej czarne. Zależy to nie tylko od pory dnia i rodzaju światła, ciała ciemne oświetlającego, ale i od natury cieniów. Im większa napiętość światła, tym głębsza ciemność cieniasta. Przeto cień południowy czarniejszy od porannego, zwrotnikowy głębszy od cienia stref umiarkowanych, słoneczny ciemniejszy od ogniowego, chociaż mrok nocny go podnosi, a jasność dniowa słabi.

Ze względu na napiętość cieniów, o ile takowa z ich natury wynika, odróżniamy całocienie, półcienie i przycienie. Każdy z nich tym głębszy, im bliżej od przedmiotu pada; z jego odległością czarność słabnie i wodnieje, bo jasność

okólna więcj ją bledzi. Całocien, mający najwięcej głębi, tam się rysuje, gdzie żaden z promieni światła oświecającego nie pada; gdzie część ich cień rozświeca, powstaje półcień i przycień.

Półcień powstaje na dwojaki sposób: albo przy dwóch światłach (np. dwóch świecach), bo wtenczas całocien z jednego światła oświetlonym bywa przez promienie drugiego, i dla tego w półcień przechodzi, a całocien dopiero przez przykrycie się dwóch półcieni powstaje; — albo przy jednym świetle przez częściowe jego rozświecanie. W pierwszym przypadku, tak półcień, jak całocien, są ostro określone, i mają wszędzie równy stopień napiętości; w drugim granice półcienia nie są ostro ścięte, lecz przez różne stopnie napiętości zwolna przechodzą w całocien. Gdzie nie ma tego stopniowania, ale obok granicy całocienia tworzy się błada obwódka, jakby cień od cienia, co bywa skutkiem refleksyi światła, nazywamy to przycieniem.

Z tych optycznych postrzeżeń o cieniu w naturalnej farbie pokazuje się oraz jego malownicza wartość. Natura za pomocą niego sylwetuje na płaszczyznach wszystkie twory swoje, i najpewniej sztuka sylwetowania, to jest, wycinania profilu twarzy na czarnym papierze, z natury wzięta została; bo profil i kontury każdej osoby i rzeczy, byle blisko ściany, i światło nie było zbyt słabe, da się po cieniu na niej narysować. Krom tego gra cieni i światła przedstawia się tu, jako gra farb ciemnych, o różnym stopniu czarnego koloru. A że z ruchem przedmiotu porusza się i cień jego, i to tym chyżej, im dalej od niego pada, gra farb pomienionych nabiera oraz życia, i zachwyca nas tym ruchliwym przechodem całocieniów w półcienie i półcieniów w całocienie; tem drżeniem konturów i obrazków czarnych po jasnej poźlocie światła, tem ich znikaniem i powstawaniem. Kiedy światło blednie, to i cień blednieje, kontury jego niewyraźne, ciemność szara, a jeżeli się przytym pomyka za poruszaniem się przedmiotu cień rzucającego, ma coś z postaci, jakby nie tego świata. Słonią się i migają po ziemi, niby cienie tartaru; — i cień Banka musiał mieć w kształtach jakieś podobieństwo do téj majaczącej się postaci, bladego i znikającego cienia.

W stosunku do innych barw cień jest ich ociemnieniem. Płaszczyzna téj saméj barwy, pod rzutem cieni i światła, przedstawia dwa różne, bardzo wydatne kolorowe napiętości, a jeżeli światło zblednie i cień spłowieje, rozróżnimy jeszcze dwa inne stopnie napiętości, od poprzednich słabsze. Przyczynia się to niemało do malowniczego upięknienia przedmiotów. W ogóle cień padający na płaszczyznę różnokolorową, od białego aż do czarnego koloru, najgłębszym będzie na tle czarnym, a najbledszym na białym.

Obok napiętości powstaje zarazem gra kolorów cieni. Cień padający na płaszczyznę barwistą, nabiera sam barwy, skoro jéj światło potężniejsze od ciemności cienistéj. Ztąd na powierzchni jasno-czerwonej cień będzie ciemno-czerwony; na barwie liścia jasno-zielonego cień pokaże się ciemno-zielonym. Na ciemnych barwach cień będzie czarny, jeżeli go okoliczne światło nie zbledzi, i kolorem tła nie nafarbuje. Na ciemno-czerwonym pączku georginii, cień liścia, który go zakrywa, przedstawia się czarnym, zaś cień gałązki ciemno-czerwonym.

Cień, nafarbowany barwą tła, bywa rozmaitego rozmiaru ciemności, która ze środka płaszczyzny ku jéj obwodowi rośnie. Na tle jasnozielonym cień zielony środkiem jest jaśniejszy, a ciemnieje ku brzegom; na tle ciemno-czerwonym jest środkiem jeszcze ciemniejszy, ale zawsze jeszcze czerwono-nabarwiony, zaś ku brzegom wpada w kolor czarny. Podobnie półcienie przybierają kolory powierzchni nabarwionych i są jaśniejsze na jasnych barwach, ciemniejsze na ciemnych, ale nigdy czarne, jak całocienie.

Za pomocą szkieł kolorowych można rozwinać najpiękniejsze farby i intonacje cieni. Szkło bezkolorowe przezroczyste, rzuca cień szary, niedoskonały, nawet całocień jest tylko ciemno-szary. Cień taki nie jest piękny, zdobi go chyba gra światła i cieni, jeżeli szkło pomienione zarazem blask rzuca. Lecz jeżeli szkło jest kolorowe, to i cień będzie tegoż koloru, tylko nieco zciemnionego. Im większa była przezroczystość szkła nafarbowanego, tém mniejsze nastąpi zciemnienie, i farba cienia więcej do farby szkła przystaje.

Urozmaicenie farb cienistych powstaje tu na trojaki sposób. Gdy postawimy za szkłem kolorowym kilka światel, każde z nich rzuci cień kolorowy, ale innej napiętości: otrzymamy tym sposobem harmonią cieni jednej i téj samej barwy, przez różne stopnie jéj jasności i ciemności. Gdy weźmiemy dwa szkła kolorowe, np. czerwone i niebieskie, powstaną na białej płaszczyźnie dwa półcienie tych samych kolorów; a tam gdzie się przykrywają, ujrzymy całocień fioletowy. Gdy zamiast białej płaszczyzny, obierzemy kolorową, i rzucimy na nią cień szkła kolorowego, takowy będzie połączeniem obu barw; szkło niebieskie np. rzuca na żółtą płaszczyznę cień ciemno-zielony. Tym sposobem da się utworzyć pyszny mozaik cieni kolorowych, gdy użyjemy do tego szkieł różnokolorowych, i stawimy za nimi kilka światel.

Piękno ciał cienistych, otrzymane za pomocą sztuki, znajduje się także w naturze, nie w takim prawda umozaikowaniu, ale za to na rozleglejszą skalę. Już Goethe uważał, że cień przedmiotów jest niebieskawy, gdy światło brzasku dziennego łączy się ze światłem ziemskim np. ze światłem jarzącej świecy; i Buffon zwrócił już na to uwagę, że cień zachodzącego słońca na białej płaszczyźnie bywa zielonawy (skutek niebieskiego przezrocza i żółtych promieni światła). Z rana przedewszystkim, kiedy na wschodzie wylewają się różne barwy światła: różanne, purpurowe, złote, można zauważyć jak na trawnikach zielonych, na czerwonych wrzosach, na szarych ziemiach, rozlicznie się cienie farbują.

Jeszcze piękniejsze są doświadczenia robione z kolorowymi światłami, dla tego że barwy cieniów są wyrazistsze. Używa się do tego, albo rzeczywistych kolorowych światel, np. solan stroncyanu pali się jasnym światłem czerwonym, kwas boraxu pali się zielono; — albo lepiej użyć dioptrycznego światła, stawiając lampy za banie, napełnione kolorową cieczą, np. rozpusztem grynszpanu w occie, co daje piękny kolor zielony, lub amoniaku, co daje kolor niebieski, lub rozpusztem gutty w alkoholu, co daje kolor żółty. Pokazuje się tu jako prawidło, że cień kolorowego światła nosi zawsze kolor dopełniającej barwy widma słonecznego. I tak cień czer-

wonego światła jest zielony, zielonego czerwony; cień niebieskiego światła jest pomarańczowy, pomarańczowego niebieski; cień żółtego światła jest fioletowy, fioletowego żółty.

Ponieważ białe światło jest pierwotne i zupełne; a kolorowe pochodne i częściowe, ztąd i cień białego światła jest zupełniejszy i głębszy od cieni kolorowego światła. Ale że drugie nigdy nie jest bez pierwszego, przeto i cienie pochodne zawsze mają część cienia pierwotnego w sobie, i to ich głębię stanowi. Następnie prawidła całocieni, półcieni i przycieni muszą być te same w cieniach kolorowego światła, jak w cieniach białego światła. Uważaliśmy przy cieniu czarnym przycień, czyli obwódkę jasną. Taki sam zajdzie stosunek w cieniach kolorowych, to jest: przycień będzie znowu koloru barwistego światła. Przy cieniu zielonym, padającym od czerwonego światła, ujrzymy przycień czerwony; a przeciwnie przy czerwonym cieniu, który rzuca zielone światło, pokaże się obwódka zielona. Dalszym następstwem jest jeszcze i ta okoliczność, że jeżeli światło kolorowe się zwiększa, a białe słabnie, cień biegunowy będzie wydatnej barwy, a przycień słaby; przeciwnie, wydatność barwy przycienia rośnie kosztem wyrazistości całocienia, czyli kosztem kolorowego światła, które pod natężeniem białego słabieje.

Jak przy szklach kolorowych, tak przy światłach kolorowych, możemy urozmaicać farby cieniaste. Jeżeli na pomarańczowy cień, rzucony od niebieskiego światła, pada światło czerwone, przemienia się z pomarańczowego w cynobrowy. Jeżeli niebieskie światło pada na cień zielony, rzucony od czerwonego światła, zamienia go w modro-zielony, a pole jasne będzie fioletowe. Jeżeli na ten sam cień puścimy czerwone światło, okolica jego zczerwienieje, a on zeszarzeje; przeciwnie, pod rzutem zielonego światła nabiera żywszej zielonej barwy. Dalsze kombinacye światel zacierają kolory cieniów, a kolorują przycienie. Czerwone i zielone światło razem, tworzy cień ciemno-szary, leżący między obwódką czerwoną i zieloną.

Najżywsze nakoniec barwy cieniaste powstają z połączenia szkieł i światel kolorowych, jeżeli barwę cienia, którą daje

szkło kolorowe, podniesiemy przez takąż barwę cieniastą, którą rzuca światło kolorowe. I tak szkło niebieskie, rzuca cień niebieski; i światło pomarańczowe także rzuca cień niebieski; stawmy więc za szkło niebieskie światło pomarańczowe, a otrzymamy cień o spotęgowanej barwie niebieskiej. Na tej samej drodze możemy otrzymać pośrednie kolory cieniów; bo jeżeli za szkło niebieskie stawimy światło fioletowe, rzucające cień żółty, pozyskamy cień zielony. Na ten sposób różne kombinacje dadzą się wyprowadzić.

W naturze napotykać niekiedy na podobne malownicze cienie. Gdy zimą słońce w oranżowych barwach zachodzi, cień przedmiotów na białej płaszczyźnie śniegu będzie niebieski, jeżeli czerwono zachodzi, będzie zielony. Malarze instynktowo tworzyli kolorowe cienie, gdy je dawali pod rzutem różnokolorowego światła słonecznego, lub księżycowego. Paweł z Werony dawał na obrazach natury cienie fioletowe. Guérçon niebieskawe, a Claude Vernet księżycową okolicę oblewał światłem zielonawym, cienie zaś dawał czerwonawe.

Estetyczne znaczenie cieni kolorowych w stosunku do światła kolorowych, jest jak stosunek ciemności do jasności, a pod moralnym względem, jak złego do dobrego. Wrażenie ich odpowiada zupełnie takiemu ich znaczeniu. Jest jakaś mętność, szarość, niewyraźność w każdej barwie kolorowego cienia. Nie jest to cień niebieski ale niebieskawy, nie czerwony, ale czerwonawy. Jest jakby udawanie pysznego kolorowego światła, z pod którego przecie brudna ciemność wygląda. Nawet w podwójnych barwach, czyli w spotęgowanym kolorowym cieniu, nie ujrzymy tej przejrzystości i czystości koloru, która barwy ciała znamionuje; dopatrzemy zawsze, że coś z brudu szarego cień barwisty zamąca. Nareszcie przekonać się możemy naocznie, że cień kolorowy nie jednoczy się z kolorem przedmiotu, ani sam nie ma rzeczywistości farby, jako ją ma światło kolorowe. Popatrzmy na cień ubarwiony przez rurkę, a zniknie barwa, pozostaje tylko szarość mroczna, jak każdego innego cienia. Pokazuje się ztąd farba cieniów samym złudzeniem optycznym, samą uludą zmysłów, pożyczoną od odbitych promieni okolicznego światła. Środek wskazany (rurka) zdziera

z niego tę przybraną maskę, i ukazuje cielsko obnażone w brzydkiej szarocie. Tak więc malownicza natura, acz używa cienia, jako środka do podniesienia piękności światła, acz rzuca nań piękną barwę kolorowych światel, pozostawia mu przecież charakter negacyi w zupełności, którego nawet w przyborze farb zatrzeć nie może. Tak i dobro tego świata potrzebuje złego, aby się odeń, jako od cienia swego odbiło; opatrność pozwala nawet stroić się złemu w blask wielkości i szczęścia, które tylko cnota daje, atoli nigdy się złe charakteru przeczenia nie zbędzie, i po za tym światłem uludnym dopatrzysz mętów, brudów i cierpień.

III.

Piękno światła i barw w połączeniu.

Uważaliśmy dotąd światło w ogólności, jako jasność różnicą, będącą podstawą wszelkiego malarstwa, było to malarstwo natury w bezmiarach i w nieograniczeniu. Następnie przedstawiliśmy piękno farb rozlicznych, na które się rozpadł jasny promień światła; było to malarstwo natury ukształtowane, bo kolor jest kształtem światła bezbarwnego, jest jego indywidualnością. Pozostaje nam jeszcze malarstwo wyrazowe, które malownicza sztuka natury osiągnie przez połączenie farb i światła, nie wyłączając cienia, jako środka ku ich uwydatnieniu. Jest to pole rzeczywistego malarstwa natury. Gdzie okiem spojrzysz, widzisz jej pędzel umaczany, to w tęczy kolorach, to w promieniach rozlicznego światła, i wszystkie powierzchnie nieba, ziemi i wody, wszystkie twory nieorganiczne i organiczne, pomalowane tym pędzlem. A w każdym tworze jest rozliczność barw i blasku, ułożona do pięknej harmonii; a w każdej okolicy, łukiem naszego oka zakreślonej, rozślania się cudny obraz urozmaiconych barw i złudliwych kolorów światła. Zgoła jako byt i życie jest wszędzie, tak i sztuka malarska natury jest wszędzie. Albowiem byt i życie jest tyloliczną indywidualnością, czyli tylolicznym osobnikiem, zaś wyrazem tej indywidualności dla oka jest światło skolorowane. Jak nie można pojąć materii bez rozciągłości,

tak jój nie można pojąć bez koloru, a więc bez naturalnego umalowania. A gdy taka jest nierozłączność barwy i jestestwa, łatwy podaje się ztąd wniosek, że ukolorowanie tworu nie tylko jest ozdobą, ale i wyrazem jego właściwości. Albowiem wszystkie właściwości, stanowiąc jedność jestestwa, czyli jego byt i żywot, warunkować się muszą nawzajem, i jedna jest wyrazem i symbolem drugiej.

Jakkolwiek teorya téj zasady jest prawdziwa, to w praktycznym zastosowaniu ulega nieskończonym trudnościom, gdybyśmy z koloru wnosić chcieli o reszcie własności ciała, albo krajobrazu. W nieorganicznej, roślinnej, a nawet zwierzęcej naturze, kolory są fizyognomią ciał i skazówką ich wewnętrznych, niewidzialnych przymiotowości. Atoli, jak fizyognomika ludzi stała się niedostateczną nauką, dla nieskończonych kombinacyj wpływów fizycznych i moralnych, którymi rysy twarzy zmieniają się, i jako symbole duszy docieczonymi być nie mogą; — tak i fizyognomika reszty tworów, dla téj samój rozliczności niedocieczonych wpływów, stała się jako nauka niepodobną, i reguł pewnych stawiać nam nie może. Co się w ogóle o znaczeniu barw i światła z osobna powiedzieć dało, pod względem estetycznego ich wrażenia, powiedzieliśmy wyżej. Połączenie barw i światła nie zmienia tych postrzeżeń, ile że ciemne barwy z ciemnością, jasne barwy z jasnością światła, najściślejsze mają powinowactwo. Wszelako z tych barw jasnych lub ciemnych, nie da się stanowczy uczynić wniosków na odpowiednie wewnętrzne przymiotowości tworów. Nie raz przedstawiają nam się zwierzęta w jaskrawych kolorach, a są powolne i ociężałe; inne mają blade, szare barwy, a są żywe i wesołe. Kolor żółty bywa kolorem słodczy i goryczy; kolor biały niewinnych i szkodliwych przymiotów.

Estetyczne wrażenie nie pójdzie więc w parze z fizyologiczną prawdą; nie przestaje jednak dla tego być estetycznym; przechodzi atoli najczęściej z samego upodobania do poczucia wzniosłości, lub komiczności. Niedźwiedź biały tém groźniejszy, że się po jego łagodnym, lśniącym kolorze nikt takiój drapieżności nie spodziewał; arsenik tym straszliwszy, że wygląda jak słodki cukier lodowaty, a tak gwałtowną jest tru-

cizną. Niepozornój barwy jest słowik, a tak wysoka enota jego śpiewu; zaś pysznopióre ptastwo południowej Ameryki skrzeczy, ale nie śpiewa. Drobne zwierzątka cudnymi barwami i blaskami strojne, jak chrząszcze; kolibry, złote rybki i t. p. noszą zawsze na sobie wyraz pewnej komiczności, tak jak śmiech pusty nas bierze, gdy się drobni i bez znaczenia ludzie w pyszne kolory i świecidełka przybierają.

Taki sam zachodzi stosunek między farbą, a wrażeniem, jakie na człowieka robi. Nie ulega wątpliwości, że jedne kolory nam się więcej, a drugie mniej podobają; że wpływają na nasz umysł, że nas rozweselają, lub smucą; że jedne są uroczyste, drugie żałobne, jedne rzewne, drugie rażące. Wszakże i tu stałych prawideł stanowić nie można. Bo chociaż Goethe przytacza, że pewna dama zmieniła widocznie humor i ton konwersacji, odkąd błękitne umeblowanie swojego salonu zamieniła na karmazynowe; — to z drugiej strony widzimy, że przy jednym i tym samym kolorze, czy to sukni, czy obicia ścian mieszkania, zmieniają się i upodobania i humory ludzi.

Malarstwo natury, przez połączenie barw i światła, nadaje właściwy wyraz tworom i okolicom, który rzeczywiście jest odbiciem rozlicznego charakteru ich właściwości fizyologicznych i klimatycznych. Bliższe atoli oznaczenie takowych jest niepodobnym, i estetyczne wrażenie ogranicza się po większej części na upodobaniu, lub na odrazie, bez zdania sobie rachunku o przyczynach dodatniego, lub ujemnego piękna. Wielokroć wydaje nam się patrzącym na tę roztocz blasku, i na to bogactwo farb cudnych po niepozornych tworach i miejscach, że tu malarka natura nie miała innego celu, jak żeby się upięknąć i w tej piękności z upodobaniem i rozkoszą przegłędać. Tak i malarze niderlandzkiej szkoły, kiedy przedstawiają przedmioty zbyt drobnej wagi, które, jako takie, nie mogą być zadaniem piękna, starają się przynajmniej oczarować oczy cudnym kolorytém, pełnym blasku, żywości i szmelcu.

a) Okolice.

Skoro rzeczywiste malarstwo natury teraz się dopiero poczyną, gdy piękno światła i cieni z pięknem farb i kolorów się kojarzy; to téż teraz dopiero poczyną się rzeczywisty rozkład sztuki malarskiej w naturze, uważając ją po obszarach, po kształtach i po wyrazach. Wszakże gdy mowa była o każdej z pomienionych dwóch pięknot z osobna, nie można było pominąć dla rozjaśnienia rzeczy, ni malowniczego piękna krajobrazów, ni barwistego piękna tworów, ni charakterystycznego piękna pór dni i roku, strefy i okolic, wieku i temperamentu, i już wtedy nie jedno się w tym przedmiocie powiedziało. Niniejszy dział będzie zatem tylko dopełnieniem dwóch powyższych, tak jak piękno światła i barw w połączeniu, jest tylko dopełnieniem jednego i drugiego piękna, z osobna uważanego.

Pomiędzy światłem bezmateryalnym, będącym samą jasnością, a ciałami ciemnymi, materyalnymi, są jakby na przejściu położone ciała przezroczyste. Nie są one światłem, ale przepuszczają światło. Jako takie ze wszystkich ciał najwięcej muszą mieć jasności, a najmniej ściemnienia. Nie dosyć na tym: jasność światła nie na samej ich powierzchni rozpostarta, ale wskrós je przenikać musi. Są to więc ciała, do których światło najwięcej ma przystępu, ono je przenika, wnetrze ich rozświetla, i niejako w nie się krystalizuje.

Najwięcej przezroczystości mają gazy i płyny, a w szczególności powietrze i woda. Z pomiędzy ciał stałych, przezroczystymi są kryształy górne i niektóre rogowe materye w organizmach, n. p. łuski, skrzydełka owadów, błona przezroczcza ócz. Im zupełniejszą jest przezroczystość, tym mniej widzialne samo ciało. Wskrós przeniknione światłem wydaje się, jakby uduchowiona materya. Ztąd gazy są niewidzialne, i płynem źródłanej wody napełnione naczynie kryształowe, ma pozór, jakby było próżne.

Ze czterech dawnych żywiołów natury trzy są przezroczyste: ogień, powietrze i woda, a tylko jedna ziemia jest ciemna.

Ciemne globy planetów, słońce, księżyców, i zgęśnione materye kometów, otoczone są przezroczystą atmosferą, która albo sama jest świecąca, czego się u słońce domyślają, albo oświeconą promieniami słonecznymi. W tych wysokościach, gdzie te światy niebieskie są zawieszane, nie dozieramy piękna świetelnego onych atmosfer słonecznych i planetarnych; nocą tylko uważamy różnokolorowe światła, w postaci gwiazd maleńkich, a jednak tak jasnych i strzelistych, że się na nas z owych wysokości patrzeć zdają. Atmosfera słońca i księżyca przedstawia nam się, jako blask jasny i świecący, przez który dojrzeć niekiedy można plamy czarne. Na księżycu zdaje się na pewne, nie ma żadnej atmosfery i odsłaniają się nawet gołemu oku wyniosłości i doliny, w postaci świetlejszych lub ciemniejszych plam, po tarczy księżycowej rozrzuconych. Z ciał niebieskich księżyc jest najbliżej ziemi, bo tylko o 50,000 mil od niej odległy, i dla tego on jeden odchyła nam z téj odległości półkolną okolice swoją, w kształcie tarczy, w pitoreskowy sposób nacięniowanej i naświetlonéj; — a człowieka fantazyja rozmaitych tam dogląda figur.

Malownicze piękno atmosfery pokazuje się dopiero na ziemi naszej, bo ją zewsząd okala. Złożona z nader przezroczystych gazów, sama w stanie pogodnym i czystym jest niewidzialna; wszakże gęstość jéj jeszcze tak znaczna, że się w niéj promienie światła łamać mogą, i na wszystkie okolice ziemi rozścielają, nadając im pewien ton i koloryt. Sama głębia powietrzokręgu przedstawia się w pięknym, niebieskim kolorze, który przy potężniejszej napiętości światła w błękit przechodzi, i tworzy pozorny strop niebios, co się półkolnym sklepieniem nad widnokręgiem ziemi unosi, najpyszniejszym lazurem namalowany, a nocą świetnymi gwiazdami ponabijany. Nieskończoność przestrzeni, co się nad nami rozwiesza, przez takie optyczne złudzenie wygranicza się w skończone formy, i zakreśla jakby konturami wyraźnego sklepienia. Straszliwa czernicości i przepaścistych głębi, zasłonią przed naszymi oczyma najcudniejszym welonem z lazuru, błękitu, lub granatu. Jest to prawda kolor ubogi w światło, ale właśnie dla tego miły dla oka, które z upodobaniem od jasnych i silnych

barw ziemi się odrywa, by się skąpać w błękitnym przestworzu napowietrznych okolic, gdzie na żadnym przedmiocie spocząć nie może, ale buja bez natężenia po krainie nicości, wdzięku pełnej.

Powietrze, będąc środkiem, w którym się wszystkie widzialne przedmioty ziemi rozstawiają i rozświecają w barwach swoich, stanowi oraz perspektywę każdej okolicy. Oko nasze tylko za pomocą powietrza, przedzielającego przedmioty, wyróżnić potrafi ich względne od siebie oddalenia, czyli ich miejscowy do siebie stosunek. Światło może na nie padać zupełnie dowolnie, a zawsze będziemy w stanie oznaczyć rzeczywiste ich względem siebie położenie. Bo chociażby przedmioty, w oddali stojące, światłem były oblane, a przodem postawione w ciemni stały, zawsze głębszą będzie warstwa powietrza, które tamte od nas przedziela, i dla tego perspektywa odleglejsza. To, co ku nam najbliżej stoi, chociażby nie było oświetlone, ma z powodu niegłębokiego przedziału powietrza, kolory najżywsze, światło najczyściejsze, a ztąd kontury najwyraźniejsze. Ale i cienie najbliższych przedmiotów z tego samego powodu są najgłębsze, a im odleglejszy przedmiot, tym niewyraźniejsze jego nacięniowanie.

Tym sposobem tworzy się perspektywa malowniczej okolicy, która się przed wzrokiem człowieka rozściela. Rysunki, kształty i barwy, światła i cienie, odstępami coraz dalszymi niewyraźniają, i coraz bardziej się skupiają przedmioty, im odleglejsze, aż w głębi widnokręgu, zdają się być obrazem, na jednej płaszczyźnie odmalowanym, bo już oko ich względnego do siebie położenia, a zatym i ich bryłowej objętości nie rozróżnia. Powietrze w tej oddali wydaje się, jakby gazowa powłoka, z po za której przedmiot wprawdzie wygląda, ale ani farba, ani cień, ani światło się nie uwydatnia. Owa powłocz mglista nabiera niekiedy, mianowicie nad wieczorem i zrana, ciemnoniebieskiego koloru, i jak pyłek modry zdobi owoc śliwkowy, tak ona stroi góry i pagórki w mgłę modrą.

Jeżeli powietrze jest czyste i przezrocze, perspektywa bywa daleka, i wszystkie przedmioty wydają nam się jasne, wyraźne, a ztąd bardzo bliskie, chociaż ich oddal nieraz kilkomiłowa.

Przeciwnie, gdy atmosfera wyziewami ziemi nabrana, perspektywa się rozdała, bo pomiędzy przedmiotami rozkładają się grubsze warstwy powietrza, które w oddali w kolory szare, żółtawe i brunatnawe przechodzą. Gazy zgęszczone stają się widocznymi i w postaci ciemnej mgły zalegają okolice, w której już tylko najbliższe przedmioty oko rozpoznawa. Mgła jest jak opona, którą malownicza natura okoliczne obrazy swoje zakrywa, aby, gdy z nich opadnie, w tym świetniejszych kolorach zapłonęły.

Atoli najistotniejszą, malowniczą pięknoscią atmosfery są obłoki. Każda okolica wygraniczona ma postać salonu, którego sufit i ściany sklezione, w coraz inne, piękne draperye się zdobią, a posadzka różnofarbnym kobiercem roślin wysłana. Człowiek, król przyrodzenia, po nim się przechadza, a zwierzęta z uszanowania ustępują mu z drogi. Pod każdą strefą i o każdej porze malowniczość obłoków jest piękna, dla tego, że coraz inna i co do kształtów i co do kolorów światła które się w najrozmaitszy sposób w nich łamie i rozszczepia, i na okolicę coraz nową i świeżą intonacją kolorytu rzuca. Właśnie ta nieustanna przemiana przeciągających po niebie obłoków, które słońce tak rozlicznie rozświeca, sprawia ich piękność w naturze, a czyni trudność przedstawienia ich w sztuce malarskiej. W pejzażu malowanie obłoków jest najtrudniejsze; i nie każdemu malarzowi uda się takie im nadać rozkształtowanie i takie barwy, aby harmonii obrazu nie psuły.

Najpiękniej przedstawiają się przy pogodnym niebie drobne obłoczki, owieczkami zwane. Wysokość ich najwyższą sięga i dla tego nieznacznie się poruszają; zdaje się raczej, że nieruchomie na błękanie nieba się rozsiadły, i w drobne grzebyszki go nakarbowwały. Białe i mało ściemnione, wydają się jak gromada owiec, która na firmamentowych obszarach pasie się. Zrąbki ich srebrzyste jaśnieją jak runa, a wszystkie do malowniczej harmonii ułożone. Kiedy skwar, bywa, że po niebie jasnosiwe obłoki, środkiem nieco ściemnione, a od brzegów pozłacane słońcem, zrzadka po całym niebie rozrzucone zwolna, przeciągają. W porównaniu do

owych owieczek, rzekłbym, że to pojedyncze sztuki niebieskiego bydła, co się po firmamencie rozeszło. Tak na podolskim stepie, gdy się rozejdą białe woły, szarzeją zdala i biela się, jak te obłoki po niebie. Im ciemniejszy taki pojedynczy obłok, tém złocistszy jego rąbek, i płynie poważnie po niebieskim przestworzu, jako wysłannik chmur, co się po za horyzontem gromadzą, i w ściśnionych kolumnach z nawałnicą nadciągają.

Zachmurzone niebo pozbawione i gry światła, i rozmaitości kształtów i kontrastu z błękitem. Nie można go nazwać pięknym, ale może przybrać charakter straszliwy. Brudno-żółty kolor daje mu pojrzenie, jakby się żółcią oblało, i w zapalczywości pogroziło światu. Coś straszego leży w tym kolorze chmur nadciągających; niebawem téż wichry zaryczą, i szum w powietrzu zapowiada hałaśną wrzawę zbliżającego się gradu. Także i czarny kolor chmur gróznym jest jak zniszczenie; podnoszą to wrażenie błyskawice, grzmoty, pioruny i deszcz ulewny. Ale przepędziły wiatry burzę, błękit nieba znowu zaświecił, i słońce się ukazało, a w dali widać już tylko tylną straż nawałnicy, w ciemno-granatowym przyborze, na którym tęcz barwiste łuki swe rozpięła.

Kolorowe obłoki widzieć można przy wschodzie i zachodzie słońca. Jaśniej w ten czas wszystkimi barwami widma słonecznego. Czerwony, żółty i pomarańczowy kolor w nich płonie, gdy słońce w pobliżu. Bledną i ciemniej w jego oddali, żółtość złota przechodzi w blade-zielony, purpura w blade-fioletowy kolor, pomarańczowy w błękit zapada. O tych dnia dobach najwięcej malownicze jest niebo, a każdy nowy poranek i każdy nowy wieczór, nowe, cudnie pomalowane kulisy nam rozstawia.

Obok malowniczości podoba się w obłokach fantastyczność, którą także gra światła i cieni podnosi. Nieraz na krańcu widnokregu wznoszą się obłoki w postaci długiego pasma gór; to znowu ciągną po niebie wielkimi, porozrywanymi szmatami, które się w rozmaite, dziwaczne kształty postaciują, a dopełniająca imaginacyę upatruje tam, to krzyże na

możliach zetknięte, to potwory straszliwe, to postacie olbrzymich głów, lub figury ludzi; niekiedy całe wojska zdają się ciągnąć, i widzisz konie, chorągwie, działa i wozy; — a te wszystkie fantastyczne kształty rozwiewają się z wolna, jak mary senne, i przechodzą znowu w inne obrazy, których tam wyobraźnia człowieka dopatruje. A choćby nie było co złożyć z tych kształtów na obraz symboliczny, już samo to porozrywanie obłoków na szmaty, to ich rozstępowanie się na części i znowu zrastanie się do większych całości, a nade wszystko blask słońca lub księżyca, które jasnym światłem z pomiędzy tych szmat obłocznych wyzierają, czyni widok ich nader fantastycznym i zajmującym.

Drugim, malowniczym żywiołem natury, nadającym barwę i charakter okolicy, jest woda. O wiele gęstsza od powietrza, nie przestaje jednak być przezroczystą, dając stosowny materiał do łamania i odbijania się promieni światła, czym razem lustr i barwę rozpościera. O jednym i drugim była już mowa poprzednio. Tu tylko pomówimy o wodzie ze względu na okolicę, której jest ozdobą i najlubieźniejszym pojrzeniem. W jej lustrze okolica się przegląda, pięknotom swoim się dziwiąc, które natura tak hojnie porozwieszała na niej, nad nią i w okół niej; jej blaskiem wdzięczy się krajobraz i uśmiecha do oka ludzkiego, gdy dzień jasny i pogodny; jej mrokiem smuci się i mroczy, gdy dzień ciemny i dżdżysty zakrył niebios a świat osmutniał.

Ze względu na rozległość, a ztąd i na charakter wody, okolice są albo morskie, albo wód lądowych: po nad jeziorem rzeką lub potokiem. — Morze, jak je poeta nazywa „zjawisk pełne“ jest nieskończonością. Tam gdzie tylko niebo nad nami a pod nami wód przestrzenie, tam o okolicy mowy być nie może, bo jej nie dostaje przedmiotowości, która ją wygranicza w obraz i urozmaica. Okolica morska rozściela się więc po nad brzegami czy to wysp, czy lądów. Wybrzeża w architektoniczne skały i w bogatą roślinność strojne, stawiają nadobny kontrast między bryłą a płynem, między lądem a morzem, między skończonością a nieskończonością. Bo z tych wybrzeży malownych i kształtnych pada oko z zachwyceniem

na rozciąglą płaszczyznę wody, i gubi się po niej w nieskończoność; a na odwrót z obszarów bezprzedmiotowego morza spocznie stęśchnione na stałym wybrzeżu, i wodzi po jego barwistych kształtach z upodobaniem.

Cudna jest okolica morska, szczególnie pod rzutem wschodzącego i zachodzącego słońca. Ale i wśród dnia, gdy się promienie jego światła z przeciągającymi obłokami łąmia, szczególnie powstają intonacje. Najpyszniejsze kolorowe światło: złoto, purpura, błękit, łączą się ze świetnym blaskiem zwierciadła morskiego, i dziwny urok po przestrzeniach morza rozlewają. Słońce, czy to gdy wschodzi, czy gdy zachodzi, kąpać się w nim zdaje, i szerokimi strugami płynie z tąd kąpieli śliczne kolorowe światło. Dodajmy do tego rozliczne wdzięki malownego ubarwienia i pięknej struktury skał wybrzeżnych, z ich naturalnym, lub kunsztownym ornamentem — a będziemy mieli niejaki wyobrażenie tych cudów malowniczej natury, które okolica morska odsłania. A każda jest w innym guście, a każda cudowniejsza. Iluż to uwielbień była już celem okolica morska Genui, lagun Weneckich, Neapolu, Carogrodu i tylu innych miejsc nadbrzeżnych! Ktoś o nich powiedział w najwyższym zachwycie ich piękna: że obaczywszy je, umrzeć można z zadowolenia, bo nic już piękniejszego nie zobaczy się na świecie.

Jeziro jest miniaturą morza, ztąd i okolica jeziorna tylko jest zdrobieniem okolicy morskiej. Zostają do siebie w stosunku, jak np. Szwajcarya saska do Szwajcaryi alpejskiej. Ginie niezmiernoność, a z nią wzniosłość; zostają przecież powaby i piękno. Niewymownie piękny jest gładki lustr spokojnego jeziora, w którym się błękit nieba i okoliczne skały i wzgórza odbijają. Taka tam spokojność i cisza, taka słodycz spojrzenia, że się tym odzwierciedlonym obrazom dosyć natrzeć nie możesz, bo ci się zda, że je natura na jedno wielkie płótno przeniosła i spodem wody rozstawiła.

Piękno okolicy nad jeziorem zależy od jego położenia, rozciągłości i otoczenia, w czym niesłychana jest różnaitość. Jeziora są na wysokich górach, jak „Modre oko“ w Tatrach i po nizinach, jak nasze Gopło. — Ale wszędzie, czy to

o dziennój, czy o nocnej dobie, lustr jego jasny, srebrzysty, poświecła zdaleka, jakby połysk ducha téj okolicy. Inna jest piękność jeziora Albańskiego, które leży wśród gór w głębokim kociołku, i nosi charakter dzikiej okolicy, a inna jeziora Bodeńskiego, czyli Kostnickiego w Szwajcaryi, które się ciemnozieloną barwą rozlewa po równinie, otoczonej małymi wzgórzami i dopiero u dalekich jej krańców widać piętrzące się Rocyjskie Alpy. Jezioro Genewskie dotąd prym trzyma pod względem piękności okolic nadbrzeżnych. Największe z jezior Szwajcarskich, ma piękny lazurowy kolor wody, które się rozlewają pomiędzy ścianami niebosiężnych skał i gór śniegiem pokrytych. Okolica jeziora Genewskiego przedstawia więcej piękno natury, zaś jeziora Kostnickiego piękno połączonej z nią cywilizacji. Widzisz tu najbujniejsze ogrody, winnice, łąki, zboża, i lasy, — co wszystko przedstawia się jak raj boży, ubłogosławiony urodzajnością. Na środku jeziora zieleni się wyspa Mainau i Lindau, zbudowane na palach, jak Wenecya szwabska. Całe zaś szkliste jezioro wydaje się, jak kosztowna perła, otoczona na okół nieprzerwanym łańcuchem siół i miast, zamków i grodów, kościołów i klasztorów, a Ren toczy w nim jasne nurty, co od zielonej ciemni jeziornój wody wdzięcznie odbijają.

Okolica rzeczna ma także osobne swoje piękności. Rzeka jest jak drzewo rozłożyste. Jej źródła podobne do korzeni, przypływy rzek i strumieni pobocznych, są jak konary, które przy ujściu z koryta jak z pnia wyrastają. Rzeka jest, jak wielka arterya ziemi, po której krew żywotna płynie, i do morza, jako do otchłani sercowej, czy płucowej ją odnosi. To téż piękno rzeki nie tyle barwą wody, ile jej nieustającym płynieniem uwydatnia się. Jako czas niepowstrzymanie ubiega i w nieskończoności tonie, tak i bieżąca woda bez przestanku płynie, i nurty swoje do morza toczy, gdzie w jego głębiach przepadają. Tak rzeka staje się w całości symbolem czasu, a w pojedynczych wałach swoich, co się od źródeł do ujścia pomykają, jest symbolem żywota.

Kolory wód rzecznych bywają różne, co częścią od gruntu i rozpuszczalnych części mineralnych, albo ziemnych

zależy, częścią od farby nieba, która się w lustrze rzeki odbija, bo woda sama jest przezroczysta. Sine są nurty Dniestru, srebrzyste fale Wisły, ciemni się Dunaj, czerni Elstera żółci Odra, czerwienią się nieraz jak krew potoki w górach, Obok koloru, pomykanie się fal bieżących, zwłaszcza jeżeli je wiatr rozkołysze, rzuca piękną grę cieni i światła, łączącą się z blaskiem wody. Tak promienie słońca jak księżycy drżą w bieżącej wodzie i srebrzą się od nich zrabki fal nieco podniesionych. Ścieśnione w korycie swoim pienią się nurty, i pianę białą wyrzucają na brzegi.

Istotna malowniczość okolicy rzecznej roztacza się po wzgórzach, co się z obu stron rzeki, w niezbyt wielkim odaleniu, dwoma pasmami rozpołożyły i w krętych kierunkach zwarły jój koryto. Gdzie piaszczyste i płaskie są brzegi, tam więcej jednostajności, większa przejrzystość, a mniejsza obrazowość. Lecz gdzie nagie skał ściany, górą drzewami porośłe, albo wzgórze bujną wegetacją pokryte, stanowią kulisy płynącej rzeki, roztwierające się zakrętami koryta, w coraz nowy salon natury, — tam czarowne bywają widoki i więżą oko ludzkie niewymowną pięknnością. To téż po nad rzeki staczają się mieszkania, kultura i dzieje narodów, nie tylko że są komunikacyami handlu, ale i dla pięknności ich okolic. Co za cudne są okolice Renu, o których Karol Simrock grubą książkę napisał *, albo okolica Mozeli, Loary. W starożytności głośną była z pięknności dolina Tempe, którą Peneusz przerzynał, a w nowszych czasach wieszcz narodowy uwiecznił pięknności Niemeńskich okolic w Kowieńskiej dolinie.

Gdy rzeka przybiera rozległe rozmiary szerokości, mianowicie przy ujściu, tak że kulisy brzegów zbyt odległe są od siebie, nabiera wtenczas charakteru wzniosłości, bo już stanowi jakby przedsionek morza niezmierzonego, a traci na uroku malowniczym. Taka jest cecha wielkich rzek amerykańskich w południowej Ameryce: Orinoko, Amazonki, Rio de la Plata,

* Das malerische und romantische Deutschland in zehn Sectionen. Sechste Section: die Rheinländer, von Carl Simrock, stronica 488.

w północnej: Missouri, Mississipi i Ś. Wawrzyńca. Dzika, bujna wegetacja rozściela się po nad ich brzegami, lasy niebosiężne, trawy i trzciny wysokie tworzą ich otoczenie. Murem nieprzebytym pnie się z obu brzegów w górę gąszcz różnobarwnej zieleni, przez który zaledwie zwierz się przemyka, by ugasić pragnienie. Raz po raz z wody wyziera głaz olbrzymi, a na nim krokodyl długie cielsko wyciągnął i grzeje się na słońcu. Indziej piętrzą się na skałach drzewa i sprawiają widok napowietrznych lasów. Wyspy gęsto zarosłe i skaliste rozkładają się po szerokim korycie rzeki. Wszystko to malowne i piękne, ale nie da się objąć naraz okiem. Gdy podziwiasz wzniosłość jednego brzegu, drugiego wzrokiem nie sięgniesz, a po szerokim wód rozlewie już uczuwasz zasmak wzniosłych pięknot rozległego oceanu.

Potok jest ozdobą górzystej okolicy. Rwisty i chyży, nieraz przez nagłe stopnienie śniegów w górach, nabrzmiewający w gwałtowną i straszliwą powódź, podoba się więcej z tój rzutkości i z tego szelestu, z którym się toczy, skacząc ze skały na skałę po wyrwistych i potoczystych wąwozach. Jedynie gra farb i cieni, *czasami tój barwa, będąca skutkiem rozpuszczonej rudawizny, robi go malowniczym. Najwięcej uroku przydaje mu sama okolica skalista, już naga, już drzewami ozieniona.

Pomijamy trzeci przezroczysty żywioł natury, to jest ogień, dla tego, że podobnie jak światło słoneczne, stanowi tylko zmienne, a jako pożar tylko wyjątkowe piękno okolicy, przez różne jój oświecenie, o czym na swoim miejscu już była mowa; a przechodzimy do okolic lądowych, w których ziemia, jako ostatni żywioł natury, główną odgrywa rolę, i odróżniamy między nimi okolicę górzystą, nizistą i leśną.

Najmniej ma powabu okolica wśród lasów, choć sam las mroczny i gęsty bywa romantyczny i uroczy. Miło tu wytechnąć wśród chłodu i cieni, gdy na otwartym polu skwar słońca dopieka. Lubą oku ta zieleń różnoświatła, co się na wsze strony nad nami i pod nami rozściela, i powabny ten baldachim z gałęzi rozwieszonych, przez które słońce złotym światłem kapie. Miło przechadzać się po lesie, połykać tój woń

żywiczną, oddychać świeżością leśnego powietrza, i słuchać szmeru liści i gwaru śpiewaków skrzydlatych. Knieje, gestwiny i jary, najulubieńsze są miejsca dla łowców. Atoli sama okolica wśród lasu, albo na jego zrębie, ma coś posepnego i jednostajnego, jeżeli jój krom drzewa i traw nic więcej nie urozmaica, i jeżeli prócz odcieni barwy zielonej żadnego innego koloru nie widzisz. Choć się i kultura z naturą połączy, nie potrafi znieść melancholii leśnej. Włość wśród lasu jest smętna, a jój role zbożami pokryte, jakby nie na swoim były miejscu. Bo duch ludzki i kultura, będąca jój wyrazem, potrzebuje światła i widoku w nieskończoność przestrzeni; a tu wśród boru, co ją zewsząd osacza, widzi się jakby uwięzioną. Las z natury przeznaczony na mieszkanie zwierza i dziczyzny, i dla tego mieszkaniem i okolicą siedzib ludzi oświeconych być nie może. Jest to dziki ogród natury, w którym się rad dziki człowiek kryje, ale który oświata siekierą prześwieśla, i w otwarte pola zamienia.

Okolice na rozległych płaszczyznach rozpołożona, aby była piękną, musi być urozmaicona łąkami, zbóżami i łąkami, ogrodami i gajami, zaroślami i wodami, a pomiędzy tymi różnobarwnymi pasami i płatami bielić się powinny mieszkania ludzi, gniazdami przysiadac wsie i miasteczka. Okolica bez téj rozmaitości i bez tych malowniczych śladów kultury ludzkiej, byłaby jako step pusty, albo jako puszcza osamotniona, drzewami i zaroślami dziko porośla. Charakterem pięknej okolicy nizistój jest więc kultura rolnicza: pola rozległe, jedne czerniące się uprawą, drugie zieleniejące oziminą, inne o innój porze roku złoćące się dojrzałą pszenicą, lub srebrzące się żytem, przedstawiają malowniczy obraz szeroko rozpostarty, tu i owdzie jeszcze strojny kwiecistymi łąkami, i błękitnym okiem bieżącym, lub stojącym wody.

Trzeba zwiedzić niżoziemie belgijskich prowincyj, albo czarnoziemie Żuław i Kujaw polskich, aby pojąć piękno niżystój okolicy, w której człowiek dał pracę swoją i przemyśl, a natura dała malownicze bogactwa i przybory swoje. Ziemia, jak daleka i szeroka, pokrajana na skiby, uprawiona w zagony, w składy i łąny, ponasiewana różnym zbożem,

różnymi trawami i pastwą, w najrozlicniejszych okazuje się barwach, różnoległymi pasami ułożonych. Tam żółcą się nieprzejrzane szmaty rzepiu; indziej zabieliła się szeroka płachta hreczki, wykłoszone zboża bałwanią się pod dmuchem wiatru, jak rozległe morza zielone. Na zielonych grochach i wykach przysiadły kwiecie, jakby roje drobnych motyli, tam białego, tu fioletowego koloru. Owdzie potrząsa kiściami rzęsy owies, żółci się dojrzewający jęczmień, czerwieni koniczyzna, a obszerne kartoflane pola, gdy stoją w kwieciu, wydają się jak obszerny ogród harlemskich hyacynców. Dodajmy do tego obszerne gromady owiec białych i czerwonego bydła, paszących się po pastwiskach i łąkach; ludzi zajętych uprawą ziemi, lub sprzętem siana i zboża, dodajmy schludne i porządne zabudowania, umajone ogrodami, drogi wysadzone drzewami, a będziemy mieli obraz piękna okolicy po płaskich gruntach.

O ile okolica lesista była posępna i smutna, o tyle ta jest wesola i radosna. Oko swobodnie buja po tych nizinach, niezamkniętych ani lasami, ani górami; a ma tysiące różnych przedmiotów, na których mile spocząć może. Wszędzie widzi kulturę i pracę człowieka, ale widzi oraz błogosławieństwo nieba, które się hojnie na nią zlewa. Widzi wszędzie naturę uszlachetnioną i dla tego piękniejszą. Widzi bujność i obfitość plonu, połączoną z bogactwem i wdziękami malowniczej sztuki natury. Bo tak się iści, że im większe urodzaje, tym pyszniejsza zieleń i śliczniejszy koloryt kwiecie, a cała postawa rośliny wspanialsza. Tymczasem gdzie biedne i nędzne zboża i łąki, tam zieleń żółknie, kwiecie szarzeje, cała roślina nikiemniej, jakby się przy niedbalstwie ludzkim i natura w malowniczych przyborach zaniedbała.

Okolice górzyste mają najwięcej romantyczności; uderzają razem cudnym kolorytem i piękną architektoniką ziemi. Gdzie spojrzysz, pełno uroku, wzniosłości, zachwytu. Natura tu odsłania wspaniałe grody swoje, z całym przyborem ornamentu, i rozściela u ich podnóża różnotkane kobierce, którymi się doliny zdobią. Każda inna okolica górzysta ma inne wdzięki, które jój właściwy charakter nadają. Zależy to czę-

ścią od wyniosłości gór, częścią od ich kształtu i przyrodzenia. Śmiejące i nadobne są okolice Czech, o niskich górach, w kopuły skraglonych i porośłych drzewem, z których tylko tu i owdzie obnaża się skała, i skamieniałe ciało swoje pokazuje, a barwy dolin pomiędzy tymi kopułami, poprzerzynane rzeczkami, mile się oku uśmiechają. Urok włoskiej krainy najwięcej polega na tym przeplataniu się skał nagich, i bujnej wegetacyi, co je nieraz górą uwieńcza, a środkiem przepasuje; a i z samego spodu wśród winnic i ogrodów, wyzierają nagie popiersia skał, nadając pitoreskowy charakter okolicy. Gdzie góry są wysokie i po za linią śnieżną przechodzą, gdzie wysoko piętrzą się szczyty turm i iglic, kryjąc wierzchołki w obłokach, a u spodu szerokie rozkładając ogromy cielsk swoich, tam wrażenie okolicy, najczęściej na wąską dolinę ograniczonej, niknie pod wrażeniem tych olbrzymich grodów natury, które w takim pobliżu całą naszą uwagę zajmują. Tam nie ma okolic górzystych, tylko są góry. Okolica zaczyna się dopiero na ich stoku rozścielać. Mija ją oko, porwane ogromem gór samych. Po malowniczych wzgórzach płynie wzrokiem coraz dalej i coraz wyżej, aż białe kontury śnieżnego grzbietu, porozpinnanego spiczastymi werchami, widnokręgu mu nie zamkną. Taki widok przedstawiają Alpy od strony Konstancyi, taki przedstawia Kaukaz od strony Kubanu. Są to widoki wzniosłe, malownicze, zachwycające wielkością natury.

Dla charakteru wzniosłości, która górzyste strony naznacza, obyłoby się w nich bez ornamentu, jaki okolicom ludzka kultura nadaje, a która w niżoziemiach i w lasach główną stanowiła podwal piękna. I na prawdę, mieszkania ludzkie, uczezione na wyniosłych górach, wydają się, jak gniazda jaskółcze, przylepione do gzymsów naszych architektonicznych gmachów. Wszelako chociażby małe ślady pracy i przemysłu człowieka, są zawsze znamieniem jego ducha, i rozweselają estetyczne wrażenie natury. Jako podróżny cieszy się, gdy wśród opuszczonych puszczy i lasów ujrzy naraz ślad ludzi, choćby tylko ślady stopy ludzkiej na piasku wyciśnione; tak i wśród wielkości natury, jaka nas w górach obejmuje, mile

oko spocznie na strzechach pasterzy, na gromadach pasących się kóz i bydła, na barwistych kawałkach ról, łąk i ogrodów, które człowiek zdobył na skałach i na ich spadku, jakby płatkami porozwieszał.

Jadąc z Heidelberga do Darmstadu, nie gościńcem zwirowym, ale dawną drogą, która grzbietem gór prowadzi, uczuwamy najsilniejsze wrażenie takiego ożenku piękna oświaty z pięknem górzystej okolicy. Niemcy nazywają te strony rajem swojej ojczyzny. Jest to kraj pomiędzy Renem, Menem i Nekarem. Na całej przestrzeni najrozmaitsza przedstawia się zmiana okolic i najcudniejsze bogactwo barw, kształtów i widoków. Ciągną się kręte pasma gór, dziwnie ugrupowanych, co chwila roztwierają się na obie strony urocze poprzeczne doliny i rozpadliny, jakby wabiły do siebie; z ciemnej zieleni lasów wyzierają malowne miasteczka i wioski, a wieżycy ich kościołów wyglądają, jak zabawki dziecięce, obok tych wyżyn i werchów. Raz po raz na wysokości skale zabiela się mury wyniosłego zamku, albo zaczernia się ruiny starego zamczyska, a spodem na spadzistych wzgórzach zielenią się bujne winnice. Zdala wyjawiają się modre kontury Odenwaldu, który się mianowicie w okolicy Unterlaudenbach, na granicy heskiej, pięknym półkolem roztoczył. Najwyższym i razem najwznioślejszym punktem na całej tej drodze werchowej (*Bergstrasse*), jest góra Moelibeus z wieżą, na jego szczycie wystawioną. Tu ztąd oko daleko sięga. Jako przed królem swoim posłaniały głowy wszystkie szczyty rozległego Odenwaldu, i urodziwa dolina Renu stoczyła się pod jego stopy, odsłoniła mu na pokaz najpiękniejsze wdzięki, srebrząc się długą wstęgą, wśród barwistego kobierca swych wzgórzystych brzegów.

Otóż cuda malarskiej natury. W górzystych okolicach porozwieszane jęj arcydzieła obrazowe. Nic innego nie dorówna ich wdziękowi i ich wzniosłości. Kto je pierwszy raz widzi, stawa zachwycony, bo widzi raj ziemski przed sobą, i korzy się przed potęgą piękna, które go takim nieprzejrzanym bogactwem malowniczych przyborów ogarnia. Kto nie widział morza i gór, ten nie widział urodziwego oblicza natury, ten

się tylko patrzył na krańce jój szatnej obsłony. A iluż to ludzi biednych żyje po fabrykach miast wielkich, co nawet zielonej natury nie widzieli, i całe życie w murach, jak w więzieniu przepędzili! Jest to jedna z ciemnych stron cywilizacji, że człowieka murami od piękna natury wydzieliła.

b) Malowniczość tworów.

Przezroczyść tak się ma do nieprzezroczyści, jak duchowość do materjalności. Najwięcej sił i potęg natury spoczywa w przezroczystych żywiolach i w gazach, wodach i ogniach. Żywioly były nieograniczone i nieorganiczne, bo granice poczynają się dopiero z kształtami, a organa z indywidualnością. Materya więc ukształtowana i uorganizowana musi być ciemną, nieprzezroczystą, a wyrazem jój indywidualności musi być farba. Ztąd malowniczość tworów natury jest wyrazowym pięknem jój sztuki malarskiej. Ponieważ indywidualności, czyli właściwości ciał są nieskończone, przeto nieskończenie różnie nacięnowane będą, być musiały¹ farby jestestw, tak organicznych jak i nieorganicznych, i nie będzie takiego ciała, któregoby powierzchnia nosiła farbę w zupełnej czystości pojedynczego koloru.

Indywidualność wszelaka staje się dla oka piękną przez farbę. A lubo rzadko piękność tego rodzaju przedstawia się nam w jedności i formy, dla tego, że malownicza fizyognomia tworów jest nam nieznaną, to jednak domyślamy się téj jedności, — i uczuwamy malownicze piękno każdego jestestwa w szczególności, w różnym stopniu estetycznego wrażenia. Nie ulega wątpliwości, żeby to wrażenie było zupełniejsze, gdyby nietylko barwa, jako forma, ale i indywidualność, jako treść téj formy, do wiedzy naszej się odnosiła. Tak i obraz olejny na płótnie może się podobać z saméj formy, to jest z samego przedstawienia, ale o wiele więcej sprawi wrażenia, gdy będziemy oraz widzieli, co przedstawia, czyli w jaki sposób przez farbę uwydatniły się myśli, uczucia i czyny, zgoła cała

indywidualność duchowa, tak jak z wypełnionego żywota, w pewnej chwili czasu, prześwieca.

a) *W królestwie rzeczy kopalnych.*

Najmniej indywidualności będzie w najniższych i nieorganicznych tworach natury. Dla tego też w królestwie rzeczy kopalnych natrafiamy jeszcze dość gęsto na przezroczyste i półprzezroczyste minerały. Przykład najwyraźniejszego przejścia od zupełnie przezroczystego żywiołu, do przezroczystszej, ale jednak widomego ciała, stawia nam dyament, który jest skryształizowanym gazem węglowym.

Że światło w swych odmianach jest głównym wyrazem indywidualności minerałów, pokazują widocznie optyczne ich własności. Łamanie się światła, tak pojedyncze, jak podwójne, w każdym mineralu jest inne. Doświadczenie nadto przekonało, że wszystkie ciała krystaliczne, z wyjątkiem układu sześciennego, podwójnie łamią światło; gdy tymczasem niekrystaliczne i kryształy sześcienne tylko je pojedynczo łamią. Tym sposobem szkło wyróżnia się od kryształu górnego, acz mu jest podobne, bo tam zachodzi pojedyncze, tu podwójne łamanie światła. Granat podobny hiacyntowi, ale granat z sześciennego układu łamie światło pojedynczo, a hiacynt podwójnie, będący z układu graniastosłupowego. — Podobnie kąt polaryzacji światła jest w każdym mineralu inny, a wedle Brewstera, styczna kąta polaryzacji jest zawsze równa wstawie kąta załamania światła.

Znamieniem téjże indywidualności pokazuje się farba rzeczy kopalnych. Im więcej jest szklistości, przezroczystości w mineralu, tym gładsze będą powierzchnie, tym blask ich silniejszy, tym więcej urocze barwy. Albowiem ciała takie bardziej zbliżone do natury światła, które w nich dla tego wszystkie wdzięki swoje rozpościera; a mniej w nich indywidualności, bo mniej materyalnego i pożytkowego zasobu i wyrobu. Na czele minerałów, pod względem malowniczego ich piękna, stoją kryształy i kamienie, te mianowicie, które dla ich rzadko-

ści i piękności drogimi kamieniami nazwano. Blask, farba i większa lub mniejsza przezroczystość, stanowią w połączeniu ich czarowną urodę. Blask z nich bije nieraz żarem płomieni; ale to płomienie jakby niebiańskiego ognia, który Prometeusz z nieba wykradł i ludzi nim unieśmiertelnił. Zdawałoby się, że śliczne barwy kolorowego światła skryształizowały się w kawałce kamieni, i płoną w nich śliczną roztoczą blasku i kolorów. Są to światła cudowne, jakby zaklęte i strącone z nieba na ziemię. Ztąd przypisywano im dawniej cudowne siły, i w nadprzyrodzonej magii ważną odgrywały rolę. Dziś jeszcze bursztyn i korale uważają jako antidota chorób. Światło jest dopiero spojrzeniem nieskończonego ducha; ale że w drogich kamieniach stało się niejako ciałem, człowiek tam upatrywał duchowe potęgi. Rzeczywiście, jak z budowy kryształów, tak z tego kolorowego blasku, z tego gładkiego półprzezroczystego oblicza dyamentu, opalu, topazu itd. przebija jakaś tajemniczość, jakby połysk ducha, albo światło utajonego żywota. Jest coś wyższego, co z tej czarującej gry łamiących i odbijających się promieni światła wyziera, i co onym kamieniom nie urojona, ale rzeczywistą wartość nadaje.

Na drugim miejscu malowniczego piękna stoją kruszce. Przezroczystość już znikła, ale jeszcze blask uświetnia barwę i do wyższego ją znaczenia podnosi. Błyszczący kolor metalu wydaje się, jak roztop kolorowego światła. Taki łysk topliwego jego powierzchni i cząstek wewnętrznych, taka spoistość masy, i taka jednolitość w niej koloru! Płyn żywego srebra prawie taki roztop świetelny przedstawia. Mówimy tu o kolorach rodzimego czyli samorodnego kruszczu, a nie o rudach kruszczowych, które bywają pomieszane z ziemią i innymi minerałami. Piękny jest żółty kolor złota, który je, co do piękności, nad wszystkie inne metale stawia. Wiele jest żółtych kolorów w naturze; ale żaden niedorównywa piękności koloru złota, z cudnym jego połyskiem. Trzy są szlachetne żółtości w naturze: złota winna i lwa. Ale złoto jest jak kryształ z roztopionych promieni słońca.

Srebro wydaje się, jak roztop skrzepły księżycowego świa-

tła; taka jest białość zimna, nadobna. Nawet jaskrawy blask w odłamie tego metalu, ma połysk gwieździsty, niby światła nocnego. Siny jest ołów, a platyna sino-biała, trzymająca środek pomiędzy kolorem srebra, a kolorem ołowiu, który w naturze tylko w połączeniu zachodzi. Jak kra ziemskich czerwonych płomieni czerwieni się miedź, dopóki na powierzchni nie znieokwasyje, i dopełniającym, zielonym kolorem grynspanu się nie okryje. Inne kruszce, albo pod względem koloru nie zasługują na uwagę, albo nie zachodzą się w stanie rodzimym, czyli niepołączonym.

Na najniższym stopniu kolorowego piękna mieścimy rudy i węgle kopalne. Farby bywają po największej części ciemne, szare, brudne, brunatne, rzadko piękno-kolorowe. Połysk znajduje się jeszcze w minerałach palnych, u ziem kruszczowych prawie całkiem znika. Półprzezroczystość zatrzymały same tylko ciała żywiczne, między którymi bursztyn od dawna słynął i używany był do ozdób. Bywa żółtawy, czerwony i brunatny. W okolicach Neapolu znajdują bursztyn niebieskiego koloru. Najwięcej poszukiwany z piękności jest bursztyn przezroczysty, z obłóczkowatym pasmem, które go wskroś przechodzi, i wydaje się jak obłoczek, zawieszony wśród żółtej pogody bursztynowego nieba. Między węglami błyszczy antracyt tajemniczym czarnym blaskiem. Mniej połyskuje czarny węgiel kamienny. Kolor i blask mają coś demonicznego; bo téż to blask dobytý z pod ziemi, zwęglonej vegetacyi minionego świata; blask mumii drzew przedpotopowych; blask z grobowca naszego planety, w którym pochowane zwłoki z przedadamowych czasów przeleżały, wedle obliczeń Chevandier'a, dokonanych na pokładach węgla w Saarbrück, 672,788 lat, a wedle obliczeń w geologii Gustawa Bischoffa, przeszło milion lat.

W minerałach rozróżnić trzeba kolory właściwe i przypadkowe. Do ostatnich należą przedewszystkim zmienione kolory powierzchni ciał kopalnych, z powodu połączenia się ich z kwasorodem powietrza. Właściwy kolor minerału w jego odłamie się pokazuje. Niektóre mają nawet tak delikatną indywidualność barwy, że ich właściwy kolor pod naciskiem

rylca się zmienia. Tak np. ciemnostalisty kolor żelaziaka błyszczącego, zamienia się w tym miejscu na wiśniowy, gdzie go albo czym ostrym drasnął, albo napiliował; podobnie ciemno-czerwony kolor cynobru zaświecła pod rylcem jasnym szkarłatem.

Jeden i ten sam gatunek minerału może w różnych przedstawiać się farbach, albo przez przypadkowe zafarbowanie, w czasie, kiedy się tworzył, albo przez domieszanie się innych kolorowych ciał. Tym sposobem mamy kwarc bezkolorowy, żółty, zielony, brunatny, czarny, fioletowy. Indywidualność minerału co do gatunku zostaje ta sama, ale się zmienia co do odmian, i domyślać się trzeba, że i własności tak zmienionego głazu, niejakićj uległy zmianie.

Badając bliżej, jakimi środkami natura malarstwo swoje w królestwie rzeczy kopalnych wykonywa, przekonywamy się, że niedokwasy kruszcowe mają własność nadawania barw innym minerałom i kamieniom, ilekroć się z nimi łączą, chociażby tylko w bardzo drobnej cząstce. Ametyst np. zawdzięcza piękny fioletowo-niebieski kolor niedokwasowi manganu, który także i szkłu tę samą barwę nadaje; chryzopras nabiera od niedokwasu niklu jabłkowato-zielonego koloru; żółte farby nadaje niedokwas chromu, jak to już z technologii wiadomo. Uważając kruszce za stwargłe roztopy kolorowego światła, uważamy oraz, że kwasoród je rozczynia, zamieniając je w ziemiste różno-kolorowe barwniki, które łącząc się następnie z ziemiami, kwasami i wodą, najrozlicniejsze farby przedstawiają, jak kreda czerwona, ogry czerwone, żółte, brunatne, krwawnica żelazna i t. p. Ślicznie zielono kolorowy malachit, którego najznacniejsze masy w kopalniach uralskich Syberyi znaleziono, jest połączeniem niedokwasu miedzi, z kwasem solnym i pewną częścią wody. Te same pierwiastki, w innym stosunku pomieszane, mianowicie, jeżeli będzie mniej niedokwasu miedzi, tworzą najpyszniejsze farby błękitne. Większa, lub mniejsza ilość kwasorodu (w stosunkach niezmiennych, stochiometrycznych, połączona z kruszczem, urozmaica barwnik ztąd powstający, widzimy to w niedokwasach ołowiu, gdzie najniższy stopień połączenia kwasorodu z ołowiem, tworzy

szary proszek ołowianny; wyższy daje tak nazwaną żółtą glejtę, a najwyższy czerwoną minią.

Aby dać poznać bogactwo kolorów w królestwie mineralnym, możnaby jego twory ułożyć wedle głównych barw z ich odmianami, i pokazałoby się najrozmaitsze cieniowanie kolorów i najrozliczniejsze próby farb mieszanych. W popularnej mineralogii *Hochstettera* znajdujemy taki układ rzeczy kopalnych, podany jako środek dla odgadnienia każdego minerału z jego farby,* dokąd ciekawego czytelnika odsyłamy.

Kolory właściwe są jednostajne w całej masie ciała, i takich téż jest najwięcej. W układzie co dopiero przytoczonym znajdujemy około czterysta najcelniejszych minerałów, które wszystkie są jednostajnego koloru. Taki téż kolor tylko, który wskroś istotę kruszcu, lub kamienia przenika, może być wyrazem jego właściwości. Są przecież ciała różno nafarbowane, co przypadkowym farbnikom przypisać należy i przypadkowym okolicznościom, pod jakimi się z płynami innych ciał mieszały. Tym sposobem powstają rysunki kolorowe, które mianowicie w marmurach podziwiamy. Pod względem piękna malowniczego, wyżej stoją różnokolorowe, niżeli jednokolorowe ciała. Tu bowiem jednostajność przedstawia samo wyłączone piękno barwy, tam zaś obok barwy tworzy się rysunkowa rozmaitość, która imaginacją więcej rozbudza i nastrocza pole do upatrywania podobieństw, co naprowadza na symbolikę, a przynajmniej na fantastyczność malarską natury. Wyglądzone powierzchnie ciał różnokolorowych najwidoczniej ją przedstawiają.

Najmniej fantastyczności jest w ciałach kropkowanych i cętkowanych; więcej już widać jój w kolorach, wstęgami, lub strefami ułożonych. Mile spoczywa oko na ciałach obłoczkowatych, i z upodobaniem rozpatruje się w żyłkach różnobarwnych, które się po powierzchni jednokolorowej wiją, aliboli rysunki, na podobieństwo drzew i mchów ułożone, two-

* *Populäre Mineralogie über die Fossilien und Gebirgskunde* von M. Ch. F. Hochstetter; Prof. in Esslingen.

rzą. Fantastyczne są płomieniste i bastyonowe rysunki. Pierwsze układają się kształtem i kolorem, jakby płomieniste języki, wydobywające się ku górze; drugie dają obraz, jakby bastyonów i wałów fortecznych; ciągną jak wały linie proste, a tu owdzie wyskakują kątami ostrymi. Najwięcej fantastyczności odsłaniają ruinowe rysunki, które szczególnie pięknie malują się na marmurze florenckim. Takie tam bijące podobieństwo murów, wież i ruin zamkowych, jakby je tam kto z umysłu był pomalował.

Tak nazwane litomorfy, wystawiające jakby obrazy malowane, były z powodu téj symboliki dawniej przedmiotem badań wielu uczonych, którzy je dzielili na *urano-anthropo-zoo-phyto* i *techno-morfy*, wedle tego, czy w tych obrazach upatrywano podobieństwa do ciał niebieskich, do ludzi, zwierząt, roślin, lub wyrobów przemysłu ludzkiego. Rzączyński w swojej historii naturalnej wylicza niektóre. Tak w klasztorze Oliwskim, u ołtarza Matki Boskiej, była kolumna marmurowa z wizerunkiem głowy człowieczej. W ziemi Krakowskiej, w klasztorze Bernardynów kalwaryjskich, miał być kamień, który przedstawiał znaki męki Pańskiej i t. p. * Samo się przez się rozumie, że jak w obłokach, tak i w tych obrazach kamiennych, fantazyja dopełniająca wielkie znajduje pole popisu.

Powyższe różnokolorowe barwistości minerałów, były w rysunkach swoich przypadkowe, albowiem nie dałoby się znaleźć dwóch kawałków równo namalowanych. Atoli te kropki, cętki, wstęgi, strefy, obłoczki, żyłki i rysunki, rozciągają się także w głąb ciała kopalnego. Zupełnie zaś przypadkowymi są barwy także różnokolorowe, które skutkiem wpływu zewnętrznych żywiołów na samą powierzchnię ciał się osadzają, dalej w głąb ich nie sięgając. Nie przedstawiają one téj obrazowości, jakąśmy w rysunkowych malaturach podziwiali, zawsze jednak są przedmiotem malowniczego piękna natury. O jednostajnych powierzchniowych kolorach, różniących się od koloru odłamu, jużesmy wyżej namienili. Srebro dostaje na powierzchni złotawego

* Porównaj Starożytności Polskie pod wyrazem litomorfy.

koloru; iskrzyk magnetyczny brunatnieje na wierzchu, acz właściwy kolor jego jest brązowy. Wiele zaś minerałów nabiera różnokolorowych powierzchni; np. czarny turmalin, szary arsenion kobaltu, czarna blenda cynkowa, powlekają się na czarnym, lub szarym tle, zielonym i niebieskim kolorem razem. Żelaziak błyszczący (*oligiste*) ma tło czarne, a na nim poświatlają jasne kolory tęczowe: czerwony, niebieski, żółty, zielony. Krusz miedziany (*chalcopyrite*) ma tło żółte, a po nim pstrzą się, jakby na pawim ogonie, ciemna zieleń z błękitem, i purpura z barwą brunatną. Bismut ma pozór mieniającej się gołębięj szyi, i na białym tle, albo na szarym mieniają się kolory: czerwony, niebieski, zielony i żółty.

Właściwe mienienie się kolorów na powierzchni minerałów jest już skutkiem połączenia się blasku, farby, i szczególnego krystalicznego układu ciała, który mu pewien stopień przezroczystości nadaje. Wyróżniamy tu następujące malownicze zjawiska.

1. *Mienienie się* kolorów powstaje z różnego nachylenia powierzchni minerału do światła. Odznacza się tu przede wszystkim labrador, gatunek szarego feldszpatu. Obracając go w palcach, zdają się z jego powierzchni, a nawet z jego głębi, wydobywać strugi żywych i jasnych kolorów widma słonecznego, to jest: kolor czerwony, zielony, niebieski i żółty. Tę samą własność mają dyamenty, opale i helmintolity.

2. *Tęczowanie się* kolorów w rzadkich tylko zachodzi przypadkach, i jest skutkiem albo złamań wewnętrznych, albo innych, nieznanych nam dotąd przyczyn. Wewnątrz kamienia, albo też tuż pod jego powierzchnią, pokazują się kolory tęczy, w równoległych, acz pociętych liniach. Agat tęczowy, niekiedy kryształ górny i szpat wapienny, przedstawiają nam to widowisko. Uważać je także można, acz nie w tak pięknych kolorach, na starych, od słońca spalonych szybach.

3. *Opalizowanie się* kolorów, tak nazwane od opalu, w którym się szczególniej wyraźnie odsłania, ma tę własność, że ciało mniej więcej przezroczyste, inny ma kolor, gdy na jego powierzchnią z góry patrzysz, a inny, gdy przez nie patrzysz. Biały jak mleko opal, pod oko oglądanym, a kolor

winno-żółty; czarny jak kruk łyszczyk, gdy cienką z niego blaszkę pod światło weźmiesz, pokaże ci się w zielonej farbie. *Dichroit* (dwubarwnik) podwójny pod słońce przedstawia kolor. Sam jest fioletowy; patrząc przezeń w kierunku osi, widzimy go błękitnym, jak indigo, patrząc przezeń w kierunku prostopadłym do osi, znajdujemy go żółtoszarym.

β) *W królestwie roślin.*

Soczysta półprzezroczystość liści, stanowiących szatę tworów roślinnych, wskazuje na soczysty ich żywot. To też farba liści głównym tego żywota wyrazem. Zielen, będąc farbą przechodową między żółtym i niebieskim kolorem, ulega najrozmaitszym zmianom pod przewagą jednego lub drugiego kolorowego pierwiastka, a urozmaica się daleko więcej jeszcze różnym natężeniem światła lub cieni, w których się zielen liściowa przedstawia. Przy takim bogactwie odmian zielonej barwy, indywidualność każdej w szczególności gatunkowej rośliny, przez sam kolor jej szaty zewnętrznej uwydatnić by się dała; ale uwydatniają ją prócz tego kolor pnia i kory, barwy kwiatów i owoców.

Najwyższy estetyczny urok rośliny, pod względem malowniczego piękna, leży właśnie w tym kontraście zieleni liściowej do innobarwności kwiatu i owoco-stanu. Gdzie zaś nie ma żywości i jasności barw ani w kwieciu, ani w owocach jak po większej części u drzew leśnych, tam tworzy się malowniczy, piękny kontrast między liściem zielonym, a barwą kory pnia i gałęzi, będącej już białego, już zczernionego, już szarego, już brunatnego koloru; kory zaś młodych gałązek w czerwone i żółte i fioletowe stroją się naskórki.

Sama zielen wedle charakteru, jakiśmy dawniej o niej skreślili, jest najstosowniejszym wyrazem, spokojnie, nieznanie, ale ciągle trybującego, roślinnego żywota. Piękne i trafne jest zdanie Schuberta w tej mierze: „Pod względem optycznym stanowi zielen biegunowe przeciwieństwo z czerwienią. Kolor zielony, będąc kolorem panującym w pań-

stwie roślinnym, wskazuje tym samym na różnicę płciową, jaka między nim a państwem zwierzęcym zachodzić będzie. Bo gdyby wewnętrzne obiegi soków u zwierząt nie były utajone pod przykryciem skóry, ale na ten sam sposób stały odchylone, jak u roślin, natenczas wszędziebyśmy u nich widzieli kolor czerwony.“ * Jest to kolor krwi, a ztąd kolor gorąca żywotnego, kolor uczuć, namiętności i niepokoju. Zieleń zaś roślinna pokazuje, że jako w niej, tak i w jestestwie rośliny, nie przyszło do rozdwojenia przeciwieństw, że się jeszcze nie ocknęło podmiotowe życie. Jakby we śnie głębokim krążyła soki po roślinie, życie rozwija się w spokoju i niewiadomości siebie, i dla tego oddycha wonią i zdrowiem. Farba zielona przydatna do uwydatnienia tego charakteru, daje oku uspokojenie i sprawia uczucie miłego chłodu.

Wrażenie się urozmaica różnością barw zielonych, którymi się mianowicie drzewa i zioła ozdabiają. Inaczéj ducha twojego nastraja ciemna zieleń świerków i jodeł, jeżeli wśród nich się przechadzasz, a inaczéj jasna zielona barwa lip, lub grabów. Porównaj naszą różę ogrodową, a różę japońską; na obydwóch cudnie się odbija kwiat różowy, wśród zieleni listków; atoli inaczéj przemawia do ciebie kamelia ciemno-czerwona, umajona lśknącymi, skórkowatymi, ciemno-zielonymi liśćmi, a inaczéj łagodny, różany kolor centifolii, wśród miękkiego i jasnego ulistnienia. Świetny jest blask młodego liścia, gdy się co dopióro z pąkowiecia rozwinał, i soczysta pełność przebija w jasne, jakby blondynowe barwy, w żółtawą i czerwonawą zieleń. Z czasem liść ciemnieje, aż w końcu rdza jesienna na nim osiędzie. Modra, blada zieleń, obrana z blasku, najwięcéj ma podobieństwa do siwej starości, i taką zielenią natura ubarwiła porosty, będące mdłą i bezświecącą ozdobą drzew starych.

Na téj okoliczności, że młodsze listki są jaśniejszój i więcéj lśknącój barwy, a blask i zieleń liści starszych przyćmione, polega malownicza piękność każdój rośliny która roz-

* Sch u b e r t. Geschichte der Natur. Tom 2. § 36.

toczyła bogactwo swojego liściostanu. Od pnia i łodygi, jako od wspólnej osi, ciemni się liściata suknia, a u czubków każdej gałązki poświecła jasną młodą zielenią. Wielkość i delikatność listków odpowiada tym malarskim odcieniom, i urok staje się tym silniejszy, gdy promień słonecznego światła ozłoci piękne ucieniowanie zielonej szaty roślinnej.

Drugą pięknością malowniczą każdego niemal ulistnienia, jest podwójna zieleń każdego listka w szczególności. Naskórek wierzchni, podany na promienie słońca, ma blask i żywe barwy zielone. Taka jest świeżość koloru, takie życie na powierzchni liścia rozlane, że od razu widzimy, iż to jego prawa, piękna strona, jego żywotna obłocz, na której się najpyszniej promieni światło, i na której się najwdzięczniej perli rosa. Nie tak przeciwna, lewa strona, obrócona ku ciemnościom ziemi. Naskórek mdły, bez blasku i bez tej przezroczyj świeżości; zieleń blada, powierzchnia chropowata. Nażyłowania, które wierzchem były delikatnymi liniami narysowane, tu spodem grubieją i w istotne, wydatne arterye liściowe zamieniają się, częstokroć czerwoną nabrane farbą. Domyślamy się, że tu natura laboratorium roślin płucowe założyła, utaiwszy je pod powierzchnią liścia, tak jako w zwierzęciu wewnętrzne funkcyje żywota utaiła, piękną je obrzuciwszy ciała obsłoną.

Ta dwulicowość każdego listka, złożona z blasku i bezblasku, z żywej i bladej zieleni, z gładkiej i chropowatej powierzchni, stanowi tę uroczą grę światła i cieni, którą szczególnie w ulistnieniu drzew i krzewów podziwiamy. Gdy wiatr liściem zakołysze i spodnie powierzchnie odwróci, mienią się zielone barwy drzewa, na tysiące i miliony płatków rozstrzelone. Widok ten przed innymi jest piękny w biało-drzewiu, i w srebrnej topoli; w których jedna strona liścia jest szaro-zielona i lśknąca, a spodnia zupełnie biała, jakby pyłkiem obrzucona. Przy powiewie wiatru biel srebrna, jako barwa niezwyčajna w szatnym ustroju roślinności, romantycznie odbija wśród smutnołśniaczej, szarzej zieleni.

W niektórych gatunkach gduły, dobowniku, górna powierzchnia liścia jest zielona, dolna zaś czerwona, lub brunatna. Wierzchnia strona rzadko w inne kolory przechodzi

i zawsze coś zielonego z nich przebijać będzie. Głośny jest amarant z trójkolorowego liścia, umalowanego jak sardonix w pąs, żółtość i zieleń. Dla téj barwistości liścia kwiecie ma niepozorne. *Amaryllis* ma liść ciemno-karmazynowy, modro cieniowany. *Aucuba* ma się liściem żółto nakrapianym; *Caladium bicolor* stroi się w liść, czerwono upstrzony. Są to wszakże tylko rzadkie wyjątki.

Innokolorowe barwy występują dopiero w kwiatach i owocach. Kiedyśmy mówili o kwiatostanie, przy roślinnym ornamente natury, nie podobna było nie mówić także o kolorach, które stanowią zewnętrzną formę wewnętrznój istoty kwiatu. Dla tego w krótkości tylko rozwiędziemy się o malowniczym jego pięknie. — Bogactwo farb jest w kwitnącym królestwie roślinnym nierównie wielkie, jak było w królestwie rzeczy kopalnych. Ta tylko zachodzić będzie różnica, że kiedy w nieorganicznych i krystalicznych minerałach kolory były szkliste, zimne, po większój części jednostajne, i całe ciało przenikające; — to wśród roślin organicznych, i życiem wegetacyjnym obdarzonych, kolory będą miękkie, ciepłe, po większój części bestre i tylko na powierzchni rozlane. Natura w kwiatostanie roślin urządziła osobne narzędzia, miodnikami zwane (*nectaria*), za pomocą których kwiatom nadaje ową pulchność bławatną, i miąższość soczystą, czym się barwy kwieciste od barw krystalicznych wyróżniają. Miodniki są to przyrządy, wydzielające nieznaczny, słodki ulepek (*nektar*), na powierzchni płatków, powszechnie przez owady zbierany. Uważano, iż wysiąkanie towarzyszy pojawom kwitnienia; — że zaczyna się z rozwinięciem się pączka, a ustaje, gdy owoc się zawiaże.

Jak rzadko się trafiało, aby liść się barwił kolorami, samym kwiatom właściwymi; tak jeszcze rzadziej zdarza się, aby korony kwiatów były zielone, to jest: aby przyjmowały barwę, samym liściom właściwą. Jussieu, który przytacza na to przykłady (*Cobaea*, *Hoya viridiflora*, *Gonolobus viridiflorus*, *Pentatropis spiralis*), dodaje: że i wtedy barwa jest najczęściej blada, i zmieszana z innymi; albo téż obok niej znajdują się na płatkach prążki, lub plamy różno-

barwne.* — Natomiast najrozmaitsza bywa innobarwistość kwiatów i najświetniejszy przepych kolorów. Już w pobliżu kwiatostanu postrzegamy zmianę w zieleni liści, zaczynających przybierać barwy, do koloru korony kwiatu zbliżone. Przejście to odbywa się albo stopniowo, przez listki przykwiatków i kielicha, albo też liść przechodzi nagle w farbę samego kwiatu.

Wszystkie kolory widma słonecznego, i wszystkie ich podwójne i potrójne połączenia, z nieskończoną różnorodnością odmian, przez większy, lub mniejszy stopień ich nacięniowania i rozjaśnienia, są reprezentowane w barwach kwiecia roślinnego. Z farb posilkowych natura bardzo często używa koloru białego, jako koloru jasności. Na barwę czarną nigdzie nie napotykamy; zachodzą bardzo ciemne kolory brunatne, granatowe i fioletowe, ale nigdy zupełnie czarne. Kolor czarny jest negacją światła, a kwiat barwisty jest symbolem piękna i jasności, dla tego czerń zupełna reprezentować go nie może. Na kwiecistym polu malowniczej natury najgęściej natrafiamy barwę białą, czerwoną, żółtą, niebieską i fioletową, w rozmaitym stopniu ich natężenia i połączenia. W ogóle jasne kolory przemagają nad ciemnymi, a ciemne kraszają się zwykle jasnym szaterunkiem, co bezpośrednio ze symbolicznego znaczenia kwiatu wypada.

Przechodzenie farb jednych w drugie może być bardzo rozliczne. Uważano jednak, „że kwiaty żółte mogą przechodzić w czerwone, lub w białe, lecz nigdy w niebieskie; niebieskie zaś zarówno w czerwone i białe, ale nigdy w żółte; że dalej w wielu rodzajach, a nawet rodzinach, bardzo do siebie zbliżonych, wszystkie barwy posiadają barwę niebieską, albo żółtą, lub od nich pochodne, lecz nigdy nie mają jednej i drugiej zarazem. To było powodem do przyjęcia dwóch oddzielnych szeregów barw kwiatowych; takimi są: szereg błę-

* Botanika Andryana Jussieu § 422, tłumaczenie Tyt. Chałubińskiego.

kitów (*série cyanique* od *κυανος*, niebieski) i szereg żółtni (*série xanthique* od *ξανθός*, żółty).“ *

Dwa kolorowe pierwiastki zieleni: błękit i żółtnia, stają się więc dwiema głównymi zasadami wszelakich barwników kwiatowych. Błękit przechodzi w niebieskie, zielone i fioletowe barwy; żółtnia zaś wyrabia się w żółte, pomarańczowe i cynobrowe farby. Kolor czerwony zdaje się być wspólnym i jednej i drugiej zasadzie, chociaż Berzeliusz przyjmuje osobny barwnik, czerwienią liściową zwany, nie mający nic wspólnego ani z błękitnym, ani z żółtym barwnikiem.

W jaki sposób natura nakłada farby na liście i kwiaty, w jaki sposób je zmienia, rozwijając coraz jaśniejsze, albo ciemniejsze kolory, lub też przechodząc z jednego koloru w drugi, niema pomiędzy botanikami na to zgody. Zaglądając opatrzonym okiem w same siedliska ubarwienia, do owych komórek naczynnych, niżej naskórka liści i kwiatu położonych, ujrzymy w nich płyn przezroczysty, bezbarwny, w którym barwniki materyalne, żółte, czerwone, fioletowe, lub zielone pływają, a od większej lub mniejszej ilości téj materyi barwiącej, zależy ciemniejszy lub jaśniejszy kolor barwy. Jeżeli jej zaś tam wcale nie ma, płyn bezbarwny sprawia wrażenie białego koloru, chociaż rzadko bywa zupełnie czysty. Uważano także, że barwniki żółte i zielone znajdują się w komórkach głębiej położonych; wierzchem zaś, często w samym naskórku, widać barwniki błękitne, czerwone i fioletowe. Jeżeli pod wierzchnią czerwoną leży spodnia żółta warsztwa, kwiat nabiera wejrzenia pomarańczowej barwy; jeżeli zaś zielona leży spodem, powstaje wrażenie barwy brunatnej; nakoniec barwa modra przedstawia się oku, jeżeli pod komórkami bezbarwnego płynu, leżą komórki zielone, lub błękitne.

Zachodzi atoli zawsze pytanie: jakim środkiem owe płynne, komórkowe barwniki nafarbowane zostały, i jakim środkiem barwy swoje zmieniają, w różnych okresach istnienia liści i kwiatu? Wedle Schüblera zieleń jest pierwiastkowym barwnikiem rośliny, i łącząc się z coraz większą ilością kwa-

* Tamże § 627.

sorodu, przechodzi najprzód w żółte, następnie w pomarańczowe i czerwone kolory; tracąc zaś coraz więcej kwasorodu, zamienia się zrazu w kolor błękitny, dalej w fioletowy, nareszcie także w czerwony. Wedle *M a r q u a r t a* przejście zieleni w żółcień kwiatowy dzieje się skutkiem przybytku wody, a przejście w błękit kwiatowy odbywa się skutkiem ubytku wody. Kwasy słabe zamieniają błękit w fioletową barwę, mocne farbują go czerwono; kwas siarkowy przemienia żółcień na barwę niebieską, a w większej mierze na czerwoną. *Jussieu* nakoniec i *Berzeliusz* przyjmują osobne pierwotne barwniki dla każdój osobnej barwy kwiatowej.

Co bądź, to pewna, że malownicza natura, z największym obliczeniem środków, i z podziwienia godnym gustem estetycznym, przygotowuje w każdej roślinie barwniki różnokolorowe, aby ją zrazu zielenią umaić, a potem obfitą roztoczą koron różnobarwnych ukwiecić. Jeszcze liść i kwiecie zostaje w obsłonkach pąkowania, a już tam barwniki się gromadzą i płatki, zwinięte w pączek, farbują, tak, że gdy liść i kwiat tryśnie z obsłonek, już i barwy, acz młodziuchnego oblicza, poświetlają. Z postąpieniem pory roku intonacja kolorów się zmienia, i same kolory barw się zmieniają. Działo się to w liściach, dzieje się i w kwiatach.

Korona w pączku jeszcze zielonawa i blada rozwijając się dalej, przybiera barwy coraz świetniejsze, którymi w zupełnym rozkwitnieniu stroi się i pyszni. Żywość kolorów i krasa dosięga najwyższego stopnia w czasie zapłodnienia; poczem barwy tracą na uroku, świeżości i energii; przyćmiewają się, i w czasie opadania kwiecia, już noszą ślady zniszczenia. Bywa także, że po rozkwitnieniu po płatkach tworzyć się poczynają plamy innokolorowe, symetrycznie rozłożone, i że kwiat z jednej barwy w inną przechodzi. Najwyraźniej to widzimy w laku, gdzie żółty zrazu kolor kwiatu przechodzi potem w pomarańczowy, czerwony i fioletowy. *Wiesiołka* ma z początku kwiat biały, a potem czerwony; *pacierzyczka* różnobarwna (*myosotis versicolor*) kwitnie najprzód żółto, a potem niebiesko.

Rzecz uwagi godna, że wszystkie rośliny, uszlachetnione

co do gatunku przez sztukę ogrodową, uszlachetniają się oraz w barwach i przyborach kwiecistych. Jaka niesłychana różnica w kwiatostanie polnej, a szczepionej jabłoni; albo łącznych i ogrodowych gwoździków! Kwiatek polny ma wiele prostoty, wdzięku sielskiego, zdrowia i świeżości barwy; ale kwiat uszlachetniony ma więcej bogactwa, strojności, jakby z przepychu wielkiego świata. Widać po nim bujność, soczystość, potęgę kolorów, namiętność barw miękkich i pulchnych; — zgoła widać uszlachetnienie w kształcie i stroju. Jest to pierwszy ślad estetycznego postępu, niejako estetycznego wychowania natury. W malowniczym ukształcie roślin, wedle pewnych gatunkowych typów, złożone są oraz zarody ku doskonalszemu ich upięknienu, i ku wspanialszym i malowniejszym strojom, byleby roślina znalazła potrzebne warunki do dostatecznego ich rozwinięcia. Familie georginiów, gwoździków, maku, lewkonii, hyacyntów, róż, lilii, tulipanów, astrów, świadczą, do jakiej rozliczności odmian, pod względem kolorowego piękna, doprowadzone być mogą.

Malowniczość kwiatu głównie na przeciwieństwie kolorów polega, i najściślej jest z kształtem całej korony połączona. Już to same płatki nie zawsze są jedną i tą samą barwą powleczone. Zwykle, jeżeli jest jednostajna barwa, w dwóch przeciwnych przedstawia się odmianach: albo od dołu jest blada, i z blado-żółtego, albo z blado-zielonego spodu wynurzając się, ku górze coraz bardziej ciemnieje; albo ciemnym spodem poczyna się, a ku górze coraz bardziej się rozjaśnia. Inne płatki, mianowicie zrośnięte, różnokolorowe mają barwy: dzwonki aloesowe mają wypukłości purpurowe, a wykończenia rurkowe zielone; kielichy niektórych powojów są spodem żółte, środkiem paliowe, u wierzchu modre; listki maku, rozjaśnione ku krańcom, mają środkiem ciemną, czarniawą plamę. Inne znowu są bestre, pręgowate, nakrapiane, cętkowane. Równie nadobnym jest nażyłowanie każdego płatka, układające się w rozmaite rysunki. Weź przed się pączek z listka róży, a ujrzysz, jak z pod miękkiej, różowej barwy przegląda w ciemniejszym kolorze misterne nażyłowanie naczyń, na podobieństwo delikatnej płci ludzkiego ciała, na której także

drobne rozgałęzienia żył, modrym, lub fioletowym znaczą się kolorem. U innych kwiatów owe żyłki uwydatniają się, to w paski ciemniejsze, promienisto rozłożone, a u góry rozczepione, jak w karmazynowej malopie; to w rysunki łuków gotyckich, jak w kwiatku pelargonii wielkolistnej; to w strzałki amarantowe; jak na dwóch większych listkach w bladoróżowym kwiatku geranii, to w wachlarzowe szaterunki, jak na żółtych płatkach laku. Zgoła w każdym kwiatku, naczynia wewnętrzne jego listków w coraz innych przedstawiają się rysunkach.

Dalsze przeciwieństwo kolorów kwiecistych leży w dwu licowej różnobarwności każdego płatka na koronie kwiatu. — Jak liść zielony wierzchem miał kolory żywsze i jędrniejsze, a spodem słabsze i przyćmione; tak i listek kwiatu na stronie ku słońcu obróconej, ma pyszniejsze barwy, płonące życiem, świeżością i miękkością kwiecistego ciała; zaś na odwrotnej stronie są farby bledsze, w blasku przytępione, rysunki, cętki, kropki i plamy, i same tła barwiste wydają się, jak suknie farbowane, obrócone na nice. Już *Dutrochet* uważał, że każdy barwnik kwiatu składa się z dwóch przeciwnych własności barwistych, elektro-dodatnej i elektro-ujemnej, i że każdy płatek kwiatu ma górną powierzchnią odkwaszającą, a dolną ukwaszającą, i stanowi niejako jedną parę płytów na stosie galwanicznym, płynem wewnętrznych naczyń przedzielonych. Tłómaczy się ztąd dwoista licowość barw każdego płatka, która w całym układzie korony tak malownicze tworzy przeciwieństwo dwóch różnych intonacyj tych samych kolorów.

Przechodząc od płatków pojedynczych do całej korony kwiatu, ujrzymy, jak przeciwieństwo barw do różnego kształtu, i do różnych jego części jest zastosowane. Przylistki, kielichy, płatki, okółki, dna, pręciki, słupki, stanowią tyliczne ubarwienia, które się do pięknej harmonii w malowniczą całość układają. W pięknie ukształtowanej fuksyi n. p. która na dół zwiesza podłużne kwiatki, zielony jest przyczółek, bladoczerwony kielich, roztwierający się w cztery przylistki, takiegoż, ale mięsistszego koloru, pąsowy jest zwój płatków korony,

z którego bladuróżowe pręciki i jeszcze bledszy słupek, z zielonowatym nagłówkiem wygląda. U kwiatów talerzykowatych najwyraźniej pokazuje się przeciwieństwo barwy szerokiego denka, a barwy płatków, w okół niego osadzonych; — u gwiazdkowatych, albo na krzyż ułożonych, ze środka wygląda inna, zwykle jaśniejsza barwa, jeżeli płatki były ciemne; albo ciemniejsza barwa, jeżeli były jasne; — u poczwarkowatych, mianowicie u wszystkich strękowych, nałożenie farb zastosowane do kształtu korony, przedstawiającej łódki, wargi, motylki, szyszaki i t. p. Gdy korona jest pełnym zwojem bławatnych płatków, uważamy u jednych, jak intonacja koloru rozjaśnia się ku środkowi; u drugich, i te są piękniejsze, barwa nagłębia się ku środkowi, i tworzy jakby łono energiczniejszego koloru. Niewymownie piękną jest właśnie centifolia, skutkiem takiej dośrodkowej napiętości różannej barwy, odsłaniająca uroczę, namiętne wdzięki kwiecistego łona.

Najważniejszym atoli przeciwieństwem kolorów, a ztąd najwyższym pięknem rozkwitłej rośliny, jest jęj suknia zielonolistna, obrzucona na powierzchni różnobarwnym kwieciami. Roślina wtedy przybrana w najpyszniejszy strój godowy, poupiniała gałęziste swe warkocze w strojne bławatki. Niektóre gatunki drzew, mianowicie z gatunku jabłoni, rozkwitują w same kwiaty; każda gałązka niemi grubo obsadzona, i całe drzewo jest jakby jednym, olbrzymim kwiatem. Wspaniały to i zachwycający widok. Ale, że liść jeszcze się nie rozwinął, uczuwamy niedostatek owego pięknego przeciwieństwa, jakie zachodzić powinno między suknią a ornamentem, między liściem a kwieciami, między tłem zielonym a kwiatobarwnością. Dla tego więcej estetycznego uroku przedstawia kierz róży, bujno zielonym liściem porosły, a u kończyn gałęzek różannymi pączkami rozkwitłej cyntyfolii, lub kamelii, strojny. Cudnie się ta nadobna czerwień od tła zielonego odbija.

Ze wszystkich zestawień kolorowych, najwięcej ma wdzięku dla oka zielony i czerwony kolor, dla tego że się nawzajem dopełniają. Ztąd kwiat barwy pąsowej, różowej, karmazynowej, purpurowej, najwdzięczniej zielony liść rośliny stroi. Nie przedstawia tak żywego uroku kierz róży białej, albo żółtych

georginij, choć kwiat sam ma wiele powabu; bo nie ma téj harmonii między białem i zielonem, ani między żółtem i zielonem; jaka zachodzi między czerwienią a zielenią. Już bzo-
wy i fioletowy kolor kwiatu, następnie pomarańczowy, pięknie przysiadają na zielonym liściu, dla tego, że w tych barwach czerwony kolor jest przymieszany. Jasne barwy im są głębsze, tym się ładniej wydają wśród zieleni; zaś ciemne barwy, jeżeli się mają podobać przy zielonym otoczeniu, muszą być rozcie-
nione; niebieskie niezabudki dla tego piękniejsze od ciemnych fiołków, głębokożółte kwiatki łączne piękniejsze od bladożół-
tych kwiatków polnych.

Na malowniczym a harmonijnym zestawieniu różnobarwnych kwiatów polega sztuka ogrodowa. Trzeba na to estetycznego gustu, by stósownie ubarwić kwiatami kląby, rabaty i kwatery kwiatów. Słoneczniki n. p. pięknie się wydają między rozkwitłymi ciemnymi georginiami na zielonym trawniku; kwatery najpyszniejsze z różnokolorowych tulipanów; na obwódki zdadne każde jednokolorowe kwiatki, byle bujno rozkwitujące, a piękno zależy od dwu, lub trzyczędowego ich zestawienia, jakby zrąbkowania dwu, lub trzykolorowymi wstęgami. Natura ustraja łąki, smugi, wzgórza i doliny kwiateczkami, gromadnie przysiadającymi, wyszywając nimi, jakby rozległe zielone kobierce. Pod zwrotnikowym niebem pyszne i sute kwiaty kaktusów, aloesów, powoistych roślin, w takiej obfitości, i w takiej potędze żywych kolorów rozkwitują, że ich blaskiem równie bywa olśniete oko, jak od rażących promieni słońca onych stref.

Owoc stanowi ostatnią, malowniczą piękność rośliny. Owoce kwiatów i ziół zbyt są drobne i niepozorne. Są to nasionka ukryte w brunatnych, lub płowych obsłonkach, i dla tego pod względem malowniczego piękna nie zasługujące na uwagę. Niektóre tylko amerykańskie nasiona szkliste, zdobnie w czerń i szkarłat umalowane, stanowią wyjątek. Podobnie owoce drzew leśnych nie są malownicze, jak szyszki, żołądźbuczyna. Kolorowe piękno poczyna się dopiero w drzewach owocowych. Są to owoce jadalne, soczyste. Natura nadawszy im soki najprzyjemniejszego smaku, nadała im oraz najnado-

bniejsze barwy, by uraczyć nie tylko materialny zmysł smaku, ale i estetyczny zmysł wzroku.

Jak ciemne rubiny, albo jak jasne krwawniki, świecą na zielonej koronie drzewa szkliste, krągłe wiśnie i tereśnie. Czarna śliwa zdobi się szafirowym pyłkiem, albo przeziera z pomiędzy liści cienistych, jak chryzolit, to w żółtych, to w zielonawych kolorach. Kuliste jabłka uśmiechają się do nas z drzewa, jak rumiane lica aniołków; a zawieszista grusza wisi, jak szmaragdowa zausznicza u czubków gałęzi. Jakaż to cudna, aksamitna miękkość brzoskwini i nadobność jej niewinnego rumieńca na bladozielonym licu! Jakie gorąco południowego nieba bije z jaskrawej pomarańczy, sferoidalnego utoku; jaki znów chłód miły ogarnia nas na widok bladożółtej dwubrodawkowej cytryny, zawieszonej wśród ciemnych, skórkowatych liści! A pojrzyj na winną jagodę, którą natura stworzyła ku rozweseleniu umysłu ludzkiego, jakaż to regularna, symetryczna budowa jej grona, z topazowym i chryzolitowym, albolu turmalinowym połyskiem! Istny ornament z drogich kamieni, uwieszony u zielonych kędziorów winnej macicy.

Zstępując dalej do krzewów, podziwiamy na krzaczkach pożytecznych, jakby wiszące sznurki nanizanych białych pereł, albo czerwonych koralików, co się ze splotów zielonych warkoczy rzęsistym strojem zwieszają. Angresty przezroczyste wiszą u koleczastych gałązków, jak rozpięte małe baloniki, z różnokolorowego tafetu, zielone, żółte, fioletowe. Czerni się jeżyna, czerwieni malina, obie w gronkowatych kształtach. Gdy już liść opadł na głogu, owoc jego bańkowaty zdobi gałązki jasnoczerwoną barwą, jakby kamyczkami karniolu.

U samej ziemi rumienia się, jak czerwce, leśne poziomki, z bagien wyglądają purpurowe żurawiny, a po polach i ogrodach pod cieniem szerokiego, strzępiatego liścia, w ukryciu leży ociężały ród brzuchatych dyni i podłużnych ogórków, to z zielonym grzbietem, a blado-żółtym brzuchem; to w cało-żółtym, albo pomarańczowym stroju. — Tym sposobem rośliną w swoim liście-kwiato- i owocostanie przedstawia malowniczy twór natury, którego kolorowe piękno, wedle gatunków i rodzajów, w nieskończonych odmianach się urozmaica.

r) *W królestwie zwierząt.*

Rzeczy kopalne, jako nieorganizmy, były bryłami, i piękno ich malownicze było także bryłowe, z każdym ich atomem związane, wewnątrz nawet świetniejsze, niżeli na powierzchni. Rośliny były już opatrzone naczyniami życia: włóknami, cewkami, komórkami, przez które soki ożywcze opływają; ztąd kolorowe piękno roślin mogło się tylko na ich powierzchni rozkładać. Ale że liście, kwiecie i owoce były same organami życia, jedno do wciągania w siebie pokarmu, drugie do zapładzania, trzecie do rozplądzania; przeto żywot rośliny, krom pnia i korzeni, wydany był na same powierzchnie, z którymi się światło słoneczne w najcudniejsze barwy wiązało.

W królestwie zwierząt mamy już całkowity ustrój organicznego życia, który zajmuje wewnętrzną budowę tworu, opartą na szkielecie kości, chrząstek i mięśni. Na tym ustroju dopiero obrzuca się skóra, pokryta najczęściej rogową materią, by tym pewniej funkcyę wewnętrznego życia od zewnętrznego szwanku zasłaniała. Malowny pędzel natury mógł się zatym tylko do téj rogowej materii rozciągać, i w różnobarwne pokrycie ją stroić, mając zawsze kształt zwierzęcia na względzie, by różne jego części i wydatności odmienną barwą naznaczyć i uwydatnić.

Im niższy będzie organizm zwierzęcego tworu, tym swobodniej będą się mogły na jego powierzchni przedstawiać kolory i blask z nimi połączony, chociaż zawsze zależec będzie od okoliczności, pod jakimi się życie tworu objawia. W ogóle służyć może za prawidło, że tam barwy są świetniejsze, gdzie zwierze w promieniach słońca roztacza; jeżeli się zaś w zmierzchu nocy chowa, lub po norach ziemi i po głębiach wody ukryty żywot wiezie, barwy jego będą brudne i niepiękne. Ztąd motyle piękniejsze od ćmy, ptastwo napowietrzne barwistsze od leśnego zwierza, a nocne ptaki i zwierzęta ssące mają brudniejsze kolory. Ztąd w miążkach i przezroczystych wodach piękniejsze są barwy ryb, niżeli w głębiach i mułach;

zład ród owadzi lśni się kolorowym blaskiem, a co pełza w ciemnościach, ma ciemne, brudne farby.

Jako drugie prawidło malowniczej pięknoty zwierząt, postawić można z małymi wyjątkami tę zasadę: że w pięknym kształcie jest oraz piękne ubarwienie — niejako w pięknym ciele piękna dusza — zaś nieregularne, brzydkie kształty mają także brzydkie farby. Dla tego smukła jaszczurka piękniej ubarwiona, niż niezdarna odrażliwa ropucha; barwa kształtnych delfinów piękniejsza, niż potwornych żarłaczy; maść dzielnego konia więcej ma kolorowego uroku, niż maść długouszego, niezgrabnego osła; brzydkie, maziste robactwo, pozbawione oraz wdzięku barwistego piękna.

Z pomiędzy zwierzokrzewów znane są czerwone korale z piękności koloru, z powodu czego, wyrabiane w różne ozdoby, drogo cenione bywają. Rozkrzewy, małże i organki morskie, odznaczające się różnaitością najmisterniejszych kształtów, piękne są oraz z kolorowych ozdób swoich. W najświetniejsze atoli barwy przystrojone są pławy, czyli żagawki. Kształty ich już płasko-okrągłe, już pół-kuliste, już dzwonkowate z ogonkowymi wyrostkami, co jak długie kutasy padają z pod ich ciała, jaśnieją to purpurą najpyszniejszą, to cudnym różem, to najczystszy karminem, to tęczowymi farbami. Niekiedy w wielkim mnóstwie pływają po powierzchni oceanu, i rozweselają oko załogi okrętowej, bo się wydają jak pływająca kwatera kwiatów, najokazalszymi farbami strojnych. W nocy te same galaretowate pławy, tylko w innych gatunkach, wydają świetne fosforyczne światło.

Mięczaki miękkiego, mazistego ciała, nie mogą mieć barw pięknych. Ślimaki mają ciała czarne, czasem popielate, rzadko czerwone. Atoli mięczaki opatrzone są muszlowymi różnokształtnymi skorupami, które niekiedy bardzo żywymi ozdobione są kolorami. Na żywość tych farb światło zdaje się główny wpływ wywierać, albowiem muszle wystawione na działanie jego promieni, nierównie żywsze mają barwy, niżeli te, które w głębokościach morza przyczepione są do skał, lub na dnie morskim zostawają.

Żywość barw stosuje się także do wieku; im zwierze młodsze, tym farby są gorętsze. Zdaje się, że je mięczak w chwili tworzenia się skorupy na wierzch nakłada. Konchy, wielkie i małe, połyskują na wewnętrznej stronie, jak biała porcelana, najczęściej blado różowym kolorem, stopniami ciemniejącym, od strony rozworu napuszczona; od tego porcelanowego wnętrza dziwnie pięknie odbija się karbowany, ciemnokolorowy zrąb wierzchniej części konchy. W tym połączeniu kolorów białego z różowym widać, jakby naśladowanie delikatnego koloru ciała ludzkiego.

W ogóle jednoskorupowe muszle przedstawiają najwięcej ozdobnych kształtów, lśniących pięknym, barwistym połyskiem. W białej, pysznej muszli, jak w okręcie, pływa po morzu *argonauta*. Łoździa k ma łódź perłowo-lśniącą, różnemi rzeźbami przyozdobioną. *PozYTEWKA* (*Seeorgel*) ozdobiła rzędami osadzone piszczele muszli swojej w piękny, ceglaty kolor. Wiele cudnych gatunków pod względem barw zawierają także stożki, porcelanki, świdraki i t. p. Atoli w najpyszniejsze klejnotowe barwy ustroił się perłopław, z rodziny dwuskorupnych ostrzyg. Skorupa zewnątrz jest brudna, wewnętrzna tylko strona wyłożona mieniącą się kolorami perłową macicą, na której przysiadują wielokroć krągłe, półprzezroczyste narośle, dające znane powszechnie i drogo cenione perły. Są perły czerwonego, żółtego, zielonego i czarniawego koloru. Najwięcej popłatne są perły białe, łzami zwane. Bo też cudny to kolor, i stosowne nadano im nazwisko. Wystawmy sobie łzę w oku, w chwili kiedy się promienie światła w niej złamały, i lśniącą, brylantową białością ozdobiły; kra takiej łzy, to jedna z pereł perłopławu.

Szpetne w kształtach są rody obrączkowatego robactwa, skorupiaków i pajaków, dla tego też i ze względu na kolorowe piękno nie zasługują na uwagę. Niektóre gatunki pajaków mają na grzbiecie krzyż potrójny, z białych i żółtych kropek złożony. Wszakże zbyt drobne są ich ciała jajowate i zbyt odrażliwe, aby je taki rysunek wydatnie upięknił. Więcej malowniczego interesu obudzają kolorowe przedziwa niektórych

amerykańskich pajaków, które w promieniach światła błyszczą tęczowymi barwami. Nawet i nasze pospolite pajęczyny, jeżeli nie są zakurzone, przybierają w słońcu blask jakby srebrzystych nitek. Śnieżną białość ma pajęczyna, którą wiatry jesienne, podczas tak zwanego babiego lata, po polach i łąkach roznoszą.

Świetnie ukolorowany i blaskiem opromieniony jest skrzydlaty ród drobnych owadów. W świetle słonecznym roztaczają bogactwo kolorów pysznych, płonących. Wydają się jak kwiatki latające, z rogu Amaltei wysypane, by śmiertelnym mieszkańcom ziemi kwiecistym pruszyły marzeniem. Gdy przysiędą na gałęziach i liściach, są, jak świecące różnokolorowe chryzolity, wplecione w zielone włosy krzewistej rośliny; — a gdy się rozejdą po piasku i błyszczą mieniącymi barwami, zdaje się, że widzisz rozrzucone drogie kamienie, które życia nabrawszy, ruszają się i chodzą.

W ślicznych, złotozielonych kolorach mieni się cały tułów w a ż k i, zwanéj p a n n ą w o d n ą (*agrion*), a skrzydełka błyszczą jakby ze srebrnej tkanki uprzedzone; po nich rozrzucone plamki, to granatowego błękitu, to złotój farby. Niektóre gatunki much, także są strojne w połyskliwe, złotozielone i złoto-pąsowe suknie. C z e r w c e, ciemno-czerwonego, lub błękitnawego koloru, i purpurowe k o s z e n i l l e, białym puchem powleczone, darzą człowieka najwyborniejszymi farbami szkarłatnego, pąsowego, karmazynowego, bżowego i fioletowego koloru.

Wszakże najpiękniej zbudowany i ubarwiony jest czworo-skrzydły ród motyli. — „Jakież to skrzydełka jego, kolor błękitu z różowym, na głowie coś zielonego, a sam w pancerzu stalowym;“ — śpiewa uczuciowy kochanek Justyny. Śliczny jest wykrój jego skrzydełek, i strojny garnitur ich brzegów. Kolorowy pyłek, a raczej łuski kolorowe, nader drobne i łatwo się pod palcem ścierające, tworzą na przezroczystych, skrzydłowych błonkach nader kunsztowne nałożenie farb ciemnych i jasnych, dających najpiękniejsze różnobarwne desenie, które się symetrycznie powtarzają po jednej i po drugiej parze skrzydełek. Ów złotem i lazurem mozaikowany, inny

w sadzone perły cętkowany; inny jeszcze w pawie oczka strojny. A c h i l l e s cały w błękitnym przyborze; A p o l l o ma złoty pancerz, a skrzydełka białe purpurą nadeseniowane; p a w i k ma na końcu każdego skrzydełka po jednym oku niebieskim; p a ż k r ó l o w é j, jeden z najpiękniejszych motyli. Motyl, to istny kwiatek latający, co barwy czterech płatków w promiennym świetle roztacza; i dla tego szuka téż kwiatów, wiosennych braci i siostrzyc swoich, i z ich rozkwitłego łona słodki nektar pije. A gdy przysiadzie, czy to na ziemi, czy na listku rośliny, jakże mu ładnie, gdy czworoskrzydła strojne, to zwija, to rozwija, jakby ze wszystkich stron pokazywał ich piękności.

Ryby rzadko są nagie; po największej części łuskami drobnymi pokryte, nabierają ukolorowania, które zwykle bywa piękne, dopóki ryby w potworne kształty nie przechodzą, a łuski w kolce, tarcze, lub pancerze się nie zamieniają. Blask łusek jest metaliczny, co podnosi kolorowe piękno barwy. W ogólności ryby morskie mają piękniejsze farby, niżeli ryby z wód słodkich; a znowu te, które żyją po miałczyznach, jaśniejsze mają kolory, niżeli inne, które się trzymają na głębiach i dnach morskich.

Kolorowe łuski ryb są wedle pewnych rysunków ułożone, które się po obu stronach symetrycznie powtarzają. Ztąd powstają barwy, jedne pługowate, drugie drobno, lub plamisto nakrapiane, inne marmurowane. Zachodzi także cieniowanie kolorów i stopniowe przechodzenie jednego w drugi. Zwykle grzbietem ciemne, a brzuchem jasne nałożone farby. Uważać to będziemy u wszystkich pacierzowych zwierząt, — co nie w takiej wydatności pokazywało się dotąd u skorupiaków, robaków i owadów, — że na grzbiecie, w którym skoncentrowana jest siła muskularna, barwy zawsze są ciemniejsze, a jaśniejsze na słabiznach, mianowicie pod brzuchem. Owe dwie przeciwległe powierzchnie u liści i płatków kwiatu, będące przeciwbiegunowej natury, powtarzają się tutaj w ciemnych kolorach grzbietu i jasnych kolorach słabizn.

Są gatunki ryb, których barwy lyszczą, jak najświetniejszy blask złota i srebra; inne płoną najżywszą zielenią, kar-

minem i błękitem; są inne, które i w połysku szernionego koloru są piękne. Złote i srebrne forele, czerwono naczętkowane, są ozdobą miałkich a rwistych strumyków, co się w górach wartko po kamienistym korycie toczą. Tę samą rybę, pstrągiem zwaną, znajdujemy w Prądniku, który piękną dolinę Ojcowa i Pieskowej skały przepływa. Złote i czerwone k a r a s k i chowają w naczyniach szklanych, wodą napelnionych, z meteorologicznych względów, a więcej dla rozweselenia oka. T a s i e m i e c (*chaetodon*) jest rybka mała z pasami trójkolorowymi. P a w m o r s k i ma ogon, nakształt ogona pawiego, mieniącymi barwami zdobny; grzbiet jest żółtawy, błękitnymi plamami naznaczony. T ę c z o w n i k ma łuski w kolory tęczy ułożone; k o g u t m o r s k i jest cały purpurowy. — Zgoła na morzu, zwłaszcza, gdzie je przez przezroczystą wodę aż do dna przejrzeć można, przedstawiają się żeglarzom ryby w najpyszniejszych barwach, i nie ustępują w niczym kolorowemu ptastwu stref gorących. Barwy ich nawet są żywsze, świetniejsze, albowiem przez odbicie i łamanie się promieni światła we wodzie, tém większego nabierają blasku.

Gady i płazy, stojące na pograniczu wodnych i lądowych zwierząt, są po większej części potworne, jadowite, i dla tego kolory ich ciał odpowiednie robią wrażenie. Wąż g r z e c h o t n i k jest spodem żółtawy, na grzbiecie jasno-brunatny z ciemno-brunatnymi plamami. Wąż s e r c o g ł ó w, straszliwszy od grzechotnika, ma łuskę siwą, czerwono-żółtą, a na grzbiecie ciemno-chmurkowaną. Jadowite żmije naznaczone zostały pręgą ciemną, zygzakowatą, idącą przez cały grzbiet, od głowy do końca ogona, mającą w zgięciach małe ciemne plamki. Pręga ta ciemna, lub ruda, na tle szarym, lub rudym, ma coś, jakby z tegości śmiertelnego jadu, a przytrafiają się gatunki żmii, prawie całych czarnych. O k u l a r n i k o w i, najjadowitszemu ze wszystkich gadów, nadają wyraz odrażliwy dwie plamy brunatne, okrągłe, co mu niby okulary w tyle głowy przysiadły.

Smuklejsze i malowniejsze są ciała węzów niejadowitych. Straszliwy jeszcze jest wąż dusiciel (*boa*) z jasno-burą,

ciemno-pręgowaną skórą. Weże pospolite, o wiele mniejsze, pięknie już nafarbowane. Skóra ich wierzchem błękitnawa, lub zielonawa, spodem biała, czarno-nakrapiana. Jeszcze mniejszy p a d a l e c, ma grzbiet czerwony, metalicznie połyskujący, a spodem czarniawy. Równie pięknie nabarwione są zwinne jaszczurki, zwłaszcza zielone. Śliczna to zieleń, co im boki krasi. Znany jest z osobliwości zmieniania barwy k a m e l e o n. Zwyczajna jego farba jest stalowo-popielata. Ale że ma żyły żółte, a krew w nich niebieską, przeto skutkiem większego, lub mniejszego krwi napływu, kolor ciała w różne przechodzi barwy, najczęściej w niebieską, lub zieloną.

Potworne jaszczurcze rody krokodyłów, aligatorów, mają szare, brudne barwy. Na s a l a m a n d r z e kolor czarny z brudno-żółtymi plamami podnosi odrazę, którą już sprawia skóra pomarszczona i brodawkowata. Z rodziny żab tylko mała żabka drzewna ładnie ukolorowana. Wierzch cały trawiasto-zielony, bez połysku, spód białawy, a po bokach idzie żółta i czarno-błękitna prążka. Pomijamy żółwie, których skorupy brunatne więcej z snycerskiego utoku, niżeli z malowniczego piękna są ważne.

O ile płązy i gady upośledzone były w kolorach, o tyle więcej malownicza natura wyposażyła w nie skrzydlaty ród ptaków, wypełniających powietrze, i roztaczających w blasku słońca świetne barwy piór swoich. Jak łuski u ryb, tak u ptaka pojedyncze piórka, układają się do pewnych kolorów i rysunków. Tylko że tu różnorodność daleko większa, już dla tego samego, że sam ukształt ptaka, o wiele więcej przedstawia różnorodności, niżeli ryby. Kiedy łuska jest tylko prostą blaszką nakarbowaną, lub narąbkowaną, to każde piórko w szczególności przedstawia cały system nader kunsztownej budowy. Jest tam rurka, jest żebro, jest chorągiewka, która je z dwóch boków obrasta, i składa się z przylegających do siebie szczypiorów, z których każdy najczęściej osobną znowu stanowi chorągiewkę.

Na tych więc żebrach, chorągiewkach i szczypiorach natura niedocieczonym sposobem, a jeszcze więcej niedocieczonym kunsztem farby rozmaite nakłada; a każde piórko w ta-

kiej propocyji i części, i w takich kolorach i intonacjach maluje, że gdy się te niepoliczone piórka na siebie złożą, najpyszniejszy, malowny i symetryczny rysunek się układa. Bywa więc, że na jednym piórku trzy, cztery, i więcej różnych barw, na pozór bez porządku i celu, jest nałożonych, a jednak każde innokolorowe pociągnięcie pędzla ma cel i miejsce w całości pierzatego stroju. Jest to mozaika z piórek, stokroć misterniejsza od mozaiki sztucznej. Same zaś kolory nieskończenie są rozmaite, „i nieraz pięknoscią i blaskiem przewyższają najśliczniejsze kwiaty i najświetniejsze klejnoty.“* Natura nie żałowała tu ozdób i przyborów malownych, zwłaszcza u ptastwa pod zwrotnikowym słońcem, gdzie i przepych barwistych kwiatów tak bogaty. Nie ma koloru pięknego, którego by nie była użyła, nie ma blasku, którego by nie była rozlała. Jest blask jedwabny, aksamitny, metaliczny, perłowy, mieniący i t. p.; farby płoną, już w czystych kolorach z całą potęgą energii, już w przejściowych odcieniach i szaterunkach z całą urodą ich oblicza. Rysunki nakoniec przechodzą przez najrozliczniejsze formy punktów, oczek, plam, pierścieni, prąg, kresek, obłoczków, i najfantastyczniejszej mozaiki, po piersiach, po grzbiecie, po ogonie, po skrzydłach.

W ogóle samce są z większym przepychem w kolory strojone, niżeli samice. Żywsza w nich krew i energia, ztąd też żywsze i energiczniejsze barwy. Grzywy lśniące, ogony strojne, skrzydła malowne; u mięsistych wyrostków, jak grzebieni, koralu, uszek, kolory namiętne. Pierś u ptaka dwunożnego szczególnie jest wydatna, ztąd u samców na piersi widać zwykle nałożenie albo ciemniejszej, albo żywszej barwy, jakby znamie siły samczej. U ptaków śpiewnych podgardlice bywają na ten sam sposób odznaczone.

Powtarza się u ptaków w ogóle, cośmy już w poprzednich klasach zwierzęcych uważali, że jaśniejsze, bledsze i płowsze barwy bywają spodem ciała, a ciemniejsze, żywsze, i świetniejsze wierzchem. Jednostajne barwy są rzadkie, najwięcej w białych i czarnych kolorach, chociaż i te nie zawsze

* Milne-Edwards, w przytoczonym dziele.

czyste: pierwsze przechodzą zwykle w bladocieliste, drugie w ciemnogranatowe, jak u łabędzi i kruków. Mniej jeszcze jednostajności przedstawiają inne barwy, jak to uważamy na żółtych kanarkach, czerwonych flamingach, korońcach niebieskich, dzięciołach zielonych i t. p. Zawsze silniejsze części ciała głębiej są nacięniowane, a słabsze jaśniej rozrzedzone.

Jako regułę malowniczego piękna ptaków przyjąć trzeba kolorowe upstrzenie, przez które jedna barwa, jako główny kolor, albo jako tło się przebija i ptakowi jego charakter nadaje. W ogóle charakter i fizyognomia pierzatego rodu zwierząt nie wyrobiły się jeszcze do tego stopnia, aby zwarzyły barwy i zamieniły je na wyraz swój. Są to farby jeszcze świeże, roślinne, nie przerobione, i dla tego pstre kolory najodpowiedniejsze sangwinistycznemu charakterowi ptactwa. Ztąd im ptak mniejszy, tém więcej upstrzony, im roślejszy, poważniejszy i mniej ruchliwy, tym jednostajniejsze ma kolory.

Ptactwo drapieżne ma barwy ciemne, ogorzałe, znamienujące siłę. Sępy są sinobrunatne, z lotkami czarnymi; kondory przeważająco czarne i siwo-chmurkowate. Piękne jest brunatne ogorzałe ubarwienie orłów. Mniejsze drapieżne ptactwo, jak sokoły, jastrzębie, krogulce, kanie, kobusy, sowy, mają mniej więcej takie same płowe i kasztanowate farby.

U ptactwa wodnego kolor biały przeważa, od którego pięknie odbija się czerwony naskórek wydatnego dziobu i nóg pływowych. Białe są mewy, tylko grzbiet i skrzydła są jasnopopielate, białe łabędzie i pelikany, acz są odmiany czarne i popielate. Bezlotki, chodzące w prostej postawie, mają cały przód biały. Tenże sam kolor upowszechniony w domowym ptactwie wodnym, acz siwą jest gęś dzika, a szaro-bestrą dzika kaczka. Ptactwo błotne ustrojone w kolory czarniawe; brodzące ma barwy rozmaite, najwięcej ciemne. Malowne są czarno-białe ubrania bocianów, z czerwoną opończą nóg wysokich i długich dziobów. Czaplą ma na grzbiecie pierze popielato błękitne, a na przodzie szyi długie srebrzyste pióra. Żurawie są popielato-siwe, z czerwonym skórkowatym wyrostkiem w tyle głowy. Pięknie przybrane

są zielone ibisy, purpurowe flamingi, i nasze bąki, z pierzem brunatno-żółtym, i żółto-zielonym naskórkiem u dziobu i nóg.

W najświetniejsze kolory ustrojoném zostało ptastwo leśne, mianowicie w gorących strefach ziemi. Kto widział w ornitologicznych muzeach owe rozliczne gatunki drobnych kolibrów, papug, bażantów, ptaków rajskich, zdumieć się musiał nad tym przepychem kolorów i blasku. Nie nadaremnie zowią Amerykanie kolibry włosami i promieniami słońca, a Indyanie ptaka rajskiego, dla cudnego pierza, ptakiem bogów nazywają. Wszakże i nasi ptaszkiwie leśni strojni są w barwy różnokolorowe, jak kraski, dzięcioły, dudki, gile, wilgi, żolny, zięby i t. p. Przeważają kolory: zielony i żółty, acz są i czarno-białe, jak sroki.

Nakoniec ród kokoszy odznacza się także pomiędzy ptakami pięknobarwnym upstrzeniem piór swoich. Na jego czele stoi paw, z całym bogactwem złoto-zielono-błękitno-piórego odzienia, mianowicie w cudnej roztoczy ogona; pawie srebrne i mieszane lśnią się równym przepychem stroju. Obok nich stawiamy nasze pospolite koguty z bażantowym ubarwieniem szyi, skrzydeł i ogona. Nadobnie strojny w różne kolory jest ród gołębi, turkawek i sinogarlic, bo też nadobne są ich kształty. Perlice mają jakby katunowe odzienie, w tak regularny, kratkowany deseń ułożone są ich popielate piórka. Piękną jest biała pardwa na Podolu z czarnymi plamkami na szyi, i czerwono-bestra kuropatwa we Francyi.

W familiach zwierząt ssących nikną już płonące kolory roślinnego świata, którymi lśniły rody owadów, ryb i ptaków. U ssaków zwarzył organizm pierwotne barwy i przerobił wprawdzie na mniej lśniące kolory, ale za to na trwałe, organiczne maści. Stanowią one nie samą tylko ozdobę, lecz jako przerób organizmu, są oraz wyrazem jego siły, i jego wyższego w rzędzie tworów żywych stanowiska. Maść bywa najczęściej jednostajna, rzadko bestra. Niknie kolor purpurowy, błękitny, zielony, fioletowy, pomarańczowy. Natrafiamy tylko na kolory białe, czarne, szare, żółte, brunatne. Ale widać po nich, że to już nie są farby pierwotne, lecz jakby przegoto-

wane w gorącej krwi organicznego życia, w najrozmaitszy sposób uszaterowane i przemienione. Plamy, pręgi, cętki, nakrapiania, mają podobny wyraz organicznej energii, jak maść sama. U zwierząt, żyjących w stanie natury, bywają z wielką regularnością i symetrią po obu stronach tułowiu rozłożone. U zwierząt domowych wielokroć w mięszańcach tej regularności nie dostawa. Górą zwykle maść ciemna, spodem jasna; tamta odpowiada sile grzbietu, ta miękkości brzucha i słabizn. Z tej samej przyczyny kark ma kolor grzbietu, zaś spód szyi i pierś mają kolor brzucha.

Gdzie zachodzą grzywy i ogony, sierć ich bywa szaterunkiem maści całego korpusu, i miewa barwy ciemniejsze. Zdarzają się jednak częste przypadki, że ogony, stanowiąc głównie ozdobę zwierzęcia, rozmaicie bywają ubarwione, i mianowicie końce w odmienną, to ciemną lub czarną, to jasną lub białą maść przechodzą. Okolica podogonia, dośrodkowe strony nóg, ich kończyny ku kostkom i łapom, miewają także kolory bledsze, bo i tam są słabizny. Pysk i głowa, dające fizjognomiczny wyraz zwierzęciu, najwięcej są w różne kolory uszaterowane. Ciemniejsza bywa maść nad brwiami i na bokobrodach. Czoło często gwiazdą świeci, a koniec pyska i wargi w cielisty wpadają kolor, jeżeli są bez sierci. Ucho ma także dwie różnofarbne powierzchnie; wierzchem jest ciemniejsze, środkiem bledsze. Kolory ócz wyraziste, to ciemno-brunatne, lub ciemno-błękitne, to jasno-zielone, lub żółte; u kretynów czerwone. Białko oka malownie się odbija od ciemnej tęczy i źrenicy. Nareszcie rogowe części, jak rogi, kopyta, pazury i paznogie, zimną, nagą, łyskliwą, nagłębioną powierzchnią, tworzą malownicze przeciwieństwo do ciepłych, siercistych, tłustych maści skóry zwierzęcej.

U potwornych zwierząt ssących, tak co do kształtu, jak co do wielkości, nie będziemy się doszukiwali malowniczego piękna. U słoni, nosorożców, hippopotamów, tapirów, skóry po większej części nagie są szare, ciemne, popielate, i jednostajnego koloru. Sierć leniwców, mrówkojadów, dziobaków, jeżozwierzów, niedoperzy, jest brudno-żółta, ruda, albo czarniawa, bez szczególnych odmian. Kangury więcej pocieszne,

niżeli potworne, są wierzchem koloru brunatno-rdzawego, spodem jasno-szare; ogon ozdobiony z wierzchu brunatną, od spodu rudą farbą, a u końca czarny. Brudne także mają kolory zwierzęta po norach i dziurach kryjące się, a sprawujące odrazę, jak myszy i szczury.

Piękne organiczne farby przedstawiają nam się dopiero w rogatym bydle, a mianowicie w oswojonym. Ładne jest bydło wiśniowe, siwe, czarne, i czarno-bestre, albo czerwono-bestre. Nadobny także rysunek plam kolorowych, acz bez regularności rozłożonych. Dzikie gatunki rogatego bydła, jak bawoły i żubry, są ciemno-bure, a rogi czarnym połyskują blaskiem, kiedy u swojskiej rogacizny są jasnego, ku końcom nieco naciemnionej koloru.

Maść konia podoba się nie tylko z koloru, ale i z połysku sierci. Dzikie konie zachowują jedną barwę: azyatyckie są myszate, amerykańskie ciemno-gniade. W koniu domowym maść się rozrodziła nieskończenie. Od czysto-karych, aż do białych jak mleko, mamy prawie wszystkie organiczne barwy. Srokate konie, kiedyś były ozdobą, dziś zupełnie wyszły z mody; i rzeczywiście maść jednolita o wiele jest piękniejsza. Piękna jest maść skaro-gniada i przeciwna jój jasno-kasztanowata. W innym guście jest maść jabłkowata, podobająca się dla nader pięknego szaterunku. Odmiany u konia białe znajdują się zwykle u pęcín nóg i na czole. Barwy ogona i grzyw tworzą główne szaterunki do maści całego tułowiu, od której są albo ciemniejsze, albo jaśniejsze. Że muły i osły nie rozrodziły się w piękne barwy, dowodzi, że nie ma w nich tego zarodu, do uszlachetnienia rasy, jaki jest w dzielnym rodzie koni. Kapryśnie w poprzeg upręgowany po całym ciele jest z e b r a, gatunek niezdarne konia, z wielkim łbem i wydłużonym ogonem.

Pomiędzy przeżuwaczami, krom bydła rogatego, najpiękniej namalowaną jest girafa, jeleniopardem zwana. Po całej spadzistej szyi, po grzbiecie, bokach i nogach, osiadła barwa izabelowa, w czarne plamki oczkowana; okręgi tych ócz coraz większe, a coraz bledsze, im bliżej słabizn, blade tą samą farbą powleczone. Tuż po jeleniopardach następują smukłe

antylopy, z jasno-rudą, plamkami czarnymi obrzuconą maścią. Kozy w rozmaitych kolorach, białe, czarne, bestre, popielate, są ozdobą okolicy, gdy się po zielonych górach rozejdą. Lamy są także białe, gniadawe, czarniawe i pstre, ale farby na nich piękniej się wydają, niż na kozach, dla tego że ciała ich nie tak chude i kanciate. Z jeleniego rodu najpiękniej ubarwioną sierć mają daniela: jest połyskowna, czerwono-brunatna, białymi plamami na grzbiecie i udach obrzucona. Trafiają się odmiany zupełnie białe i zupełnie czarne. Wszakże nie bez malowniczego powabu są także rude jelenie, ciemno-siwe renifery i czarne łosie.

Zwierzęta drapieżne mają w południowych strefach maść żółto-brunatną, w północnych ciemno-kasztanową. Są to barwy znamionujące moc i siłę. Najwspaniałej ubarwionym jest tygrys królewski: na tle jasno-żółtym, rozciągają się czarne, poprzeczne pręgi. Dziki jaguar ma pokrycie jasno-płowe, oznaczone plamami czarnymi, które w rzędy poprzeczne, po cztery lub pięć, po obu stronach ciała są ułożone. Rys ma plamy czarno-brunatne, na sierci jasno-rudę; lampart na płowej maści jest czarno-oczkowany, co nader zdobnym czyni jego futro. U wszystkich tych zwierząt, jak u kota, spód ciała jest biały, albo blado-żółty, końce nóg także blade, a ogony obrączkowane. Nie ma téj pstrociny plamistej wspaniały lew. Jednostajny kolor żółty, po całym ciele rozlany, nadaje mu piękną powagę, Jest to kolor złota, tylko że w ciepłym żywotnym zwarzony, stracił elementarność barwy i blask metaliczny. Kot dziki pokryty jest włosiem burym, z wierzchu nieco żółtawym, spodem szaro-żółtym; zaś koty domowe rozrodziły się w najrozmaitsze farby: białe, siwe, czarne, bure, płowe, bestre, pręgowane, cętkowane. Najpiękniejsze są rysunki czarnej i białej sierci: pierwsza od grzbieta, druga od piersi i brzucha się rozkłada, obok tego bywają głowa i nogi symetrycznie białe nałożone.

Mniejsze zwierzęta drapieżne, żyjące najwięcej na północy, opatrzone są w futra ciemno-kasztanowatych kolorów, które i dla farby i dla miękkości bywają drogo cenione. Sobol ma futro czarniawo-brunatne, połyskujące, tylko przód głowy

i uszu są białawe. Najpodobniejsze im są tumaki, następnie kuny białoszyje. Smukły ród łasiczy ma już włos podlejszy, brunatno-rdzawy, spodem biały. Wszakże gronostaje, kiedy mają barwę białolśniącą, a końce ogonów czarne, należą do najdroższych futer, którymi zdobią królewskie płaszcze. Pięknie ukolorowane futra mają także lisy: są amerykańskie czarne, lśniące, ze srebrnym włosem, zwane marmurkami; są czysto-białe z pręgą czarniawą na karku i łopatkach, i z tego powodu zowią je krzyżakami; są popielato-niebieskie, i te są najwyżej cenione: sybirskie lisy są żółto-złote, podolskie są jasno-rude z podbrzuszem białym, a i ubarwienie popolitych naszych lisów, w sierci rudoszarej na grzbiecie, a żółtawej spodem, nie jest bez powabu.

Mniej piękne pod względem farby, są futra niedźwiedzi i wilków, pierwsze ciemno-brunatne, drugie płowo-szare, z czarnymi pręgami na przednich nogach. Białe niedźwiedzie i białe wilki znajdują się na północy, i stanowią przeciwieństwo barwy i charakteru. Psy, jak koty domowe, są mieszańcami różnych farb, pomiędzy którymi napotykamy na cale piękne ubarwienia. Szczególniej podobają się czarne psy sybirskie, żółte mopsy; brunatno-łacieate wyżły, białe pudle, czarno i żółto-brunatne taksy, tudzież wielkie psy duńskie, maści płowo-czarniawej, poprzecznie pręgowanej.

Do nadobnych kształtów większej części gryzących zwierząt, dołączyły się także nadobne barwy. Wiewiórki, pospolicie czerwono-rdzawego koloru, z białymi podbrzuszami, przechodzą w rozmaite odmiany. Są siwo-popielate, siwo-kropkowane, są czarne, i zupełnie białe; w Syberyi znajdują się wiewiórki ze srebrno-popielatym futrem. Równie różnobarwnej maści są króliki, między którymi całkiem białe, z czerwonymi oczyma są istne albinosy zwierzęcego rodu. Piękne są futerka chomików, na grzbiecie czarne, na słabiznach żółte; zdobniejsze szynszylłowe, mające włos jedwabisty, szaro-czarniawy, białą farbą falowato oznaczony. Leming, zwany także myszą norweską, ma futerko czarno i żółto pręgowane na grzbiecie. Nakoniec bobry w licznych znajdują się odmianach. Bóbr pospolity ma włos brunatno-rudy, z pod którego puch szary

przeziera. Na północy są bobry czarnego koloru, a niekiedy białe. W Ameryce znajdują się blado-płowe, i bestre z żółtawego i brunatnego koloru.

Ród małpi, najwięcej zbliżony do człowieka, najmniej się odznacza pięknym ubarwieniem. Twarze i dłonie, po największej części nagie, i koloru czarniawego, albo błękitnego, dziwne stanowią przeciwieństwo do reszty ciała, siercią pokrytego, w szaro-rudych, albo w brudno-żółtych kolorach. Twarz błękitnawa orangutanów, ma coś nienaturalnego, bo to barwa zwierzęcemu organizmowi niewłaściwa; wydaje się też jak obca, nabronzowana narośl naskórna. Dziko przedstawia się ogorziała twarz szympansa, i gołe uszy, ręce, piersi i część brzucha, obok czarnego twardego włosa, który resztę ciała pokrywa. Podobieństwo do człowieka wyraźnie z tego powodu brzydnije. Pomiędzy drobniejszymi familiami małp, w których już większe do zwierząt, niżeli do człowieka podobieństwo, zdarzają się niektóre gatunki z nadobniejszym ukolorowaniem, jak n. p. złote lewki, magoty i t. p.

δ) *W człowieku.*

Jeżeli w królestwie zwierząt ssących natura przewarzyła elementarne farby swoje, aby z nich wyprowadzić ciepłe, organiczne barwy najdoskonalszych pacierzowych tworów; to o człowieku powiedzieć można, że kolor jego ciała, nie tylko z ciepła krwi, ale z samego żywota wyrasta, i wszystkie odmiany jego epok i jego warunków przechodzi. Rasowe, plemienne, rodowe znamiona nim się wyrażają; nim się wyraża temperament, charakter, uczucie; on wreszcie jest wyrazem pory wieku, pory dnia i stanu zdrowia.

Przy takim znaczeniu barwy ciała ludzkiego, jako najzupełniejszego znamienia tak stałych, jak zmiennych psychicznych usposobień człowieka, wypada samo przez się, że kolor ciała dotykać musi samych granic nerwowego jego organizmu; że musi się rozlewać na powierzchni samego ciała, i zbyć się wszelkiego pośrednictwa sierci, wełny, lub włosa. Innymi sło-

wy, kolor nagi musi w ciele ludzkim przeważać, a porost włosów służyć tylko może jako szaterunek, stosownie umieszczony. Otóż maść zwierzęca przemienia się u człowieka w cerę, albo skórę jego.

Kiedy mówiliśmy o rasach, była tam już mowa o różnych odmianach cery, którymi się wyróżniają. Natura najpiękniejszą kształtną rasę pokoleń kaukazkich przyozdobiła, oraz w najpiękniejszą cerę białego, cielistego koloru, z rumianymi policzkami, najrozliczniej nacięwaną, stosownie do temperamentu i klimatu. Murzynów ciało ma coś aksamitnego, co się w nim podoba; ile, że to nie jest czarny kolor węgla, ale czerń złagodzona jakimś śniadym pigmentem, co jej oną miękkość bławatną nadaje; przeciwnie biały kolor ciała, nadaje mu chłód alabastru. Ztąd utrzymywali niektórzy, że gdyby typ kaukazki miał kształty swoje powleczone czarnym aksamitem murzyna, byłaby to postać piękniejsza, niżeli w cerze białej. Tymczasem już ta jedna okoliczność przeważa szalę zwycięstwa na stronę piękna płci białej, że na czarnym licu nigdy urok płonącego wstydu nie usiedzie, ani go rumieniec gorących uczuć nie okrasza. Rumieniec na białej twarzy, przechodzący od lekko zaróżowanej bladości, przez wszystkie odcienia różu i czerwieni, do ogorzałego, śniadego narumienienia, jest rzeczywistą malowniczą ozdobą oblicza europejskiego. Na tej samej nawet twarzy, wedle różnego stopnia wewnętrznego gorąca, i uczuć namiętnych, uczerwienie policzka robi się już gorętsze i silniejsze, już chłodniejsze i bledsze.

Kolorowym odcieniem twarzy, obok rumieńca na licu, są koralowe usta, i barwiste, pełne blasku oczy. Karmin ust i mleczne białko oka, odbija się więcej o cerę czarną, niżeli o białą. W obliczu murzyna atoli jest i czerwony barwnik ust spalony, i żar płomienny na nich nie osiada. Jedyłą kolorową wydatnością na jego twarzy zwęglonej są śliczne białe zęby, jak dwa sznury pereł, co się z po za ust odsłaniają, i biel oka, która zbyt jaskrawo z tła, w okół czarnego, wynurza się. Koralowe usta u Europejczyka są niewymowną pięknością, zwłaszcza jeżeli je ciemny zarost osłoni. Ale i u płci pięknej, na gorącej barwie tych ust osiada cały na-

miętny urok niewieści, który do pocałunku zachęca. Blask oka dziwnie bije z oblicza, a kolory jego dodają mu wdzięku. Najpiękniejsze są czarne i niebieskie; pierwsze znamionują silną, ognistą duszę; drugie duszę myślącą i uczucia pełną. Rzadką pięknoscą jest błękitne oko na brunatnej twarzy, i czarne oko przy blondynowym włosie — jakby się dwa przeciwne żywioły w zgodną harmonię z sobą połączyły. Siwe, wielkie oko ma coś elegijnego, i pod danymi okolicznościami może być piękne; szare i piwne najmniej mają wyrazu i powabu. Na tej różnaitości wyrazu kolorowego oka zbywa innym rasom.

Głównym szaterunkiem oblicza, który jego pięknosc nie tylko podnosi, ale nawet warunkuje, jest porost głowy i zarost twarzy. Włos Europejczyka przechodzi przez rozmaite odcienia kolorów, jakie się mieszczą pomiędzy włosem kruczym i jak len białym. Osiada bujnym porostem na wierzchu głowy i na spodnich i skrajnych częściach twarzy. Nie posiadają tej ozdoby oblicza, jaką mu nadają gęste bokobrody, wąsy zawiesziste, i piękne kędziory brody, ani Mongołowie, ani Murzyni. Pierwsi wąs mają długi, ale brodę rzadką; u drugich czarna, kędzierzawa, krótki zarost na czarnej twarzy cale się nie uwydatnia. U jednego tylko Kaukazanina pięknie cale oblicze cieniuje, nadając mu wyraz powagi i męzkości. Jemu też wyłącznie dostały się w podział i różne kolory włosa i jedwabny ich połysk.

Farba włosa odpowiednią jest zawsze cerze ciała. Jasna, biała cera ma kolor włosów jasny, i tworzy pięknych, czułych blondynów. Cudne są kędziory jasno-żółtego włosa, zwijające się jakby w łśniące, złote pierścienie. Po przeciwniej stronie stoją dziarskie, ogniste brunety, z cerą ciemną, kruczymi włosami bardziej jeszcze ocienioną; włos świeci się jak czerń hebanu i zwija się w łagodne pierścienie. Na południu, gdzie gorętsze niebo zbrunatniło cerę, a żar krwi ogniem czarnego oka i połyskiem czarnych włosów płonie, — blondyny uchodzą za rzadkie zjawisko pięknosci. Zaś na północy, gdzie Rembrandt swoje Magdaleny z białym ciałem i złotymi puklami spadających na ramiona wąrkoczy malował, podobają

się brunety. Między obydwojma trzymają środek szatyny, z włosem, mniej więcej ciemnym, ale nie czarnym, z cerą ciała, już bladą, już śniadą, już rumianą. Jest to kolor cery najzwyczajniejszy, ale w wyrazie swoim nieoznaczony; piękno jego malownicze jest przechodne, mające coś i z blondyna i z bruneta.

Jakkolwiek oblicze człowieka nosi na sobie główny wyraz jego fizyognomii, a ztąd blaski, barwy i szaterunki głównie się tu zebrały, na oddanie malowniczego wizerunku ludzkiego, to jednak i po innych częściach ciała rozlewają się piękne cieliste kolory, acz w nie takiej sile malowniczego wyrazu. Nie postrzegamy przedewszystkim owęj dwoistości barw, na dwóch przeciwnych powierzchniach, które się w ubarwieniu roślin i zwierząt pokazywały. To przeciwieństwo kolorów w cerze ludzkiej pokonanym zostało. Barwa się zlała w jeden cielisty kolor, którego napiętość po falistych zwojach ciała rozmaicie się przedstawia. Biały, alabastrowy kolor, bez żadnego nacięniowania włosem, zdobi łabędzi spadek szyi u kobiet, i pięknie utoczone piersi; brodawki środkiem osadzone stanowią wyraźniejszy szaterunek, a półkuliste sklepienia ciała same się cieniują.

U mężczyzn dojrzałych jest kolor ciała więcej nagłębiony, tu owdzie rozrzucony włos szaterunku mu dodaje. To samo się rozumie o kolorze ramion, ud, barków i słabizn. Nadobnie się przedstawia pulchna, biała ręka, z błękitnym nażyłowaniem, które z pod skóry przegląda, z głębszym nacięniowaniem czerwonym w stawach palcy, i z połyskiem drobnych rogowych paznogi, przez które czerwona cielistość ciała przeziernie. Całe ciało jest półprzezroczyste, i stawiając palce przed świecą, widzimy jego czerwoność zapłononą od światła. Równie malowniczą jest stopa; po białej, delikatnej skórcie widać błękitne kolory żył; na grubiej skórcie pięty ciemniejsze, brunatno-cieliste nabarwienie.

c) Idealna wyrazowość okolic i tworów.

Po cudnych okolicach natury, i po malowniczych jej tworach, roztacza się jakiś nieuchwytny wyraz, który jest skutkiem szczególnego połączenia farb i blasku, i jest jakby tchnieniem ich duchowym, odnoszącym się do przypatrującego się im ducha naszego, i obok wrażenia piękna, obudzającym w nas wrażenie jeszcze inne, będące już podmiotowej, już przedmiotowej natury. Każdy tego w życiu swoim doznał, że jedne okolice widziały mu się smutne, inne wesołe; że jedne twory go rozweselały, drugie żal, lub odrazę w nim budziły. Są to wrażenia podmiotowe. Są one w nas, nie w przedmiocie, acz szczególna malowniczość i postawa przedmiotu je obudza.

Ale są i wrażenia przedmiotowe, do przedmiotów bezpośrednio przyrosłe, od naszego usposobienia niezależne, odsłaniające nam ich stan, oraz czasowe i miejscowe stosunki, np. wiek, porę dnia i porę roku i t. p. Zachodzi pewien charakter barw, pewien stosunek blasku, świeżości, napiętości i energii, który obok piękna kolorowego, razem i owe własności wewnętrzne przedmiotu odsłania. I o tej to przedmiotowej wyrazowości, tak tworów, jak okolic, w krótkości jeszcze mówić zamyślamy, a spostrzegamy się oraz, że już tylko jedną nogą stoimy na polu plastycznego piękna natury, a drugą przechodzimy już w inny, idealny jego zakres.

Kiedy malarz pędzlem zdejmuje okolicę, nie chodzi mu o to, coby nawet w wykonaniu było niepodobieństwem, aby wszystkie jej szczegółowości wiernie przeniósł na płótno; ale o to przede wszystkim, aby kolorytem farb swoich oddał ów koloryt barw naturalnych, które się w jeden wyraz, w jeden ton zlewają, a stanowią okolicy charakter i wdzięk niewypowiedziany. Podobnie, kiedy malarz zdejmuje wizerunek oblicza ludzkiego, nie sadzi się na to, aby skopiował ciało z wszystkimi jego materyalnymi drobnostkami; ale chce skopiować życie, a zatem przenieść wszystkie te barwy i blaski, te cienie i światła, po których się ono unosi, nadając sobie w nich wyraz swój. Otóż jedno i drugie jest ową idealną

stroną malowniczego piękna, która się tak po okolicach, jak po tworach rozściela, i jest tchnieniem, wyrazem życia onychże.

Te wyrazy malownicze są już skutkiem przypadkowych, przemijających okoliczności; już stałych przyczyn, i na prawach natury opartych. Do pierwszych policzamy zmiany powietrzne. Kiedy się słońce za obłoki schowa, inaczej się przedstawia koloryt okolicy i tworów, bo cieniem namroczoney; a inaczej, gdy światło promienne je rozświeca i tak barwy, jak blaski żywszymi czyni. Malowną się ukazuje każda powierzchnia, gdy na niej przeciwieństwo cieni i światła osiada, i jedna jej część jasnością się promieni, a druga w mroku ciemnieje. — Wyraźniejsza jeszcze powstaje zmiana kolorytu, gdy całe niebo zasępięne chmurami, lub gdy pora dżdżysta nastąpiła. Cała natura wtedy zasępięna, osmutniały piękne barwy drzew i kwiatów, posmutniał i ptak i zwierz zmokły, i świetne blaski łyszczących kamieni pokryły się. Za to, gdy po ulewie i nawałnicy pogoda nastąpiła, uroczą świeżość po całej okolicy się rozciąga, nabierając wyrazu jędrności i zdrowia, co tak miłe, ożywcze sprawia wrażenie.

Czym są zmiany powietrza w naturze, tym są moralne wpływy w krainie ducha człowieka, które, podobnie jak tamte, ciało osobny nadają wyraz. Zachodzi nawet pewne powinowactwo pomiędzy zmianami meteorologicznymi, a psychicznym usposobieniem człowieka. Pogody usposabiają do wesołego humoru, niepogody do smutku i posępnosci, wichry i burze do melancholii. Od razu poznasz smutek wypiętnowany na twarzy; poznasz i wesołość. Tu blask oka żywszy, farby jaśniejsze, cały wyraz jakby rozświecony; tam spojrzenie stępione, cera omroczone, wyraz twarzy zasępięny. Wiadomą jest rzeczą, że zmiana klimatu, mianowicie posępnych okolic północnych na uśmiechające się wdziękami okolice prawie zawsze pogodnego włoskiego nieba, pomaga do zdrowia i melancholików uleczają. Któryś z naszych poetów drugiego rzędu, poczuł dopiero w sobie zdolności do rymotwórstwa, gdy się w cudne okolice Neapolu i Palermo przeniósł.

Ale jako człowiekowi często nie do twarzy weselość, jeżeli jój humor i dowcip nie krasi, i gdy tak dusza, jak ciało, ubogie w przymioty piękna; jak z drugiej strony smutek tym rzewliwszy, posepność tym niewłaściwsza, im na urodliwszej twarzy osiada, — tak i w okolicach i tworach natury zdarza się disharmonia pomiędzy tonem światła, a kolorytem przedmiotów. Kiedy po obszernym rozłogu puszczy afrykańskiej, na której nic nie widać, krom zasp pługowego piasku, jakby kupowisk zgliszcza nieorganicznej natury, — albo krom płyty nagiej skały, jakby grobowego kamienia z przedpotopowych czasów; — kiedy po takim pustkowiu rozścielą się złote, lub purpurowe światła słoneczne, rodzi się uczucie tragicznej ironii, z powodu téj szkieletowej nagości okolicy, a przepychem kolorowego piękna, w które ją natura chwilowo stroi. I znowu, jeżeli na bujnej i cudnej okolicy zwrotnikowego nieba, po nad rajskimi brzegami rzek wielkich, gdy słotna pora nastaje, chmury zachodnimi wiatrami gnane, cały widnokrąg zakryją i zasępią, i deszcze lać zaczną, żal się robi około serca, że nie można wyjrzeć na świat, niedawno uroku pełen, że tyle piękności natury, tyle bogactw barwy i blasku, znikło w dżdżystym pomroku. — Oto estetyczne przeczucie téj klęski, jaką potop świata sprawił, i z radością w sercu wita człowiek tęczę na niebie, jako godło przymierza między Bogiem a rodzajem ludzkim, które mu daje moralną pewność, że Bóg już świata potopem karać nie będzie. Taka sama sprzeczność powstaje, gdy gad brzydki z kryjówek ciemnych wylezie i potworne cielsko na światło słoneczne wystawi; albo gdy piękny zwierz dziki, pod inne strefy i do klatki przeniesiony, z tęszności niszczeje, i świetność kolorytu traci.

Słońce jest źródłem wszystkiego malowniczego piękna w naturze; ono téż przez pozorny obrot swój około ziemi, i po ekliptyce, jest przyczyną tego wyrazu więcej idealnego, niż plastycznego piękna, jaki wywołuje różna pora dnia i roku. — Jest jakaś świeżość barw o porankowej dobie; jakaś blada żółtość upalona, jakiś ton syrokkowy, podczas południowego upału; jest jakieś chłodne orzeźwienie w kolorycie wieczornego nieba, który się okolicom i tworom udziela. Po ko-

lorze. światła, który się nie da opisać, ale uczuć się daje, poznać można porankowe, przedpołudniowe, popołudniowe i wieczorne światło. Jest pewne stopniowanie jego napiętości, które się barwom udziela, i które wzrokiem rozróżnić można, tak jak strój tonu słuchem rozróżniamy.

W górzystych okolicach, doby wschodzącego i zachodzącego słońca, należą do najmalowniczych. Nic nie ma wspanialszego nad gorzenie śnieżnych szczytów skalistych Alp w blasku porannego, albo wieczornego światła. Kiedy w oddali na wschodzie niebo brzaskiem dnia dopiero rumienić się poczyna, a ziemia szwajcarska, jak długa i szeroka, po dolinach grubą jeszcze ciemnością nocy pokryta, zapalają się nagle jakby płomieniem, najprzód najwyższe turnie Alp i goreć się zdają. Z nich pada blask czerwony na niższe urwiska i wierzchołki, aż grzbiet całego gór łańcucha różannym zapłoni światłem. Cudne to widowisko trwa tylko kilka minut. Bo jak tylko słońce wejdzie nad horyzont, szczyty śnieżne, oblane jego światłem, bielą się srebrną białością, a niższe szczyty płoną, aż i głębiny nizin zwolna się rozwidnią. Na ten sam sposób ustępuje światło zachodzącego słońca, ustępując z nizin ku gór szczytom. Na dole już mrok zalega i ciemności się rozpołożyły po dolinach, kiedy u góry jeszcze wierzchołki kąpią się w złocie i w purpurze zachodzących promieni. Ale gdy i tam światło poblednie i uciecze, czerwony blask turniów szarzeje coraz widoczniej, jakby krew wytoczona, gdy w rozkład chemiczny przechodzi. Wtedy koloryt tych skał blade i trupi, robi wrażenie, jakby duchów zaklętych, co się w tych wysokościach nad ciemnościami ziemi unoszą. Tak więc z nastaniem poranku zachwyca nas malowny widok alpejskiej struktury, z dnia ustankiem nas przeraża. To téż wesoły, pieśniowy jest charakter kolorytu, co się w porankowym świetle oczom naszym odsłania, a przeciwnie koloryt wieczorny, acz miły, ma coś elegijnego i smętnego.

Co dzień wraca różanny poranek, i codzień zachodzi wieczór purpurowy, jeżeli pogoda tym objawom sprzyja, a tym czasem ziemia po przestrzennym gościńcu słonecznym toczy, i zakreśla bieg swój roczny, w którym przez różną oddal od

promieni słońca tworzy pory roku na ziemi. Każda z nich ma swój właściwy koloryt. — Najwyraźniejszym jest charakter zimy, bo jój w naszych stronach smutne nadaje piętno ustanek wszelkiej wegetacyi. Drzewa nagie, pola gołe, niebo chmurne, ołowiane, białosc lodów i śniegów jak daleko oko zasięga, — oto posępne nabarwienie zimy. Bywają jednak dni, w których się piękno zimowe odsłania, gdy po mroźnej nocy, w której niezwykle iskrzyły się gwiazdy, późne, rumienne słońce weszło na pogodnym lazurowym niebie i brylantowym odbiło się blaskiem o zmarzłą pokrywę śniegu, i o sopte i iglice lodu, co się po drzewach i gałęziach porozwieszały. Błękit nieba ciemny, bo powietrze suche; ziemia przybrała się w czystą, srebrzysto-białą suknię, jakby słońce promieniste do ślubu prowadzić ją miało, i lasy postroiły także czarne gałązki swoje białymi koronkami z lodu i śniegu. Śnieg skrzypi pod nogami, a para na jasnym przezroczym powietrzu, jak mgła, widomie się unosi, każdy przedmiot w konturach swoich ostro na tle białego powietrza narysowany, a słońce jaskrawe, chociaż chłodne, rzuca promienie. Tak się przedstawia koloryt pięknej zimowej okolicy. Pod zwrotnikami nie ma mrozów, ale za to posępne chmury, które cały horyzont zakryły, i deszcze, co przez wiele tygodni padają, sprawiają jednostajną, pochmurną, niemłą posępność światowego oblicza.

Przeciwny charakter ma skwarne lato. Niebo zwykle pogodne, ale od upału słonecznego jakby zamglone, a ta mgła świetelna drząc, na okolicy się rozkłada, przezrzoczą jasność widnokregu zanieczyszcza, a barwy i blaski przedstawiają się jakby wyglądały z pod delikatnej gazowej obsłony, z białych promieni słonecznych utkanęj. Ziemia najbujniejszą wegetacją pokryta; już kwiecie opadło, owoc się zawiązał i na spiece słońca dojrzewa. Pod zwrotnikowymi upałami trawy już wypalone, i cała zieleń, dostatecznie nagłębiona, stoczyła się do lasów wilgotnych, i po nad brzegi wód, gęstą roślinnością porosłych. Powierzchnie stojących wód, jak zwierciadła poświetlają, które sobie słońce na ziemi rozwiesiło, aby się z gwiazdami mogło w nich przeglądać; bo zrzadka o téj porze wiatry się ruszają, coby gładki spokój wody zakłócały. W zimie

zatym mróz, w lecie skwar, nadają ton kolorytowi okolic i cechują porę roku.

Inne zupełnie przeciwieństwo leży w kolorowym charakterze wiosny i jesieni, podobne charakterom porannej i wieczornej doby. Świeżość wonna rozlana w powietrzu, wesoła wrzawa owadów i ptastwa, co się w nim rozlega, nowy ruch i życie, co się objawia z przybyciem wędrownych ptaków, z pieśnią skowronka, z kukaniem kukawki, z rechcieniem żab, z tarciem się ryb, z parzeniem się ptastwa, ciekaniem zwierza; — wszystko to zdaje się udzielać charakterowi okolicy, i zostawać w harmonii z barwami wiosennymi, w które się świeżo natura przystraja. Po niebie przeciągają jeszcze chmury, zapóźnione, ostatnie hufce napowietrznych zastępów zimy, co jej strojne suknie nieraz jeszcze okryją szarugą; ale ją wiatry wiosenne, wysłane za nimi w pogoń, wnet rozpędzą, i znowu słońce jasno na pogodnym niebie zaświeci. Zieleń łąk, oźmin, i drzew, świeża i połyskliwa, bo co dopiero jakby z nitki, powychylały się trawy i liście; a widać po kolorze, że to młodziuchne, jasne barwy. Niebawem rozkwitły drzewa i zioła, i ziemia zamieniła się w jeden, wielki nieprzejrzany ogród, najcudniejszymi kwiatkami strojny, po których hasają, połyskliwe chrząszcze, przysiadują nadobne motyle, pszczoła miód słodki z ich kielicha pije, ptaszek z gałązki na gałązkę skacze, a po kwiecistej łące wije się wąż łyskliwy. Życie i barwy, powietrze i niebo, zlewają się w jeden ton malowniczy, który nam piękną, wesołą wiosnę cechuje.

Inna jest jesień. Ma i ona swoje wdzięki i powaby, ale są to wdzięki pięknej natury, która już rodziła. Sprzątnione dojrzałe zboża i owoce z drzew obrane; pusto, smutno się robi po polach; zieleń łąk płowieje, gdzie nigdzie tylko jesienny kwiatek wystrzela, a po drzewach późny owoc się żółci. W cudne kolory barwią się lasy, bo jedno liście już się czerwieni, drugie żółknie, trzecie jeszcze zielenią się krasi, a najrozmaitsze ich tony i farby. Niewymowny elegijny urok przechadzka po lesie o tej porze sprawia. Tak i mąż w jesieni wieku swojego zdobny w dojrzałe przymioty ciała i duszy; tak i matrona piękną jest w gronie dzieci swoich; ale pozna-

jesz po charakterze tych wdzięków, że wkrótce opaść i owiednąć mają, i ustąpić miejsca nowemu, wiosennemu pokoleniu. Poranki o téj porze chłodne, mgła gruba często zalega, i promienie słońca w walkę zapaśną z nią wchodzą. Pokonana pogodę przynosi, gdy zwycięży, dżdżystość i słotę sprowadza. Babie lato ostatkiem ciepła grzeje, a po polach szmaty białej pajęczyny latają, jakby wyskubki zimowego odzienia, które pajęczki z siebie wysnuwają. Ptastwo śpiewać przestało, a wędrownie w ciepłe strony odlata. Zwierz siercią ciepłą na zimę się opatruje. W końcu liść zaczyna gromadnie opadać i wyszcierać ziemię, wiatry silnie wieją, i białe śrony, zwiastuny zimy, się okazują.

Te charaktery światła, różne o różnych porach dnia i roku, udzielają się także tworom natury, i nadają im osobny, piękny wyraz, który w harmonii do owych charakterów zostaje. Jakiśmy widzieli, inne są barwy i blaski roślin na wiosnę, a inne w jesieni. Inne téż jest zwierząt ubranie latem, a inne zimą. Futro sobole w zimie jest czarniawe, a bledsze w porze letniej. Lisy niebieskie, zamieszkujące okolice lodowatego morza, we Wrześniu są czysto białe, tylko na karku i łopatkach mają pręgę czarniawą. W listopadzie i ta pręga znika; od Grudnia do Marca nabierają połysku popielato-niebieskiego. Podobnie i inne zwierzęta barwę sierci, mniej więcej, z porą roku zmieniają.

O poranku i ku wieczorowi żywsze są kolory roślin, koło południa owiedniały i tracą na świeżości. Równie i barwy zwierząt inaczéj się przedstawiają w różnych dnia dobach. A jako rośliny ku wieczorowi zwieszają listki i kwiatki, zamykają kielichy swoje, zaś z rannym słońcem, zwilżone chłodną rosą, podnoszą się i otwierają, — tak i zwierzęta z początkiem dnia żywsze są i weselsze, a wieczorem zemdlone całodziennym ruchem mają się do spoczynku.

Ale więcej jeszcze piękno wyrazowe człowieka do malowniczego charakteru pór dnia i roku stosuje się. — Snem pokrzepiony stawa człowiek z nowymi siłami, z wypoczętym ciałem; noc zdmuchnęła z czoła zeszlodienne troski życia; chłód poranny orzeźwił i zjedrnił ciało; dzień nowy, a więc

i nowa przyszłość, lepszą nadzieją pocieszyła ducha; i dla tego wyraz człowieka o tój dobie jest jędrny i trzeźwy, pogodny i miły. Mniej więc w takie samo usposobienie wprowadza nas wiosna, w której odżywa cała natura, nadzieje budzi i wdziękami się umila. Jak o poranku, tak o wiosennej porze, światło łagodne słońca, gdy twarz człowieka obleje, mile ją krasi i piękności dodaje.

Wśród południa, jak wśród skwarne go lata, upał ciało nuży, siły wątłej, umysł traci na świeżości; członki ociężały; człowiek szuka wypoczynku i pokrzepienia się pokarmem. Ochoczo wraca rolnik z czeladką z pola, gdy dzwonek na kościelnój wieży na południe zadzwonił; pospieszają z zaostrozonym pracą apetytem, a promienie zenitowego słońca padają jaskrawo na ich oznojone i ogorzałe oblicza, które wesołość i zdrowie upięknia. Znojne i gorące lato ten sam na ludziach piętnuje wyraz, bo słodzi ciężką pracę nadzieją przyszłego żniwa.

Najpowaźniejszą jest doba po zachodzie słońca. Znowu dzień jeden w życiu człowieka przeminął; — dzień pracy i zabiegów. Każdy zdąży z pola i z drogi do domu, do rodziny, a złote i purpurowe kolory zachodniego nieba dziwnie pięknie twarz jego oświecają, i ścielą się przed nim, jakoby złocąc i różując mu drogę do wypoczynku, który go po całodziennych trudach czeka w słodkich snu objęciach. Ale zanim go matka natura wyrwie z tego życia troski i pracy, i przeniesie w świat miłej ułudy, w świat lekkich fantasmagorycznych widziadeł; — przygotowuje mu wytchnienie na jawie o wieczornej dobie, która już do marzeń usposabia. To też pewna lubość rozlewa się po twarzach w chwilach wieczornych, które noc poprzedzają, czy to pojrzysz na wędrownika, co zdąży do gospody; czy na gospodarza, co z żoną i dziećmi zasiadł przed domem; czy na czeladkę, która się koło wieczerzy uwija. Zmierzch już zaciemnia rysy oblicza i majaczej w nim ruchy ciała; jasność świecy rzuca sztuczne światło na obrócone ku sobie części twarzy i ciała, a drugie w głębokiej cieni ukrywa. Jedno i drugie miewa czarujący urok, i piękność malowną człowieka w sferę romantyczną przenosi.

Jesień chłodna, z gołymi polami i płowymi łąkami i drzewami, przypomina także, że jeden dzień jawu ziemi naszój przeminał, w którym odbywała pracę rodzajności swojój, i że i ona ma się ku spoczynkowi, jaki jój gotuje zbliżająca się zima. Stan pory takiój maluje się na obliczu ludzi wyrazem zadowolenia, z powodu nagromadzonego do gumien żniwa, i ukończonój pracy w polu, ale i wyrazem smętku z powodu opustoszałych okolic i elegijnego ich charakteru. Nawet piękne dni jesienne, zanim jeszcze liść opadł, nie inaksze na człowieka robią wrażenie, jak żeby się wśród cmentarza, ozdobnego kwiatami i drzewem, przechadzał. Ztąd chłód jakiś rozlewa się po twarzy, a blade promienie, ukośno od słońca przesyłane, jeszcze go wydatniejszym czynią.

Zima kurczy członki, człowiek się otula w futra; atoli wiatr mroźny rumieni policzki, blask oka zaostrza, i nie jedna twarz, dla bladeści i wątłego ciała mniej piękna, pięknieje na mrozie. Pojrzyj na chłopców hasających po lodzie, albo staczających harce na kule ze śniegu, jak kwitnące rumieńcem ich lica, jak strzeliste ich oko, jaka niepomność dojmującego zimna, jaki wesoły wyskok życia wśród smutnój, martwój natury.

O porach wieku ludzkiego jużesmy mówili, i pokazały się dla nich osobne kształtowe wyrazy, cechujące młodość, męskość i starość. Z tymi cechami są zgodne malownicze ich cechy, i jest pewna zgodność kolorytu charakteru w całej naturze, ilekroć idzie o oznaczenie młodości, lub starości jakiego tworzu. — Pojrzyj na dziecko, czy to w niemowlęcym, czy w pacholęcym wieku, a z blasku żywego oka domyślisz się, że tam utajona cała przyszłość ducha, a z żywych rumieńców na licach i ustach, i z nagłębionój, gorącój, cielistój farby całego ciała wniesiesz, jakie tam musi być zdrowie żywota, jaka pełność i obfitość soków. Gładkość lica, pulchność ciała, po którym puch drobny osiada, włos na głowie najczęściej jasny, lśniący spojrzenie niewinne, anielskie, — to wszystko zlewa się w jedną harmonią farb, z którój wyraz dziecięcego, malowniczego piękna od razu podaje się, tak, że go pod żadnym strojem nie ukryjesz.

To samo postrzegamy i w innych organicznych tworach natury. Świeżo uległe, lub wyległe zwierzęta nie są piękne, bo zazwyczaj potrzebują jeszcze czasu do całkowitego swojego wykształtu, jak pisklęta i zwierzęta śleporodne. Ale po zupełnym ich wypierzeniu i wyskórzeniu się, widzimy blask oka głębszy, ciała smuklejsze, okrągłejsze, a po nich farby miękkie, głębsze, jakby świeżo dopiero nałożone. Koloryt młodości zwierzęcej wyraźnie się w nich przedstawia. — W królestwie roślinnym młody szczep, lub młoda flanca, te same odsłania cechy młodzieńczej pulchności, soczystości i barwistości. Młode listki, gdy się wywięzują, są miękkie, mięsiste, stulone jak w powiciu, lepkie, i ten lep połysk świeży im nadaje; barwa soczysta, tłusta, świeża, jakby jeszcze mokra; kolor przechodzi dopiero w zieleń, bywa żółty, brunatny, błękitnawy, albo czerwony, odznaczający soczystą energią ku przyszłemu wykształtowi. A że młode listki ciągle się puszczają, na każdym drzewie poznasz je po jaśniejszej barwie, i prawie byś mógł po intonacji tej farby wiek oznaczyć. Kora gałązek delikatna, gładka, kolorowa. W młodym pączku kwiecica widzisz podobne otulenie, podobny lep, i barwy jego, niekiedy głębsze, pełniejsze, niżeli w rozkwitłym stanie.

Wszakże i w nieorganicznej naturze chwytny wielokrotnie ów idealny koloryt młodości, który się z wrażenia całości tworu podaje. Porównaj wodę źródlaną, co się świeżo z wnętrzości ziemi dobywa, czystą jak kryształ, porównaj ponik i strumyk przezroczysty, co się z tego źródła sączy, i zaraz, jak źrebiec swawolny, po skałach hasa; — porównaj ją z wodą większych strumieni i rzek szerokich, ażali nie powiesz, że tam młodość piękna, czysta i rwista, tu wiek poważny, rozrosły, głęboki, a często mętny? Przypatrz się kryształowi górnemu, jego przezroczystości, symetrii; przypatrz się barwom i blaskowi minerałów, a instynktem poczujesz, że to młodsze formacje od granitu. Zwiedź Australią i jej przyległe małe wyspy, z koralu uformowane, środkiem jeszcze zalane wodą i dla tego niezamieszkałe; popatrz po tym kraju, gdzie jeszcze większe zwierzęta ssące się nie zagnieździły, a nawet owadów i minerałów skąpo, ale za to wegetacya obfita, i mno-

gie roje ptastwa zewsząd się nazlatywały; — gdzie jest ojczyzna potwornych dziobaków i ptaków bez skrzydeł i bez ogona, zwanych *kivi*; gdzie orły są białe, a łabędzie czerwone, zaś inne ptastwo włosem zamiast pierzem pokryte; — gdzie drzewa rosną nisko, a trawy wysoko: gdzie gruszki wiszą u grubego, nie u cienkiego końca, a pestki wisien na wierzchu siedzą; — a z tego wszystkiego nabierzesz wrażenia, jakie sprawia charakter młodej jeszcze kapryśnej ziemi. — I gdybyśmy na podobny sposób potrafili powziąć wrażenie z całego naszego planety, uderzyłby nas wyraz, odpowiedni jego porze wieku.

Na przeciwniej stronie stoi poważna postać starca. Któżby go nie poznał po białej siwiznie włosów, po bielącej się i świecącej szerokiej łysinie, po zorany czole, po zmarszczkach twarzy; po omdlałym, wilgotnym, zaczerwienionym oku, po skórze ciała, po której włos wszędzie, jak mech porasta? — Te same znamiona starości pokazują się u zwierząt. Barwy płowieją, szarzeją, oko wilżeje, ciało wędnieje, skóra się fałdzi, niedołączność z całej postawy przegląda. Nie może tu być wyrazu powagi, bo nie ma moralnej zasługi. W królestwie roślin u drzew zastępuje ją forma zewnętrzna — wyniosłość rozmiarów. Jeżeli się po nich znamiona starości obrzuca, wraca wrażenie powagi. Nie ma jej roślina bez pnia i konarów, ani ta, której żywot w jednym roku przechodzi wszystkie pory wieku. Lecz kiedy staniesz przed tysiącletnim dębem, w okół którego tyle pokoleń ludzkich powstało i pomarło, który przetrwał burze ziemi i dziejów, mimowolnie na jego widok uszanowanie cię ogarnia. I cała postać drzewa nosi na sobie takiej sędziwej powagi charakter. Pień gruby, że go kilkoro ludzi ramionami nie obejmie; kora głęboko poorana, rdzeń środkiem wypruchniały, mech po nim, jak broda porasta; konary grube, ogromne, sekaty, ale krótkie, i nie wiele ich, bo słabsze snąć burza strzaskała; liść jeszcze zielony, świeży, co rok koroną się obrzuca, i dziwne sprawia przeciwieństwo tej corocznej, świeżej, wiosennej sukni, i tego rozsiadłego tysiącletniego szkieletu!

Posępno poważne i romantyczno-wzniosłe jest wrażenie

lasu dziewiczego, jakie jeszcze Ameryka przedstawia. Są to odwieczne, nieprzebyte bory, najrozmaitszego drzewa, które najbujniejsza wegetacya do olbrzymiej wysokości i grubości rozsadziła. Łomy olbrzymich pniów legły wywrotem, bo jedne przegniły od starości i wilgoci, drugie burze powaliły. — Z nich nowe pokolenie wyrosło. Tak przez wiele tysięcy lat las odwieczny się rozrastał, gnił i odmładzał się; i tysiąletni starzec widzi się w otoczeniu tysiąca pokoleń, z których jedno od drugiego rokiem młodsze. Tu dzika, strojna, bujna natura, i sama starość wśród takiej roślinnej potęgi, widzi się potężna — ale i straszliwa. Bo w tych oczeretach niedostępnych, w tych mokrzadach jak świat starych, w tych ciemnych zaroślach, przez które się promień słońca nie przecisnie, ropic się musi życie wegetacyjne, i tylko gad brzydki i jadowity mieszkanie tam swoje zakłada. Ale po nad brzegami rzek, które te lasy szerokim korytem przerzynają, po nad ich krańcami, wspaniałe są gąszcze i rozrosty starych drzew, po których nieprzeliczone ptastwo się gnieździ i zwierzdziki tu ma legowiska swoje. Las taki pamięta wszystkie epoki ziemi naszej, odkąd tylko z zalewu wód oschła, warstwą rodzajną się pokryła, i w drzewa porosła.

„Znałem ludzi, — powiada Wincenty Pol w *Obrazach z życia i natury* * — których widok puszczy w natchnienie wprawiał. Rozkrywa tu przyrodzenie przed człowiekiem, jakoby wnętrze swoje i świat jest tam mniej powabnym, ale głębszym i prawdziwszym, a myśl idzie tam, jakoby dnem życia?

„Ów tajemniczy mrok i ta współsenna cisza natury, która owiała sklepienia olbrzymich drzew, zdaje się zapowiadać, że tutaj przyrodzenie gotuje się do czegoś innego; — z głębi puszczy, z po za cienistych łomów i przysłonionych gałęzi przegląda oczekiwanie, i brak czegoś widocznie..... wichru! Wichru!... bo on tylko zdoła je ożywić dla człowieka, bo on wprowadza dramat w naturę przysłonioną urokiem.“

* Tom I. str. 100 i nast.

„Bo kiedy wicher silniej dmie, czuć go i na dole pod sklepieniem puszczy, i paproć się skłania i wrzos wylega, i wody się marszczą. Ale najczęściej powiewa tylko wierzchem drzew, mocniej i słabiej na przemian, w sposób fal olbrzymich, z których jedna po drugiej bije, lub wstrzymuje się na chwilę, czekając, zanim poprzednia odpłynie.“

„Czarodziejską jest ta gra puszczy i wprawia umysł w jakieś dziwne zadumanie. W tym poświęście milionów zielonych igieł, które w powietrzu grają, kołysząc się na konarach drzew, leży jakiś wątek dziwnej pieśni, dzikiej i rzewnej, a osobliwym jest widok takiej puszczy, w czasie, gdy szumi. Patrzącemu na nią z wierzchu wysokiej sosny rozściela się ona, jak ciemna, równa tarcza, dokoła nakryta szarym kieli-chem niebios. Zda się że nic nie widać, jak nie widać na morzu; wierzchołki drzew się mącą i płyną, i biją jak łany kłosów, jak fale morza, a po nich duch puszczy się pławi, i owiewa skronie jedynym oddechem tej dzicy.“

„Spuszczając się na dół, tylko czasami przeciera się wierzchem zielony strop puszczy, i widać tylko szybko przemykające się chmurki, jak szare płatki po ciemnym sklepieniu. Na dole nieład przedwiecznego lasu, zawały, złomiska porośnięte skorupami mchów, owiane lekkimi kitkami paproci.

„Czasami wywali wiatr sosnę lub jodłę z kretesem, która na pował szmat lasu druzgocąc, postawi korzenie kilku, a nawet kilkunastu drzew, wraz z ziemią, niby ścianą na poprzek puszczy. Z pomiędzy korzeni opuszcza się młody porost leśny, na piętrze, niby ze ściany wyrosły, i wysycha, gdy mu tam na życie zabraknie. Jeżeli się te złomy nie pokryją mchem, wtenczas wypłókują deszcze i śniegi resztę ziemi, a tak leżą i sterczą na poprzek puszczy stare i młode szkielety drzew, jak kłęby węzów korzeniami z sobą poplątane.“

„Takie to najeżone łomy i zawały drzew, jeżeli opodal od pasiek i siedzib leśnych w głębiach puszczy leżą, nazywają myśliwi *gawrą niedźwiedzią* albo *matecznikiem*.“

„Wijących się roślin brak lasom litewskim zupełnie i to nadaje puszczo-
m w ogólności ów chłodny i trzeźwy wyraz ro-

ślinności północnej w okolicach, kędy nie są młodym drzewem, lub krzewami podszyte.“

„Miejscami kraj jest tak niskim, iż nie zdoła utrzymać wód, i zatapia je w bagno, brzegi bowiem są na znacznej bardzo przestrzeni podmokłe i nieprzystępne, a rzeki płyną tak wolno, iż długo patrzeć na nie wypada, aby poznać kędy wagę wzięły. A wody ich są miękkie, rude, kawowe, czarne zupełnie niekiedy, tchnące żywicą sosny.“

„Miejscami napotyka się na *rojsty*. Są to duże, dzikie, dymiące się błota, ostrowami mchu rudego i kępami skrzypiu porośłe. Gdziekolwiek wykrzywia się po tych ostrowach karłowata błotna brzośka, lub bajrakowata sosenka, ocepiona papuziem i liszajcami, lub ostrym oplecione zielskiem. Z kępy na kępę skacząc, a spoczywając niekiedy na większym ostrowie przebywa *rojst* myśliwy. Pomiedzy kępami drży pod jego nogą bezdenne trzęsawisko, a niemą ścianą otaczają puszcze w znacznym oddaleniu do koła rojstowate bagna. Miejscami zdarzy się śród wielkich odkrytych błót mała spłazina, na której porosły gaik brzożowy, lub kilka samotnie w górę wystrzelających sosen, nadają zupełnie inny wyraz całej okolicy, niby samotna oaza w pustyni błotnej.“

„Obszar puszczy znacznie wyniesionej dokoła, zowie się *ostępem*. Roślinność zwykle na ostępach bujniejsza, wrzos obfitszy, drzewa większe, lubo w ogólności powiedzieć można, iż nigdzie nie dochodzą w Europie drzewa iglaste téj wysokości i grubości co w téj okolicy. Gęsto napotyka się na drzewo, które kilku chłopów objąć za ledwie zdoła u spodu, i nie ma siły, któraby sięgnęła przez wszystką grubość masztowej sosny.“

„Miejscami wśród lasów rozświeca się puszcza i widać wyżej niebo, gdy rozdnieje pod zielonym sklepieniem, a niżej wody błyszczące szeroko rozlane. Są to jeziora Litwy, szklane i blade, jak niebo litewskie. Patrząc od strony jeziora, widzisz dokoła bór niemy, dołem do olbrzymiego częstokołu podobien, a niby zacierniony u góry chojną całej puszczy. Dziwna, tęskna spokojność towarzyszy okolicom takim... Gdzie niegdzie rzuci się wielka ryba i drobna fala zatoczy kręgi po

jeziorze. Chłód lekki powiewa od wód. Środkiem jeziora nie ujrzyć nigdzie trzciny lub szuwaru, i po cichszych zatokach rozwiera dziewiczy swój kielich wodna lilija, niby samotna nimfa tych północnych jezior.“

„Jak twarz niewiasty nabiera nowego uroku i nowych wdzięków od téj tajemnicy, która się kryje za lekką zasłoną, podobnie dodają wdziękowi tym chłodnym widokom litewskich jezior poranne lub wieczorne mgły, powstające z wód, lub dzielące się nad wodami. Już w nocy poczynają te mgły grać ponad jeziorem, do Ossyanowskich cieni podobne, przy świetle księżycy. Lecz całego uroku nabiera dopiero w ów czas ten widok, gdy rumiana zorza obleje jezioro, gdy blask słońca pali ukośnym promieniem lekko zmarszczoną powierzchnią, a przeciągłe cienie puszczy padną daleko na wody.“

„Innym zupełnie jest ten widok, kiedy się wichry zerwie, i gdy się niebo zasepi, kiedy szum wichru, szum puszczy i szum fali zmiesza i pokłóci się z sobą; wówczas biją wysokie czarne fale ku brzegom gwałtownie, i puszcza od nich jeszcze czarniejsza, a niebo nad nią, nisko zawieszona, szara. Wszystko groźne i ponure; wszystkie ciche głosy natury niemieją i słychać tylko wrzask czapeli, które się trwożliwie zrywają z gniazd gęsto usłanych na szczytach sosen po okrańcach puszczy.“

„A kiedy się brzegi takiego jeziora pominię, zaszuwa się znowu puszcza ponad głową i dawna powraca ponurość... Miejscami kraj wznosi się nieco, a nawet znacznie, wśród starodrzewnych lasów, i wały się ciągną, i nagle powstały jakieś wzgórza i kopce, niby sztuką usypane. Są to odwieczne wydmy, w wielkich falach do poziomu złożone, i nasypy lotnych niegdyś piasków, które się z wiekami ustaliły i borem porosły... Ujrzelśmy jeden z nich z jednej strony oberwany do połowy przez rzekę, która go podebrała, a w téj odkrytej mogile piasków stojące sosny, skamieniałe na pniu, na których szczycie nowe i kto wie już które wzrastało pokolenie drzew.“

Oto jeden z cudnych obrazków puszczy litewskiej, które tak malownym piórem naszkicował genialny autor obrazów natury, na własnych postrzeżeniach oparty. Widać i tu posępną

ale i urocą barwę dziewiczych północnych kniei, przepłatanych mokrzadami i jeziorami, a na wyniosłościach zgrzybiałą powagę starych sosien, tak odległych wiekiem swoim, że się w zasypach piasku, pnie ich petryfikowały, a z czubków tych skamieniałości nowe wyrastały pokolenia, żywiczną świeżością igliwia strojne.

Z téj epoki datują także skały. Ich ogromy kamieniste sterczące jak obnażone szkielety ziemi, na powierzchni zwiertrzone, siwe i omeszałe, wydają się jak poważne skamieniałe postawy tworów, z przedpotopowego rodu, co tu w rozpadlinach, i na wysokościach gór przysiadły, nieme świadki dziejów natury i ludzkości, od tyłu tysięcy lat. Im wyżéj strzełyły, tym starsze wydaje się ich oblicze, bo wszystko ciało organicznój ziemi z nich opadło; same głązy, jak kości wyschłe sterczą, i śniegi i lody pobielily im głowy. Jako w Bogu odwiecznym niezmiernoność czasu, niezmiernoność przestrzeni i niezmiernoność siły, robią straszliwym jego majestat, — tak cząstki tych niezmiernoności: masy jako siły, wysokości i ogromu jako przestrzeni, starości jako czasu, nadają onym głączom siwym i niebosiężnym wspaniało-straszliwy wyraz. A część gloriy niebieskiej zdaje się zlewać na tych pierworodnych synów ziemi, bośmy widzieli, z jakim przepychem światła o porannéj i wieczornéj dobie, słońce im siwe skronie opromienia.

Pomiędzy starością a chłopcym wiekiem mieści się wiek młodzieńczy i męski. Jak u ludzi, tak u zwierząt i roślin. odgadujemy kolorowe i wyrazowe odcienia, które je i od dwóch poprzednich pór wieku, i między sobą wyróżniają. Charakter młodzieńczej pory jest kwitnący, męskiej pory rodzajny. Ztąd tam koloryt żywszy, barwy świeższe, blask świetniejszy; tu koloryt więcéj zwarzony, barwy przedojrzałe, blask przytępiony. Szaterunki młodości są jaśniejsze; ciemniejsze męskiego wieku. U ludzi uważamy je po zaroście, u zwierząt po farbie sierci lub pierza, u roślin po kolorze liści. Pory wieku rośliny jednorocznój odpowiadają porom roku; kwitnienie przypada na młodość, wydanie nasienia, lub owocu na męskość wieku. U drzew młodość poczyna się, gdy pierwszy raz zaczynają kwitnąć, a wiek męski ich poznasz po rozłożystości konarów,

po popełkanėj już korze, po przewodze ciemnego liścia nad jaśnym. U ptastwa i większych zwierząt ssących, w młodzieńczym ich wieku, barwy pierza i sierci do zupełności się wykształcają. Gdy ptastwo staje się nośne, a zwierzęta się parzą, już przechodzą w wiek męski.

Od malowniczego wyrazu pór czasu i wieku, przechodzimy nareszcie do malowniczego wyrazu uczuć, jako do ostatniej stacyi wyrazowego piękna. Kolory jakie się tu okazują, już nie są skutkiem przyrodzonych, fizycznych barwników, ale skutkiem psychicznych, wewnętrznych podniet, które uczuciami nazywamy. Plastyczność takiego piękna uwiązana wprawdzie jeszcze do barwy, która się widocznie na materyalnym ciełe rozściela, ale idealnymi całkim są już, tak jego przyczyny, jak jego wrażenia. Zakres tego piękna stacza się dla tego do samego człowieka i do jego stron idealnych; a im idealniejszy będzie typ ludzi, tym wydatniejszy wyraz malowny uczuciowego piękna.

W nieorganizmie i w roślinach beznerwowych o uczuciach mowy być nie może. Napotykamy tylko na odległe ślady i skazówki tego, co się dopiero w najdoskonalszym tworze natury ma pojawić. Tak n. p. cośmy już przy fosforescencji światła uważali, wiele ciał, za najłżejszym potarciem, inne za tarcie mocnym, lub uderzeniem, wydają białawe światelko, mniej więcej żywe, które pociemku zobaczyć można; każde świeże narysowanie minerału, te same skutki sprawia, a ucierając feldszpad biały w mózdzierzu, cała massa zdaje się gorąć. Przez rozgrzanie w ogniu, ciała kopalne stają się świecące i zmieniają farby swoje. Moglibyśmy więc uważać gdyby w minerale był jakiś organizm żywotny, że te blaski i zmienności farb, są skutkiem obudzonego w nim uczucia, czy to przez tarcie, uderzenie, czy przez ogień. I bywa niekiedy mamiące takiego pozornego uczucia naśladowanie, zwłaszcza kiedy ostrym rylcem po powierzchni minerału pociągniesz. Rys na ciemno-czerwonym cynobrze szkarłatem zajaśni; na żelaziaku błyszczącym, który jest barwy ciemno-stalowej, wieszniowym kolorem zaświeci; na krwawnicy (rudzie żelaznej czerwonej) jakby krwią się zaleje.

Pomiędzy roślinami na podobne natrafiamy ślady, jakby obudzonego w nich uczucia, co się pewnym malowniczym wyrazem na zewnątrz objawia. W ogóle przyznać trzeba, że każda roślina we wszystkich porach rozrostu swojego wesoło obudza spojrzenie. Brak zupełny roślinnego życia, to straszliwy obraz piaszczystych lub skalistych obszarów. Niedostatek drzew robi okolicę gołą i chłodną. Już mech porastający na kamieniu mile oko bawi, a trawy i zioła, krzewy i drzewa są wesołą ozdobą każdego ustronia. — Pień, gałąź, liść, kwiat, owoc, wszystko to zdobne i rozweselające oko. Człowiek dla tego skwapliwie i chętnie połączył żywot swój z żywotem roślin, by nimi się upięknąć i rozradować. Nasycę się ich wonią, bawi ich kształtem misternym i cudnym strojem kwiatu, wśród miłości używa ich jako symbolu uczuć swoich. Dorodna dziewica krasi się ich zakwittem, zwycięzcę męża lub młodziana wieńczy laur lub liść dębowy, przy uroczystościach czy religijnych, czy świeckich, umajone i kwiatem obrzucone drogi, rozwieszane wieńce i girlandy. Wszystko to znamiona wesołości.

Atoli jest i wyobrażenie smutku, żałoby, nawet zgrozy, które się łączy do pewnych roślin. Nie tylko ciemny i ponury kolor liścia i igliwia obudza odpowiednie ponure uczucie, ale podnosi je sam skład stulonych do siebie gałązek, cisnących się w okół rdzennego pnia, jakby z żalu lub z boleści. A gdzie nie ma tego żałobliwego stulenia, tam wiotkie, długie, cieniučne gałązki owisły ku ziemi, jak włos rozpuszczonego warkocza osmutniałej dziewczyny, a listki drobne, powiewne wiatrem, drżą jak łyzy w oczach i płakać się zdają. — Któż nie podziwiał płaczącej wierzby, albo płaczącej brzozy, co w tej smutnej postawie, długie zielone warkoczki swoje kąpie w przerozu sadzawki lub stawu!

Nie dziw więc, że człowiek w tak naturalny sposób zespolił żal i boleść swoją, z tak wyraźnie osmutnioną i jakby płaczącą postawą tych drzew. Widzimy je po cmentarzach, przy pomnikach drogich pamięci naszej osób zgasłych, przy uroczych ustępach, gdzie myśl samotna, tak chętnie zaduma się w elegijnych stronach doczesnego życia. A i Izraelici

w niewoli Babilońskiej, ponad brzegami rzek, obsadzonych płaczącymi wierzbami opłakiwali utratę Syonu, zawieszając harfy swoje na obwisłych ku ziemi gałęziach.

Ciemne iglaste drzewo, z pniem wysokim, bezgałęzistym i tylko u korony rozłożystymi konarami i burym igliwem zdobne, nastęcza się więcęć do wyrażenia smutku, niżeli drzewa obficie liśmi umajone. Już mitologia grecka uświęciła ten melancholiczny wyraz koniferów. Bożkowie Pan i Boreusz pokochali namiętnie piękną nymfę *Pitys* (jodła), która więcęć sprzyjała pierwszemu. Zazdrosny Boreasz zabił niewdzięczną kochankę, którą Bogowie z miłosierdzia w drzewo jodłowe zamienili. Ilekroć Boreasz nad lasem jodłowym zawieje, tylekroć zapłacze jodła i w żywiczne krople łyzy swoje zamienia. Najwięcęć jednak żaloby i ponuręj powagi ma drzewo cyprysowe i rozmarynowe. Tamto w piramidowym swym kształcie smętną bywa ozdobą miejsc wiecznego spoczynku. W starożytności było Plutonowi, bogowi piekieł poświęcone, a kapłani jego stroili skronia swoje w wieńce cyprysowe. Rozmarynem obsadzają groby pomarłych, a goście pogrzebowi nosili za trumną gałązki rozmarynu, aby je potym wraz z ziemią wrzucić do grobu. Starożytni obwieszali rozmarynem posążki domowych bożków swoich, aby domu bronili od nieszczęścia i żaloby.

Z drzew liściatych, krom płaczącęj wierzby i płaczącęj brzozy, były i są jeszcze inne drzewa wyrazem wydatnęj smętności. Smukła i wyniosła włoska topol, ciągłym poszmerem drobnych i przytulonych liści, śpiewa jakby psalm żałobny. Heliady, siostry nieszczęśliwego Faetona, w nieutulonym płaczu po bracie swoim, zamienione zostały z miłosierdzia bożego w płacziwe topole, szemrzą dziś jeszcze skargi swoje liśmi, a na każdą wiosnę pąkowania ich płaczą łąż żywiczną. Płaczące jesiony spuszczają z korony pnia do samęj ziemi smukłe i gęsto oliścione gałązki swoje i tworzą jakby namiot żałobny, w którym schowana żałobna dla nas pamiątka. Furye i Erinnye, owe straszliwe boginie tartaru, smagały nielitościwie potępieńców prętami z jesionu płaczącego.

Od smutku, żałoby, boleści do zgrozy jeden krok tylko. Śmierć i zniszczenie podaje wyraz zgrozy, chociaż pod danymi warunkami dołączyć się doń może obraz tragicznej wspaniałości. W zwrotnikowych okolicach wypalone od skwaru słońca obszary traw i zieleni podają corocznie wizerunek takiego zniszczenia. W naszych strefach mamy go co zimę, gdy obnażone z liści lasy sterczą martwymi konarami, jak szkieletami trupów. Tylko gdy śnieg drobny każdą gałązkę białym puchem obwinie, albo gdy się w kryształkach lodu po całym drzewie rozwieszonych, promienie słońca w tęczowych barwach odbijają, a śnieżna polana od spodu jak śmiertelne prześciera-dło grunt ziemi okrywa, przedstawia się melancholizny prawda, ale zawsze wspaniałą natury widok.

Zgrozę zniszczenia gwałtownego daje nam raz po raz straszliwa walka żywiołów z potężnym światem roślinnym. Straszliwe łomoty orkanów, wyjących przez bory i lasy, jakoby rykiem piekielnym, co zapamiętałe niszczy i łamie cudny ornament, którym stwórca dobrotliwy ziemię uozdobił, — powodzie wód spienionych, co tocząc z gór rwistymi potokami, wywracają z gruntu, na co trafiają, obalają z korzeniem podmulone wodą drzewa, zatapiają lasy, pola, łąki i ogrody; — nareszcie ogień, który wśród suchego lata albo step zapali, który z niezmierną szybkością, płomień wiatrem gnany pędzi, albo część boru w płomieniach stanie i daleką łuną, mianowicie w nocy sięga; — oto groźliwe, ale i wspaniałe obrazy natury, toczą-cęj walkę w olbrzymich rozmiarach o byt swój.

„Do osobliwości tych okolic — powiada Wincenty Pol* będą jeszcze należały letnie *góry lasów*, czyli *pożary puszczy*. Z trzaskiem czepia się pożar najprzód krzewów, wrzosowiny, mchów, wyschlęj trawy i smolnych korzeni po ziemi, nurtując spodem i zwęgłając wszystko pod piaskiem, czego się tylko uchwyli; potem zbiega pożar wysokim słupem po sośnie lub jodle i osmala w jednej chwili wszystką hoinę. Żywica występuje z drzewa na korę, która z trzaskiem od gorąca pęka, i całe drzewo płonie jak pochodnia w potokach palącej się

* Obrazy z życia i natury. Tom I. str. 109.

żywicy... Powoli zbiega z niego płomień tój olbrzymiej głowni w przelocie gdy wiatr silniej zadmie, aż w końcu przepalona wali się z łomotem i sypie pod niebo iskrami, uderzywszy w piekielne ognisko!“ — „Widziałem pożar taki. Z rana na milę rozciągały się dymy pod sklepieniami puszczy, równą, wązką, błękitnąwą smugą i stały w miejscu nieruchome. Zdała huczało ognisko. Gorąco nie dozwalało przystąpić, i cała puszcza drżała w ogrzanym powietrzu. W południe ścielił się dym po ziemi i nic nie można było widzieć. W nocy stał ogień ogromnym słupem wśród puszczy, wysoko bił płomień, iskry leciały i wielka łuna świeciła na niebie.“ — „Po tygodniach i po miesiącach całych jaśnieją nad puszciami łuny takie, a co noc w tój samej stronie, a co noc szerzej, aż je w końcu szarga jesienna zalewa.“ — „Widziałem, jak się raz wyniósł ogień z puszczy na otwarte błota i zamienił je w ciągu jednej nocy w palający trzon. Nurtując po wyschłym torfowisku, płynął ogień w gorejących potokach, podobien do rzeki, dzieląc się na drobne ramiona. Następnie zbliżały się po ciągiem wiatru te ogniste rzeki ku sobie, i tworząc osobne centra, uderzyły płomieniami w górę. Przez jedną chwilę zdało się całe obszerne bagnisko ognistą powodzią zalane; potym opadł płomień, a czarne dymy skreśliły się w wielkich kłębach ku niebu. Gdy je wiatr odniósł, poczerniało znowu całe bagno, i tylko małe ogniska gorzały przez resztę nocy, po każdej wyniosłej *kępinie*. Paląca się puszcza podobną była do gorejącego miasta, a palące się torfowiska po *kępinach*, do małych ognisk wielkiego obozu, który się rozłożył pod miastem.“

Coś podobnego są *nocne tropy* wśród puszczy zawalnych litewskich, o których także W. Pol. wspomina. Wśród ciemnej cichłej nocy puszcza świeci odwiecznym próchnem. Powalone pokładem liczne drzewa, na pozór czerstwe, rozsypują się za stąpieniem, jak purchawka. Rozrzucone próchno świeci mdłym fosforycznym światłem i idący nocą zostawia po sobie niby gorejące ślady upiora. Ryś tropi tak sarnę a myśliwy zwierza dzikiego.

Atoli najwyższą żywotną czynnością rośliny jest jój za-

płodzenie w porze kwitnienia. W tym czasie téż szczególnież zjawiska, jakby uczuciowe, pokazują się. Krażenie soków bywa wtedy prędsze, wydzielanie kwasu węglowego, a ztąd spalenie węgla znaczniejsze, rozwija się ciepło nieraz o kilka stopni wyższe od temperatury powietrza, jak to uważano w familiach obrazkowatych (*arum maculatum*, *cordifolium italicum* i t. p.) w których się merkuryusz podniósł do 30°; b u ł a w k a rozwinięta ulega przez kilka dni gorączce, która w początku kwitnienia słaba, wzrasta dni następnych, a po zapłodnieniu ustaje. Uważano także w kwiatach nasturcyi, w p o c h u t n i k u afrykańskim (*pandanus*) i w kwiatach żywego, żółtego, lub pomarańczowego koloru, że z nich światelka strumieniami wytryskiwają. Wszystko to dowodzi, że jeżeli nie uczucie, to siły żywotne, mocno są w czasie roślinnego zakwitu poruszone, i tłómaczy zjawisko, o którym jużesmy wyżej wspomnieli, że świetność i intonacya barw kwiecistych w czasie zapłodu jest największa. Odpowiednią jest oraz barwa liści; roślina przedstawia się wtenczas w najpyszniejszej, bo godowej swojej szacie, z urokiem ciepła i światła na kwiatowym obliczu.

Czym jest kwiat na roślinie, tym jest oko u zwierzęcia, a że oko jest oknem duszy, tędy téż wyglądają rozbudzone uczucia zwierzęce, ciepłem krwi i drażliwością nerw podniecane. Mowa tu tylko być może o większych i doskonalszych zwierzętach, gdzie oko jest dość wielkie, aby mogło się stać zwierciadłem ich duszy. Sierć, pierze i łuska, częścią dla rogowej, beczuciowej materyi, częścią że kolorowe ich kończyny zbyt oddalone są od naczyń nerwowych skóry, nie ulegają wpływowi uczuć zwierzęcych, i barw swoich nie zmieniają. Tylko, gdzie nagie, mięsiste znajdują się wyrostki, tam krew, namiętnością podżegniona, nabiega i farbę widocznie zmienia. Korale u indyków, grzebienie u kogutów, uszka u kur i perlic, nabierają żywego, czerwonego koloru wśród ich walk zaciekłych, albo w czasie parzenia się.

U niższych gatunków zwierząt, u których i oko drobne i krew zimna, i nerwy nie dosyć wykształcone, mniej jeszcze spostrzegamy śladów uczuciowego kolorytu. U owadów akt

zapłodzenia i niesienie jaj odbywa się w ostatniej metamorfozie ich ciała, kiedy najświetniejsze i najżywsze mają ubarwienie. Świętojański robaczek, samica, rozwija nocą blask światła pięknego, dając znak samcowi, kędy przebywa. Zmiany farb kameleona przypisują także większemu, lub mniejszemu napływowi krwi błękitnej, co zapewne znowu jest skutkiem wewnętrznych wrażeń téj osobliwej jaszczurki.

Atoli są to same rzadkie i wyjątkowe przypadki, które powyższego prawidła nie zmieniają, że uczucia u zwierząt niższych całe się na zewnątrz przez barwę, ni przez blask nie pokazują, a u większych i wyższych zwierząt do blasku i wyrazu samego tylko oka się staczają. Blask ten nie byłby zawsze zrozumiały, gdyby go inne, towarzyszące mu znamiona, nie tłómaczyły, jak ruchy ciała, głos i cała nakoniec postawa zwierzęcia. W ogóle w uczuciach dodatnych, energicznych, blask oka bywa żywy, jasny, ognisty n. p. w objawie ciekawości, radości, w żądzy zdobyczy, w chuci zwierzęcej; — przenikliwy i straszliwy w gniewie i drapieżności. W uczuciach ujemnych blask mdleje, blednie, tępieje, jak w trwodze, w żalu, w pokorze, w bólu.

I ludzkie uczucia i namiętności przedewszystkim w oku objawiają się; tam się gromadzą i tłoczą, jakby się zeń na zewnątrz wydobyć chciały, — tylko że wyrazy i spojrzenia tych ócz idealniejsze, bo duchowe. Samo oko ze lśniącą, kulistą powierzchnią, z tłem białym, na którym przezroczysta tęcz czarownym blaskiem już czarnego, już błękitnego koloru płonie, rzucając biały punkt światła to na tę, to na owę stronę, nieskończenie więcej ma wdzięku i uroku, niżeli oko zwierzęce. Bo ileż tu razem nagromadzonych czarów, ponęt i potęg piękności! Jedno spojrzenie tego cudnego oka, jakby jeden łysk talizmanu duszy, rozbraja, pokonywa, więzi; — to rozkazuje, przenika, zastrasza; — to pieści, zachwyca, uszczęśliwia! Z tych ócz cisną się nawałem wzburzone namiętności wewnętrznej piekła duszy, migając jaskrawymi ognikami; — i z tych samych ócz leją się potokiem ubłogosławione spojrzenia czulej miłości, i szczęście samego nieba w nich się odślania. Z nich patrzy wzgarda sucha, duma nadęta i ironija

gorzka; ale z nich téż jaśniej boskim prawie urokiem wyraz przebaczenia, i niewypowiedziane słodki wyraz litości. Oko, zapłonione gniewem, występuje na wierzch; żalem lub boleścią duszy ściśnięte, zapada w sklepienie; wśród zawstydzienia, słoni wzrok, i powiekę ku ziemi spuszcza; wśród radości rozwiera się i jasnym blaskiem oblewa. W strachu blask ten błędnie i wzrok przenikliwie strzela; a wśród rozrzewnienia, oko zwilżone łni się mocniej, a łza zawieszona na rzęsach, świeci jak perła rosy na kwieciu.

Atoli uczucia człowieka i wewnętrzny stan duszy jego, objawiają się nie tylko w idealnym blasku oka, ale oraz i w kolorach oblicza. Pędzel natury jest tu w posłudze samego ducha i maluje po twarzy wyraz jego. Jako czerstwe zdrowie wygląda z czerstwój cery, z żywego rumieńca na policzkach, z karminu ust, i z pewnego miękkiego połysku gładkiej twarzy; a przeciwnie chorobliwość albo gwałtownym rozpaleniem, albo bladą i żółtą cerą, spiekłymi, sinymi ustami, i zapadłym licem znamieniuje się; — tak i zdrowie moralne ducha, jego niewinność, szlachetność i czyste sumienie, ma koloryt oblicza miły, wdzięczny i spokojny; zaś choroby ducha: namiętności, burze życia i występki, wyorały się tam marszczkami, napiętnowały farbami zwiędłymi, bladymi, — żółtymi, albo wystąpiły chwilowym płomieniem na twarzy, lub wreszcie zostawiły czerwone i miedziane ślady rozpustnego życia.

Śliczny jest koloryt niewinności i powinowatej z nią wstydlivosti. Urok jego mianowicie w młodzieńcu i dziewczycy jest czarujący. Niewinność utrzymuje w równowadze rumieniec i biały kolor cery, zostaje w harmonii z anielskim oka spojrzeniem, w którym się czysta jak kryształ dusza przegląda. Wstyd nagłym, żywym rumieńcem oblewa całe lica, i do samych krańców twarzy dociera. Myśl niekoniecznie występna, ale dotykająca granic, gdzie się występki i wina rodzi, gdy się w obliczności świadka, który ją ocenić może, objawi słowem, gestem lub czynem, rodzi w duszy, jeszcze występkiem nieskalanój, ambaras i zawstydzienie, które się zapłonieniem twarzy zdradza. Krew ciśnie się na powierzchnię

twarzy, i blask oka mocniej zabłysnął, jakby płomień z krateru duszy wybuchnął, gdy się tam wiedza dobrego i złego, przez przytomność drugiej osoby, na dwa przeciwne bieguny rozstała. Z całego wyrazu twarzy to przeciwieństwo wyczytasz, a że tło dobre i niewinne, po którym myśl zdrożna, jak cień mknęła, ztąd taki urok frasośliwego zarumienienia się.

Płonienie twarzy bywa także skutkiem wewnętrznej gorączki, a wtenczas jakaś gorąca atmosfera twarz otacza, i barwom jęj rumianym ciepło i żywot nadaje. Uważamy stan taki w rzeczywistych gorączkach. Twarz malownej nabiera czerwieni, połysk oka podniesiony, i tylko na ustach suchych widać chorobliwą spiekę. Twarz młoda w takim stanie szczególnie jest piękną, i bywały przypadki, że ktoś osobę, zobaczywszy ją w tak malowniczej gorączce, pokochał.

Inna jest gorączka, będąca skutkiem naturalnego, podniesionego ciepła; ma tę samą atmosferę ciepłą, która z twarzy bije, to samo płonienie oblicza, tylko mniej gwałtowne, ten sam zwiększony połysk oka, jeżeli jest otwarte, a nadto ma żywszy, miękki karmin na ustach, który ściera charakter chorobliwości, i urok płonącej twarzy tym wdzięczniejszym czyni. Stan taki z nader malowniczym wyrazem postrzegamy w miłości, kiedy jęj ognie namiętne, krewkość ciała podnieciły, i gorącymi płomieniami na twarz kochanków wystąpiły, rumieniając ich usta i lica, a połyskując w blasku ich ócz rozszczęśliwionych.

O wiele idealniejszym jest płonienie całego ciała w uspieniu, gdy je rozgrzała podniesiona temperatura krwi. Oko zamknięte, jakby wśród śmierci, a oddech ciepły i lekki z ust się dobywa; barwiste kolory żywota w wyższej intonacji na obliczu płoną. Cały ten obraz urocze sprawia wrażenie życia będącego symbolem śmierci, a śmierci, jako snu miłego, z nadzieją zesnuwania. Cudnym jest anielski śmiech dzieciny, w kolebce uspionej, który igra na jego rumianych usteczkach, a barwa czerwona, płonąca, zda się, że występuje z pod delikatnego naskórku ciała i po nad jego powierzchnią ciepłem żywota grzeje.

U osób słabych nerwów, u położnic i somnambolicznych, powtarza się to samo, jakby duchowe płonienie całego ciała, a oblicza w szczególności najczęściej przy uśpieniu. Kto stał nad łóżem młodej położnicy, w pierwszych dniach po wydaniu na świat dziecka, zauważył ten idealny, jakby duchowy koloryt ciała. Błogość i szczęście po ustąpionych bólach maluje się wtenczas na twarzy, lekką gorączką napłonionój; oblicze i ciało nabiera subtelności, jakby przezroczej, i występuje jakieś ciepło miłe, płonące, prawie dotykalne. Osoba, snem magnetycznym ujęta, mająca widzenia innego świata, przedstawia podobny, idealny koloryt oblicza, tylko jeszcze o wiele wdzięczniejszy, bo ideałowymi widzeniami nastrojony.

Nareszcie w stanie wszelkiego rodzaju zachwycenia przemienia się ziemskie oblicze człowieka w idealny, niebiański jego wyraz. Potęgi wezbranego uczucia, podnosząc go do wyższych, zaziemskich sfer, rozświecają twarz jego tym blaskiem idealnym, tym kolorytem duchowym, tym wyrazem zapału i natchnienia, który zachwyca, porywa i udziela się. Szpetna nawet twarz, staje się natenczas piękną, albowiem wzniosłe potęgi ducha, które z niej świecą, przemagają nad ułomnościami ciała. Najczęściej w stanie takiej inspiracyi widzimy artystów i improwizatorów, komponistów przy wykonywaniu dzieł muzycznych, mówców w zapale mowy, poetów w natchnieniu, ludzi w gorącej modlitwie do Boga, i w ogóle osoby z potężnym charakterem i wielkim sercem, w chwilach wzniosłych i stanowczych. Szlachetne uniesienia i radość niespodziana, rozlewają także na twarzy podobny urok jasny i lśniący, acz już nie w takiej czystości idealnej. Pewna mętność domięszczywa się także w wybuchach fanatyzmu wszelkiego rodzaju. Badawcze oko dostrzeże że połysk ich oka już graniczy z połyskiem obłąkanych; a gorąco zapału, zwykle po bladej, zimnej twarzy się unosząc, uderzający z takiego połączenia sprawia kontrast.

Piękny, elegijny bywa urok bladej, po twarzy rozlanój, dopóki oko czyste i jasne, i usta różane. Twarz taka, ocieniona ciemnym włosem, jest romantyczno-urocza. Ponieważ do bladego koloru zawsze przywiązuje się wrażenie moralnych

lub fizycznych cierpień, przeto wyraz pięknej, młodej, bladej twarzy, wydaje się, jak anioł boleści, jak ideał piękna, wśród padołu płaczu. Dziewica blada, urodziwa, podobna do róży białej, która się podoba, ale nie ęci, zajmuje, ale nie zapala. Młodzian o bladym licu, z połyskiem w oku, znamieniuje piękną duszę, ale zdradza oraz albo strwonione zdrowie, albo nabołałe serce.

Lecz bladeść może być straszliwa w rozpacz, w złości niepohamowanej, w fanatycznym obłąkaniu. Usta wtedy sienieją i drgają, a wzrok żgający błyskawice ciska i sztyletem przeszywa. Wszystkie ujemne potęgi ducha: zbrodnia, zemsta, chciwość, podstęp, obłuda, chytrność, rozpusta, zazdrość, bladą cerą na obliczu się malają i na tym tle odpowiedni sobie wyraz nadają. Juliusz Cezar, jakby w ciągłym przeczuciu gwałtownej śmierci, najwięcej się bał ludzi bladych i chudych. I rzeczywiście jest jakaś trwożąca tajemniczość w postawie i w twarzy bladego męża, u którego czerstwości i pełności sił dojrzałego wieku spodziewały się trzeba. Bladeść jego oblicza zdaje się być poszlaką, że w głębi duszy nurtuje jakaś utajona myśl, która go trawi, dla tego że na jaśnią wydobyć się nie śmie. Bladeść w niemocy, lub w nędzy, bladeść więźniów, ludzi naukowych i zakonników, ma charakter chorobliwy i tylko pod pewnymi warunkami, może być estetycznie piękną. Musi w niej zawsze świecić idealność, a żadna okoliczność obca nie powinna wzbudzać odrazy. Pod tym warunkiem może i bladeść trupia być piękną, i sztuka malarska często ją brała za przedmiot tworów swoich. Wskazujemy tu tylko na rozliczne obrazy konających, albo poległych rycerzy, i na różne przedstawienia Chrystusa na krzyżu, wykonane przez najpierwszych mistrzów niemal wszystkich szkół malarskich.

Piękno plastyczne natury doszło do *apogeum* swojego. Od budowy architektonicznych mas ziemi, przeszło do snycerskich wykształtów istot organicznych, następnie do światła i barw, w których malarska sztuka natury odsłoniła się. Ostatni, najwyższy koloryt pokazał się w człowieku, gdzie już idealnym, bo duchowym poświatłał wyrazem. Plastyka natury tu znika i przerzuca się w jej idealność. Na polu plastycznego piętna natury, tak rozległym jak świat, a przynajmniej jak ziemia nasza, — trzeba było przewodniej myśli, by po jój kłębku wyjść z tego labiryntu rozmiarów, tworów i obrazów, i o jój świetle odczytać hieroglif ich pięknego oblicza i utajonej w nim estetycznej myśli. Podał nam ją nasz System Umnictwa. Lecz nie dosyć było na odczytaniu i zrozumieniu tak ogólnego jak szczególnego piękna natury, trzeba je oraz było rysunkiem słów zdejmować. O ile w tej pracy szczęśliwymi byliśmy, czytelnik osądzi. Trudna to i niewdzięczna praca, rysować słowami, malować opisem. Trudna, bo na nieskończone szczegóły i odcienia piękna natury, któż znajdzie w mowie ludzkiej odpowiednie i stosowne wyrazy? Niewdzięczna, bo by też najobszerniejszym opisem, nigdy nie wyczerpnie się całkowitej istoty szczegółowego piękna, a im rozwlekleszy opis, tym trudniejsze znalezienie w nim jedności obrazu. Natura stworzyła piękno plastyczne dla zmysłu wzroku, który je jednym rzutem w całości ogarnia, i do poczucia w głębinie ducha naszego przenosi. Nie zastąpi tego nigdy opis, by też najtrafniejszy.

Zdawałoby się ztąd, że umiejętność estetyczna, posiegająca się po piękno natury, po niewłaściwy chwyta dla siebie przedmiot, albowiem go słowami oddać nie potrafi; i że jednym z najnudniejszych przedmiotów, byłoby rozprawianie o przedmiocie, który każdy oczyma daleko prędzej i daleko dokładniej poznawa. Takby było rzeczywiście, gdyby estetyka w tej części powiatu swojego była tylko opisującą, i chciała sobie wzięść za przedmiot opisywać piękno natury. Ona je pojmuje, nie opisuje; ona wnika w jego istotę, i odsłania niepolicone w nim utajone bogactwa; ona rozłamuje siedm pieczęci, którymi w naturze piękno zakłete leżało. Albowiem co

w piśmie świętym powiedziano jest, iż są ludzie, co mają oczy ku widzeniu, a nie widzą, co mają uszy ku słyszeniu, a nie słyszą, to się w całej rozciągłości tego znaczenia da do piękna natury zastosować. Tysiące i miliony ócz na nie patrzą, a nie widzą; tysiące widzą a nie pojmują. Trzeba estetycznego oka, aby je zobaczyć, trzeba poetycznej duszy, aby je pojąć, trzeba fantazyi, aby je krótkim, a wydatnym rzutem słów skreślić do zrozumienia. Estetyka piękna natury, tak pojętego i przedstawionego, sprawia istotną rozkosz czytającemu, i nagradza sownie pracę autora, który wysnuwając ją z siebie, najprzód, i w daleko rozciąglejszej mierze, onę rozkoszy zakosztował.

Wszelako, jakkolwiek wielką i obszerną jest praca, którą w tym przedmiocie podjęliśmy, wyznajemy szczerze, że stała nam tylko za dowód, jak jest maluczką i niedostateczną, w porównaniu z jego ogromem i obszarem, jak jest słabym światełkiem ku rozświeceniu piękna natury, które się rozlewa przez nieskończoność przestrzeni, przez nieskończoność kształtów, i przez nieskończoność kolorów i świateł. W pokorze ducha powtarzamy z psalmistą i eklesiastykiem Pańskim: „Wszystko co jedno chciał Pan, uczynił na niebie, na ziemi, na morzu i we wszystkich przepaściach.“ „Któż wystawi możliwości Pańskie? da w posłuch wszystkie chwały jego?“ — Któż go ujrzy i wypowie? a kto go wychwali, jako jest od początku. Wiele rzeczy skrytych, większych niżli te; bośmy mało widzieli spraw jego. A Pan stworzył wszystko.“ — „Wiele będziem mówić, a ustaniemy w słowach: a summa mów: On jest we wszystkim.“

PORZĄDEK RZECZY

TOMU SZÓSTEGO — CZĘŚCI DRUGIEJ.



Str.

PIĘKNO NATURY PLASTYCZNE CZŁOWIEKA

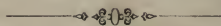
1.	Rozmiary piękna ludzkiego	1
2.	Kształty piękna ludzkiego	6
3.	Wyrazy piękna ludzkiego	19
	<i>a)</i> Formy ogólne ludzkości	19
	<i>α)</i> Piękno plei	20
	<i>β)</i> Piękno pór wieku	26
	<i>γ)</i> Estetyczne znaczenie śmierci i snu	32
	<i>b)</i> Formy szczególne ludzkości	33
	<i>a)</i> Rasy	34
	<i>β)</i> Narodowości	38
	<i>γ)</i> Rody	53
	<i>c)</i> Formy pojedynkowe ludzkości	54
	<i>a)</i> Charaktery	55
	<i>β)</i> Fizyognomie	65
	<i>γ)</i> Ruchy ciała	73

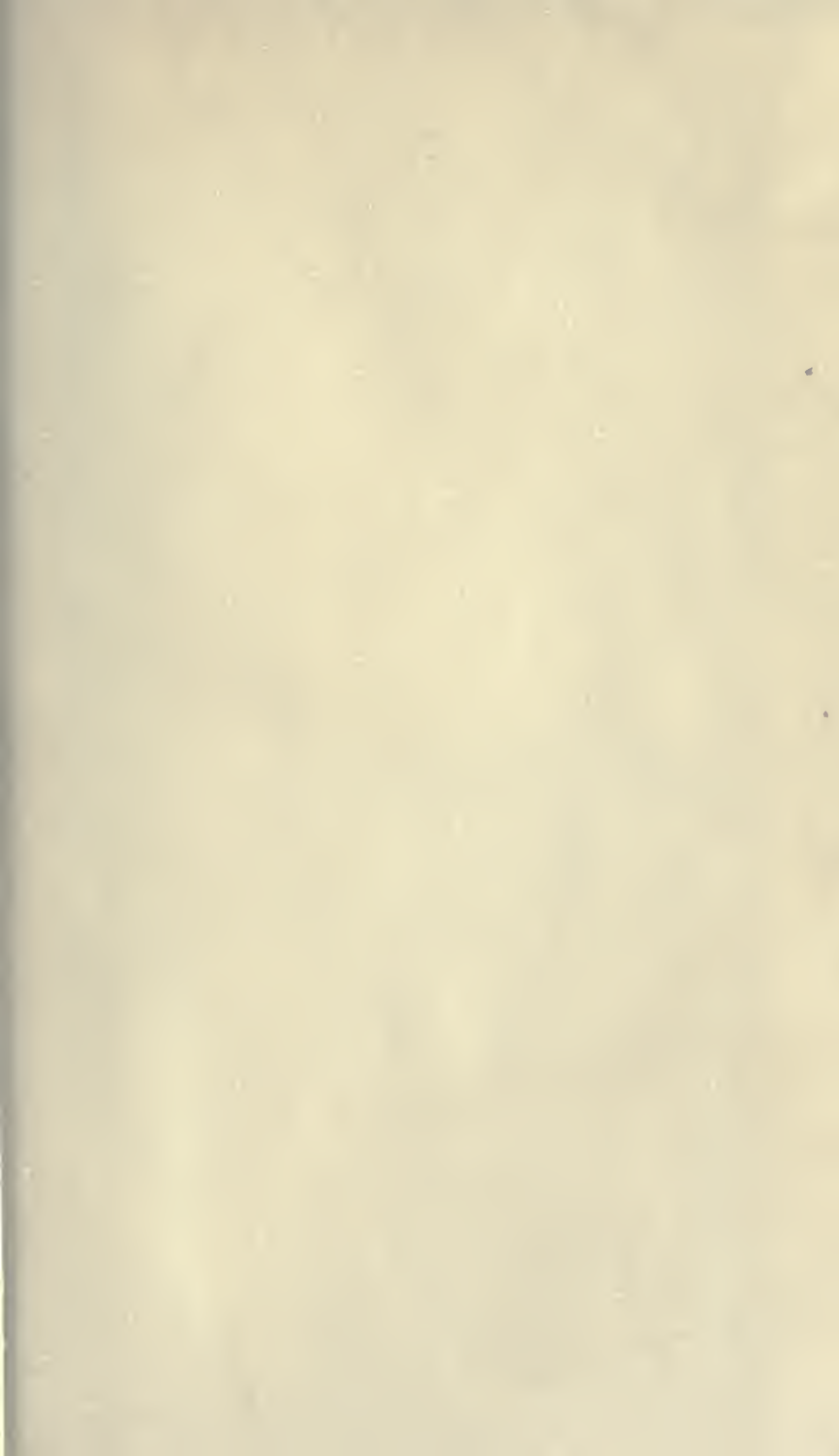
C. PIĘKNO PLASTYCZNE WYRAZOWE CZYLI MALARSTWO NATURY

89

1.	Piękno światła i cieni	99
	<i>a)</i> Światła niebieskie	111
	<i>b)</i> Światło meteorologiczne	119
	<i>c)</i> Światła ziemskie	125
	<i>a)</i> Ogień	125
	<i>β)</i> Światło fosforyczne	130
	<i>γ)</i> Blask i lustr powierzchni gładkich	135
2.	Piękno farb i kolorów	149
	<i>a)</i> Mrok, uważany jako przejście od światła do kolorów	149
	<i>b)</i> Kolory światła	154

<i>c)</i> Farby	161
<i>d)</i> Kolory cieni	191
3. Piękno światła i barw w połączeniu	199
<i>a)</i> Okolice	202
<i>b)</i> Malowniczesé tworów	216
<i>a)</i> W królestwie rzeczy kopalnych	217
<i>β)</i> W królestwie roślin	224
<i>γ)</i> W królestwie zwierząt	236
<i>δ)</i> W człowieku	250
<i>c)</i> Idealna wyrazowość okolic i tworów.	254





PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY

B
4691
L543
1874
t.6

Libelt, Karol
Filozofia i krytyka

UTL AT DOWNSVIEW



D RANGE BAY SHLF POS ITEM C
39 14 12 11 06 013 9